



STAR WARS

Plaga

JEFF GRUBB

Przekład

Anna Hikiert

Plaga

Redakcja stylistyczna

Magdalena Stachowicz

Korekta

Hanna Lachowska

Barbara Cywińska

Ilustracja na okładce

Larry Rostant

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału

Scourge

Copyright © 2012 by Lucasfilm Ltd. &™ where indicated.

All Rights Reserved.

Used Under Authorization.

Plaga

For the Polish translation

Copyright © 2013 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4771-7

Warszawa 2013. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. 22 620 40 13, 22 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

www.starwars.com

Plaga

*Kate, mojej cudownej żonie,
znanej w lepszej części galaktyki jako doktor Bunny Pierce
i słynącej z wystrzeliwania w kosmos piłek golfowych
z pokładu hangarowego jej gwiazdowego niszczyciela.*

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Angela Krin - porucznik WSW i dowódczyni „Śmiałego”
(kobieta)

Eddey Be'ray - pilot i przemytnik (Bothanin)

Hedu - matriarchini klanu Bomu (Rodianka)

Koax - asystentka przyprawowego lorda (Klatooinianka)

Mander Zuma - Mistrz i archiwista Jedi (mężczyzna)

Mika Anjiliac - biznesistota (Hutt)

Popara Anjiliac - szef przestępczego podziemia (Hutt)

Reen Irana - pilotka (Pantoranka)

Toro Irana - Rycerz Jedi (Pantoranin)

Vago Gejalli - doradczyni Popary Anjiliaca (Huttanka)

Zonnos Anjiliac - biznesistota (Hutt)

Plaga

Dawno, dawno temu, w odległej galaktyce...

PROLOG. ŚMIERĆ JEDI

Pantorański Jedi Toro Irana był wściekły. Tkwił uziemiony na tej zapomnianej przez bogów i Moc planecie już od kilku ładnych tygodni. Jego były Mistrz, Mander Zuma, stanowczo zbyt często przypominał mu, że cierpliwość nie jest jego najmocniejszą stroną. Spotkania były ustalane, odwoływane, przenoszone na inne terminy i w inne miejsca, a potem znów odwoływane. Teraz zaś, na domiar złego, jego kontakt kazał mu czekać w restauracji na dachu budynku, na czterdziestym piętrze, z którego widok rozciągał się na... cmentarzysko! Cierpliwość Tora była zdecydowanie na wyczerpaniu.

Czuł, że świerzbi go skóra na całym niebieskim ciele, a usta zaczynają puchnąć. Sięgnął po butelkę woniowina i nalał sobie hojną porcję płynu do szklanki.

Nawet kiedy bywał w dobrym humorze, wszelkie spóźnienia, zmiany decyzji i planów przyprawiały go o frustrację. Teraz zaś, tutaj, na Makem Te, podobne zachowanie doprowadzało go dosłownie do szału. Powietrze na tej zapyziałej planecie cuchnęło rozpalonym pyłem i suszonym mięsem, a znakomitą jej część pokrywał Trakt - rozległa nekropolia, na którą składały się w głównej mierze kute nagrobki; z przestrzeni powietrznej przypominało to lodową czapę planety. Z okien restauracji rozciągał się widok na krypty i mauzolea, które przypominały Torowi ni mniej, ni więcej, tylko przegniłe pieńki zębów, sterczące ze szczęk rozsypujących się szkieletów. Nawet morskozielone promienie zachodzącego słońca przeświecające przez kłęby pyłu przesycającego powietrze nie upiększały widoku. Co się zaś tyczy mieszkańców planety...

Toro stłumił nagły dreszcz, który wstrząsnął jego ciałem, i rozejrzał się po sali, pełnej gmerających niemrawo w swoich talerzach przedstawicieli rasy Swokes Swokes. Jego pierwszym wrażeniem po lądowaniu na planecie było, że jej mieszkańcy wyglądają jak wielkie grudy gnijącego mięcha, a lepsze zazna-

jomienie się z nimi wcale nie wpłynęło na poprawę takiego osądu. Sprawiali wrażenie raczej zbrylonych niż ukształtowanych przez naturalne środowisko planety; ich blade, rozlazłe cielska jakby wylewały się spod podstaw wieńczących ich głowy rogów, nie pozostawiając ani skrawka ciała choćby odlegle przypominającego szyję. Ich zęby wyglądały, wypisz wymaluj, jak nagrobki w dole, tyle tylko, że Swokes Swokesowie spędzali zdecydowanie mniej czasu na ich pielęgnacji niż na dbaniu o nekropolię; tępo zakończone siekacze sterczały z ich nalanych pysków w każdym możliwym kierunku. Ich twarze z kolei były płaskie, „przyozdobione” zupełnie przypadkową, jak się wydawało, liczbą dziurek nozdrzy i bladymi, pustymi oczami, osadzonymi w płytkich, ciemnych oczodołach. Wygląd tych osobników można byłoby nawet uznać za zabawny, gdyby każdy co do jednego nie był brutalem i łotrem.

W skrócie: idealnie pasowali do swojej zapyziałej planetki i wydawali się wręcz stworzeni do opieki nad tym wielkim grobowcem, jakim był w istocie ich świat. A teraz każdy z nich działał Torowi na nerwy. Restaurację wypełniali głównie bezkształtni tubylcy, a na stołach postawiono przeważnie długie, przypominające koryta naczynia, zawierające odrażająco wyglądającą mieszankę gotowanych mięs i czegoś, co wydawało się na pierwszy rzut oka łuskami shinga i żywymi piaskorobakami. Pod ścianami sali, w pobliżu okien, stały stoliki przeznaczone w domyśle dla obcych, jednak oprócz Tora tylko jeden z nich zajmowała para handlarzy rasy Nikto, będących zresztą jedy-nymi klientami restauracji, którzy nie sprawiali wrażenia na wpół roztopionych. Temperatura w pomieszczeniu była odpowiednia dla przedstawicieli rasy Swokes Swokes, co oznaczało, że jak na gust Tora było stanowczo za zimno, a dźwięki wydawane przez tubylców przy jedzeniu wystraszyłyby pewnie samego Imperatora.

Toro wychylił szklankę wina - na szczęście jego aromat zabijał większość zapachów w sali - i machnął ręką na kelnera, który chwilę później dowlóknął się niespiesznie do jego stolika.

Plaga

- Jeszcze trochę tego czegoś... żukopodobnego - warknął Toro, wskazując na stertę pustych teraz pancrzyków - i jeszcze raz te wasze pomyje.

- *Timasho payen* - burknął kelner, a potem powtórzył w bełkotliwym basicu: - Płać teraz, niebieskoskóry.

- Czekam na kogoś - nie ustępował Toro. - Otwórz mi rachunek.

Swokes Swokes zabalgotał coś po swokeńsku, a potem przeszedł na basie:

- Kończę zaraz zmianę, niebieskoskóry. Płać teraz.

Toro odwrócił się na swoim metalowym krześle i pozwolił, żeby szata się rozsunała, ukazując wiszący u jego pasa miecz świetlny. Dotknął go znaczącym gestem, ale nie sięgnął po broń.

- Powiedziałem „otwórz mi rachunek”! - warknął gardłowo.
- Mój kontakt wszystko pokryje.

Swokes Swokes zmarszczył czoło - to znaczy spróbował ułożyć nalaną, szarą twarz w coś na kształt zaniepokojonego grymasu - ale odszedł posłusznie, by po jakimś czasie wrócić posłusznie z talerzem pieczonych chrząszczy i kubkiem z dwoma uszami, zawierającym lokalny trunek - mocny, ale jak wszystko tutaj, przesycony ledwie wyczuwalnym aromatem pyłu i przyprawy. Tak czy siak, jeśli będzie sobie racjonalnie dawkował resztki purpurowego woniowina, trunek powinien zamaskować smród przynajmniej częściowo, uznał niechętnie Toro.

Przyjrzał się z namysłem stojącej na stoliku butelce. Przyniósł ją Rodianin i wręczył mu z przeprosinami od swojego pana - pilne sprawy i tak dalej, i tak dalej, ble-ble-ble. Toro był pewien, że to zagranie obliczone specjalnie na demonstrację potęgi i pokazanie mu, że to jego kontakt jest tutaj górą, a sama świadomość tego faktu wprawiała Jedi w jeszcze większe poirytowanie. Tak czy inaczej, wino było miłą odmianą w tym otoczeniu, a jego świeży, kwiatowy aromat umilał pobyt na tej zakutej w żelazną powłokę planecie. Toro pomyślał, że trunek na pewno nie jest lokalny - kolejna demonstracja władzy i wpływów jego kontaktu.

Plaga

Po drugiej stronie sali dwóch Swokes Swokesów zaczęło do siebie jazgotać piskliwymi głosami. Toro podejrzewał, że kłócą się o poglądy religijne - na tej planecie większość kłótni dotyczyła religii i śmierci. Zastanawiał się, czy dojdzie do bójki - nie, żeby miało to jakieś szczególne znaczenie. Tubylcy potrafili regenerować części ciała i prawdziwą krzywdę mogły im zrobić tylko naprawdę poważne obrażenia. To był właśnie jeden z powodów, dla którego przedstawiciele tej rasy byli tak cenieni jako najemnicy, strażnicy i zbiry.

Pantoranin czuł, że od ich krzyków zaczyna mu puchnąć głowa. Dość tego! Dopij wino i zabieraj się stąd, nakazał sobie w myśli. Jego kontakt przekona się, że nie tylko on ma tutaj coś do powiedzenia.

Nagle coś ciężkiego i miękkiego uderzyło go w plecy, aż rozpląszczył się górną połową ciała na stole. Resztką wina wylała się ze szklanki, a butelka przewróciła się i spadła na podłogę po drugiej stronie stołu.

Kiedy Toro się odwrócił, zobaczył tubylca o ciele przystrojonym licznymi klejnotami. Swokes Swokes pochodził najwyraźniej z wyższej kasty, ale poza klejnotami był tak samo napuchnięty i sflaczały jak reszta przedstawicieli jego rasy.

Wygulgotał coś, co mogło być przeprosinami, ale w uszach Tora zabrzmiało bardziej jak groźba.

Pantoranin wstał, a podłoga na chwilę zakołysała mu się pod nogami.

- Uważaj, jak łazisz, ofermo! - warknął.

Wystrojony obcy odszczeknął coś w odpowiedzi, a ze sposobu, w jaki zareagowali na jego słowa inni Swokes Swokesowie, Toro wywnioskował, że była to jakaś poważna zniewaga. Wyprostował się i spojrzał z góry na niższego od siebie o głowę tubylca. Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem, a potem Swokes Swokes wyciągnął czteropalczałą dłoń, żeby odsunąć go sobie z drogi.

Chociaż Pantoranin był wstawiony i wściekły, jego instynkt zadziałał bezbłędnie: zrobił pół kroku w tył, żeby zwiększyć dy-

Plaga

stans między sobą a napastnikiem, a dłoń sama odnalazła miecz świetlny i płynnym ruchem obudziła klingę do życia. Swokes Swokes miał tylko sekundę, żeby pożałować swojego postępuku, zanim Toro zamachnął się i odciął mu rękę.

Tubylcem wstrząsnął dreszcz, ale nawet nie krzyknął - przyglądał się tylko przez chwilę kikutowi w niemym osłupieniu. Świetnie, pomyślał z przekąsem Toro; te prymitywy nie tylko potrafią się regenerować, ale brakuje im też centralnych ośrodków bólu. Kolejny argument przemawiający na korzyść zatrudniania ich jako oprychów. Ranny Swokes Swokes zawył w końcu, ale była to raczej manifestacja oburzenia niż bólu.

Wszyscy odwrócili się w ich stronę; przez chwilę gapili się na niebieskoskórego Pantoranina z mieczem świetlnym w dłoni i jego rannego przeciwnika, a potem, jak na komendę, wstali od stołów, uzbrojeni w widelce i ciężkie, żelazne krzesła, i otoczyli walczących.

Ranny Swokes Swokes ruszył w stronę przeciwnika, wymachując nad głową zdrowym ramieniem niczym sękatą pałką. Toro cofnął się, wskoczył po żelaznym krześle na stół i płynnie zatoczył ostrzem szeroki łuk, który skrócił Swokes Swokesa o głowę. Bezgłowe ciało zatoczyło się w tył i upadło na podłogę, między swoich ziomków.

- Ciekawe, jak zregenerujesz... to! - krzyknął Toro. Śmierć tubylca z wysokiego rodu wprawiała połowę napierającej grupy w osłupienie, a drugą - we wściekłość. Toro zauważył, że siedzący wcześniej przy pobliskim stoliku Niktowie kierują się dyskretnie w stronę wyjścia - podobnie jak kelner - ale nie zdążył dostrzec nic więcej, bo tłum zaatakował go z dzikim wyciem.

Pantoranin zawiąnął mieczem młynka i ciął - ostrze przechodziło przez ciężki metal równie gładko, jak przez żywą tkankę. Jeden z atakujących zdołał zbliżyć się do niego niebezpiecznie blisko - zanurkował pod klingą i zamknął nadgarstek ręki, w której Toro trzymał miecz, w miękkim, ale stanowczym uścisku. Pantoranin przerzucił broń do lewej dłoni i kopnął napastnika w twarz - ciało ustąpiło pod jego butem jak miękka,

Plaga

plastyczna masa. Istota nie przejęła się tym zbyt, chociaż chwyt na ramieniu Tora nieco zelżał. Jedi ciął bez zastanowienia przez ramię atakującego i odcięta ręka zniknęła gdzieś w tłumie rozwścieczonych istot.

W jego stronę poszybowało coś ciężkiego i ciemnego; Pantoranin podniósł miecz i rozplątał żelazny stołek, którego szczątki uderzyły w ramę okna za jego plecami. Dwóch Swokes Swokesów uczepiło się jego nóg, ale podskoczył, zawirował i przejechał koniuszkiem ostrza po blacie, odcinając obydwu dłonie.

W jego kierunku szybował teraz deszcz prowizorycznych pocisków - stołków, sztućców, kufla, a nawet resztek jedzenia. Jedi niezmordowanie tknął mieczem w powietrzu błękitną zasłonę, przecinając co bardziej niebezpieczne przedmioty na pół i unikając tych zaledwie obrzydliwych. Bombardowaną ciężkimi pociskami tafłę szkła za jego plecami pokryła pajęczyna pęknięć, ale szyba wytrzymała. Napastnicy wciąż próbowali przedrzeć się bliżej, jednak Toro skutecznie studził ich zapał, uwalniając kilku właścicieli od ciężaru ich kończyn. Tym, którzy nosili osadzone w ciele klejnoty, będące oznaką statusu, wycinał je z furją z miękkich ciał.

Uświadomił sobie, że cały czas klnie - z jego ust wydobywał się strumień najgorszych wyzwisk. Przeklinał tę planetę, jej mieszkańców i własny kontakt, a także nieczuły wszechświat, który doprowadził go akurat teraz w to zapomniane przez Moc miejsce. Czuł, że ma mokry podbródek, a kiedy otarł go rękawem, okazało się, że pokrywa go krwawa piana. Czyżby został ranny? Czyżby któraś z tych na wpół roztopionych, obrzydłych istot zdołała go dopaść? Warknęła, a oczy zalała mu krew. Zapłacą za to wszyscy, co do jednego!

Kątem oka zauważył z boku jakiś ruch i zawirował bez namysłu. Rozchybotany od naporu tłumy stół zaczął się przewracać, a Toro skoczył, chlaszcząc mieczem w tył, żeby dopaść czyhającego za jego plecami napastnika i... zbyt późno uświadomił sobie, że się pomylił: celował we własne odbicie w szybie,

rozświetlonej ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

Nie mógł już nic zrobić, było za późno - ostrze przecięło szybę, która pękła pod naporem jego ciała i rozsypała się w tysiące przypominających sztylety okruchów. Pantoranin skręcił jeszcze ciało w desperackiej próbie złapania się parapetu, ale na próżno - źle wycelował i już za chwilę spadał bezwładnie w pylistym powietrzu, czterdzieści pięter nad cmentarzyskiem.

Przez całą drogę w dół nie czuł nic oprócz gniewu.

ROZDZIAŁ 1. TAJEMNICA NA MAKEM TE

Mander Zuma przemierzał z ponurą miną alejki Makem Te. Był z dala od Traktu, z dala od nekropolii, która zdominowała ten świat, z dala od miejsca śmierci Tora Irany - a także z dala od satysfakcji ze zdobytych dotychczas informacji o tym, jak skończył jego były uczeń.

Do Nowego Zakonu Jedi na Yavinie Cztery dotarły wieści o jego śmierci - w formie skargi od Kongresu Kalifów, rady sprawującej władzę na Makem Te. Wynikało z niej, że niebieskoskóry Jedi dopuścił się na terenie planety zabójstwa bratanka jednego z kalifów. Nowa Republika przekazała co prawda kanałami dyplomatycznymi stosowne przeprosiny, ale Mander został zwolniony z obowiązków w Archiwach i wysłany na Makem Te z zadaniem wyjaśnienia, co tak naprawdę zaszło.

Nic dziwnego, bo to właśnie Mander był nauczycielem młodego Tora i to on nadzorował raporty przesyłane Zakonowi przez swojego byłego ucznia. Oficjalnie miał dokończyć misję, z którą Toro został wysłany na planetę, jednak po wielu latach spędzonych na ślęczeniu nad starożytnymi materiałami niechętnie opuszczał Archiwa i Yavina Cztery.

Plaga

To, czego dowiedział się na miejscu, zaskoczyło go i zszokowało - i nie chodziło wcale o fakt, że Toro wdał się w bójkę z młodym Swokes Swokesem, bo zawsze był zapalczywy, a przedstawiciele tej rasy łatwo było wyprowadzić z równowagi. O, nie - Mander zaniepokoiło coś innego: to, że jego uczeń dał się tak łatwo sprowokować i popełnił podczas walki błąd, który kosztował go życie. Rozmyślał nad tym całą drogę z Yavina na Makem Te. Kiedy opuścił pokład promu i odetchnął pylistym powietrzem planety, w głowie wirowało mu od pytań: co poszło nie tak? Czy to on sam popełnił błąd w szkoleniu młodego Pantoranina? Czyżby źle go przygotował do roli Jedi? A może w grę wchodziły inne czynniki?

Już jako uczeń Toro był świetnym wojownikiem - podczas walki był zwinny i szybki, niczym roztańczony niebieski wir. Co więcej, wytworzył swego rodzaju szczególną więź ze swoim mieczem świetlnym, czyniąc go w pewnym sensie przedłużeniem własnego ciała. Nawet podczas treningów Mander był pod wrażeniem umiejętności i pewności siebie młodego padawana.

On sam nie dorastał mu pod tym względem do pięt. Moc była w nim dość silna, owszem, ale jej nurt kierował się w zupełnie innym kierunku - Mander czuł przepływającą przez niego jej energię, ale miecz świetlny ciążył mu w dłoni jak obcy, dziwny przedmiot. Samą wrażliwość na Moc odkryto u niego dość późno - podobnie zresztą jak w przypadku większości przyszłych Jedi w okresie po upadku Imperium.

Toro władał mieczem świetlnym zdecydowanie lepiej od niego, więc Mander był pewien, że jego uczeń zostanie pewnego dnia znakomitym Rycerzem Jedi. Bez dwóch zdań lepszym niż on. Teraz jednak Toro nie żył, a Mander nie miał pojęcia, jak do tego doszło.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił po przybyciu na planetę, było upomnienie się o ciało ucznia i zbadanie go. Podczas oględzin towarzyszył mu wynajęty droid medyczny, dostarczający obfitego komentarza. Zasnęta krew na ustach Tora i połamane kości po jednej stronie ciała świadczyły o nagłym zgonie w wy-

Plaga

niku upadku. Było jednak coś jeszcze - na całym niebieskim ciele Pantoranina żyły i tętnice odcinały się ciemnym fioletem. Wcześniej Mander nic takiego u niego nie zaobserwował, więc uznał to za efekt działania jakiejś obcej substancji. Co więcej, w kącikach oczu Tora dostrzegł ciemnofioletową ropę. Nie wiedział co prawda, czy przypadkiem nie jest to naturalny pośmiertny objaw u Pantoran, ale założył, że nie - i pobrał próbkę kryształków. Miały ostry, gryzący zapach, znacznie silniejszy niż mdły odór pyłu przesycającego powietrze Makem Te. W ciemniejących, teraz martwych żyłach Jedi także znalazł podobne grudki i uznał, że jego były uczeń musiał przyjąć jakąś substancję drogą pokarmową... albo została mu ona wstrzyknięta.

Doszedł do wniosku, że przed walką Toro musiał być pod wpływem jakiegoś środka odurzającego - i prawdopodobnie te dwie sprawy były ze sobą w jakiś sposób powiązane. Zanim Jedi przekazał ciało ucznia do ceremonialnego spalenia, sprawdził dokładnie swoje spostrzeżenia. Pomimo powszechnego oburzenia postępkami Tora Swokes Swokesowie okazali się niezwykle pomocni podczas organizowania obrządku - podobne ceremonie były dla nich punktem honoru.

Później Mander Zuma odwiedził miejsce, w którym rozegrały się wydarzenia poprzedzające śmierć jego byłego ucznia. Na czas trwania żałoby po bratanku kalifa restauracja została zamknięta; połamane meble już posprzątało i ułożono pod ścianą, a w okno, przez które Toro wypadł, wstawiono nową szybę. Personel był początkowo niechętny do współpracy, ale dzięki pewnej znajomości swokeńskiego i odrobinie Mocy Manderowi udało się uzyskać odpowiedzi na dręczące go pytania. Pod koniec rozmowy kelnerzy zrobili się całkiem gadatliwi: owszem, błękitnoskóry Jedi był w lokalu. Twierdził, że czeka na kogoś, z kim ma się tu spotkać. Pił, i to całkiem sporo. Głównie lokalny trunek, ale w pewnej chwili zjawił się Rodianin z butelką wina - prezentem. Jedi obrażał personel, a także innych gości lokalu. Wdał się w sprzeczkę z Choka Chokiem, bratankiem kalifa. Doszło do rękoczynów - sięgnął po broń i zabił mieczem świetlnym

Choka Choka, a także pięciu innych klientów. Nie mówiąc już o tych, którzy podczas bójki odnieśli obrażenia. Krzyczał coś w tym dziwnie brzmiącym, jazgotliwym basicu - co za barbarzyński język! Aż mu piana na usta wystąpiła! A potem zbił szybę i wyszedł przez okno. Personel był zdania, że Jedi chciał uciec... tyle że zapomniał, że jest na czterdziestym piętrze, ha, ha! Tak z niego zartowano. Nie, nikt nie znalazł jego broni - a przynajmniej nikt tego nie zgłosił. Owszem, mają tu gdzieś jeszcze tę butelkę, którą przyniósł Rodianin - cały czas sprzątają...

Swokes Swokes przyniósł flaszkę, a Mander sięgnął po swój próbnik i skalibrował go. Proste badanie osadu z dna potwierdziło jego wcześniejsze przypuszczenia - w tym woniowinie było coś dziwnego, coś mocnego, podejrzanego i podobnego w składzie do kryształków, które znalazł w kącikach oczu Tora. Po destylacji miało ten sam mocny zapach, wcześniej maskowany przez bukiet wina.

A więc trucizna, zdecydował. Wino przyniósł Rodianin... Czyżby to właśnie toksyna zmała osąd Tora?

Mander zamyślił się głęboko, zatroskany. Dlaczego jego były uczeń okazał się na tyle nieostrożny, żeby wypić przyniesiony przez kogoś trunek? Podczas misji w terenie Jedi powinien być w pełni świadomy potencjalnych zagrożeń. Czy Toro ufał Rodianinowi albo temu, kto go przysłał? I co, jeśli w ogóle, miało to wspólnego z jego misją - uzyskania koordynatów Spirali Indrexu? Czy ktoś próbował nie dopuścić, żeby trafiły one w ręce Nowej Republiki? A może Toro wpadł na jakiś inny trop?

Trzeba przyznać, że ostatnie informacje przekazane przez Tora Zakonowi Jedi były dość niepokojące, choć jego raporty były krótkie, nawet lakoniczne. Tak, nawiązał kontakt. Rozpoczął negocjacje. Szło mu całkiem nieźle - nic nie wskazywało na to, że napotkał jakieś problemy. Mimo to pewna wyczuwalna w jego doniesieniach szorstkość sprawiła, że Mander postanowił głębiej zbadać sprawę. Musiał poznać szczegóły.

Śledztwo doprowadziło go do starego, drewnianego magazynu, wzmocnionego okuciami z wszechobecnego w archi-

tekturze Swokes Swokesów żelaza. Na Makem Te nie było zbyt wielu Rodian, więc Mander nie miał problemu z dotarciem do osoby, która dostarczyła Torowi wino. Rodiański kartel jednego z klanów prowadził w tych magazynach własny biznes - handel nagrobkami, relikwiarzami i innymi importowanymi towarami pogrzebowymi.

Mrok w alejce maskował Jedi skuteczniej niż jakakolwiek sztuczka z wpływaniem na umysł, ale zamek w drzwiach był stary i nie chciał ustąpić, więc Mander musiał ostatecznie uciec się do Mocy, żeby go sforsować. I to by było tyle, jeśli chodzi o dyskretne wejście i wyjście, westchnął w duchu. Otworzył ostrożnie drzwi, ale powitał go tylko cichy zgrzyt metalowych zawiasów. Wśliznął się ukradkiem do magazynu, zostawiając drzwi uchylone na tyle szeroko, żeby móc szybko się wycofać, gdyby wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Początkowo zachowywał maksymalną ostrożność, ale wkrótce przekonał się, że w środku nie ma żywej duszy. Nagą podłogę oświetlały promienie księżyca. Mander sięgnął do wewnętrznej kieszeni szaty i wyciągnął magnetyczny wizjer - dwie różowawe soczewki osadzone w sześciokątnych oprawkach. Rozłożył je i nasunął sobie na grzbiet nosa - przyłgnęły ciasno do skóry, lekko ją uciskając. Kiedy wcisnął guzik z boku obudowy, soczewki rozbłysły bladoczerwonym blaskiem, rozjaśniając nieco panujący w pomieszczeniu półmrok.

Wzdłuż jednej ściany stały w równych rzędach sięgające sufitu drewniane regały. Pod drugą ustawiono puste kontenery, a pod trzecią zauważył trzy wielkie podnośniki o ramionach zakończonych ogromnymi, płaskimi łopatami. Najwyraźniej rodiańscy właściciele magazynu byli zbyt ubodzy, żeby stosować droidy rozładunkowe... Na półkach leżały puste płyty nagrobne i bele całunów, a wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Po kątach także wałały się kłęby kurzu i śmieci - wyglądało na to, że czymkolwiek zajmują się właściciele interesu, ma to niewiele wspólnego z obrządkami pochówkowymi.

Na środku pokoju wałała się sterta połamanych skrzynek,

Plaga

porzuconych w pośpiechu, a jaśniejsze plamy na podłodze wskazywały miejsca, gdzie wcześniej stały inne kontenery, do których prowadziły ślady szerokich stóp podnośników. Gdzieś z dala, z sąsiedniego składu, dolatywał rumor przestawianych skrzyń, ale ten magazyn był najwyraźniej dawno nieużywany.

Mander zmarszczył czoło. Ktokolwiek otruł Tora, najwyraźniej spodziewał się, że ktoś będzie węszył wokół tej sprawy, bo starał się zatrzeć za sobą ślady. Magazyn bez wątpienia działał pod fałszywą nazwą, pod przykrywką co najmniej trzech firm krzaków. Wytropienie, kto za wszystkim stał, nie będzie łatwe...

Rozgarnął czubkiem buta stertę śmieci - jak się okazało, szat żałobnych i gobelinów. W pobliżu leżało także kilka metalowych nagrobków z inskrypcjami w swokeńskim - wszystkiego jakieś trzy albo cztery skrzynie, porzucone i zapomniane. Ale było tam coś jeszcze... coś ciemnego, o krystalicznej, lśniącej w świetle księżyca powierzchni.

Przyklęknął przy śmieciach i przyjrzał się znalezisku. Kryształki były ciemnofioletowe, niemal czarne. Kiedy je powąchał, poczuł głęboki, ostry zapach - zapach przyprawy zmieszany z dziwną, silną wonią, której nie rozpoznawał. Wyciągnął z kieszeni przezroczystą kopertę i zgarnął do niej garść mialkiej substancji.

W tej samej chwili zorientował się, że nie jest sam. Może sprawił to cień, przemykający w świetle księżyca, a może odgłos zbyt ciężkiego stąpania, ale Mander natychmiast się domyślił, że w magazynie jest ktoś jeszcze. Wstał powoli znad kupki śmieci, starając się poruszać spokojnie; rękę trzymał w okolicy rękojeści miecza świetlnego. Zdążył go odpiąć od pasa i zapalić, zanim jeszcze padł pierwszy strzał z blastera.

Odbił go, próbując skierować w stronę napastnika, ale nie udało mu się to - zamiast tego wiązka energii trafiła w regał z nagrobkami. Przeklął pod nosem własną nieudolność, a tymczasem atakujący posłał w jego stronę następny strzał - musiał się chyba przyczaić gdzieś przy wejściu. Jedi znów go odbił, ale tym razem ledwo ledwo, osmalając przy tym ścianę za swoimi ple-

cami. Skarcił się w duchu, przypominając sobie, że jest w drewnianym budynku, otoczony łatwopalnymi materiałami. Nie może sobie pozwalać na kierowanie strzałów byle gdzie.

- Mogę tak cały dzień! - zawołał w ciemność, choć było to oczywiste kłamstwo. - Dlaczego nie wyjdiesz, żebyśmy mogli normalnie porozmawiać?

Koło drzwi przemknął jakiś cień i przez chwilę Mander był pewien, że napastnik ucieknie, ale tak się nie stało. Zamiast tego w prostokątnej plamie światła na podłodze stanęła szczupła postać. Z lufy jej ciężkiego blastera DL-22 snuła się jeszcze smuzka dymu. Wzrostem prawie dorównywała Manderowi; nawet w bladej księżycowej poświacie Jedi widział, że skóra istoty jest intensywnie niebieska, a na każdym policzku widnieje złota spirala. Długie ciemne włosy w kolorze nocnego nieba miała splecione w gruby warkocz, a na czoło opadała jej grzywka. Była bez dwóch zdań Pantoranką, tak jak Toro... Usta miała zaciśnięte w wąską linię, a jej oczy lśniły gniewnie.

- Dlaczego do mnie strzelasz? - spytał ją spokojnie, całkiem jakby przebywanie pod ostrzałem w obcym magazynie było dla niego chlebem codziennym.

- Szukam sprawiedliwości! - odwarknęła Pantoranka i podniosła wyżej lufę swojego blastera. Wbrew sobie Jedi ustawił miecz w pozycji obronnej, ale napastniczka nie wystrzeliła.

- Sprawiedliwość jest dobrą i potrzebną rzeczą - odparł, starając się brzmieć łagodnie. - Ja też jej szukam. Może mogłabyś mi w tym pomóc... - urwał, a po chwili dodał: - Wiesz, kiedyś szkoliłem w tajnikach Mocy pewnego Pantoranina...

Tym razem strzeliła, a Mander w chaotycznej próbie odparcia ognia o mało nie wpadł na stertę śmieci - odbił strzał w ostatniej chwili, kierując go do góry, zamiast w tył. Dobiegł stamtąd nikły szczęk rozbitego świetlika.

- A więc to ty odpowiadasz za śmierć Tora! - warknęła Pantoranka; jej słowa były zimne i ostre jak wibronóz.

- Jesteś jego krewną? - spytał Mander, przygotowując się na następny strzał, jednak ten nie nastąpił.

- Siostrą.

Zmusił się do spokoju - a przynajmniej próbował nie dać po sobie poznać emocji. Wyłączył miecz świetlny, chociaż nie był pewien, czy zdoła zapalić go dość szybko, jeśli dziewczyna zdecyduje się znów do niego strzelić.

- Ach, a więc to ty jesteś Reen Irana - powiedział. - Toro opowiadał mi o tobie.

Przez chwilę trzymała go na muszce, ale nie naciskała spustu, więc dodał szybko:

- Nie było mnie tu, kiedy zginął. Przebywałem wtedy w Akademii na Yavinie Cztery. Przyleciałem natychmiast, jak tylko dotarła do nas wieść o wypadku. Chcę się dowiedzieć, co się tutaj wydarzyło, i dokończyć powierzone Torowi zadanie.

Lufa blastera zawisa na chwilę w powietrzu, ale w końcu Pantoranka odsunęła ją nieco w bok. Nawet w świetle księżyca widział lśniąca w kącikach jej oczu łzy.

- To twoja wina! - wyrzuciła z siebie łamiącym się głosem. Mander odczekał, dając jej czas na ochłonięcie. Kiedy znów się odezwała, jej słowa były znów zimne i twarde: - Toro był marzycielem... a ty zabrałeś go, żeby zrobić z niego Jedi... i teraz on nie żyje! To twoja wina!

Mander podniósł zwrócone wnętrzem w jej stronę dłonie i powiedział po prostu:

- Tak. Masz rację.

Jego wyznanie najwyraźniej zaskoczyło Reen - widocznie oczekiwała, że Jedi będzie się tłumaczył albo zaprzeczał, ale na pewno nie czegoś takiego.

Spojrzał jej prosto w oczy - dostrzegł teraz w jej rysach uderzające podobieństwo do brata - i podjął:

- Każdy jest kowalem własnego losu, ale owszem, to ja wyszkoliłem twojego brata, a tutaj, na Makem Te, załatwiał interesy Zakonu Jedi. Dlatego masz w pewnym sensie rację: to my... ja naraziłem go na niebezpieczeństwo. I wygląda na to, że... nie zdołałem właściwie przygotować go na to, z czym przyszło mu się zmierzyć. Właśnie dlatego tutaj jestem. Chcę się dowie-

Plaga

dzieć, kto otruł twojego brata, i dopilnować, żeby została mu wymierzona sprawiedliwość.

Pierwszy raz od początku ich spotkania Pantoranka wydawała się prawdziwie zaskoczona.

- Otruty? - wykrztusiła.

- Wszystko na to wskazuje - potwierdził Mander. - Znalazłem w jego krwi coś dziwnego, a teraz to... - Podniósł wyżej kopertę z kryształkami. - Zebrałem je z podłogi.

Pantoranka nie opuściła broni, ale sięgnęła po torebkę. Wzięła ją od niego i cofnęła się natychmiast kilka kroków, na wypadek gdyby szykował jakiś podstęp.

Przyglądała się przez chwilę ciemnym kryształkom, a potem pokręciła głową. Kiedy schowała blaster, Mander także zawiesił swoją broń u pasa.

- Sądzę, że to właśnie tą substancją został odurzony - poinformował ją. - Była w winie, które przyniósł twojemu bratu do restauracji jakiś Rodianin. To najprawdopodobniej ona sprawiła, że Toro nie zdołał wykorzystać w pełni swoich zdolności i nie mógł się bronić - dlatego popełnił błąd podczas walki i wypadł przez okno.

W ciemności nad nimi znów rozległ się jakiś hałas i Mander odruchowo spojrzał do góry. Tym razem odgłosy pochodziły nie z zewnątrz, tylko z wewnątrz - ktoś był w środku i to ktoś, kto znał dobrze to pomieszczenie i wiedział, jak się po nim poruszać.

- Stój nieruchomo - polecił jej szeptem. - Nie jesteśmy sami...

- Spokojnie, to tylko mo... - zaczęła mówić Reen, ale Mander złapał ją za ramię i pociągnął na ziemię. Z trzech stron w ich kierunku poszybowały promienie energii; wszystkie trafiły w stertę śmieci.

Pantoranka w ułamku sekundy wyciągnęła swój blaster i przez chwilę Mander był przekonany, że strzeli do niego, ale ona odpowiedziała ogniem atakującym, wykorzystując stertę skrzynek jako osłonę.

Plaga

Mander przykucnął i podniósł zapalony miecz świetlny. Ostrzał był intensywny, ale pojedyncze strzały okazały się niezbyt celne i zdołał bez większego trudu odbić znaczną ich część. Najwyraźniej skutecznie, bo wśród blasterowej kanonady dały się słyszeć okrzyki bólu i swokeńskie przekleństwa - ktoś musiał oberwać.

- Jak na moje oko mamy tu ze dwanaście osób - oceniła Reen. - Część jest na górze regałów. Swokes Swokesowie, ale i kilku Rodian.

- To pewnie właściciele magazynu - mruknął Mander.

- Znam ten klan - stwierdziła Reen, zdejmując dwoje napastników. - To rodzina Bomu. Rozpoznaję klanowe tatuaże na ich twarzach. Chyba jesteśmy w pułapce...

- Spokojnie - rzucił Mander. - Zostań tu. Ja oczyszczę teren.

Reen zaczęła coś mówić, ale Mander już tego nie usłyszał, bo w tej samej chwili skoczył naprzód i saltem wylądował obok jednego z regałów, na których ukrywali się Rodianie. Koło uszu świszczały mu strzały z blasterów, ale nie fatygował się ich odbijaniem. Zamiast tego ciął przez wsporniki regału. Ostrze przeszło przez metal jak przez masło i już za chwilę cała konstrukcja zadygotała gwałtownie, a potem runęła pod własnym ciężarem na ziemię - zgrzyt i jęk metalu mieszały się z okrzykami zaskoczonych napastników.

Reen znalazła się nagle tuż przy nim.

- Co robisz?

- Nową stertę śmieci, za którą będziemy się mogli schować - odparł, zamierzając się jednocześnie na jednego ze Swokes Swokesów, który właśnie gramolił się ze szczątków regału i przymierzał do strzału. Płynnym cięciem miecza przeciął jego broń na pół, a nieszczęśnik padł bez ruchu, kiedy Reen trafiła go ze swojego blastera prosto w twarz.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem blastery znów obudziły się do życia - teraz ostrzał był jeszcze bardziej zaciekły niż poprzednio. Kiedy Mander się obejrzał, spostrzegł, że ich dotychczasowa kryjówka stoi w ogniu, a płomień rozprzestrzeniają

się szybko, pozerając bele całunów i krokwie wspierające dach. Rodianie zeszli już na dół i usiłowali ich otoczyć. W blasku ognia widzieli ich teraz jak na dłoni.

- Próbują nas spalić żywcem! Zdołasz dotrzeć do drzwi?! - zawołał Mander, ale Reen tylko pokręciła głową i strzeliła do Rodianina stojącego pod przeciwległą ścianą.

Mander ocenił odległość dzielącą go od wejścia. Może gdyby był sam, za lepszych dni udałoby mu się ją pokonać, ale wątpił, czy mając za balast Pantoranę, zdołałby przebiec chociaż połowę drogi, zanim ktoś by go nie postrzelił. Tak czy inaczej, już miał zaryzykować, kiedy w pobliżu coś się poruszyło. Coś dużego.

Rozpoznał jeden z podnośników - maszyna stąpała ciężko, kierując się wprost na grupkę Swokes Swokesów. Wielkie, płaskie stopy zmiażdżyły któregoś z nich; kiedy reszta rozpiezchła się w poszukiwaniu drogi ucieczki, podnośnik zawrócił w miejscu i jego potężne ramiona uderzyły w jeden z regałów, przewracając go na sąsiedni, a ten na jeszcze następny - kładły się na siebie jak kostki domina. Rodianie i Swokes Swokesowie zaczęli się wycofywać, ostrzeliwując się przed ewentualnym pościgiem. Za sterami podnośnika, oświetlony blaskiem bijącym od kontroltek, siedział Bothanin o długim, wąskim pysku i porośniętym sierścią ciele.

Reen położyła Manderowi dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, on jest ze mną.

Bothanin miał najwyraźniej drobny problem z obsługą urządzenia - starając się utrzymać nad nim kontrolę, uderzył w jedną z płonących krokwi. Belka wydała z siebie ponury, przeciągły jęk i część dachu zaczęła opadać razem z umieszczonymi w nim świetlikami.

- Rychło w czas! - krzyknęła Reen do kierowcy stąpającego niepewnie łożyka. - A teraz zabierz nas stąd, zanim to wszystko zawali nam się na głowy!

Bothanin zdołał wreszcie odzyskać jaką taką kontrolę nad podnośnikiem i obniżył jedną z jego wielkich dłoni nad podłogę. Mander wskoczył na nią i wyciągnął rękę, żeby pomóc Pantorance.

Plaga

Oboje uczepili się kurczowo boków maszyny i próbowali utrzymać równowagę, podczas gdy Bothanin przez szalejące w magazynie płomienie kierował molocha do drzwi. Były nadal ledwie uchylone, ale w ostatniej chwili operator podnośnika skręcił jego korpus i uderzył w nie z impetem, wyrывая z zawiasów.

Kiedy wydostali się na zewnątrz i zostawili płonący magazyn w tyle, zeszli z podnośnika, a Bothanin wysiadł z zasnutej dymem kabiny. Najwyraźniej, uruchamiając jej zapłon, spowodował zwarcie i mały pożar układów elektronicznych podnośnika.

- Sądziłam, że wy, Jedi, nie dajecie się zaskoczyć - prychnęła Reen.

- Byłem... rozkojarzony - odpowiedział Mander, próbując nie dać poznać po sobie rozdrażnienia. Reen miała rację - pomimo jej obecności powinien był zauważyć, że napastnicy zajmują pozycje w magazynie i szykują się do ataku...

W oddali było już słycać okrzyki i dźwięki syren; lokalne władze zostały już widocznie poinformowane o pożarze. Nad dachami widać było łunę bijącą od płonącego magazynu.

- Powinniśmy być już daleko stąd - mruknęła Reen. - Szkoda, że nie udało nam się schwytać któregoś z tych Rodian żywcem.

- Mamy substancję, którą otruto twojego brata - zauważył Mander. - I wiemy, że nie zawahają się przed zabijaniem, byle tylko zatrzeć ślady. Na razie wystarczy.

Dejarro z klanu Bomu przedzierał się przez swokeński bazar. Krążył między straganami, na których sprzedawano pamiątki żałobne, olejki do namaszczenia i wieńce. Mijał kramy jasnowidzów i spirytystów, którzy za niewielką opłatą obiecywali kontakt z niedawno zmarłymi, a za nieco większą - mogli potwierdzić bez cienia wątpliwości, że ci spoczywają w pokoju i są w pełni usatysfakcjonowani z pochówku. Z trudem przeciskał się przez cizbę mieszkańców Makem Te; jako wątłej budowy Rodia-

nin nie miał zbyt dużych szans w próbie utorowania sobie między nimi drogi siłą. Jedną rękę trzymał w kieszeni kurtki i zaciskał kurczowo na swojej cennej zdobyczy, pełen obaw, że coś może pójść nie tak.

Wieści rozeszły się jeszcze tego samego popołudnia: Koax, jednooka Klatooinianka, zjawiała się na planecie z nowymi rozkazami i aby dopilnować wypełnienia poprzednich.

Dejarro z klanu Bomu był posłańcem zarówno dobrych, jak i złych wieści - ale nie umiał powiedzieć, czy bardziej ciąży mu te złe, czy może tajemniczy przedmiot w jego kieszeni.

Na czwartej uliczce, przy kramie alchemicznym, skręcił w prawo i skierował kroki do dziwnie opustoszałego sklepu, na którego wystawie leżały żałobne podarunki, niecieszące się chyba jednak zbyt dużą popularnością. Swokes Swokes za ladą, o ciele poznanym licznymi bliznami regenerowanych fragmentów ciała, skinął mu na powitanie głową. Dejarro był tu już wcześniej i teraz także wspiął się bez słowa po żelaznych spiralnych schodach, prowadzących do pozbawionego okien składziku na piętrze.

Pomieszczenie oświetlała samotna żarówka, zwisająca z przypominającego stryczek kabla. Koax czekała już na niego, otoczona wieszakami, na których wisały długie szaty żałobne. W ich otoczeniu Dejarro czuł się jak w obecności milczących świadków, czekających na wysłuchanie jego sprawozdania. Na środku pokoju stał niski stolik.

Klatooinianka była szczupła - znacznie szczuplejsza od większości przedstawicieli swojej rasy - ale silnie umięśniona. Miała na sobie czerwone spodnie i kamizelkę pilota, a u pasa obok blastera imponującą kolekcję ceremonialnych noży do rzucania. Dejarro wiedział, że Klatooinianie bardzo cenią sobie tradycję: staroświecką broń i dawne zwyczaje. Wszystko wskazywało na to, że Koax darzy sentymentem przeszłość, ale docenia także szanse kreowane przez teraźniejszość.

Miała pociągłą, chudą twarz, jednak tym, co najbardziej uderzało w niej Dejarra, był pusty oczodół ziejący w miejscu

Plaga

jednej z gałek ocznych. Większość istot uznawała za stosowne zasłaniać podobne defekty opaskami albo płytkami mocowanymi do skóry, ale Koax po prostu to uwydatniła, osadzając głęboko w oczodole lśniący, czerwony klejnot. Rodianin zastanawiał się, czy dzięki niemu agentka przyprawowego lorda potrafi widzieć na niezwykłych częstotliwościach albo na przykład stwierdzić, czy ktoś ją okłamuje. Taka perspektywa przyprawiła go o zimny dreszcz.

- *Waajo koosoro?* - spytała go nienagannym huttańskim Klatooinianka. - Masz go?

Dejarro skinął głową i wyciągnął przedmiot zza pazuchy: długi cylinder z wyslizganym, wygodnym uchwytem w jednej trzeciej długości. Był cięższy, niż Dejarro początkowo sądził - tym bardziej że widział, jak używano go płynnie i z gracją, niezwykle lekko, niemal bez wysiłku. Jest tak ciężki, jakby zakłęto w nim ludzką duszę, pomyślał, zdjęty nagle nabożnym lękiem.

Położył miecz świetlny na stole między nimi.

Koax spojrzała na niego zdrowym okiem, ale nie sięgnęła po broń. Czerwony kamień w oczodole zdawał się przewiercać Dejarra, który czekał na dalsze pytania albo na znak, że może odejść.

- Mieliście jakieś problemy? - spytała wreszcie Koax.

- Znaleźliśmy go na ulicy - powiedział Rodianin; w jego głosie brzmiało lekkie napięcie. - W pobliżu ciała.

- Czy ktoś widział, że go zabieracie? - Klatooinianka nie odrywała wzroku od leżącej na stole broni Jedi.

- Nie sądzę... - Urwał, kiedy Koax znienacka podniosła na niego wzrok; czerwony klejnot zalśnił przelotnie. - To znaczy, nie! - poprawił się szybko. - Nie, nikt nic nie widział. Wszystko poszło jak z płatka, i to lepiej, niż się spodziewaliśmy. Dopilnowałem dostarczenia wina i przygotowaliśmy się już, żeby wkroczyć do akcji, ale wtedy sam wszczął bójkę. Kiedy wypadł przez okno, obawialiśmy się już, że nam umknął, że użył jakiejś sztuczki Jeedai, żeby nas zwieść... że może potrafi latać... Jednak kiedy zeszliśmy na dół, okazało się, że leży tam, martwy, a to...

Plaga

leżało koło niego, tak jak leży teraz tu przed tobą.

Koax mruknęła potwierdzająco, ale zaraz spytała:

- Jacy „my”?

- Ja i inni czcigodni członkowie klanu Bomu - wyjaśnił prędko Dejarro. - Tylko zaufani członkowie rodziny. Zabralibyśmy ciało, ale wtedy wezwano już lokalne władze... dlatego wziąłem tylko miecz świetlny i przechowałem go dla ciebie. Tak jak rozkazałaś, schowałem go w bezpiecznym miejscu.

- Włączałeś go? - spytała Koax jakby nigdy nic.

- Nie, nie! - zapewnił ją prędko Dejarro. - Nie wiem, czy nadal działa... robiłem tylko to, co mi kazałaś: odurz Jeedai i zabierz mu miecz świetlny. Nawet nie pomyślałem, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie jest zepsuty...

Koax roześmiała się gardłowo i sięgnęła po miecz, a potem aktywowała ostrze. Wskoczyło niczym dżin z butelki - snop jaskrawego, białoniebieskiego światła, któremu towarzyszyło przenikliwe buczenie. W jego blasku żałobne szaty na wieszakach rzuciły wokół głębokie cienie, całkiem jakby nagle zrobiło się ich dwa razy więcej.

Koax poruszyła ostrzem w przód i w tył; przyglądając się tej scenie, Dejarro miał wrażenie, że broń opiera się jej, całkiem jakby miała własną bezwładność, dzięki której sprzeciwia się kontroli Koax, walczy z jej uściskiem na rękojęści. Klatootinianka zdawała się także to czuć, bo zmarszczyła pobrużdżone czoło, a potem wyłączyła miecz. Magazyn momentalnie ogarnął dawny półmrok, który wydał się teraz Rodianinowi jeszcze ciemniejszy niż poprzednio.

- Doskonale - podsumowała Koax i sięgnęła do pasa. Dejarro opuścił mimowolnie dłoń do własnej kabury, jednak Klatootinianka nie sięgnęła po broń, wydobyła tylko zza pasa niewielką fiolkę. Uśmiechnęła się do niego, ale nie był to przyjemny uśmiech. Na ten widok Dejarro aż się wzdrygnął i Koax w ułamku sekundy zrozumiała, jak bardzo Rodianin jej nie ufa... i jak bardzo się jej boi.

Postawiła fiolkę na stole. Nawet w przytłumionym świetle

Plaga

Dejarro dostrzegł, że jest szczelnie wypełniona fioletowymi kryształkami - o odcieniu ciemniejszym niż jakikolwiek towar, z którym miał dotychczas do czynienia.

- Czysta - poinformowała go Koax. - Nie to zasyfione gówno, które trafia na ulice. Podziel ją, rozdaj, zużyj... nie mój interes, co z nią zrobisz. Jesteśmy kwita.

Dejarro zerknął na fiolkę, po czym podniósł wzrok na Klatooiniankę, skinął głową, sięgnął po towar i schował go do kieszeni.

- Jest coś jeszcze - dodał szybko.

Brew Koax nad klejnotem powędrowała lekko do góry.

- Coś jeszcze?

- Odkąd się z nami ostatnio kontaktowałaś, minęło trochę czasu - odparł nerwowo Dejarro. - Kiedy czekaliśmy, pojawił się jeszcze jeden...

- Jeszcze jeden? - powtórzyła Koax ostrożnie, czekając na więcej szczegółów.

- Drugi Jeedai - wyjaśnił Rodianin. - Przyszedł do restauracji. Rozmawiał z personelem. Wytropił nasz magazyn.

Koax podniosła dłonie do góry.

- Nie pomyśleliście o tym, że trzeba spalić tę budę i przenieść towar, żeby tego uniknąć?

- Właśnie to robiliśmy... - zająknął się Rodianin. - To znaczy, mieliśmy taki zamiar... Ale nie przypuszczaliśmy, że ktoś może się zjawić wcześniej od ciebie.

Koax zmarszczyła brwi i wbiła spojrzenie w blat stołu.

- Opowiedz mi, co się wydarzyło.

- Osaczyliśmy go - oznajmił cicho Dejarro. - Osaczyliśmy Jeedai.

- Zabiliście go? - zapytała Koax; po jej głosie znakomicie można było poznać, co ma na myśli: jeden martwy Jedi na Makem Te mógł zostać uznany za przypadek, ale dwóch... dwóch przyciągnęłoby znacznie więcej uwagi, niż przyprawowy lord mógłby sobie życzyć.

- Straciliśmy mnóstwo ludzi - zaczął się tłumaczyć Dejarro.

Plaga

- Ten Jeedai... on miał wsparcie i... - Urwał, przyszpilony spoj-
rzeniem klejnotu w oczodole Koax.

- Pytałam, czy go zabiliście - powtórzyła z naciskiem.

- Nie. - Dejarro odwrócił wzrok. - Wywiązała się strzelanina.

Podczas walki magazyn spłonął.

- Za późno - mruknęła Koax. - Powinniście byli spalić tę
budę tego samego wieczoru, kiedy zginął pierwszy Jeedai.

Dejarro pokiwał głową.

- Nie chcieliśmy ponosić niepotrzebnych strat... Mieliśmy
tam mnóstwo towarów...

W odpowiedzi Klatooinianka zrobiła ostatnią rzecz, której
Dejarro mógłby się po niej w tej sytuacji spodziewać: roześmiała
się na całe gardło. Był to gardłowy, rubaszny śmiech kogoś, kto
właśnie ma do czynienia z galaktyczną głupotą w najczystszej
postaci.

- Zabiłeś Jeedai i jesteś zaskoczony, że inny Jeedai zjawia
się, żeby się sprawdzić, co się stało. Mało tego! Pozwalasz temu
Jeedai wpaść na swój trop i wciągnąć się w strzelaninę, w wyniku
której w magazynie wybucha pożar... a ty martwisz się o towar?
Towar!

Dejarro także pozwolił sobie na krótki, nerwowy chichot, a
kiedy spoważniał, powiedział:

- No dobrze. W takim razie chyba jesteśmy już kwita,
oprócz... - Postukał palcem schowaną w kieszeni fiolkę.

- Racja - zgodziła się Koax, także poważniejąc. - A więc
potrzebujecie...

- ...więcej przyprawy - wszedł jej w słowo. - Więcej Nawał-
nicy. Wynagrodzimy wam to. Chodzi tylko o mały zadatek...
Tylko tyle, żeby zaopatrzyć stałych klientów. Zrobiliśmy to, co
chciałaś. Skąd mogliśmy wiedzieć, że Jeedai będzie miał wspar-
cie...?

- Wątpię, żeby to się spodobało przyprawowemu lordowi.
Jak sądzisz? - zapytała go Koax.

- Jeżeli chcesz, mogę sam z nim porozmawiać - zapropono-
wał Dejarro. - Wszystko mu wyjaśnię i...

Plaga

- Przyprawowy lord ma na głowie ważniejsze rzeczy niż rozmawianie z ulicznymi dilerami - przerwała mu bezceremonialnie Koax. - Od tego ma mnie. - Spiorunowała go zdrowym okiem i na chwilę w magazynie zapanowała niezręczna cisza.

- W takim razie - podjął wreszcie zbity z tropu Dejarro - uważasz, że dałabyś radę coś z tym zrobić?

- Tak, chyba tak - odparła z namysłem Klatooinianka. - Ostrzegę przyprawowego lorda, że pojawił się drugi Jeedai i że ma współników. Postaram się też dowiedzieć, kim oni są, i poinformować cię o tym. Co ty na to?

Dejarro pokiwał głową.

- Ten Jeedai pozabijał moich braci i siostry z klanu - powiedział twardo. - Musimy ich pomścić.

- Masz to jak w banku - zapewniła go Koax. - Daję ci na to moje słowo: klan Bomu będzie miał swoją zemstę na Jeedai. Muszę cię jednak ostrzec, że skoro ten Jeedai zabił na samym wstępie tyłu twoich ziomków, to zanim się zemścicie, polegnie jeszcze wiele ofiar.

Dejarro znów pokiwał entuzjastycznie głową.

- Tak, tak, wiemy o tym. Taka jest cena zemsty. - Zaczął wstawać od stołu z zamiarem wyjścia.

- Jeszcze jedno - rzuciła Koax. Dejarro zatrzymał się w pół kroku i odwrócił głowę w jej stronę.

- Będę musiała poinformować mojego pana, że napotkaliśmy problemy, bo klan Bomu nie zdołał porządnie zatrzeć za sobą śladów - oznajmiła. - Będę też musiała go zapewnić, że podjęłam odpowiednie kroki, żeby naprawić ten błąd. - Jej dłoń powędrowała do pasa.

Dejarro zdołał wyciągnąć blaster - i gdyby Koax zamierzała sięgnąć po swój, pewnie byłby szybszy, ale zamiast tego Klatooinianka odpięła od pasa jeden ze swoich noży i lekkim ruchem nadgarstka, jakby od niechcienia, cisnęła go w jego stronę. Rzucone z odległości pięciu kroków ostrze utkwilo głęboko w szyi Dejarra. Rodianin upadł na ziemię, a z jego gardła wydobył się słaby gulgot.

Koax postanowiła wierzyć, że ten żaloszny bełkot był spóźnioną próbą przeprosin.

Agentka przyprawowego lorda przyklękła nad martwym Rodianinem i wyciągnęła z jego kieszeni fiolkę - ostatnią dawkę czystej Nawalnicy na całej Makem Te. Potem zdjęła z wieszaka jedną z żałobnych szat i przykryła nią ciało.

- Jeszcze jedna ofiara Jeedai - rzuciła na odchodnym. - Ale ja dotrzymuję słowa, więc z radością pošlę w twoje ślady tylu członków twojego klanu, ilu będzie trzeba. - Westchnęła ciężko. - Najpierw jednak - dodała - przekażę mojemu panu złe wieści. I wierz mi, Rodianinie... możesz się cieszyć, że zginąłeś z mojej ręki, a nie tego, któremu służę.

ROZDZIAŁ 2. NEGOCJACJE

Siedzieli w milczeniu przy stole - Mander Zuma, Reen Irana i Bothanin. Całej trójce udało się bezpiecznie opuścić dzielnicę, w której wybuchł pożar, a pół godziny później znaleźli niewielką swokeńską kafejkę, która ponoć specjalizowała się w kuchni międzyplanetarnej - a przynajmniej w pojęciu prowadzących ją Swokes Swokesów. Nie było tu co prawda tradycyjnego szerokiego przejścia przez środek sali, ale stoliki okazały się masywne i - jak zauważył Mander - solidnie przytwierdzone do podłogi.

Siedzieli naprzeciwko siebie, a między nimi, na środku stołu, leżała torebka z fioletowymi kryształkami. Reen Irana patrzyła na nią jak na węża - z mieszaniną fascynacji i strachu. Jej bothański przyjaciel, który od wydarzeń w magazynie nie odezwał się ani słowem, rozglądał się po wnętrzu. Wyglądał jak nie-

Plaga

cierpliwy, roztargniony szczeniak, ale Mander zauważył, że cały czas przygląda się ukradkiem wszystkim wyjściom i wejściom sali i sprawdza, czy nikt ich nie śledzi.

- A więc to... to coś zabiło mojego brata... - powiedziała w końcu cicho Pantoranka.

- Najprawdopodobniej - zgodził się Mander. - W kącikach oczu twojego brata i w jego krwi znalazłem podobne kryształki.

Reen przeczesła dłonią długie, granatowe włosy.

- Jego krwi... - powtórzyła cicho. - A co z... resztą ciała? Czy podczas oględzin odkryłeś coś jeszcze?

Mander był zaskoczony jej opanowaniem i dociekliwością.

- Nie wiem, czy naprawdę chcesz znać szczegóły... - zaczął ostrożnie.

- Chcę! - warknęła tak ostro, że kilku klientów kawiarni odwróciło głowy w ich stronę. Bothanin także na nią spojrział i zmarszczył brwi, a wtedy Reen skinęła potulnie głową i dodała znacznie ciszej: - Co jeszcze zauważyłeś?

- Purpurowe kryształki w kącikach oczu i ust - powtórzył szybko Mander. - Ciemne, nabrzmiące żyły i tętnice... i to wszystko poza obrażeniami doznanymi w wyniku upadku ze znacznej wysokości. Poza tym miał dziwnie zesztyniałe mięśnie; kiedy umierał, musiał być silnie wzburzony.

Pantoranka pochyliła głowę i opuściła ramiona.

Mander zerknął na Bothanina, który sprawiał wrażenie zatroskanego, i przeniósł wzrok z powrotem na dziewczynę.

- Spaliłem ciało - oznajmił - zgodnie ze zwyczajem naszego Zakonu. Gdybym wiedział, że tu jesteś, zaczekałbym...

Nie odpowiedziała.

Mander dotknął torebki i dodał:

- Jestem pewien, że to jakiś gatunek przyprawy. Łatwo się rozpuszcza, więc bez trudu można ją było dodać do wina, które przyniósł twojemu bratu Rodianin. Sądzę, że to właśnie w ten sposób go otruto.

Ramiona Reen Irany zdrząły, targnięte nagłym spazmem. Początkowo Mander myślał, że dziewczyna płacze, ale po chwili

Plaga

dotarło do niego, że wręcz przeciwnie: wstrząsał nią gwałtowny, gorzki śmiech.

- Otruto? - powtórzyła i wykrzywiła pogardliwie usta. - Ach, gdyby to było takie proste...

Jedi natychmiast zdał sobie sprawę, że się mylił - Reen Irana wiedziała więcej niż on. Co takiego przeoczył? Postanowił zaczekać, aż Pantoranka sama mu powie; przez jakiś czas przy ich stoliku panowała cisza.

Kiedy w końcu Reen przemówiła, z trudem panowała nad głosem:

- Czy wy, Jedi, wszyscy jesteście tacy naiwni? To nie jest trucizna... to narkotyk. Bardzo silna odmiana przyprawy. Nazywają ją Nawałnicą.

Mander spojrział na torebkę. Teraz on też patrzył na nią jak na jadowitego węża.

Reen pochyliła się w jego stronę i dodała:

- Piloci stykają się z nią na terenie wszystkich ramion galaktyki: na Perlemiańskim Szlaku Handlowym i Hydiańskiej Drodze... a nawet w Sektorze Wspólnym i w Przestrzeni Huttów. Dodaje się ją do drinków albo używa w aerozolu. To przyprawa, ale bardzo paskudna... silnie uzależniająca i niebezpieczna. Osoby uzależnione mają charakterystyczne, ciemne i nabrzmiałe naczynia krwionośne. Mają też skłonność do... - Urwała na chwilę i najwyraźniej pograżyła się na chwilę we wspomnieniach, zanim podjęła: - Mają też skłonność do wybuchów niekontrolowanego gniewu.

- Takich jak ten, w jaki Toro wpadł w restauracji? - spytał cicho Mander. - Mimo to nadal można jej użyć jako trucizny.

Reen zadrzała i pokręciła głową.

- To nie było otrucie. To było... przedawkowanie.

Mander zamrugał. Nie potrafił sobie wyobrazić Tora biorącego twarde narkotyki. Zanim jednak zdołał coś odpowiedzieć, Reen podjęła:

- Wściekłość to objaw długoterminowego uzależnienia, tak samo jak ciemnienie naczyń krwionośnych. Na ostatnich kilku

Plaga

hologramach, które od niego dostałam, był... rozgniewany, zdenerwowany. Obwinił Jedi o wysłanie go na tę zapyziałą planetę. Czuł, że jego kontakt go zwodzi. Wydawał się rozgoryczony, sfrustrowany... nie był sobą. Wtedy nie przywiązywałam do tego większej wagi, ale jakiś czas później spotkałam na Keyorinie naszego wspólnego znajomego, także Pantoranina. Powiedział, że kiedy się z nim widział, Toro sprawiał wrażenie chorego, a gdy go o to spytał, wściekł się.

- Chorego... - mruknął z namysłem Mander i zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie pytanie.

Reen odwróciła wzrok.

- Ten znajomy powiedział mi, że Toro miał nabrzmiałe żyły...

- Uważasz, że już wówczas był uzależniony? - zgadł Mander. Czuł się przytłoczony i bezsilny. Czym innym były przelotne napady gniewu u młodego, porywczego ucznia, a czym innym uzależnienie od narkotyku, o którym nikt nie wiedział.

Nie, poprawił się w myśli: o którym nie wiedział on ani Rada Jedi. Siostra Tora wiedziała - a przynajmniej go o to podejrzewała.

- Przyleciałam tu, żeby z nim porozmawiać, żeby sprawdzić, czy u niego wszystko w porządku - powiedziała i machnęła ręką w geście frustracji. - Nie byliśmy ze sobą... blisko. Opuściłam dom, zanim on został zabrany przez Jedi. Ale tak czy inaczej, był moim bratem, rodziną, więc się o niego martwiłam.

- A kiedy tu przyleciałaś, okazało się, że nie żyje... - dopowiedział Mander, mając nadzieję, że w jego głosie słyhać współczucie i żal, które czuł.

- ...i że jest tu inny Jedi, który się nim interesuje - dokończyła Reen. - Nie wiedziałam, czy mu pomagales, szukałes go, czy może... - Zawiesiła głos.

- ...czy nie uzależniłem go od Nawałnicy? - spytał cicho Mander. Reen skinęła głową; usta miała zaciśnięte w wąską linię.

- Twój brat przyleciał na Makem Te z misją zleconą przez Zakon Jedi, to prawda, jednak nie miała ona nic wspólnego z

przyprawą. W żadnej formie.

- W restauracji miał się z kimś spotkać - zauważyła cicho Pantoranka.

- Pewnie miało to być spotkanie... służbowe.

- Albo z osobą, która dostarczała mu narkotyki.

Jedi westchnął.

- Straciliśmy potencjalne dowody, które moglibyśmy znaleźć w magazynie, ale całkiem możliwe, że zdołamy wytropić kogoś z klanu Bomu. Na Makem Te nie ma zbyt wielu Rodian.

- Bomu nie są zbyt wpływowym klanem - stwierdziła Reen.

- Jego członków można spotkać na kilkunastu podobnych światach. Pracują dla każdego, kto zechce im w miarę przyzwoicie płacić. W najlepszym razie nazwałabym ich kimś tylko odrobinę lepszym niż marnego sortu szumowiny.

- Mimo to wciąż są naszą szansą na trafienie do źródła tego narkotyku, tej całej Nawałnicy - zauważył Mander.

Reen zastanawiała się nad czymś przez chwilę.

- To całkiem spory klan, pracujący dla wielu zleceniodawców w tym kwadrancie. Na różnych planetach można spotkać ich mniejsze albo większe grupki, czasem nawet poszczególne szczepy z tego samego klanu pracują dla różnych gangsterów. Jediną rzeczą, która ich łączy, jest chęć zemsty - jeśli zaszkodziś jednemu, wkrótce będziesz miał na karku cały klan.

- Będę pamiętał o dodaniu ich do listy wrogów Jedi - mruknął kwaśno Mander.

Przerwali rozmowę, kiedy przy stoliku zjawił się potężny kelner rasy Swokes Swokes z ich zamówieniami. Postawił przed nimi także trzy niewielkie metalowe kubki, wypełnione czymś, co - jak miał nadzieję Mander - było ansiońską herbatą... albo jej swokeńskim odpowiednikiem. Kiedy odszedł, Jedi zauważył, że torebka z kryształkami Nawałnicy zniknęła.

Spojrzał ostro na Reen, która patrzyła w swój kubek, jakby z jego dna mogła wyczytać swoją przyszłość, a potem na Bothanina, który odwzajemnił spojrzenie z szerokim uśmiechem i sięgnął do kieszeni kamizelki, z której wydobył zaginioną to-

rebkę.

Podał ją Manderowi, który schował ją z powrotem do kieszeni szaty.

- Fakt, nie powinniśmy zostawiać takich rzeczy na wierzchu. I dziękuję za wcześniejszą pomoc w magazynie - powiedział.

Bothanin wzniosł obie ręce do góry w geście, który mówił: „Co innego mogłem w tej sytuacji zrobić?” Reen podniosła na niego wzrok i powiedziała:

- Wybaczcie, nie przedstawiłam was sobie. Eddey Be'ray to jeden z najlepszych mechaników w tej części galaktyki. Potrafi odpalić niemal wszystko, od śmigacza po krążownik.

- Albo podnośnik - dodał Mander. - Czy on umie mówić?

- Tylko kiedy muszę - odparł sam zainteresowany głębokim, dźwięcznym głosem z nieskazitelnym akcentem z Jądra. Wbrew sobie Mander zamrugał, zdumiony. To zdecydowanie nie był głos, który spodziewałby się usłyszeć z porośniętego sierścią pyska Bothanina.

- Eddey uważa, że kiedy mało mówisz, ludzie zapominają o tobie i stają się mniej ostrożni, a wtedy wymykają im się różne rzeczy - wyjaśniła Reen. - Kiedy już zdobędziesz jego zaufanie, staje się całkiem gadatliwy.

Bothanin jeszcze raz uciekł się do mowy ciała, podnosząc wymownie ramiona, a potem poświęcił uwagę swojemu stekowi z krayta.

Mander skinął głową. Wywiadowcze zdolności Bothan były powszechnie znane i wręcz legendarne. Spojrzał znów na Reen.

- Co wiesz o Nawałnicy?

- Niewiele. - Westchnęła. - Pojawiła się niecały rok temu i szybko stała się bardzo popularna. Na początku była jak każdy inny rodzaj przyprawy, wykorzystywany do celów medycznych i rozrywkowych.

Mander skinął głową, zachęcając ją, żeby kontynuowała.

- Nawałnica to naprawdę paskudne świństwo - dodała, zniżając głos do szeptu i pochylając się w jego stronę. - Silnie i szybko uzależnia, a osoby zażywające ją przez dłuższy czas mają

Plaga

charakterystyczne symptomy. Tak jak większość przypraw, wprawia zażywającego w dobry nastrój, ale ma to swoją cenę. - Zawahała się chwilę, po czym dodała: - Muszę cię o coś spytać. Czy Jedi podczas swoich... badań... czy używacie... no, wiesz...?

Jej pytanie zaskoczyło Mandera. Zacisnął usta i powiedział tylko:

- Nie. - Nastąpiła kolejna długa chwila milczenia; aż wreszcie Jedi dodał: - Niektóre rodzaje przyprawy wzmacniają zdolności telepatyczne czy empatyczne, ale zawsze odbywa się to kosztem utraty kontroli nad sobą, więc żaden Jedi nie śmiałby korzystać z przyprawy podczas używania Mocy. - Znów zapadła cisza; teraz nawet Eddey przestał przeżuwać. Oczy Reen były lekko zamglone - patrzyła gdzieś w przestrzeń, najwyraźniej rozpamiętując jakieś dalekie wspomnienie. Jedi sądził, że wie, o czym myśli dziewczyna.

- Bardzo mi przykro z powodu twojego brata - powiedział cicho.

- Zanim jeszcze tu przyleciałam - podjęła Pantoranka - wiedziałam już, że go utraciłam. Najpierw zatracił się w swoich marzeniach... potem zabrali go Jedi... aż wreszcie na końcu zagarnęła go przyprawa.

- Misja Tora na Makem Te nie miała nic wspólnego z przyprawą - powtórzył dobitnie Mander. - Miał negocjować pewne współrzędne. Nie mam pojęcia, jak ani dlaczego uzależnił się od Nawałnicy. Mimo to naprawdę mi przykro.

Spojrzała mu w oczy.

- Wierzę ci - oświadczyła i wróciła do swojego steku, ale zaraz znów podniosła wzrok na Mandera. - Wybacz, że do ciebie strzelałam - wymamrotała.

- Nie jesteś pierwsza i pewnie nie będziesz ostatnia - pocieszył ją. Przez chwilę jedli w ciszy.

- I co teraz? - spytała jakiś czas później Pantoranka.

Mander stłumił chęć wzruszenia ramionami.

- Szczerze? Nie mam pojęcia. Przyprawa, której Toro używał, zniknęła w pożarze razem z miejscowymi dilerami.

Plaga

Chciałbym się dowiedzieć, skąd tu trafiła, ale muszę też wypełnić misję Tora, a nie wiem, czy te dwie sprawy są ze sobą związane. Sądzę jednak, że komuś może zależeć na tych współrzędnych; poza tym ktoś musiał wiedzieć o... uzależnieniu Tora i celowo dodał do wina śmiertelną dawkę narkotyku. A to oznacza, że ktoś szuka tego samego co ja, więc muszę działać szybko.

Reen przez jakiś czas wpatrywała się w swój talerz, aż nagle, całkiem jakby dopiero dotarło do niej, o czym mówił wcześniej, rzuciła:

- Mówiłeś, że miał zdobyć jakieś współrzędne. Dziwna misja jak na Jedi...

- Owszem, współrzędne Spirali Indrexu - potwierdził Mander.

Reen i Eddey jak na komendę podnieśli na niego wzrok, a Pantoranka gwizdnęła cicho.

- Spirala Indrexu? To niezły labirynt... właściwie jeden wielki, wirujący kłęb protogwiazd i ciemnej materii, tylko czyhający, żeby połknąć zbłąkane statki. Nawet piloci, którzy latali trasą na Kessel wiedzą, że lepiej się tam nie zapuszczają. Kto byłby na tyle szurnięty, żeby sporządzać mapę tego miejsca?

- Nie mam pojęcia - oznajmił Mander. - Ale wiem, kto ma te współrzędne i wiem, że Toro miał się z nim spotkać na orbicie Makem Te.

Reen przyjrzała mu się z namysłem.

- A kiedy już zdobędziesz te koordynaty... będziesz potrzebował kogoś obeznanego z gwiazdnymi podróżami na tyle, żeby ocenić ich przydatność, prawda?

- Potrafię nawigować - odparł Mander. - A po drodze na Makem Te trochę się na ten temat podszkoliłem.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie programowałeś komputera nawigacyjnego, mam rację? - Oczy Reen rozbłyły. - Chciałeś to zlecić jakiemuś droidowi, co? Wiesz, to tak naprawdę swego rodzaju sztuka. Jeśli coś popłaczesz... cóż, może się to kiepsko skończyć, to wszystko.

- Zgłaszasz się na ochotnika? - spytał Mander, a Bothanin

Plaga

wydał z siebie stłumione parsknięcie, całkiem jakby zakrztusił się kawałkiem steku.

- Na ochotnika? Nie, nie sądzę. - Reen zignorowała zachowanie kolegi. - Jeśli Toro zginął, załatwiając sprawy Jedi, to ja też mam pewien interes w dopilnowaniu doprowadzenia ich do końca. A skoro ktoś go otruł.. albo podał mu złoty strzał, żeby powstrzymać go od uzyskania tych współrzędnych, to chciałabym się z nim spotkać.

- I chciałabyś być w pobliżu, na wypadek gdyby postanowili spotkać się ze mną - dokończył Mander.

Reen wzruszyła ramionami i dziabnęła widelcem resztkę swojego steku.

- Jesteś moim najlepszym tropem.

- Masz statek? - spytał.

Reen zawahała się ze sporym kawałkiem mięsa na widelcu w pół drogi do ust, a w końcu odłożyła go na metalowy talerz. Bothanin uśmiechał się szeroko w milczeniu.

- Hm, cóż... - zaczęła ostrożnie. - I tak, i nie...

- Ile „tak”, a ile „nie”? - spytał rzeczowo Mander.

- Jest pewien statek... „Ambicja”... - Reen westchnęła. - Ale nie jest całkiem, hm, jakby to powiedzieć... na chodzie.

Bothanin wydawał z siebie dziwne prychnięcia, a Mander mógłby przysiąc, że brzmiały jak chichot.

Podniósł brwi.

- Jak bardzo nie na chodzie?

- Kompletnie nie na chodzie - odezwał się Bothanin; w jego głosie wyraźnie było słychać rozbawienie.

- Tak naprawdę... to jest w kilku częściach - wyjaśniła Reen.

- Och, właściwie kilkunastu. I to mówię tylko o tych większych - uzupełnił Eddey. - Nie licząc...

- W kilku częściach - upierała się Reen, rzucając mu zabójcze spojrzenie. - Po prostu... kilku. Na lądowisku na Keyorinie. O ile... - dopowiedziała szybko, uprzedzając Eddeya Be'raya - ...o ile nie sprzedali go jeszcze na złom, żeby opłacić miejsce.

Bothanin uśmiechnął się i skrzyżował porośnięte sierścią

Plaga

ramiona na piersi.

- Aha - mruknął Mander. - Czyli wy jesteście tu uziemieni, ale ktoś mający współrzędne Spirali Indrexu...

- ...i mogący je potwierdzić... - wtrąciła Reen.

- ...mógłby sobie na nich dorobić - dokończył Mander. - Brzmi uczciwie. Owszem, sądzę, że doświadczony pilot byłby pomocny. Jeżeli uzyskamy koordynaty i uda się je potwierdzić, podzielę się nimi z wami. Jedi nie mają zbyt wiele dobytku, więc możesz uznać to za... spadek po Torze.

- Za łatwo nam poszło - zwrócił się do Reen Bothanin. - Musi być jakiś haczyk.

- Bo jest - potwierdził Mander. - Ten haczyk to istoty, które mają współrzędne... te same, które zwodziły Tora przez kilka ostatnich tygodni.

- A więc mój brat negocjował z twardymi klientami - stwierdziła Reen. - Jak bardzo twardymi?

- Toro negocjował z Huttami.

Teraz to Bothanin nie zdołał ukryć zaskoczenia - otworzył szeroko oczy, a sierść na ciemieniu i wzdłuż kręgosłupa zjeżyła mu się zauważalnie.

- Nie mówisz chyba poważnie... - wykrztusił.

- Śmiertelnie poważnie - zapewnił go Mander. - Wiem, że Bothanie mają z Huttami na pieńku, więc jeśli zechcesz się teraz wycofać, zrozumiem.

Eddey otworzył pysk, żeby coś powiedzieć, ale Reen go uprzedziła:

- Porachunki to nie problem. Bothanie i Huttowie to naturalni współzawodnicy. Problem w tym, że Huttom nie można zaufać. Koniec, kropka.

- Jestem przekonany, że temu, z którym prowadzimy negocjacje, można zaufać.

Reen parsknęła krótkim śmiechem, a kiedy się uspokoiła, powiedziała:

- Jedyne istoty, które ufają Huttom, to te, które dla nich pracują... a nawet wtedy robią wszystko, co w ich mocy, żeby

Plaga

utrzymać ich na dystans. Każdy Hutt to gangster i złodziej. Cała ich kultura opiera się na tradycji okradania słabszych. Przeżyli zniszczenie ich ojczystej planety, Varla, a potem zaczęli kraść inne słabszym rasom. Teraz Nal Hutta to przystań kryminalistów, a jej księżyc, Nar Shaddaa, jest jak przesiąknięte zepsuciem bagno.

- Owszem - zgodził się Mander. - Ale Stara Republika w razie konieczności prowadziła z Huttami interesy, a w tym przypadku korzyści są tego warte. A poza tym, skoro żadnemu Huttowi nie można ufać, oznacza to, że w pewnym sensie można na nich polegać... to znaczy na tym, jak się zachowają.

- Są przewidywalni - poprawił go Eddey Be'ray. - A to coś zupełnie innego niż możliwość polegania na kimś.

- Przede wszystkim popełniacie błąd, w ogóle z nimi pertraktując - orzekła Reen. - Jeśli chcesz znać moje zdanie.

- A czy kiedykolwiek - spytał ją Mander - miałas z nimi do czynienia?

- O to właśnie chodzi. Miałam. Pracę dla nich najlepiej wykonują męty i cwaniaki o silnych nerwach i słabej moralności. Nie chodzi o to, czy Hutt cię oszuka, ale kiedy.

- Chcesz powiedzieć, że się wycofujesz? - spytał Mander.

Eddey znów zaczął coś mówić, ale Reen weszła mu w słowo:

- Chcę powiedzieć, że powinieneś być maksymalnie ostrożny. Oni są inni niż większość istot żywych, spotykanych na terenie Rubieży. Ich mózgi funkcjonują zupełnie inaczej. Nie mówiąc już o tym, że są odporni na te wasze... sztuczki Jedi.

- Wiem coś na ten temat - zgodził się Mander. - I wydaje mi się, że to jest właśnie jedna z przyczyn, dla której chcą w ogóle pertraktować z Zakonem: sądzą, że podczas negocjacji będziemy na straconej pozycji, i to zarówno jeśli chodzi o naszą ograniczoną możliwość wpływania na nich, jak i o tendencję Jedi do uczciwego załatwiania interesów.

- Innymi słowy, jesteście przewidywalni - podsumował Eddey, ale Reen zignorowała jego uwagę.

Plaga

- Zobaczysz, wbiją ci nóż w plecy przy pierwszej lepszej okazji, byle tylko więcej zyskać. Nie mówiąc już o tym, że Huttowie maczają ręce w handlu przyprawą - dokończyła twardo.

- Racja - przyznał Mander. - A więc pytanie, które należy w tym momencie postawić, brzmi: czy akurat ci konkretni Huttowie handlują tym konkretnym gatunkiem przyprawy?

Reen przygryzła wargę; Bothanin przyglądał się jej, podczas gdy ona rozważała w myśli odpowiedź. W końcu zapytała:

- Czy sądzisz, że to oni mogą odpowiadać za śmierć mojego brata?

Mander pokręcił głową.

- To ty to powiedziałaś, nie ja. Nie mam nawet dość informacji, żeby stawiać hipotezy. Możliwe, że na tych współrzędnych zależy też komuś innemu, i to właśnie on postanowił pozbyć się twojego brata... A może chodzi o coś innego, jakąś inną sprawę, którą on badał. Raporty składane przez Tora były krótkie, nawet lakoniczne, więc całkiem możliwe, że zaczął prowadzić śledztwo w sprawie Nawalnicy na własną rękę. Tak czy inaczej, przydałby mi się ktoś, kto zdaje sobie sprawę ze związanych z tym niebezpieczeństw, a ty sprawiasz wrażenie osoby, która wie, o co w tym wszystkim chodzi. Czy nadal chcesz w to wejść?

Reen zerknęła na Eddeya; jeśli nawet oboje się w jakiś sposób porozumieli, Mander tego nie dostrzegł, jednak po chwili dziewczyna zdecydowanie skinęła głową.

- Wchodzimy w to. Opowiedz nam o tym swoim „godnym zaufania” Huttcie, z którym wy, Jedi, musicie się układać.

- To Hutt z klanu Anjiliac - wyjaśnił Mander. - Słyszałaś kiedyś o nich? - Bothanin i Pantoranka przyglądali mu się w milczeniu, więc dodał: - Nie należą do elity... jeśli chodzi o status społeczny, są o szczebel niżej niż huttańskie szychy. Głowa ich rodu to Popara Anjiliac, i to właśnie on zaproponował nam współrzędne.

- A czy wiadomo, jak zdobył te dane? - zainteresowała się Reen.

- Nie - westchnął Mander - aczkolwiek nietrudno się tego

Plaga

domyślić. Anjiliacowie to klan specjalizujący się w handlu; z tego, co wiem, wiele sił i środków poświęcają na podbój nowych rynków i zdobywanie cennych informacji. Bardzo prawdopodobne, że ktoś zatrudniony przez nich odkrył...

- ...lub komuś ukradł... - uzupełniła Reen znacząco.

- ...lub w inny sposób wszedł w posiadanie tych kodów - dopowiedział Mander. - Sam Popara i Anjiliacowie jako tacy cieszą się dość dobrą opinią - dodał - to znaczy, dobrą, jak na Huttów. Popara ma już swoje lata, jak na tę rasę, i w ciągu swojego długiego życia zapracował na reputację, handlując różnymi towarami. Z naszych źródeł wynika, że to twardy gracz, ale stosunkowo uczciwy... i zawsze zdobywa to, na czym mu zależy. Dobrze płaci swoim ludziom i jest znany ze swojej... eee... uczciwości.

- To wśród Huttów rzadki towar - mruknął Be'ray; Reen i Mander spojrzeli na niego. - Można powiedzieć, że prawdziwy luksus. - Bothanin dokończył posiłek i dodał: - Huttowie uznają lojalność albo dobre traktowanie pracowników za luksus. To taki sam symbol statusu jak trzymanie w niewoli humanoidalnych tancerek czy kolekcjonowanie dzieł holosztuki. Jeśli ten... godny zaufania Hutt nie posiada przypadkiem własnej planety, zdolność do takich ekstrawagancji z jego strony jest z pewnością demonstracją władzy.

Mander skinął głową.

- Nie patrzyłem na to w ten sposób.

- Pamiętaj - przestrzegła go Reen - że Huttowie nie mają w swoim języku takiego wyrażenia jak „dziękuję”. Ich najbliższy odpowiednik to *Bargon u noa-a-uyat che tah guma* - to znaczy „twoje starania zostaną wynagrodzone”.

- Trochę znam huttyjski - zapewnił ją Mander. - Nauczyłem nawet co nieco twojego brata. To właśnie między innymi dlatego powierzono mu tę misję. - Wbrew sobie zmarszczył brwi na wspomnienie pomysłu wysłania Tora na tę planetę, ale szybko podjął: - Mimo to, jak już mówiłem, Popara Anjiliac cieszy się dobrą reputacją i sądzę, że możemy mu zaufać.

Plaga

Reen przyglądała się mu długą chwilę z głową przechyloną na ramię i z dziwną miną.

- Co z ciebie za Jedi? - spytała wreszcie.

Mander zamrugął nieprzytomnie, zbity z tropu.

- Co masz na myśli?

Reen zmrużyła oczy.

- Nie wiedziałeś o Nawałnicy, a mimo to negocjujesz koordynaty. I to z Huttem. Huttem, któremu chcesz zaufać...

- Twój brat też potrafił mu zaufać - przypomniał Jedi spokojnie, starając się ukryć poirytowanie.

- I jak na tym wyszedł? - odparła gorzko Reen, ale po chwili, kiedy dotarło do niej znaczenie słów, które właśnie wypowiedziała, jej twarz wykrzywił bolesny grymas i odwróciła wzrok.

Mander nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Zerknął niepewnie na Eddeya Be'raya, który skinął zachęcająco głową.

- Jedi pojawiają się tam, gdzie są potrzebni - powiedział w końcu. - Twój brat o tym wiedział, niezależnie od losu, jaki go spotkał. Nauczyłem go tego, tak samo, jak wcześniej nauczono tego mnie. Dokończę jego zadanie i jeśli zdołam tego dokonać, oddam istoty odpowiedzialne za jego śmierć w ręce sprawiedliwości. Docenię, jeśli zechcesz mi w tym pomóc. - Przeniósł wzrok na Bothanina. - Jeśli oboje zechcecie mi w tym pomóc - poprawił się.

Reen podniosła na niego wzrok i odgarnęła z czoła granatową grzywkę.

- Jeżeli chcesz przetrwać tutaj, w prawdziwym świecie, będziesz potrzebował naszej pomocy. Będziesz się musiał twardo targować z Huttami. Każdy, kto jest na tyle głupi, żeby zaufać Huttowi, potrzebuje kogoś, kto będzie go prowadził, żeby nie powinęła mu się noga. Równie dobrze możemy to być my.

Bothanin skinął głową, a Mander przytaknął.

- Świetnie. Niech będzie i tak. W takim razie witajcie na pokładzie.

Reen pochyliła się w jego stronę i dłonie na stole złączyła w

wieczyczkę.

- No to... kiedy będziemy mieli wątpliwą przyjemność spotkać się z tym twoim Huttem? - spytała konfidencjonalnie.

- Jutro - odparł Mander. - Jacht Popary ma się zjawić na orbicie dziś wieczór. Mam się spotkać z jego asystentką o świcie w hangarze Y-27. Jeśli zjawicie się o czasie, będziecie mieli szansę wyciągnąć własne wnioski.

ROZDZIAŁ 3. HUTT POPARA

- *Uba sanuba charra mon* - mruknął Hutt, przyglądając się ich trójce znad nasuniętych na nos hologogli. Pełniący wartość u jego boku zielony droid protokolarny przetłumaczył bezdusznym, neutralnym głosem: - Zapowiedziałeś, że będziesz sam.

- Czyżby Huttowie traktowali członków świty jak niezależne istoty? - odbił piłeczkę Mander z kamienną twarzą. Zapoznał się z dostępnymi informacjami na temat zwyczajów Huttów i ich społeczności, zanim jeszcze opuścił Yavina Cztery. - Czy może raczej jak przedłużenie ich własnej woli?

Krewniak Anjiliaków miał zielonkawą skórę i długie rzęsy, spod których popatrzył uważnie kolejno na Reen, Mandera i Eddeya. Mander uświadomił sobie, że muszą mieć do czynienia z samicą... a raczej z Huttem w jego żeńskiej formie. Te potężne, ślimakopodobne stworzenia mogły wielokrotnie w ciągu długiego życia zmieniać płeć i manifestować drugorzędne cechy płciowe w zależności od stadium, które akurat przybrały, więc wybór, czy zwracać się do danego osobnika z wykorzystaniem formy męskiej, czy żeńskiej, należał wyłącznie do interlokutora. Sami Huttowie zdawali się nie przywiązywać zbyt dużej wagi do płci, jaką reprezentowali w danym momencie. Tak naprawdę wiele z

Plaga

ich tytułów, takich jak na przykład *Lorda*, oznaczające mniej więcej tyle co pan/pani, miało znaczenie neutralne.

Głowa samicy była szczuplejsza i węższa niż u większości znanych Manderowi Huttów; miała bardziej kształt ostrza włóczni niż spłaszczonego trójkąta.

- Przybywasz, aby zastąpić w negocjacjach poprzedniego Jedi? - podjęła dudniącym, mlaskającym językiem Huttów, a droid protokolarny 3PO serii H natychmiast przetłumaczył jej słowa. Obojętny ton sugerował, że wcale jej nie obchodzi, czy rzeczywiście mężczyzna po to tu jest.

- Byłem jego nauczycielem - wyjaśnił Mander. - I przysłano mnie, żebym dokończył powierzone mu zadanie.

Huttanka wcisnęła kilka klawiszy na swoim datapadzie, a potem poprawiła wyposażone w wyświetlacz przezierny gogle. Przez grube soczewki jej oczy wydawały się ogromne - nawet jak na Hutta. Kiedy znów przemówiła, Mander z zaskoczeniem powitał płynący z jej ust płynny basie, chwilami urywany - sprawiający wrażenie, że posługiwanie się nim jest dla mówiącej odrazające, całkiem jakby obce słowa miały gorzki smak.

- Nazywam się Vago Gejalli i jestem... główną doradczynią, prawą ręką i przyjaciółką rodziny wielkiego Popary. Łaskawy Popara jest w tej chwili... bardzo zajęty, więc to ze mną będziecie omawiali większość interesów. Traktujcie mnie, proszę, z szacunkiem... na jaki zasługuje mądry Popara.

- Oczywiście - zapewnił ją Mander. Huttanka podpełzła w stronę promu. Kiedy Jedi odwrócił się w stronę Reen i Eddeya, zobaczył, że oboje mają niezbyt tęgie miny.

- Możecie zostać - zaproponował.

- Nie chciałabym tego stracić nawet za całą przyprawę Ryloth - mruknęła Reen.

- Pamiętaj o jednym: to ja będę mówić - przypomniał jej Mander. - Później przyjdzie czas na wymianę spostrzeżeń.

Weszli na pokład; Mander przyglądał się, jak zielony 3PO zajmuje się załadunkiem towarów: rantowia, marynowanych zogów, główek norricków i licznych beczek kashyyyckiego ale.

Plaga

Obecność tego ostatniego trunku zaciękała go w zapasach ceniących sobie wyrafinowaną kuchnię Huttów.

Pilotowany przez Niktów z gatunku Gluss'sa'Nikto prom wystartował płynnie z kosmoportu. Błdzi Niktowie rozmawiali ze sobą niskim, atonalnym językiem, jednak do Vago zwracali się w huttyjskim. Mander nie miał wątpliwości, że Huttanka mówi płynnie niktańskim i basikiem, jak również, że prędzej odgryzłaby sobie język, niż miałyby się znów odezwać w tym ostatnim. Usadowiona na ogromnym, miękkim pufie pod rufową ścianą statku, skupiła się na swoim datapadzie. Mander miał wrażenie, jakby zarówno on, jak i jego partnerzy przestali dla niej istnieć - cóż, znaczyli dla Huttanki pewnie tyle samo co przewożone na pokładzie statku beczki ale.

Przyglądał się, jak pokrywający znaczną część Makem Te Trakt - bezkresne cmentarzysko - maleje w oczach, w miarę jak oddalali się od planety.

- Doceniamy chęć łaskawego Popary do kontynuowania negocjacji w tej sprawie pomimo śmierci Tora Irany - zagadnął Vago.

- Za tę przysługę możecie być wdzięczni skutecznej i pilnej Vago - odezwała się Huttanka, nie podnosząc głowy znad swojego datapada; droid przetłumaczył jej słowa. - Znaczna część negocjacji była prowadzona za jej pośrednictwem. Poprzedni Jedi był dość bystry, a złożona przez niego oferta wydawała się uczciwa, niezależnie od tego, kogo reprezentował podczas jej przedstawiania.

Reen spojrzała bystro na Vago.

- A więc znałaś mojego... to znaczy, miałaś do czynienia osobiście z tym... poprzednim Jedi?

Vago podniosła na nią wzrok i zamrugła wielkimi, uwydatnionymi przez gogle oczami, po czym przeniosła spojrzenie na Mandera, całkiem jakby spodziewała się, że obsztorcuje nie-subordynowaną podopieczną za odzywianie się bez pozwolenia. Kiedy nie zareagował, parsknęła poirytowana i wymamrotała w huttyjskim odpowiedź, którą zielony droid natychmiast po-

słusznie przetłumaczył:

- Rozmawialiśmy z nim za pośrednictwem naszych agentów; sądzę, że w swoim czasie spotkał się z obydwoma potomkami czcigodnego Popary, nigdy jednak nie spotkał się z samym dobrym i mądrym Poparą, jeśli o to pytasz. Tak jak wspomniałam, wydawał się dość bystry. - Wróciła do studiowania informacji na swoim datapadzie; w tle Bładzi Niktowie mamrotali coś po swojemu, podczas gdy planeta w dole nikała w oczach. Eddey milczał, analizując sytuację, a Reen i Mander przyglądali się ciemniejącemu za iluminatorami niebu, na którym horyzont cmentarzyska zamieniał się w sierp świata grobowca.

Na jego krawędzi zamigotała nikała plamka, rosnąca w oczach, w miarę jak zbliżali się do niej. Wkrótce lśniąca drobinka nabrała kształtów grotu, przybierając stopniowo formę jachtu Ubrikkian. Wydłużona, smukła sylwetka statku przecinała usianą gwiazdami przestrzeń jak nóż, a jej ślad znaczyły poczwórne smugi gazów z dysz silników. Statek był wyposażony we wszelkie udogodnienia i mógł wylądować na planecie, gdyby Poparzę Anjiliacowi zamarzyło się zstąpienie z panteonu na ziemię. Był też wypolerowany na wysoki połysk.

Mander był pewien, że na dziobie jednostki ukryte są liczne baterie turbolaserów, a także, że ich jacht jest na celownikach ubrikkiana, odkąd pojawił się w jego zasięgu.

Vago zamknęła z trzaskiem swój datapad i poprawiła na nosie gogle.

- „Imru Ootmian” - powiedziała i wyjaśniła w basicu: - „Wędrujący Pozaświatowiec”. - Wywarczała w huttyjskim stosowny rozkaz i prom skierował się do hangaru jachtu. Syk uszczelnianych systemów oznajmił pomyślne dokowanie i Vago poprowadziła swoich pasażerów do windy; zielony droid krzątał się za nimi wśród Bładych Niktów, przygotowując ładunek do przeniesienia na drugi statek.

Sama winda robiła wrażenie swoim przepychem - lustrzanymi ścianami, mozaiką z kryształów na podłodze i drzwiami z piżmodrewna. Vago wydawała się zainteresowana

otoczeniem w równym stopniu co swoimi towarzyszami - to znaczy wcale. Kiedy drzwi otworzyły się z sykiem, a okrągła żrenica rozsunała, zobaczyli stojącego na zewnątrz rosnącego Wookiego; potężna istota wepchnęła się między nich, nie czekając, aż wysiądą. Reen i Mander cofnęli się, ale Eddey nie ustąpił, zagrażając mu drogę. Ich spojrzenia spotkały się i przez chwilę można było odnieść wrażenie, że Wookiee zaatakuje znacznie niższego od siebie Bothanina. Mander wyczuwał w oddechu Wookiego alkohol i domyślił się, po co wieźli ze sobą zapas kashyyyckiego ale. Wreszcie Bothanin ustąpił Wookiemu z drogi i pozwolił mu wejść do windy. Vago prześlizgnęła się obok i dała reszcie gestem znać, żeby szli za nią.

- To jeden z młodych kolegów Zonnosa - wyjaśniła zwięźle w huttyjskim. - Na pokładzie spotkacie ich jeszcze kilku.

Na końcu korytarza znajdowały się kolejne drzwi z piżmodrewna ze srebrnymi okuciami. Obok nich pełnił wartę jeszcze jeden droid typu 3PO, mocno poobijany i pokiereszowany. Manderowi przyszło na myśl, że pewnie nie usunął się w porę z drogi któremuś z Wookiech.

- Zapowiedz nas - zazała Vago w huttyjskim; droid protokolarny wyprostował się i sięgnął do panelu kontrolnego, który aktywował otwieranie wrót, a potem oznajmił metalicznym głosem:

- Jego łaskawa czcigodność, potężny, mądry i hojny pan, najwyrozumialszy i najrozwężniejszy z przywódców, Popara Anjiliac, Hutt Popara.

W pomieszczeniu panował tak łubiany przez Huttów półmrok, a powietrze przesycił zapach dymu i nadpsutego mięsa. Pokój był dość duży - dopasowany do gabarytów Huttów - i wyposażony w trzy obszerne wnęki, po jednej na każdą ze ścian. Wszystkie zdobiły bogate gobeliny i liczne puchowe poduszki. Mander zauważył przelotnie, że nisza po lewej była pusta. Prawą zajmował okazałych rozmiarów młody Hutt, zaśmiewający się z czegoś w towarzystwie trójki Wookiech. Wokół wałały się puste beczki po ale i fajki hokuum. jednak Mander nie zdołał przyjrzeć

Plaga

się dokładniej całej scenerii, bo jego uwagę zaprzętnęła postać zajmująca główną wnąkę - Hutt Popara.

Wiedział, że jeśli ufać danym z datadysków, do których miał dostęp, Popara liczył sobie jakieś dziewięćset lat z okładem - i raczej nie dożył tak sędziwego wieku, będąc osobnikiem naiwnym i dobrotliwym. Huttowie rośli przez całe swoje życie, a Popara był naprawdę olbrzymi; jego zielonkawobrazowe cielsko znaczyły liczne siwe placki i wyblakłe blizny - pamiątki po burzliwych przejściach. Jednak jego oczy były lśniące i jasne niczym poranek na Yavinie Cztery. Obok niego krzątała się trójka zielonoskórych, ubranych w zwiewne szaty Twi'lekanek, obmywających jego ciało wonnymi gąbkami. Kiedy wydał z siebie niski, zwierzęcy warkot, jedna z nich przerwała toaletę.

- *Chowbaso, Jeedai* - przemówił stary Hutt; podłoga aż zadrżała od wibrującego, głębokiego głosu.

- Mądry Popara wita was - przetłumaczyła Twi'lekanka, błyskając ostrymi zębami.

- *Dobra grandio Ma Lorda Popara Anjiliac* - odparł Mander Zuma, z trudem wymawiając kaleczące mu język zgłoski huttyjskiego. - Jestem zaszczycony, szanowny Poparo Anjiliacu.

Zwalisty Hutt mruknął coś w swoim języku i jego twi'lekańskie podwładne zachichotały. Najwyższa z nich przetłumaczyła:

- Nasz pan mówi, że masz okropny akcent. Zna twój język i domyśla się, że ty także rozumiesz jego mowę. Czy mam tłumaczyć i oszczędzić wam dalszych ewentualnych kłopotliwych sytuacji?

- Tak, proszę - odparł Mander - jeśli nie ze względu na mnie, to przynajmniej z uwagi na moich towarzyszy.

Twi'lekanka błysnęła znów ostrymi ząbkami, a Hutt uraczył ich kolejnym grzmiącym komentarzem. Służąca przetłumaczyła:

- Przemozny Popara potwierdza, że oferta, którą Zakon Jedi złożył w zamian za współrzędne Spirali Indrexu, jest godna uwagi.

Plaga

- Miło mi to słyszeć i doceniam chęć Popary do ujawnienia koordynatów. - Mander skinął głową.

Hutt wydał z siebie serię mrukliwych dźwięków, które Twi'lekanka przełożyła dla nich na basie:

- Wiedza jest jak woda; nawet jeśli zostanie ujarzmiona, trudno ją utrzymać w ryzach. Czcigodny Popara raczy jednak twierdzić, że skoro jednym z twoich podwładnych jest Bothanin, taka wiedza nie zostanie zapewne utrzymana zbyt długo. - Spojrzała ostro na Eddeya, który podniósł znów ręce w bezradnym geście, jakby pytając: „Kto, niby ja?”, tak dobrze znanym już Manderowi.

Jedi zaczął tłumaczyć, że wzmiankowane współrzędne przyniosą wiele dobrego licznym istotom, ale wiekowy Hutt zagłuszył jego słowa serią donośnych beknień.

Roztropny Popara chciałby jednak rozszerzyć nieco zakres umowy, którą zawarliście - wyjaśniła Twi'lekanka. - Potężny Popara pragnie, abyście wyświadczyli jego rodzinie pewną przysługę.

- Ta-a, kto by się tego spodziewał? - mruknęła pod nosem Reen, ale Mander zignorował jej uwagę.

- Kontynuuj, proszę - polecił Twi'lekance.

Hutt wydał z trzewi serię dźwięków brzmiących jak odgłosy wystrzeliwanych z głębi gorącego źródła strumieni ciepłego błota, a Twi'lekanka zmarszczyła czoło, starając się zapamiętać wszystkie informacje.

- Troskliwy Popara dowiedział się, że planetę Endregaad, leżącą na odległym krańcu Spirali Indrexu, opanowała zaraza. Świat ten znajduje się blisko rejonu podlegającego jurysdykcji Władz Sektora Wspólnego, więc WSW nałożyło na niego kwarantannę i wstrzymało ruch planetarny. Trudna sytuacja Endregadczyków poruszyła serce łaskawego Popary, który postanowił podarować im prezent w postaci ładunku przyprawy medycznej. WSW najwyraźniej nie chce mieć do czynienia Huttami, a Popara martwi się, że ten brak zainteresowania zaowocuje zwiększeniem cierpienia mieszkańców planety. Otrzymacie więc statek z

Plaga

ładunkiem przyprawy i koordynatami wpisanymi już do komputera pokładowego.

Na wzmiankę o przyprawie Mander zerknął ukradkiem na Reen, która otworzyła szerzej oczy. Zaczęła coś mówić, ale przerwał jej powrót Wookiego - potężna istota wysiadła z windy z beczką pod każdym silnym ramieniem i wydała z siebie zachęcający okrzyk. Inni Wookie w niszy mniejszego z Huttów odpowiedzieli mu rozochoconym wyciem, a Mander skorzystał z zamieszania, żeby położyć Reen dłoń na ramieniu i pokręcić głową. Gest mówił: może i Vago przymyka oko na zbytne wścibstwo, ale mało prawdopodobne, żeby Popara, pomimo swojej zadeklarowanej łaskawości, tolerował podobne zachowanie.

Starszy Hutt wypluł serię obraźliwie brzmiących słów pod adresem młodszego Hutta i towarzyszących mu Wookiech - i chociaż żadna z Twi'lekanek nie pofatygowała się z tłumaczeniem, nawet gdyby Mander nie znał huttyjskiego, domyśliłby się, że słyszy tyradę rodzica karcącego rozbrykane dziecko. Młodszy Hutt sprawiał wrażenie urażonego, a Wookie zaczęli między sobą pomrukiwać ściszonymi głosami - szczególnie ten, który spotkał ich wcześniej w windzie i pokazywał teraz palcem Eddeya swoim kolegom.

Mander zwrócił się do Twi'lekanki:

- W imieniu Jedi i wszystkich wrażliwych i współczujących istot tej galaktyki dziękuję Poparzę za jego hojność, ale jednocześnie chciałbym poznać powody jego zainteresowania planetą i spytać, czy nie powinniśmy dowiedzieć się o czymś jeszcze.

Twi'lekanka zachnęła się, urazona, ale stary Hutt westchnął tylko głęboko i powiedział do niej coś swoim dudniącym głosem; tłumaczka przekazała jego słowa Manderowi:

- Wielki Popara doczekał chwili, w której dorosły wiek osiągnęło dwoje jego potomków. Ten tutaj, Zonnos, to starszy z nich. - Skinęła ledwie zauważalnie w stronę mniejszego Hutta i jego kompanów Wookiech. - Jego młodsze dziecko ma na imię Mika. Mika Anjiliac przebywał na Endregaadzie, kiedy wybuchła

Plaga

epidemia i WSW nałożyło na świat kwarantannę. Od tego czasu nie mieliśmy od niego żadnych wieści i Popara jako troskliwy rodzic martwi się o niego. Jego latorośl bywa... impulsywna.

Mander skinął głową i powiedział:

- Rozumiem tę troskę o młode pokolenie. Z radością przekazemy pomoc medyczną i postaramy się ustalić, co się dzieje z twoim synem.

- I zatrzymamy statek - wypaliła Reen.

Mander posłał jej zaskoczone, karcące spojrzenie, ale stary Hutt zarechotał tylko gardłowo.

- Oczywiście - potwierdził za pośrednictwem twi'lekańskiej tłumaczki. - Kiedy łaskawy Popara rozszerzył zakres umowy, miał na myśli zarówno ryzyko, jak i nagrodę. Statek będzie bardziej niż godziwą zapłatą za tę przysługę.

Hutt Popara pochylał się w ich stronę na poduszkach; jego wielkie cielsko przelewało się poza podium, a on sam górował nad Manderem i resztą niczym lawina żywego mięsa. Jego spojrzenie złagodniało i przez chwilę sprawiał wrażenie bardzo, bardzo starego i samotnego. Odezwał się cicho w basicu:

- Przyprawdźcie mi z powrotem mojego syna. - A potem znów opadł na poduszki i łagodność zniknęła, jakby nigdy jej nie było. Nie był już zatroskanym ojcem, a jedynie biznesistą, Huttem załatwiającym interesy. Dwie z Twi'lekanek wciąż nacierały go pachnidłami, a trzecia spytała:

- Czy umowa w tej formie wam odpowiada?

- Zrobimy, co w naszej mocy - obiecał Mander.

- Vago Gejalli zatroszczy się o wszystko - dodała Twi'lekanka, a potężny Hutt zmrużył oczy w szparki, dając im znak, że audiencja dobiegła końca.

- *Bargon u noa-a-uyat* - mruknął w charakterze błogosławieństwa: - Zostaniecie wynagrodzeni.

- Twoja wdzięczność, współrzędne i statek to więcej niż sowita zapłata - podziękował mu Mander, a potem odwrócił się i poprowadził swoich przyjaciół w stronę drzwi z piżmodrewna.

W korytarzu dołączył do nich H-3PO i poprowadził całą

Plaga

trójkę do sali konferencyjnej. Reen pochyliła się w stronę Manderera i powiedziała:

- Mówiłam ci, że z Huttami trzeba grać twardo.

- A ja cię prosiłem - odparł ze złością Mander - żebyś się nie odzywała.

Sala konferencyjna była nieco lepiej oświetlona niż kwatery Huttów, ale nie ustępowała jej przepychem. Jedną jej ścianę zajmowały podia przeznaczone dla tych potężnych istot, a drugą - stoły i krzesła ustawione z myślą o przedstawicielach ras humanoidalnych. We wnękach wzdłuż kolejnej ściany ustawiono kosztowne posągi. Reen przyjrzała się jednemu z nich, wykonanemu z minerału w kolorze różowym, a przedstawiającemu postać Hutta, wyłaniającego się w niestosownie natchnionej pozie z sadzawki. Wyciągnęła palec, żeby pogłodzić delikatnie rzeźbioną piankę, ale w tej samej chwili zza ich pleców rozległ się głos Vago; poobijany, zielony H-3PO, snujący się za nią niczym cień, przetłumaczył:

- Ten posązek czcigodny Popara otrzymał z okazji narodzin swojego młodszego dziecka, Miki. Jest wyrzeźbiony z bryły emradytu. Tego typu rzeźby są zazwyczaj chronione zjadliwymi truciznami kontaktowymi, ale ta została odkazona.

Pomimo jego zapewnienia Reen cofnęła szybko rękę.

Vago zignorowała ją; podeszła do stołu i aktywowała jakiś przycisk. Nad blatem pojawił się hologram statku o kształcie stępionego grotu.

- Ten statek czeka na platformie lądowniczej X-13 na Makem Te - poinformowała ich za pośrednictwem droida. - W tej chwili trwa jego załadunek.

Reen zapomniała już całkiem o posązku i skupiła całą uwagę na statku.

- To frachtowiec Suwantek TL-1200 - oceniła. - Bardzo solidny model, niezawodny; łatwo się go modyfikuje i usprawnia. Można nim latać w pojedynkę, ale lepiej się sprawdza obsadzony załogą. Dwie poczwórne wieżyczki laserowe. Nie widzę żadnych modyfikacji... Trochę pokiereszowany, ale wygląda przyzwoicie. -

Skinęła z aprobatą głową.

- Przynajmniej jest w lepszym stanie niż nasza ostatnia łajba - wymamrotał Eddey, wywołując w powietrzu bardziej szczegółowy schemat statku.

Vago zignorowała ich i podała Manderowi datapad. Droid przetłumaczył jej słowa:

- Przyprawa zostanie umieszczona w ładowni na rufie. Nie mamy szczegółowych informacji na temat zarazy, ale ten gatunek ma rozległe działanie przeciwwzpalne i kojące.

Reen podniosła gwałtownie głowę znad planu systemów statku. Mander zauważył, jak jej szczęki zadrgały, zanim zapytała:

- Czy Wszechmądry Popara handluje przyprawą na dużą skalę?

Vago rzuciła Pantorance obojętne spojrzenie znad swoich gogli i wzruszyła ramionami. Droid natychmiast przetłumaczył jej słowa:

- W pewnym stopniu... Głównie jej leczniczymi odmianami. To nie pierwszy raz wielki Popara przekazuje przyprawę, żeby zażegnać kryzys. Kiedy pragnie spekulować na rynku, obraca też błyszczostymem.

- I... to tyle? Nic... twardszego? - spytała Reen. Starła się, żeby zabrzmiało to swobodnie, ale Mander widział w jej twarzy napięcie, a w oczach - cień dezaprobaty.

Vago zmrużyła oczy, a droid wahał się chwilę, zanim przetłumaczył jej komentarz:

- Nie. Łaskawy Popara nie handluje twardszymi gatunkami przyprawy ani niewolnikami. Rozumie aż za dobrze, że w galaktyce i tak jest już dość cierpienia, a także dość okazji, które mogą mu przynieść korzyści, bez przyczyniania się do zmarnowania życia innym istotom.

- Mimo to - wtrącił Mander - sądzę, że powinniśmy sprawdzić nasz towar, zanim wyruszymy na Endregaad. Znaleźlibyśmy się w niezręcznej sytuacji, gdyby odkryto u nas kontrabandę. WSW jest bardzo wyczulone na przemyt przyprawy.

Plaga

Vago parsknęła pod nosem.

- Rozumiem - wyjaśnił droid, wziął od Jedi datapad i podał go Huttance, która wcisnęła kilka klawiszy i oddała go mu z powrotem. - Macie teraz dostęp do ładunku i możecie sprawdzić, czy zawiera to, co powinien.

- Przykro mi, jeśli zabrzmiało to, jakbym wam nie ufał - przeprosił ją Mander.

Vago popatrzyła na niego beznamiętnie; z jej twarzy nie można było wyczytać więcej niż z metalowego oblicza droida tłumacza.

- Nic podobnego. Huttowie mają... powiedzmy, że są znani z podobnych dokonań. Sporo osób wychodzi z założenia, że wszyscy Huttowie to kryminaliści, tak samo jak uznaje każdego Bothanina za szpiega. - Wbrew sobie Mander rzucił szybkie spojrzenie na Eddeya, który sprawiał wrażenie bez reszty pochłoniętego studiowaniem schematów statku. Reen stała obok niego, z równym skupieniem przyglądając się planom. - Roztropny Popara nie jest głupcem - ciągnęła Vago za pośrednictwem droida. - Wyszedł cało z wojen klanowych i przeżył wielokrotne próby zabójstwa. Swoją obecną silną pozycję zawdzięcza uczciwości. To właśnie jeden z powodów, dla których postanowił pertraktować z Jedi. Wasz Zakon nie wyciąga wniosków tak pochopnie jak inni.

- Staramy się być otwarci - przyznał Mander.

Vago parsknęła i przemówiła w huttyjskim, podnosząc rękę i wydając droidowi polecenie, żeby nie tłumaczył.

- Szkoda, że WSW nie bierze z was przykładu - stwierdziła. - Nie chcą z nami rozmawiać. Zonnos podjął próbę negocjacji i nic nie wskórał. Tymczasem Popara martwi się zaginięciem syna. Interesy na tym cierpią... a to z kolei spędza mi sen z powiek.

- Hm... - mruknął Mander w basicu. - A czy ty nie martwisz się losem Miki?

- Martwię się Poparą i jego rodem - odparła wymijająco Vago, ostrożnie dobierając słowa. Mander miał wrażenie, że Huttanka chciała, żeby ją zrozumiał bez konieczności uciekania

Plaga

się do usług tłumacza. - Łaskawy Popara ceni lojalność i ma nadzieję, że owa lojalność stanie się darem dla jego dzieci. Zonnos jest nieco... bardziej typowym przedstawicielem naszej rasy, ale Mika... Mika ma potencjał. Sądzę, że to właśnie dlatego Popara się... martwi.

- Nie pochodzisz z klanu Anjiliac, prawda? - spytał Mander. Zerknął na swoich towarzyszy, ale ci wciąż byli bez reszty skupieni na planach statku. Zastanowił się przelotnie, czy Bothanin zna huttyjski.

- Nie, pochodzę z rodziny Gejalli - potwierdziła Vago.

- Nie znam jej. - Mander zmarszczył czoło.

- Pewnie dlatego, że jestem jedyną jej przedstawicielką - wyjaśniła beznamiętnie Vago. - Tak jak już wspomniałam, Popara przetrwał wiele klanowych wojen. Klan Gejalli znalazł się pośród tych, które mylnie wzięły jego otwartość za słabość i próbowały zgładzić Anjiliaców. Tylko ja przeżyłam.

Mander podniósł brew.

- A mimo to pracujesz dla niego...?

Vago westchnęła głęboko; na moment opadła sztywna maska formalizmu, za którą tak skrzętnie ukrywała się od początku ich rozmowy.

- Byłam wówczas zaledwie dzieckiem. Zgodnie z tradycją, Popara miał wszelkie prawo zakończyć mój żywot, a jednak przygarnął mnie i wyszkolił jak jednego ze swoich. Jestem mu za to wdzięczna i pragnę, żeby jego własne dziecko wróciło na łono rodziny. Trudno to wytłumaczyć komuś spoza naszej rasy...

- My, ludzie, rozumiemy więcej, niż ci się zdaje - zapewnił ją Mander. - Odpowiedz mi, proszę, na jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Co Mika porabiał na Endregaadzie?

Kątem oka zauważył, że Bothanin ledwie zauważalnie podniósł głowę. Nie miał teraz wątpliwości, że Eddey ukradkiem przysłuchuje się ich rozmowie.

Vago zamarła i opuściła rękę, dając droidowi polecenie podjęcia tłumaczenia; znów była sztywna i oficjalna jak wcześniej.

Plaga

- Interesy rodzinne. Jedną z wielu naszych spółek jest Skydove Freight, a ich siedziba mieści się w Tel Bollin, głównej kolonii planety. Mika został wysłany z misją prowadzenia negocjacji z wydobywcami geod. To nie było zbyt trudne zadanie, ale Popara życzył sobie, żeby jego dzieci wdrażały się w prowadzenie interesów. Nikt się nie spodziewał, że planetę opanuje zaraza... ani kwarantanny.

- A czy drugi syn Popary, Zonnos, również wypełnia podobne zadania? - zaciekawiał się Mander.

- Czasami - potwierdziła Vago za pośrednictwem droida, a potem pozwoliła sobie na krótkie, rozbawione parsknięcie. - Jeśli nie są zbyt skomplikowane.

- Czy WSW będzie się nas spodziewać?

- Nie. Zaproponowaliśmy im naszą pomoc, ale ją odrzucili - wyjaśniła Vago. - A w każdym razie nie będą się jej spodziewali w najbliższym czasie, jako że zwykle statki muszą teraz okrążyć Spiralę. Z tego, co wiem, będą mieli na orbicie co najmniej jeden statek, a znając WSW, będzie to pewnie stara balia o ograniczonej manewrowości, chociaż uzbrojona w wystarczającym stopniu, żeby wszcząć małą wojnę.

- Tego po Władzach Sektora Wspólnego można się spodziewać - mruknął Mander.

- Dzięki współrzednym powinniście trafić na skraj układu - dodała Vago. - Przewidująca Vago zaleca wam obejście blokady - przetłumaczył H-3PO. - Skorzystajcie z zapasów przyprawy, żeby przekupić służby planetarne. Jeśli będzie trzeba, przekazcie później resztę WSW w ramach przeprosin. Zaraza ma naprawdę wtórne znaczenie w porównaniu z bezpieczeństwem potomka rodu Anjiliaców.

Mander skinął głową. Popara najwyraźniej lubił być określany mianem mądrego, łaskawego i dobrotliwego, ale los planety nie liczył się dla niego, jeśli na drugiej szali ważyły się losy Miki.

- Klan Anjiliaców liczy na waszą dyskrecję - dodała za pośrednictwem droida Vago. - Poza tym, oczywiście, trzeba będzie was zaszczepić. Vago wezwie droida medycznego. Gdybyście

Plaga

potrzebowali czegoś jeszcze, będę do waszych usług. - Nie czekając, aż droid skończy tłumaczyć, opuściła salę.

- Czy mamy dość informacji? - spytał Mander. Reen nadal nie spuszczała wzroku z hologramu z danymi statku. Kiedy Bothanin spojrział na Jedi, zauważył, że Mander wskazuje ściany, a potem droida. Skinął głową. Obydwaj zakładali, że w komnacie są urządzenia podsłuchowe, a robot... cóż, roboty miały wielkie audioreceptory.

- Jeszcze chwilę, Jedi - odezwał się H-3PO. - Jest jeszcze ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać.

- Vago pewnie wkrótce wróci, ale sądzę, że mamy dość czasu - odezwał się Mander do Reen i Eddeya.

- Obawiam się, że chodzi tylko o ciebie - stwierdził droid, popatrując na Bothanina. - To ma być rozmowa w cztery oczy. Zajmie tylko chwilę.

Mander zerknął na Eddeya, który wzruszył ramionami, więc zostawił jego i Reen ślęczących nad listem przewozowym i ruszył korytarzem za droidem.

W ciemnej komnacie było ciepło, ale cuchnęło gorzej niż w sali Huttów. Gdy tylko weszli do środka, dwóch Wookiech stało przy drzwiach, blokując wyjście. Dwóch kolejnych pełniło wartę przy starszym synu Popary, Zonnosie, rozpartym na repulsorowej kanapie.

Mander poczuł, że jeżą mu się włosy na karku - czuł niepokój, inaczej niż w obecności starszego Hutta. Jego syn był w lepszej formie i pomimo mniejszych gabarytów wydawał się bardziej złośliwy niż rodzic. Jego ciało miało niebieskawy odcień i nawet w przytłumionym świetle Mander dostrzegł, że młodszy Hutt ma zaczerwienione i wilgotne oczy - najwyraźniej z powodu nadużywania hokuum.

- Potężny Zonnos, niech jego układ trawienny nigdy nie szwankuje - przedstawił Hutta droid, a Wookie przy drzwiach zarechotali, rozbawieni.

Mander nie skomentował, a Zonnos, najwyraźniej lekko zawiany, wybełkotał coś, co trudno było zrozumieć. Droid po-

Plaga

spieszył mu z pomocą:

- Dobrotliwy Zonnos pragnie życzyć ci powodzenia w wypełnianiu zadania i zapewnić, że nie żywi urazy z powodu zlecenia misji pomocy jego rodzinie pozaświatowcowi. Sytuacja jest niebezpieczna i Zonnos potwierdza, że masz pełne poparcie jego klanu.

- Doceniam troskę dobrotliwego Zonnosa, jak również całego klanu Anjiliac - zapewnił go Mander.

Z gardła Hutta wydobył się kolejny gulgot, ale tym razem droid zawahał się na chwilę. Wtedy jeden z towarzyszy Zonnosa trzasnął go w metalową potylicę i tłumacz wykrztusił pospiesznie:

- Potężny Zonnos pragnie cię zapewnić, że jeśli nawet nie uda ci się odnaleźć jego brata... albo, Ardosie broń, zjawić się zbyt późno, żebyś mógł go ocalić, klan Anjiliaców nadal będzie ci przychylny.

Zonnos odczekał, aż robot skończy tłumaczyć, po czym leniwie mrugnął do Mandera i roześmiał się gromko. Jedi wstrzymał na chwilę oddech, ale zaraz jeden z Wookiech chwycił go za ramiona i zmusił do opuszczenia komnaty w towarzystwie droida.

- Poszło lepiej niż zwykle - stwierdził robot, sięgając do miejsca na głowie, w które oberwał od Wookiego. - Wróćmy lepiej do reszty.

Kiedy znaleźli się z powrotem w sali spotkań, zastali Reen i Eddeya rozcierających ramiona po ukłuciach zastrzyków, zaaplikowanych im paskudnie wyglądającą igłą przez kulistego droida medycznego. Była z nimi Vago.

- Gdzie się podziewałeś? - spytała w huttyjskim.

- Zonnos poprosił mnie o rozmowę - wyjaśnił Mander, nie czekając na tłumaczenie. Już wcześniej uznał, że najlepszą taktyką podczas kontaktów z Vago będzie szczerłość. Tak czy inaczej, Huttanka z pewnością przepytalaby później robota.

Vago odchrząknęła i rzuciła w swoim ojczystym języku:

- W takim razie chyba powinnam zalecić podwojenie dawki

Plaga

szczepionki - zazartowała niewesoło. - Kontakty z Zonnosem bywają czasami... groźne w skutkach. W waszym komputerze pokładowym znajdziecie informacje na temat Endregaada, zarazy i tego, czego dowiedzieliśmy się o blokadzie związanej z kwarantanną.

Mander skupiał całą swoją uwagę na Vago, więc nawet nie zauważył kulistego droida, który podleciał do niego szybko i zaaplikował mu szczepionkę.

- Szczepienie nie powinno spowodować żadnych skutków ubocznych - zapewniła go Huttanka, po czym przeniosła wzrok na Bothanina i dodała: - Gdyby wystąpiły jakieś niepokojące objawy, natychmiast się z nami skontaktujcie. Jednostka Threepio odprowadzi was do kosmoportu.

Kiedy wyszła z lewitującym za nią droidem medycznym, Eddey warknął coś gardłowo.

- O co chodziło? - spytała Reen.

- Porozmawiamy o tym później - zarządził Mander. - Gotowi?

- Mam statek, mam ładunek... i mnóstwo pytań wymagających odpowiedzi - odrzekła Reen. - Bardziej gotowa chyba nie mogłabym być. Mam już nawet nazwę dla naszego statku!

- Och, czyżby? Jaka?

- Nazwę go „Nowa Ambicja” - odparła z szerokim uśmiechem.

- Nie należy zwracać uwagi na fakt - wtrącił Eddey - że stara „Ambicja” to obecnie sterta złomu. Inaczej nazwa nie wróżyłaby nam zbyt dobrze.

- Nazwisko tego, którego ścigasz, brzmi Mander Zuma - zwróciła się Koax do wiszącego przed nią w powietrzu widmowego hologramu. - To Jeedai w średnim wieku i o równie średnich umiejętnościach. W przeciwieństwie do swoich ziomków, nie wydaje się potwierdzać legend o potędze i odwadze, którymi owiany jest ich Zakon. W skrócie można o nim powiedzieć, że jest bardzo nijaki. A na pewno nie da się go uznać za wielkie wy-

zwanie dla kogoś takiego jak ty.

Klatooinianka stała przez wiszącym w powietrzu hologramem Hedu, matriarchini klanu Bomu. Rodianka była chuda i zasuszona, a wrażenie ulotności i kruchości pogłębiały jeszcze szумы i zakłócenia holoprojektji. Za jej plecami dało się dostrzec przemykające ukradkiem na obrzeżach wizji cienie krewnych, pełniących tradycyjnie u Rodian funkcje ochroniarzy.

Matriarchini wydała z siebie przeciągłe, rżące westchnienie. Koax pomyślała, że płuca istoty są bardziej pojemne, niż wskazywałyby na to jej gabaryty. Kiedy Hedu skończyła sapać, zapytała:

- Jesteś pewna, że to on? Ten, który zabił dzieci mojego klanu na Makem Te?

- Mam na to dowody - odparła stanowczo Koax. - Nie kłopotał się zbyt ukrywaniem swojej tożsamości, zgodnie ze zwyczajem kapłanów Jeedai. Wszystko wskazuje na to, że był nauczycielem innego Jeedai - tego, którego otrułaś.

- Na twój rozkaz - zaznaczyła Hedu.

- Na rozkaz przyprawowego lorda - poprawiła ją Koax, zasłaniając się autorytetem przełożonego niczym tarczą.

Rodianka wydała z siebie gulgoczące parsknięcie, które, jak Koax przypuszczała, było śmiechem.

- Może Jeedai poluje, żeby się zemścić?

Koax rozważyła jej słowa, bardzo typowe dla toku myślenia Rodian: wszystko polegało u nich na ciągłym obmyślaniu zemsty - i to zarówno za czyny prawdziwe, jak i te wymagowane. Pomyślała, że w tej sytuacji miało to swoje zalety.

- Możliwe - przyznała. - A w każdym razie na pewno zemsty chce jedna z towarzyszących mu osób.

- Wiesz, z kim współpracuje? - spytała podniecona Rodianka; antenki zadrgały jej spazmatycznie.

- To pantorańska pilotka, Reen Irana - wyjaśniła Koax. - Siostra Jeedai, którego zabiłaś... zabiliśmy.

Matriarchini wydała z siebie długi, gniewny syk; Koax zastanowiła się przelotnie, czy Rodianka nie folguje sobie przy-

Plaga

padkiem, korzystając z własnych, prywatnych zapasów przyprawy.

- Tak, to by miało sens - przyznała starucha. - Jeedai szuka zemsty i brata się z innymi, którzy mają podobne zamiary!

Koax wiedziała, że to mało prawdopodobne, ale nie wyprowadziła Rodianki z błędu.

- Jest z nimi jeszcze Bothanin - dodała. - To właśnie oni zabili dzieci twojego klanu i spalili wasze magazyny.

- Bothanin - powtórzyła Rodianka i dodała kilka paskudnych przekleństw pod jego adresem. - Zawsze można liczyć, że tam, gdzie pojawiają się kłopoty, będzie się też kręcił któryś z tych sierściuchów. Gdzie są teraz?

- Obecnie goszczą u głowy klanu Anjiliaków, na pokładzie ich jachtu na orbicie Makem Te - wyjaśniła Koax.

Matriarchini skubnęła kępkę długich włosów porastających jej podbródek.

- Prom z odpowiednią dawką ładunków wybuchowych, wysłany w odpowiedniej chwili, dałby radę zrobić porządek z każdym jachtem...

- Nie - zaprotestowała Koax. - To nie wystarczy.

Holograficzna matriarchini posłała jej wściekłe spojrzenie.

- Ten Jeedai pozabijał dzieci mojego klanu! - warknęła. - Nic nie może stanąć na drodze zemsty!

- Są na statku Huttów - przypomniała jej spokojnie Koax. - Uważasz, że ochrona mojego pana obejmuje bronienie cię przed Huttami? I tak mamy już dość problemów z Zakonem Jedi. Nie chciałabym, żeby huttański kupiec zaczął się wtrącać w nasze sprawy.

Stara Rodianka odchyliła się do tyłu, posyjąc z niezadowolaniem, a potem prawie zupełnie zniknęła z zasięgu holokamery. Koax zastanowiła się, czy to odmowa przyzwolenia na wysadzenie statku w powietrze sprawiła, że stara jaszczurzyca dostała apopleksji, jednak za chwilę Rodianka wróciła na wizję. Tym razem ważyła słowa ostrożnie, całkiem jakby były okruciami cennej Nawałnicy.

Plaga

- Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? - spytała.

- Chcę twojej obietnicy, że nie będziecie działali na szkodę Huttów - zażądała Koax.

- Ale tylko tak długo, jak długo będziemy mieli szansę pokonać Jeedai i jego sojuszników - odparła matriarchini.

- W porządku - zgodziła się Klatooinianka. Jej długie palce zatańczyły nad klawiaturą holowyświetlacza. - Kierują się do układu Endregaad na pokładzie frachtowca Suwanteka. Przekażę ci współrzędne miejsca, w którym powinni wyskoczyć z nadprzestrzeni.

Na widok danych oczy matriarchini Hedu rozbłysły wewnętrznym blaskiem; Koax zgadła, że starucha też kiedyś sama latała, i zapisała to sobie skrzątnie w pamięci. Przypuszczała, że nawet teraz potrafiłaby pilotować lepiej niż większość członków jej klanu.

- Znam te koordynaty - wycedziła. - Kim jest ten Jeedai, że kroczy tak sekretnymi ścieżkami?

- Wybrańcem konsorcjum Huttów - wyjaśniła Koax. - I to właśnie chociażby z tego powodu, jeśli nie z innych, powinniście działać ostrożnie. Przechwyćcie statek po drodze do punktu docelowego i nie róbcie niczego, co mogłoby zadziałać na szkodę Huttów.

Hedu zaniósł się znów charczącym śmiechem.

- Bo nasz przyprawowy lord nie chce się z nimi dzielić, jak sądzę?

- Możesz sobie sądzić, co ci się żywnie podoba - odparła Koax, maskując kłamstwo skąnym uśmiechem.

Ktoś stojący po prawej stronie staruchy podał jej datapad.

- Endregaad - cmoknęła Rodianka, studiując informacje wyświetlane na ekranie. - Wszędzie trupy. Kwarantanna. Wstrzymany ruch. Kiepskie interesy.

- To tylko dodatkowe powody, dla których powinniście przechwycić ich statek wcześniej i nie zostawić po nim dla władz sektora żadnych rozpoznawalnych szczątków. - Koax łypnęła na matriarchinię zdrowym okiem. - Rozumiemy się?

Plaga

Hedu z klanu Bomu podwinęła zakończony trąbką ryjek, próbując możliwie jak najdłużej grać na zwłokę. Wreszcie się odezwała:

- Rozumiemy się. Wysłę na miejsce moich ludzi jeszcze dziś. Nikt nie przeżyje.

- Świetnie - pochwaliła ją Koax i sięgnęła do wyłącznika, żeby przerwać połączenie, jednak zanim się rozłączyła, Hedu dodała szybko:

- Mam jeszcze jedno, ostatnie pytanie.

- Tak? - warknęła Koax; jej cierpliwość była na wyczerpaniu. Zawsze musiało być jakieś ostatnie pytanie, ostatnia odrobina informacji, która nastęrczała nowych problemów. Przypomniał jej się świętej pamięci Dejarro, za którego śmierć oficjalnie winni byli teraz Jeedai, i stwierdziła, że skłonność do zadawania o jedno pytanie za dużo była chyba dziedziczną cechą wszystkich członków klanu Bomu.

Matriarchini jednak uśmiechnęła się tylko chytrze.

- Jak zdobyłaś wszystkie te informacje? - spytała. - Imiona, nazwy statków, współrzędne... Żeby się tego wszystkiego dowiedzieć, musiałaś mieć jakąś wtyczkę wśród ich opiekunów Huttów...

- Przyprawowy lord jest potężny - powiedziała tylko Koax. - Jego władza sięga daleko, a sojusznicy są silni. Pamiętaj o tym, jeśli przyjdzie ci do głowy wyjść poza zakres swoich kompetencji. - Po tych słowach zakończyła połączenie i obrzydliwa, chuda Rodianka zniknęła jej wreszcie z oczu.

Koax westchnęła głęboko. Gdyby tylko pozostałe z jej problemów tak łatwo zniknęły... Nawałnica zawładnęła już mniej więcej pięćdziesięcioma światami i chociaż przyprawowy lord był w stanie zaspokoić popyt na taką skalę, wciąż istniały drobiazgi, którymi należało się zajmować na bieżąco - lokalne władze, rywalizujące ze sobą gangi, wścibscy natręci, próbujący stworzyć własne albo ukraść cudze zapasy narkotyku... Pięćdziesiąt planet, pięćdziesiąt różnych spraw, zbyt błahych, żeby zajmował się nimi sam przyprawowy lord... ale w sam raz dla jego najbardziej za-

Plaga

ufanej sługi, jednookiej Klatooinianki Koax.

Odwróciła się do swojego gościa - dezaktywowany 3PO o powłokach w kolorze metalicznej zieleni, przypominającej odcień wieczornego nieba na jej rodzinnej planecie, na wpół siedział, na wpół leżał na krześle w jej niewielkiej kajucie. Kilka godzin wcześniej Koax „pożyczyła” go sobie od jego właścicieli, Anjiliaców, podczas gdy nadzorował załadunek leczniczej przyprawy, mającej trafić na Endregaad. Podeszła do droida, zapytała o instrukcje, a potem wypowiedziała kod obchodzący, który dostarczył jej przyprawowy lord. 3PO zamarł na chwilę, a potem zapadł w coś na kształt letargu. Bez zbędnych pytań dał się Koax zaprowadzić w ustronne miejsce i zdradził, co się dzieje na pokładzie statku Popary Anjiliaca. Wówczas porzuciła go na krześle i skontaktowała się z matriarchinią Hedu.

Teraz wypowiedziała następną komendę i droid obudził się do życia - jego fotoreceptory zapłonęły ciepłym blaskiem, a ciało otrząsnęło się z drzemki.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział, a kiedy zaskoczył program diagnostyczny, powtórzył: - Proszę mi wybaczyć. Małą chwilę. Coś poszło nie tak. Czy byłem wyłączony?

- Tak sądzę - potwierdziła Koax. - Znalazłam cię, kiedy wałęsałeś się w pobliżu lądowisk jakąś godzinę temu. Wydawałeś się zagubiony. Czy pamiętasz, kim jesteś?

- Jestem jednostką H-Threepio na usługach klanu Anjiliac. Odpowiadam przed Yago Gejalli. Mam za zadanie... - Urwał na chwilę i przypatrzył się Koax uważnie. - Czy my się znamy?

- Wątpię - stwierdziła Koax. - Przyprowadziłam cię tutaj i właśnie miałam zajrzeć ci do bebeczków, żeby sprawdzić, co się stało. - Na potwierdzenie swoich słów pokazała mu trzymany w dłoni klucz nasadowy. - Ale wtedy znów się obudziłeś. Przestraszyłeś mnie.

- Och - westchnął droid, rejestrując jej informację w bazie danych. - Muszę wracać na posterunek. Będą mnie szukać.

- Z pewnością - zgodziła się Koax. - Czy mam cię odprowadzić do miejsca, w którym cię znalazłam?

Droid przechylił głowę na ramię, a potem nią pokręcił.

- Muszę wracać na posterunek - powtórzył. - Będą mnie szukać. - A potem pochylił się do przodu, wstał, jakby próbował nabrać sił i podreptał do drzwi przy akompaniamencie charakterystycznego dla tego modelu szurania. Zanim wyszedł, odwrócił się i powiedział jeszcze: - Dziękuję.

- Nie mów o tym nikomu - poprosiła Koax. - I dam ci dobrą radę: poproś swoją panią o przeprowadzenie pełnej diagnostyki. Możliwe, że szwankują ci jakieś styki.

Droid skinął głową i wyszedł, zamierzając powrócić do nadzorowania załadunku; jego zresetowany system nadal próbował dojść, co takiego naprawdę się wydarzyło. Koax nie miała wątpliwości, że nie będzie niczego pamiętał - robiła takie rzeczy już wcześniej, ale samo założenie, że mógłby ją rozpoznać, sprawiało, że czuła się nieco nieswojo.

Podeszła do drzwi i przyglądała się przez jakiś czas, jak droid przeciska się przez tłum Swokes Swokesów i obcych, w miarę oddalania się nabierając coraz większej pewności ruchów. Uznała, że nie powinien przysporzyć jej żadnych problemów.

Czekało na nią pięćdziesiąt różnych innych spraw, które miała załatwić w imieniu swojego pana. Może kiedyś nadejdzie dzień, w którym wszystko potoczy się gładko, zgodnie z planem, bez żadnych niespodzianek - dowóz palet sprasowanego i podzielonego narkotyku, rozprowadzanie go, spływanie płatności poprzez kilkanaście fałszywych kont. Może wtedy przyprawowy lord nie będzie potrzebował istoty do brudnej roboty, pacholka, kogoś mającego odpowiednie zdolności i dość zimnej krwi, żeby robić to, co trzeba, aby wszystko działało jak w chronometrze.

Miło byłoby, gdyby tak się stało, pomyślała Koax... chociaż przez jeden dzień... Wiedziała jednak aż za dobrze, że to mało prawdopodobne, więc po prostu wróciła do pięćdziesięciu różnych czekających ją zadań.

ROZDZIAŁ 4. KU ZAKAŻONEJ PLANECIE

Plaga

Tej nocy Mander Zuma miał znajomy sen, który powracał do niego wiele razy przez wszystkie lata jego służby jako Jedi.

Był na Coruscant, w wielkiej bibliotece, znajdującej się w pobliżu płaskiego wierzchołka Świątyni Jedi. Otaczały go terminale komputerów, a korytarze prowadziły do skarbców zawierających holokrony; szedł wzdłuż półek zapamiętych holograficznymi nagraniami, pod spojrzeniami posągów Straconej Dwudziestki - Jedi, którzy odeszli z Zakonu. Coś tu jednak było zdecydowanie nie w porządku. Wysoko sklepione sale były puste, a z oddali dobiegały przeciągłe, niskie tony dzwonu.

We śnie Mander szedł niekończącymi się korytarzami - czasem mijały godziny, czasem tylko miał wrażenie, że upływają. Był sam. Czy działo się to w okresie, kiedy biblioteka była zamknięta, za panowania Imperium Galaktycznego, gdy tylko sam Imperator miał dostęp do zgromadzonej tu wiedzy i korzystał z niej, żeby spełnić swoje niskie zachcianki? Czy może później? Gdzie byli inni Jedi? Czy spotka tu Mistrzynie Tionnę? Nie wiedział.

Nie słyszał żadnego dźwięku poza własnymi krokami i biciem dzwonu... a potem zaczął dostrzegać, że lśniące holonagrania na półkach stopniowo znikają. Pożerała je ciemność; ich błękitne lśnienie zagarniał mrok i odchodziły w zapomnienie. Kiedy się odwracał, widział, że za nim także wszystko spowijał mrok, który za chwilę miał go dogonić i pochłonąć. Holonagrania wokół niego umierały.

W swoim śnie Mander sięgał po miecz świetlny - jego zimna, nieprzyjazna rękojeść dziwnie ciążyła mu w dłoni. Kiedy spoglądał w dół, zauważał, że zamiast niej trzyma w ręku węza, który owinał mu się dookoła nadgarstka. Gad otwierał pysk i okazywało się, że zamiast kłów w jego paszczy lśnią dwa bliźniacze miecze świetlne.

Mander obudził się, zlany potem. Wciąż był na Makem Te; wiszące nisko nad horyzontem słońce zalewało jego pokój blaskiem. Zamrugał i otrząsnął się ze snu. Był taki sam jak zawsze i znów pozostawił po sobie to samo uczucie - smutku czy może

zawodu... Czy było coś, co mógł w tym śnie zrobić? Czy powinien był jakoś zareagować? Nie był to sen z gatunku proroczych - raczej wzbudzał w nim poczucie winy, jakby ktoś go o coś oskarżał. Jakby został osądzony i okazało się, że jest nie tyle winny jakiegoś przestępstwa, ile nie spełnia pokładanych w nim oczekiwań...

„Imru Ootmian” odleciał poprzedniej nocy, kierując się w kolejne miejsce, dokąd wzywały Poparę jego interesy. „Nowa Ambicja” zaś, jak Reen ochrzciła ich statek, dokowała na lądowisku X-13; Pantoranka i Eddey byli już na pokładzie, przeprowadzając wszelkie procesy diagnostyczne, jakie można było wymyślić. Reen nalegała, żeby poświęcili cały dzień na skanowanie „Ambicji” - czyli sprawdzenie jej od rufy po dziób pod kątem wszelkiego rodzaju pluskiew i urządzeń namierzających. Gdyby Mander nie dał jej wyraźnie do zrozumienia, że powinni być już w drodze na Endregaad, pewnie chętnie spędziłaby na przeszukiwaniu statku jeszcze jeden dzień.

Mander ubrał się i niespiesznie spakował kilka rzeczy osobistych do worka - dodatkową zmianę ubrania i nieco bardziej formalne szaty, które nosił podczas spotkania z Poparą. Zważył w dłoni swój miecz świetlny.

Znów zdziwiło go, że tak słabą odczuwał z nim więź. Zbudował go sam - sam wybrał kryształ, umieścił go w sercu broni i medytował nad nim, przesycając go Mocą, a mimo to miecz nigdy nie był mu specjalnie bliski; nie traktował go jak przedłużenie własnego ja. To nie był wąż, ale nie była to także część jego samego, tylko zwykły przedmiot - przydatne narzędzie, które mógł wykorzystywać.

Mander Zuma pokręcił głową i zaczepił miecz świetlny u pasa. Reen i Bothanin z pewnością już na niego czekali. Zepchnął sen w zakamarki pamięci, z których pewnego dnia miał do niego znów powrócić, żeby go prześladować, a potem zarzucił sobie worek na ramię i ruszył na spotkanie ze swoją załogą na pokładzie „Nowej Ambicji”.

Plaga

- Statek jest czysty - poinformowała go Reen, wynurzając się z ładowni. Wystartowali z lądowiska X-13 i opuścili kosmoport Makem Te, a teraz kierowali się do punktu, z którego mieli dokonać pierwszego skoku, zapisanego w pamięci systemu nawigacyjnego.

Pantoranka klapnęła na fotel drugiego pilota, wyraźnie strapiona. Eddey zasiadał za sterami, a Mander, z goglami na nosie, ślęczał nad współrzędnymi skoku, próbując zrozumieć coś ze skomplikowanych obliczeń. Poświęcił temu zajęciu większą część poprzedniego dnia i w końcu dotarło do niego, że Reen miała rację - pomimo całej teoretycznej wiedzy o nawigacji kosmicznej praktyka była dla niego czarną magią. Zdaniem Reen współrzędne były w porządku. Nie miał innego wyjścia, niż jej zaufać i przyjąć, że obliczenia zostały dokonane prawidłowo.

Reen podjęła:

- Sprawdziłam ładunek, ładownie i wszystkie miejsca, w których ktoś mógłby umieścić tajne skrytki. Nie ma tu nic oprócz tego, co powinno być. Przyprawa medyczna to standardowa odmiana lecznicza, chociaż muszę powiedzieć, że naprawdę wysokiej jakości. Nie mamy na pokładzie nic nielegalnego. Omiotłam wszystko wykrywaczem pluskiew i nie znalazłam żadnego urządzenia podsłuchowego ani naprowadzającego. To samo z komputerami: wszystko w idealnym porządku.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona - powiedział Mander. Zdjął gogle, złożył je i włożył do kieszeni za pazuchą.

- Wcale nie jestem - burknęła Pantoranka, odsuwając z twarzy niesforny, czarny kosmyk. - To Huttowie! Musi być coś, czego nam nie mówią!

- Pewnie jest tego całkiem sporo - zauważył Mander - tak samo jak ze sprawami, o których nie mówili nam do ostatniej chwili.

Reen obejrzała się na niego znad konsoli.

- A może jeszcze więcej.

- A może - odezwał się znad sterów Eddey - nikt nie sprawdzał jeszcze nigdy tych koordynatów?

Plaga

Mander zamrugał i spojrzał na Reen, ale ta wzruszyła tylko ramionami, podeszła do jego stanowiska i wskazała wyświetlony na ekranie kod.

- Nie jestem stuprocentowo pewna, ale większość z tego wygląda, jakby została zaimprovizowana. Takie latanie na łąpu-capu, na chybił trafił, to na pewno nie robota droida czy nawibota. Droidy działają zbyt liniowo, a to wygląda bardziej na zapiski pilota, który wpadł w tarapaty i nagle z zaskoczeniem stwierdził, że udało mu się jakimś cudem wyjść z nich cało. Tak czy inaczej, sprawdzałam wszystko chyba ze trzy razy. Powinno się zgadzać.

- A sprawdzenie, czy faktycznie się zgadzają, dla samego sprawdzenia mogłoby być zbyt ryzykowne i kosztowne. Mają własne statki i pilotów, ale dali nam jedną ze swoich maszyn - zauważył Mander. - Założmy więc, że to, co nam powiedzieli, jest prawdą, a te współrzędne doprowadzą nas do Endregaada.

Reen potarła ramię w miejscu szczepienia.

- A skoro mowa o zaufaniu, co wiemy o tej całej zarazie? Mander wskazał datapad Vago.

- Plaga, która opanowała Endregaad, została ograniczona tylko do tej planety dzięki wysiłkom Władz Sektora Wspólnego. W pobliżu Rudriga w Gromadzie Tion jakieś trzy tygodnie temu pojawił się statek przemysłowy, który leciał właśnie z Endregaada. Jego załoga była zbyt osłabiona, żeby wylądować, więc dokonano abordażu i zajęto statek. WSW szybko zarządziło kwarentannę samego Endregaada i zostawiło na jego orbicie jednego ze swoich drednotów.

- I od tamtej pory nikt więcej stamtąd nie odleciał? - spytała Reen.

- Z tego sprawozdania wynika, że nie, a objawy są podobne jak przy znanych chorobach, zawleczonych z przekłębnych, napromieniowanych światów - wyjaśnił Mander. - Między innymi gorączka, odwodnienie, łuszczenie się skóry wokół ust i uszu, osłabienie organizmu, a także obrzęk palców i języka. Wielokrotne narażenie na kontakt z chorym może być śmiertelne.

Plaga

Reen znów roztarła bolące ramię.

- Nigdy nie byłam na Endregaadzie. Czy to jedno z tych cholernych, jałowych zadupii?

Mander wiedział, do czego dziewczyna zmierza.

- Nie, ale wcale się nie dziwię, że nie miałaś okazji go odwiedzić. Rzeczywiście, nie ma tam nic godnego uwagi. Większość powierzchni to wzgórza, pagórki i wyschnięte jeziora. To jałowa planeta, o płaskowyżach omiatanych silnymi wichrami. Jej główne miasto to Tel Bollin, a miejscowi utrzymują się z handlu geodami, czyli kryształami wydobywanymi ze skał.

- I właśnie dlatego poleciał tam Mika Anjiliac - zauważyła Reen.

Mander skinął głową.

- Owszem; z raportu wynika, że była to wizyta czysto formalna, w interesach... a kilka dni po przybyciu Miki wszystko wywróciło się do góry nogami.

- I dlatego musimy go znaleźć - dopowiedziała Reen. - Jednego Hutta na wielkiej planecie.

- Z pewnością będzie się rzucał w oczy - skomentował Mander. - Co sądzisz o jego rodzinie?

- Nie mogę powiedzieć, żebym szczególnie ją polubiła - mruknęła z przekąsem Reen. - Popara jest tłusty, Zonnos niechlujny, a Vago zachowuje się, jakbyśmy byli jej niewolnikami. Jedno lepsze od drugiego.

- Popara jest szczery - wtrącił Eddey. Mander i Reen obejrżeli się na niego, zdziwieni. - Jestem tego pewien - dodał Bothanin. - I nie chodzi tu o jakieś specjalne zdolności mojej rasy. Po prostu to wiem, mimo że jego słowa były tłumaczone przez droida. Nie okłamuje nas.

- Ale to wcale nie musi znaczyć, że mówi nam całą prawdę - bąknęła Reen.

Eddey podniósł dłonie do góry w obronnym geście.

- Pytałaś, czy klan Popary handluje przyprawą - odezwał się znów Mander. - Czy otrzymałaś taką odpowiedź, jakiej się spodziewałaś?

Plaga

- Nie - przyznała Reen. - Spodziewałam się silniejszego potępienia przyprawy, gdyby faktycznie handlowali jej cięższymi odmianami, a więc... to była dobra odpowiedź. Przynajmniej teoretycznie.

- Dobra odpowiedź - powtórzył z namysłem Mander Zuma, a potem dodał: - Kiedy przeczesywaliście pokład statku, pozwoliłem sobie sprawdzić klan Bomu. Nikt nie widział nikogo z jego członków na Makem Te od czasu ataku. Chowają się, są martwi albo uciekli.

Pantoranka i Bothanin wymienili porozumiewawcze spojrzenia - szybkie, ale Manderowi to wystarczyło, żeby potwierdzić jego podejrzenia: podczas sprawdzania statku oni także starali się zweryfikować pewne informacje.

- Uciekli, ale ślad po nich nie zaginął - powiedziała Reen. - Na członków każdego rodiańskiego klanu można trafić na co najmniej kilkunastu planetach. Ci, którzy przeżyli nasz mały pogrom, zaszyli się na innych światach i skarżą się teraz swoim wujaszkom i ciotkom na strzelaninę, jaka wywiązała się na ich podwórku.

Mander skinął głową i wrócił do poprzedniego tematu ich rozmowy:

- Co sądzicie o Zonnosie?

- Reen ma rację - odezwał się Eddey. - To typowy Hutt.

- Jeśli zajrzysz do encyklopedii i poszukasz hasła Hutt, zobaczysz zdjęcie Zonnosa - dodała Pantoranka. - Wygląda na to, że jego ulubiony sposób na spędzanie czasu to przepijanie kasy tatusia ze swoimi przyjaciółmi Wookiem.

- Chyba im się nie spodobałeś - powiedział Mander do Eddeya.

Bothanin znów wzruszył ramionami.

- Bywa, że wkurzam tego i owego. Wookie są przeważnie dzielni i skłonni do poświęceń, ale zdarzają się i chamskie ćwoki. Ci od Zonnosa zaliczają się zdecydowanie do tej drugiej grupy.

- I, tak jak wspomniałeś, po prostu to wiesz - stwierdził Mander, a Eddey jeszcze raz podniósł ręce w swoim niemym „co

na to poradzę?”

- Czego chciał od ciebie Zonnos? - zainteresowała się Reen. Najwyraźniej była już pewna, że są poza zasięgiem urządzeń podsłuchowych. - Wtedy, na statku, kiedy zabrał cię do niego droid?

- Zonnos Anjiliac pragnął mnie zapewnić, że nie będzie żywił urazy, jeśli nie uda nam się znaleźć jego brata... ani jeśli nie uda nam się sprowadzić go żywego - wyjął Mander.

- Ach, ta braterska miłość - westchnęła z przekąsem Reen. - Rywalizują o względy swojego ojca.

- Zonnos świetnie się wpasowuje w obraz typowego Hutta - podsumował Mander, kiwając głową. - Pewnie nie zrobiłby tego osobiście, ale na pewno by nie płakał zbyt długo, gdyby Mice coś się stało.

- Czy Huttowie w ogóle płaczą? - zapytała Reen.

- Vago - powiedział Mander, ignorując jej pytanie i przechodząc do następnego punktu.

- Biurokratka - podsumowała Pantoranka. - Pomniejszy urząd. Pilnuje, żeby wszystko szło sprawnie i boi się, że coś schrząni.

- Wątpię - zaproponował Jedi.

- O czym rozmawialiście po huttyjsku na pokładzie „Pozaświatowca”? - spytał go zaciekawiony Eddey. - A tak przy okazji, nie wyglądała na specjalnie urażoną twoim strasznym akcentem.

Mander zerknął na niego. To było szczere pytanie - z rodzaju tych, których nie zadaje się, jeśli zna się na nie odpowiedź. Nie, uznał Mander, Eddey nie zna huttyjskiego.

- Powiedziała mi, że Popara wybił jej rodzinę w jednej z wojen klanowych, a ją zamiast zabić, przygarnął. Wątpię, żeby była zwykłą biurokratką. Jest mu oddana, i to pewnie bardziej niż te twi'lekańskie służące. Vago się nie boi. Jednak Reen ma rację w jednym punkcie: to ona trzyma rękę na pulsie.

Reen zaczęła odginać palce i wyliczać:

- Sądzisz, że Popara naprawdę martwi się o swojego syna,

Plaga

że Zonnos nie miałby nic przeciwko zostaniu jedynakiem...

- A Vago pilnuje, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik - uzupełnił Mander. - Chce, żeby Popara, zamiast zamartwiać się o swoje zaginione dziecko, skupił się na prowadzeniu interesów.

- A to znaczy, że na razie wszystko gra - podsumowała Reen.

- Owszem - potwierdził Mander. - O ile Zonnos i jego Wookie nie postanowili sabotować współrzędnych, wszystko powinno się udać.

W sterowni rozbrzmiał cichy kurant.

- Jesteśmy gotowi - poinformował ich Eddey. - Wyzliśmy poza zasięg studni grawitacyjnej. Współrzędne pierwszego skoku przygotowane.

- No to w drogę - westchnął Mander. Miał ochotę dodać: a jeśli Huttowie nas okłamali, naprawdę mi przykro, że przeze mnie zginiecie...

Eddey wziął głęboki oddech i pchnął dźwignię hipernapędu. Gwiazdy za iluminatorem zaczęły się zmieniać w świetliste smugi i Mander złapał się na tym, że wstrzymuje oddech.

Na dostarczone im współrzędne składało się sześć skoków, które miały ich przeprowadzić przez zdradliwy obszar Spirali Indrexu. Pierwszy skok przywiódł ich do samej Spirali - po prawej stronie mieli teraz łuki gwiazd i wirujący kometowy pył. Dzięki drugiemu trafili niebezpiecznie blisko gromady asteroid - szczytków księżyca, który albo nie zdołał się w pełni uformować.

albo uległ rozbiciu tysiące lat temu. Zanim przeszli do kolejnej fazy ich podróży, spędzili pół godziny, lawirując między skalnymi okruchami. Trzecim punktem była orbita niemal wypalonej komety, wysyłającej na wszystkie strony ostatnie strumienie lodowego światła. Czwarty postój przypadał na... coś nieokreślonego, a dokładniej na mroczną, groźnie wyglądającą plamę, przesłaniającą jedną czwartą nieba za rufą. Mander z ulgą powitał moment, kiedy zostawili ją daleko w tyle.

Przedostatni skok kończył się w punkcie krytycznym

Plaga

między dwoma ogromnymi słońcami - niebieskim i pomarańczowym. Z ich cętkowanych powierzchni strzelały płomienie, tworząc wokół rozżarzoną tęczę, a ich płynne rzeki przecinały ciemne, przypominające góry punkciki i przez chwilę Manderowi wydawało się, że patrzy na ogromne, żywe stworzenia, które przemieszczają się po ognistych mostach między słońcami, wiedzione jakąś nieznaną, wewnętrzną potrzebą.

Po ostatnim skoku rozmazane smugi gwiazd zmieniły się w zwykłe, tak dobrze im znane świetliste punkciki. Reen wpisała do komputera dane punktu docelowego.

- Namierzyłam kilka lokalnych punktów orientacyjnych. Jesteśmy tam, gdzie powinniśmy być. Miałeś rację - nie było się czego bać.

Mander nie odpowiedział; uśmiechnął się tylko z zakłopotaniem. Eddey zaczął przeprowadzanie procedur analitycznych, ale nawet Jedi widział, że wszystkie kontrolki płoną uspokajającą zielenią.

- Mamy nasz Endregaad - mruknęła Reen. - Jesteśmy na skraju jego orbity, więc mało prawdopodobne, żeby namierzyło nas WSW. Zejdziemy wysokim łukiem nad biegunami, a potem, w zależności od tego, ile mają w układzie statków, zobaczymy ich, zanim oni... - Urwała, bo w tej samej chwili przed nosem ich statku przemknęły bliźniacze promienie energii jonowej. Głośnik w sterowni obudził się do życia.

- Uwaga, frachtowcu! - przemówił ktoś basikiem z ciężkim akcentem. - Macie zaszczyt być pod ostrzałem dział sławetnego klanu Bomu. Porzućcie ładunek albo przygotujcie się do abordażu. - Przesłanie podkreśliła kolejna salwa z działek.

- Lekki frachtowiec na lewej burcie - poinformował Eddey - mocno zmodyfikowany. Widzę co najmniej kilka działek. Mają nas jak na dłoni.

- Uciekli, ale ślad po nich nie zaginął, co? - powtórzył Mander wcześniejsze słowa Reen.

- Ta-a - mruknęła Pantoranka. - Zabieraj nas stąd, Eddey.

Włochate palce Bothanina zatańczyły nad kontrolkami,

Plaga

dając do silników pełną moc.

- Trzymajcie się - powiedział tylko.

Ich statkiem zakołysało i przechyliło go gwałtownie na bok, a po kadłubie sterowni przepelzły błyskawice wyładowań.

- Oberwaliśmy - stwierdził Eddey, studiując odczyty, z których część była teraz podświetlona na czerwono. - Już po naszych lewoburtowych działkach...

- Przekręć nas - poleciała Reen, kierując się do wieżyczki prawych dział.

Mander Zuma zdążył wydać z siebie stłumiony okrzyk, kiedy gwiazdy zawirowały za iluminatorem, a ich statek obrócił się działającą jeszcze wieżyczką blasterów w stronę napastnika. Pokład był stabilny, ale sam ruch gwiazd za panelem widokowym wystarczył, żeby Jedi mocniej chwycił się poręczy swojego fotela. Mimo to pęd sprawił, że osunął się na podłogę i upadł, boleśnie tłukąc sobie kolano.

Eddey nie fatygował się, żeby spytać, czy nic mu nie jest. Nadal manipulował kontrolkami. Statkiem szarpnęło, gdy Reen wystrzeliła i kadłub wrogiego statku oplotły promienie energii jonowej, jednak ledwie go osmałiły, nie wyrządzając mu większej krzywdy.

- Kiepsko chroniony standardowy model - mruknął pod nosem Bothanin, a do Reen krzyknął głośno: - Obróć nas jeszcze bardziej, ale przełączę pola na rufę. Będziesz musiała strzelać w locie!

Reen wydała z siebie stłumione mruknięcie, które Mander wziął za potwierdzenie, i statek znów zadrżał, trafiony z tyłu przez frachtowiec klanu Bomu.

Mander czuł się bezradny i niepotrzebny. Bothanin świetnie sobie radził za konsolą, a Pantoranka była dobrym strzelcem. On zaś w tej chwili nie mógł zrobić nic - nawet w sytuacji zagrożenia ich życia. Tym razem to jego życie było w rękach innych, a on był bezsilny.

Nieprawda, skarcił się w duchu. Miał ten luksus, że mógł myśleć. Usiadł z powrotem w fotelu, założył ręce na piersi i za-

Plaga

mknął oczy.

Statkiem znów szarpnęło, a Bothanin zaklął pod nosem.

- Nie pogardziłbym teraz jakąś dobrą radą, Jedi - warknął. - Moim zdaniem powinniśmy wyrzucić ładunek i mieć nadzieję, że tamci zatrzymają się, żeby go przejąć. - Podniósł dłoń i wcisnął jakiś przycisk nad głową.

- Nie - powiedział Mander, chwytając go za nadgarstek. - Leć tam. - Wskazał bliżej nieokreślony punkt przestrzeni, nieco z boku ich kursu.

Bothanin nie wyglądał na przekonanego.

- A co tam jest?

- Pomoc - odparł krótko Jedi. - Ale nie dotrzemy do niej bez... odrobiny fantazji.

Bothanin wymamrotał pod nosem coś na temat „fantazji”, ale obrócił statek, tak że w ich iluminatorze zajaśniała kula złotego słońca Endregaada. Z wieżyczki doleciał stłumiony okrzyk Reen, a ich burtę musnęła salwa ognia z działek Bomu. Na widok snopa iskier Bothanin stwierdził kwaśno:

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Powinniśmy wyrzucić tę przeklętą przyprawę.

- Jeśli to rzeczywiście Bomu, nie zatrzymają się po nią - stwierdził Mander. - To tylko wymówka. Policzę teraz do dziesięciu. Na dziesięć wyłącz silniki i wyhamuj. Zatrzymaj nas w miejscu.

- Całkiem? Oszalałeś? - Twarz Eddeya wykrzywił grymas strachu.

- Dokładnie - zapewnił go Jedi. - Raz, dwa, trzy, cztery...

- Trzymaj się mocno - warknął Bothanin. - Nie chciałbym zalać przedziału silników jonowych.

- ...pięć, sześć, siedem...

- Reen? Przytrzymaj się czegoś! - krzyknął Eddey. - Lecimy... z fantazją! Bądź gotowa do strzału!

- ...osiem, dziewięć, dziesięć! - Mander klepnął Bothanina w ramię, a Eddey wcisnęła kilka przycisków naraz palcami rozstawionymi jak u jazzowego muzyka, grającego na nalargonie.

Jednocześnie drugą ręką szarpnął dźwignię hamulca, która poddawała się bardzo opornie, jakby z całej siły walczyła o każdy milimetr przestrzeni. Statek zadygotał, kiedy rufowe silniki nie chciały od razu posłuchać komendy. Mander słyszał, jak kadłub skrzypi pod nagłym naprężeniem, ale miał nadzieję, że wsporniki przedziału silnikowego wytrzymają.

I nagle stali w miejscu, wciąż się obracając, okrążani przez frachtowiec Bomu. Mander zgrał wszystko w czasie tak idealnie, że celownik Reen znalazł się dokładnie tam, gdzie powinien - strzał Pantoranki trafił w brzuch frachtowca, zostawiając na nim długie bruzdy, z których trysnęły strumienie gazów, zastygające natychmiast w krystaliczną mgiełkę. Mander z ulgą skinął głową. Atakujący przełączyli całą moc na przednie osłony, oczekując pościgu.

Miał właśnie powiedzieć Eddeyowi, żeby zrobił to samo, ale Bothanin już zabrał się do rekonfiguracji pól, przenosząc je na dziób, podczas gdy statek wroga szykował się do frontalnego ataku. Reen wystrzeliła jeszcze kilka salw, ale Rodianie zdołali już przywrócić osłony, więc jej ostrzał nie wyrządził im najmniejszej krzywdy.

W ich stronę poszybowały znów podwójne promienie energii jonowej i „Nowa Ambicja” jeszcze raz zadygotała pod ostrzałem.

- Mam nadzieję, że masz plan awaryjny - warknął ostro Eddey. - Bo sterczymy tu jak kołek w płocie, a nasze osłony nie wytrzymają jeszcze jednego takiego trafienia.

- Zaczekaj - powiedział Mander.

- Na co...? - Bothanin nie zdążył dokończyć, bo odpowiedź na jego pytanie wyłoniła się nagle zza rufy frachtowca klanu Bomu.

A dokładniej dwie odpowiedzi - dwa myśliwce WSW typu IRD, niewielkie stateczki zwiadowcze, składające się w zasadzie z małej kabiny, fotela pilota i silnika, a także dwóch dziobowych działek i wyrzutni pocisków udarowych, które bez przeszkód mogły wpakować w niechronioną teraz rufę statku Bomu.

Plaga

I nie omieszkały tego zrobić. Poszycie frachtowca przeorały strzały, wymierzone w stronę dziobu statku, który nie zdążył przekierować osłon ani odpowiedzieć ogniem. Wkrótce pochłonęła go kula ognia, a „Nowa Ambicja” zakotłosała się w podmuchu fali udarowej. Obok nich niczym małe asteroidy przeleciały szczątki rodiańskiego frachtowca - niektóre wciąż płonęły.

- Wiedziałeś, że tam będą - stwierdził ze zdumieniem Bothanin, przyglądając się wirującym wokół nich śmieciom.

- Czułem zawirowanie w Mocy - przyznał Mander - ale wiedziałem, że nie mamy czasu wysłać sygnału alarmowego. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli wylecimy im naprzeciw, przyciągniemy ich uwagę strzelaniną i pozwolimy się uratować.

We władze sterowni pojawiła się Reen. Z kącika ust ściekała jej krew, a pod jednym okiem zaczynał ciemnieć paskudnie wyglądając siniec.

- Co to był za manewr?

- Latanie z fantazją - odparł Eddey, przyglądając się pomarańczowym i szkarłatnym światełkom, migającym po jednej stronie wyświetlacza. Komunikator znów zabrzęczał:

- Uwaga, niezidentyfikowany frachtowcu! - odezwał się rzeczowy, surowy głos. - Naruszyliście przestrzeń układu objętego kwarantanną z rozkazu Władz Sektora Wspólnego. Lądowanie na Endregaadzie jest wzbronione. Powtarzam: nie możecie lądować. Opuśćcie układ albo będziemy zmuszeni eskortować was na pokład „Śmiałego”. Odbiór.

- Możemy spróbować dać nogę i skoczyć w nadprzestrzeń - powiedział z namysłem Bothanin. - Ale po tym, co ten statek przeszedł, nie byłbym taki pewny, czy nam się to uda.

Mander odpowiedział na wywołanie:

- Tu „Nowa Ambicja” do myśliwców „Śmiałego”. Nasz statek jest uszkodzony i chętnie skorzystamy z propozycji pomocy. Polecimy za wami. - Przerwał połączenie i dodał: - Jest czas na ucieczkę i czas na rozmowę. Teraz nadeszła pora, żeby rozmawiać.

- Mam nadzieję - mruknęła Reen - że masz rację. Dla dobra

nas wszystkich.

ROZDZIAŁ 5. LĄDOWANIE

WSW nigdy nie pozbywało się lekką ręką czegoś, co mogłoby mu się jeszcze przydać - i chociaż „Śmiały” miał już swoje najlepsze lata za sobą, nadal był utrzymywany na służbie, modyfikowany i regularnie usprawniany. Mozaika łątanego wielokrotnie poszycia drednota, najezonego licznymi turbolaserami, wyrzutniami pocisków i wieżyczkami promieni ściągających, i otoczonego patrolowymi myśliwcami IRD, budziła słuszny strach. Wiszący na orbicie matowej, rdzawej sylwetki Endregada okręt sprawiał zdecydowanie bardziej imponujące wrażenie niż sama planeta.

Kiedy ich statek wleciał do jednego z rufowych hangarów, Mander pomyślał, że statek musi być oczkiem w głowie swojego dowódcy.

Na spotkanie wyszedł im oddział żołnierzy WSW, dowodzony przez młodego pilota IRD o ostrych rysach i poważnej minie. Widoczny pod jego skafandrem kombinezon był idealnie wyprasowany. Zanim jeszcze oficer zdążył otworzyć usta, żeby coś powiedzieć, Mander wiedział, że usłyszy głos, który wcześniej dobiegł ich z głośników „Nowej Ambicji”. Byli jego trofeum i teraz mieli zostać przekazani w ręce wyższego stażem oficera.

- Porucznik Orrel Lockerbee, Władze Sektora Wspólnego, pancernik „Śmiały” - przedstawił się. Mander nie byłby zdziwiony, gdyby strzelił przy tym obcasami.

- Mander Zuma, Nowy Zakon Jedi - odpowiedział Mander. - A to moi towarzysze: Reen Irana i Eddey Be'ray. Doceniamy waszą pomoc...

Młody oficer wykrzywił twarz w podręcznikowym grymasie niezadowolenia.

- Waszego statku nie powinno tu w ogóle być. Układ jest objęty kwarantanną.

- Jesteśmy świadomi sytuacji i przylecieliśmy tu z misją

Plaga

pomocy - wyjaśnił Mander. Miał ochotę nasycić swoje słowa odrobiną Mocy, ale oparł się tej pokusie. - Zakładam, że zaprowadzi nas pan do dowódcy?

Oficer zająknął się i przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć - Jedi zepsuł mu starannie przygotowaną przemowę. W końcu zmarszczył brwi i burknął tylko:

- Za mną proszę.

- Chwileczkę - wtrąciła się Reen. - Nasz statek porządnie oberwał i razem z Eddeyem powinniśmy natychmiast zacząć naprawy.

Mander spojrzał na nią i podniósł brew. Poprzednio, na Makem Te, nalegała na spotkanie z Huttami, a teraz z własnej woli rezygnowała z rozmowy z władzami Sektora Wspólnego...?

- Oczywiście - zgodził się z roztargnieniem; zobaczył, że Bothanin jest już zajęty oględzinami długich bruzd w burcie „Nowej Ambicji” i potrząsa przy tym z niepokojem grzywą. Skinął pilotowi głową, dając mu znak, że jest gotów. Ich pochod zamykało dwóch strażników; kolejni ustawili się po obu stronach wyjścia z hangaru. Po drodze oficer wpisywał informacje do umieszczonego na nadgarstku datapada. Mander wiedział, że nie zanosi się na przyjacielską pogawędkę.

Wnętrze statku było utrzymane w idealnym porządku; korytarze przemierzały myszoboty w poszukiwaniu najmniejszej plamki czy drobinki kurzu. Nie było jednak wątpliwości, że znajdują się na pokładzie okrętu - z oddali dobiegało wycie syren, wzywających na ćwiczenia, a głośniki rozbrzmiewały komendami w basicu. Co chwila mijali ich też żołnierze w wykrochmalonych na sztywno mundurach, spieszący gdzieś w sobie tylko znanym celu. Nikt nie zwracał uwagi na eskortowanego przez oficera Jedi.

Trzy długie korytarze i podróż turbowindą później Mander został wprowadzony do centrum dowodzenia. Pomieszczenie było przestronne i panował w nim nienaganny porządek; wokół widział tylko kilka przedmiotów osobistych. Jednym z niewielu śladów, że ktoś tutaj rezyduje, był zestaw holoszczaków usta-

wiony pod jedną ze ścian - figury były zapętlone w swoich animowanych sekwencjach. Pod iluminatorem stało imponujących rozmiarów skomputeryzowane biurko, za którym ustawiono trzy krzesła. Pani dowódca stała tyłem do nich, wyglądając przez panel widokowy na spowitą brązowoczerwonymi chmurami planetę w dole. Jej północną półkulę przecinała biała blizna burzy.

- Porucznik Orrel Lockerbee - zaanonsował się oficer lotów, salutując. Tym razem Mander był pewien, że słyszy stuknięcie obcasów. - Pani komandor, przyprowadziłem Jedi z przechwyconego statku.

- Dziękuję, poruczniku - powiedziała kobieta, odwracając się w ich stronę. Była młoda i wysoka, a krwistoczerwone włosy miała ściągnięte w surowy, prosty kok. Nosila standardowy mundur służb WSW, wyprasowany na kant, i Mander pomyślał, że musiała szybko i wysoko awansować w strukturach marynarki. Zastanowił się przelotnie, czy był to jej pierwszy przydział. Pani komandor wcisnęła lśniący symbol na przejrzystym wyświetlaczu biurka i spytała:

- Co z drugim statkiem?

- Lekki frachtowiec Ghtroc Siedem-dwadzieścia, zmodyfikowany na jednostkę szturmowo-pościgową - zameldował oficer lotów. - Został zniszczony podczas strzelaniny.

- Należał do klanu Bomu, jeśli to w czymś pomoże - wtrącił Mander. - Do Rodian. Domyślam się, że nie przeżył nikt, kogo moglibyśmy przesłuchać?

Pani komandor zgromiła Mandera wzrokiem i powiedziała:

- Dobra robota, poruczniku. Dziękuję, to wszystko.

Lockerbee zsalutował znów i wyszedł. Mander zastanawiał się, czy ktoś kiedyś przeprowadził badania na temat ilości cennego czasu marnowanego na salutowanie i czy rzeczywiście miało ono wpływ na zwiększenie dyscypliny w wojsku. Znając WSW, uznał, ktoś się już prawdopodobnie o to pokusił.

- Komandor porucznik Angela Krin - przedstawiła się pani

Plaga

oficer - dowódca statku WSW „Śmiały”, nadzorująca kwarantannę Endregaada.

- Mander Zuma z Nowego Zakonu Jedi - odparł Mander, trzymając splecione dłonie swobodnie opuszczone przed sobą. - Moi towarzysze szacują właśnie stan uszkodzenia naszego statku. Chcielibyśmy podziękować pani i pani żołnierzom za ratunek.

- Mieliście wielkie szczęście - stwierdziła oschle pani komandor. - Nie patrolujemy tego obszaru tak często, jak byśmy chcieli.

- Szczęście sprzyja przewidującym - stwierdził wymijająco Jedi. - Wiedzieliśmy o sytuacji na Endregaadzie i liczyliśmy na to, że w razie gdyby pojawiły się jakieś problemy, wasze świetnie zorganizowane i wyposażone siły przyjdą nam z pomocą.

Kącik ust komandor Krin drgnął lekko w grymasie, który Mander uznał za rozbawienie. Zaprosiła go gestem, żeby zajął jedno z krzeseł, a sama usiadła po przeciwnej stronie biurka.

- Jeżeli znacie status sytuacji na planecie, musicie też wiedzieć, że WSW nie zezwala nikomu lądować na tej stercie gruzu, dopóki nie opanujemy plagi.

- Czy macie z tym jakieś problemy? - spytał Jedi.

- Początkowo zarejestrowaliśmy kilka prób ucieczki z planety. Na szczęście nie było na niej wówczas zbyt wielu statków. Zatrzymaliśmy je, zajęliśmy i skonfiskowaliśmy. Pojawiło się też kilku pilotów z pilnymi interesami do załatwienia na Endregaadzie, ale kiedy rozeszły się wieści o zarazie, zainteresowanie nią znacznie zmalało.

- A tacy delikwenci jak członkowie klanu Bomu próbują przechwycić statki wlatujące do układu... - Mander zawiesił na chwilę głos. - Endregaad jest najwyraźniej bardziej niebezpieczny, niż nam się zdawało.

- A mimo to przylecieliście tutaj.

Jedi skinął głową.

- Tak jak wspomniałem pani oficerowi, w misji pomocy.

Angela Krin wcisnęła kilka lśniących ikon na wyświetlaczu

swojego biurka. Jej ruchy przywodziły Manderowi na myśl posunięcia w holoszczach.

- Nie mamy waszego statku w rejestrach - zauważyła.

- Jest nowy - powiedział Mander. - To jego dziewiczy rejs. Chociaż wychodzi chyba na to, że to coś bardziej na kształt chrztu ogniowego.

Kącik ust pani komandor znów drgnął i Mander wyobraził sobie, że w innych okolicznościach pewnie roześmiałyby się uroczym, perlistym śmiechem.

- Owszem. Jesteś daleko od Yavina Cztery, Jedi. Dlaczego Zakon miałby się interesować Endregaadem?

- Nie interesuje się nim - sprostował Mander i proste, równiutkie brwi Angeli Krin powędrowały wysoko do góry. - Czy może raczej nie interesuje się nim bardziej niż jakąkolwiek inną planetą. Przybywam tutaj w imieniu Hutta Popary z klanu Anjiliac. To ich statek. Moja jest tylko załoga.

Na wzmiankę imienia Popary szczeka pani komandor Krin drgnęła dostrzegalnie, a jej czoło przecięły zmarszczki niepokoju.

- A więc chodzi o Huttów. Cóż, muszę przyznać, że jestem zaskoczona. Pracujesz dla nich?

- Współpracuję z nimi - poprawił ją Mander. - I jestem pewien, że wiecie, dlaczego Popara interesuje się Endregaadem. Gdzieś na tej planecie jest jego syn.

- Tak - przyznała pani komandor i przygarbiła się lekko w swoim fotelu. - Otrzymałam liczne żądania potwierdzenia jego statusu, od próśb aż po groźby. I powiem ci to samo, co powiedziałam im: nie mam żadnych informacji na temat tego Hutta ani zbędnych środków, które mogłabym zaangażować w jego poszukiwania. Nie na planecie, która i tak jest już osłabiona zarazą. Obawiam się, że przebyliście całą tę drogę na darmo. Huttowie zmarnowali wasz czas... i mój także.

- To nie była prośba, którą mógłbym łatwo odrzucić, i to niezależnie od tego, jaki skutek przyniosą nasze działania - zauważył Mander.

Plaga

- A teraz, jeśli chodzi o wasz ładunek... - Angela Krin zignorowała jego uwagę i, pochyliwszy się nad biurkiem, wcisnęła znów kilka symboli na wyświetlaczu.

- Jest wasz - powiedział po prostu Mander.

Znów udało mu się ją zaskoczyć, ale tym razem zrobiła wszystko, żeby nie dać tego po sobie poznać.

- Będziemy go musieli skonfiskować - oznajmiła ostrożnie.

- Nie, ponieważ oddam go wam po dobroci - stwierdził Jedi. - Ty i twoja organizacja zrobicie z tego lepszy użytek; możecie rozprowdzić przyprawę lepiej niż nasza trójka w zniszczonym frachtowcu. Domyślam się, że będziecie ją mogli dorzucić do własnych zapasów.

Teraz Angela Krin uśmiechnęła się smutnym uśmiechem kogoś, kto jest zmuszony walczyć z biurokracją we własnej organizacji. Mander domyślił się od razu, o co chodzi - nie było żadnych istniejących zapasów, a przynajmniej jeszcze nie.

- Pomoc jest w drodze - powiedziała.

- A część ładunku możecie rozdysponować już teraz - zauważył Mander. - Wraz z najszczerzym poparciem Popary Anjiliaca i nadzieją na stworzenie więzi zaufania w tych trudnych dla nas wszystkich czasach.

Pani komandor przesunęła szczupłym palcem po zapełnionym symbolami blacie biurka. Po chwili namysłu stwierdziła tylko:

- Nie mogę wam pozwolić wylądować na Endregaadzie.

- Rozumiem - potwierdził Mander. - Będziemy prowadzili nasze śledztwo z tego miejsca. - Przechylił głowę na bok i uśmiechnął się lekko.

- Możemy wam pomóc... na przykład w naprawie statku. Uznajcie to za swego rodzaju zapłatę za... podarowaną nam przyprawę.

- Doceniam ten gest - powiedział Jedi. - Przy odrobinie szczęścia może uda nam się znaleźć Mikę Anjiliaca, zanim będziemy musieli wrócić.

Teraz to Angela Krin uśmiechnęła się do niego.

Plaga

- Zrobimy, co w naszej mocy. Czy ty i twoja załoga chcecie towarzyszyć mi dziś w mesie przy kolacji?

- Z miłą chęcią - odparł Mander - ale muszę się najpierw skonsultować z resztą.

- Że niby co zrobiłeś? - spytała Reen; policzki pociemniały jej od wzburzenia, a siniec pod okiem przybrał głęboko niebieską, prawie czarną barwę. Stali w przedziale pasażerskim „Nowej Ambicji”. Eddey rozłożył jeden z żyroskopów na części i zabierał się do jego naprawy, odrywając z powierzchni płyty stopionego metalu.

- Dałem jej przyprawę - powtórzył Mander. - Tak czy inaczej, to chyba jeden z powodów, dla których tu przylecieliśmy: żeby pomóc w zwalczeniu zarazy...

- Ale to była nasza karta przetargowa! - zaprotestowała Reen. - A ty pozbyłeś się jej lekką ręką na samym wstępie negocjacji!

- I tak by nam jej nie pozwolili zatrzymać - przypomniał jej Mander. Kiedy wrócił do hangaru, okazało się, że Reen Irana zdążyła się już ściąć z porucznikiem Lockerbeem i jego zespołem. Nie miała zamiaru wpuszczać przedstawicieli WSW na pokład swojego statku i ustąpiła dopiero, kiedy Mader wydał zgodę na wyładunek towaru. Uprzejmi członkowie służb bezpieczeństwa w ekspresowym tempie opróżnili ładownię i wrócili na swoje pozycje przy drzwiach.

- Zaoferowali nam też pomoc, służąc sprzętem i zapasami - dodał Eddey, zakładając gogle przeziernie i krzywiąc się na widok odczytów na wizjerze. - Mam nadzieję, że skutecznie przekonałeś panią komandor, że nie jesteśmy bandziorami.

- Przegadałeś ją? - spytała Reen.

- „Przegadałem”? - powtórzył Mander, nie bardzo wiedząc, co dziewczyna ma na myśli.

- No wiesz, to wasze gadanie, hokus-pokus Jedi. Sztuczki z wpływaniem na umysł. - Machnęła ostentacyjnie ręką. - Mówisz: „Chcesz nam pozwolić wylądować na planecie!” czy coś w tym

Plaga

stylu, a ona zgadza się i fruuu! - lecimy.

- Czy to Toro powiedział ci, że potrafimy takie rzeczy? - spytał Mander.

- Widziałam to na holofilmach - wyjaśniła Reen.

- Ogląda ich stanowczo zbyt wiele - skomentował Eddey.

- To nie do końca tak - westchnął Jedi.

- A więc to wszystko bujda? - spytała Pantoranka. - Nie potraficie tego robić?

- Nie, to prawda - zapewnił ją Mander. - Ale to nie jest takie proste, jak ci się wydaje.

- A więc nie potraficie wpływać na umysły - upierała się Reen.

- Potrafimy - zaczął jej cierpliwie wyjaśniać - ale nie bez pewnych... konsekwencji. Można wpłynąć na czyjś umysł i zmienić sposób jego postępowania, ale będzie to miało także długoterminowe skutki. Jeśli jest to coś tak prostego, jak przejście niezauważonym obok strażnika albo nakłonienie kogoś do ujawnienia informacji, szkody są nieznaczące... strażnik pewnie nie będzie wracał do tego zdarzenia myślą albo złoży wszystko na własną niewagę czy mylny osąd. Wykorzystujemy ten trik do unikania walki albo do zdobywania informacji. Jeśli jednak starasz się zmusić kogoś do zrobienia czegoś, czego tak naprawdę nie chce, dochodzi do... buntu.

- I wtedy ten ktoś tego nie robi - spróbowała zgadnąć Reen.

- Gorzej - poprawił ją Mander. - Robi. A potem następuje efekt spirali, kiedy ten ktoś nieświadomie próbuje znaleźć usprawiedliwienie dla swojego czynu. To nie przechodzi bez echa. Jest całkiem jak lawina, zapoczątkowana przez małe kamyczki; zaczyna ich niepokoić sama twoja obecność, bo jak przez mgłę przypominają sobie, że ostatnim razem, kiedy przebywali w twoim towarzystwie, wydarzyło się coś złego. Czasem, kiedy stosuje się tę sztuczkę na kims, kto został już wcześniej jej poddany, ten ktoś może przypomnieć sobie o tej wcześniejszej próbie, a to z kolei może mieć niezbyt przyjemne konsekwencje. Jedi starają się nie doprowadzać do podobnych sytuacji, więc

Plaga

korzystamy ze sztuczek z wpływaniem na umysł, jak możesz to nazwać, tylko w wyjątkowych sytuacjach i na osobach, których najprawdopodobniej już nigdy nie spotkamy ponownie. Nie mam pojęcia, ile czasu przyjdzie nam tu spędzić, dlatego nie, nie „przegadałem” jej.

- A czy to da się jakoś odczuć? - drażyla dalej temat Reen. - Czy ktoś wie, że padł ofiarą takiej sztuczki?

- Jeśli chcesz przez to zapytać, czy użyłem jej na tobie, odpowiedź znów brzmi „nie”, i to z tych samych powodów, które przed chwilą wymieniłem - zapewnił ją Mander. - Chociaż wolną wolę trudno złamać, lepiej się z nią zmierzyć niż sztucznie ją naginać. A kiedy ktoś próbuje na tobie czegoś podobnego... i tak, Jedi są szkoleni, żeby opierać się podobnym wpływom... odczuwasz to jako presję na umysł, całkiem jakby napierała na ciebie potężna fala. Impuls, silne pragnienie, uporczywa myśl... A kiedy się jej poddasz, kiedy fala odejdzie, przede wszystkim zapominasz o tym, że w ogóle nadeszła.

Reen przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu oskarżycielko.

- A więc jej nie przegadałeś - stwierdziła wreszcie.

Mander westchnął głęboko.

- Skoro już o tym mowa, zaprosiła nas na kolację. - Uśmiechnął się do niej, ale Reen dalej miała ponurą minę.

- Nie - powiedziała tylko.

Jedi zamrugał, zaskoczony.

- Nie? A dlaczego, jeśli można spytać?

- Nie lubię sektoruchów - wyjaśniła.

- Huttów też nie lubisz - wytknął jej - ale nie powstrzymało cię to przed spotkaniem z Poparą.

- To co innego - upierała się Reen. - Huttowie są zdraździeccy, ale możesz liczyć na to, że tacy właśnie będą. Sektoruchy robią wszystko podręcznikowo, a kiedy uznają, że według podręcznika mają rację, nic nie może ich przekonać, że jest inaczej. Nie chciałam, żeby weszli na statek między innymi dlatego, żeby Eddey mógł wyłączyć komputer nawigacyjny. Nie mam ochoty

Plaga

oddawać ich slicerom współrzędnych Spirali Indrexu.

- Zanim nie będziemy mieli okazji ich zhandlować - dodał Bothanin.

- Ale teraz jest już po wszystkim, więc macie problem z głowy - zauważył Mander. - Dlatego powinnaś dołączyć do nas na kolacji na zaproszenie naszej łaskawej gospodyni.

Pantoranka pokręciła głową.

- Musimy wrócić na statek i się stąd zawijać.

Mander przechylił głowę na ramię i przez moment milczał.

- Chodzi o coś jeszcze - stwierdził wreszcie.

- O nic innego nie chodzi - nie ustępowała Reen. - Mamy robotę. A ja nie chcę zostawiać nikogo samego na pokładzie statku.

- A ja jestem pewien, że chodzi o coś jeszcze - obstawał przy swoim Jedi. - I nie potrzebuję Mocy, żeby to stwierdzić.

- Powiedz mu - mruknął Eddey, nie podnosząc wzroku znad dokonywanych napraw.

- Wszystko jest w porządku - burknęła Reen, krzyżując ręce na piersi.

- Coś jest nie tak - upierał się Mander.

- Powiedz mu albo ja to zrobię - zagroził Bothanin.

Pantoranka skrzywiła się kwaśno.

- Mam z WSW... na pieńku.

- Przemycałaś coś - zgadł Jedi.

- Trochę - przyznała, wzruszając ramionami. - Niewiele. Nic takiego, nie na dużą skalę i nic, co mogłoby obchodzić Jedi.

- To były naprawdę drobiazgi - poparł ją Bothanin. - Przedmioty osobiste, wątpliwego pochodzenia dzieła sztuki - tego typu rzeczy.

- Nic złego ani straszego - dodała szybko Reen. - Nic takiego jak ciężka przyprawa. Nic podobnego do... Nawałnicy.

Mander skinął głową i pomyślał, że ją rozumie. Reen i jej partner należeli do półświatka najemnych pilotów, z których większość nie zastanawiała się długo nad przyjęciem oferty przemycenia kontrabandy, jeśli tylko miałyby z tego jakiś zysk.

Wymagało to jednak takiego samego obchodzenia kanałów oficjalnych, dzięki któremu możliwy był handel przyprawą, i korzystania z tych samych sposobów, którymi dostarczano Nawalnicę - przyczynę śmierci jej brata.

Wiedziała, jak myślał przemytnicy, bo sama była jedną z nich.

- Jedi nie są przywódcami ruchu religijnego - powiedział, wzruszając ramionami. - Nie odpuszczamy win ani nie dajemy rozgrzeszenia. Możemy tylko pomóc innym pogodzić się z tym, co robili, i ułatwić im naprawienie błędów. To jednak nie wyjaśnia, dlaczego nie chcesz się spotkać z panią porucznik, która nawet cię nie zna.

- No cóż - wtrącił Eddey. - W tym właśnie cały szkopuł.

- Pierwsza „Ambicja” - dodała Reen.

- Ta sama, która pewnie została już sprzedana na złom na Keyorinie, żeby zapłacić za dokowanie - mruknął wyjaśniająco Eddey.

- „Ambicja” została - zaczęła z westchnieniem Pantoranka - z braku lepszego słowa, rozwalona podczas ucieczki przed korwetą WSW, która sprytnie przyczaiła się za księżycem w pobliżu punktu odbioru towaru. - Jej policzki znów oblał rumieniec.

- No cóż... - Mander spapugował Eddeya. - Rozumiem. I chociaż to mało prawdopodobne, żeby ktoś powiązał jedno z drugim, nie jesteś pewna, czy nie figurujesz w jakiejś bazie danych i czy te informacje nie wyskoczą nagle jak bestia z pudełka w datapadzie porucznika Lockerbee'ego?

- Mniej więcej - przyznała Reen, ale nie podniosła na niego wzroku. Bothanin wydał cichy okrzyk triumfu, kiedy udało mu się rozprawić ze szczególnie oporną uszczelką, zredukowaną teraz do zwęglonej czarnej masy.

- No dobrze. W takim razie zjem kolację w towarzystwie pani komandor Angeli Krin sam - stwierdził Mander. - A gdyby ktoś wspomniał wasze nazwiska, zapamiętam to. W tym czasie spróbuję też skorzystać z okazji, jaką daje jej gościnność, i przekonać ją, że powinna nam zaufać i pozwolić wylądować. Trzy

Plaga

dni... sędzę, że trzy dni nam wystarczą.

- W ciągu trzech dni pewnie uda nam się uruchomić statek - powiedział Eddey. - Jeśli dostaniemy części. Przekaż pani komandor nasze przeprosiny - dodał. - A teraz wybaczcie, chciałbym w spokoju popracować.

- Jasne - potwierdził Mander Zuma. - Chyba czas odnowić moją znajomość standardowych procedur działania WSW.

Trzy dni upłynęły im spokojnie i leniwie. Większość nadajników planetarnych znajdowała się w Tel Bollin i, o ile Mander zdołał stwierdzić, ich operatorów albo dotknęła zaraza, albo też czekali, przyczajeni, aż plaga minie. Z nielicznych informacji, które udało mu się zgromadzić, życie społeczne, tak zawsze tętniące na górniczych planetach, po wybuchu epidemii niemal całkowicie zamarło. Wszędzie szalały pożary i grasowali szabrownicy; lokalne władze - a przynajmniej to, co z nich zostało - skupiały się przede wszystkim na przetrwaniu, więc nie były zbyt skore do udzielania pomocy pozaświatowcom. Z jedynej chyba sensownej holorozmowy, którą Manderowi udało się przeprowadzić ze zmęczoną, wyczerpaną panią oficer o spękanej, łuszczącej się skórze w kącikach oczu i ust i o włosach w nieładzie, dowiedział się, że nie wiedzą nic o Huttcie na planecie, ale gdyby nawet taki tu był, pewnie padłby już dawno ofiarą mieszkańców, którzy szukali kogoś, kogo mogliby obwinić o zawleczenie zarazy, i chętnie zrzucali winę na przybyszy z zewnątrz. Udzielwszy mu tej informacji, oficer przerwała połączenie, zanosząc się szczekliwym, spazmatycznym kaszlem.

Dalsze próby skontaktowania się z kimś na powierzchni planety spełzły na niczym, więc Jedi postanowił poszperać w bibliotece statku. Polegało to głównie na zaznajomieniu się z historią działań wojskowych jednostki i regulaminami WSW, przy czym szczególny nacisk Mander kładł na sprawdzenie przepisów i formalnych specyfikacji floty Władz Sektora Wspólnego.

Każdego wieczoru w czystych, oficjalnych szatach Jedi zaglądał do kuchni pokładowej. Pierwszego dnia miał okazję

Plaga

porozmawiać ze starszymi oficerami, którzy nie omieszkali zarzucić go typowymi pytaniami, jakich mógł się spodziewać członek Zakonu odrestaurowanego po upadku Imperium: czy Zakon zaczyna od nowa? Co zamierzacie? Czy będziecie rządzili z Coruscant? Co się zmieniło? Odpowiadał na nie najuprzejmiej jak potrafił i stopniowo skłaniał ich do opowiadania o własnych doświadczeniach, dzięki czemu problem Mocy wkrótce poszedł w zapomnienie, zastąpiony przez historie o łapaniu złoczyńców i przechwytywaniu nielegalnych ładunków.

Tego samego wieczoru porucznik Angela Krin spotkała się z nim w cztery oczy i Jedi wkrótce zaczął rozumieć, w jakiej sytuacji znalazła się pani komandor. Była odpowiedzialna za utrzymanie kwarantanny, ale nie mogła ingerować w same wydarzenia na planecie, jako że Endregaad nie był oficjalnie światem należącym do Sektora Wspólnego. Tak więc tkwili tu, na orbicie, podczas gdy ludzie w dole cierpieli i umierali, a wszystko to z powodu biurokracji, która nie pozwalała im na udzielenie pomocy potrzebującym. Mogli tylko starać się utrzymać porządek stąd, z góry, bo oficjalnie władzę na planecie sprawował nieistniejący teraz praktycznie rząd.

- Przyprawa, którą dostarczyliście, może pomóc, ale może też stać się źródłem konfliktu - poinformowała go podczas kolacji. - Z jednej strony desperacko potrzebujemy leków, ale z drugiej... nie mamy pozwolenia na ich dystrybucję.

- Jestem pewien, że nawet WSW widzi korzyści płynące z tej sytuacji, czyli z posiadania leków z nieoczekiwanego źródła - zauważył Mander.

- Akurat - westchnęła Angela Krin, skubiąc niemrawo swój posiłek. - Co prawda w rzeczywistości tryby biurokracji działają powoli, ale sprawnie. Oficer zaopatrzeniowy, który miał dostarczyć lek z upoważnienia WSW, dostał szatę, kiedy poinformowałam go o waszym ładunku. Zapewniał mnie, że nie mają dość przyprawy, żeby pokryć zapotrzebowanie na planecie i że potrzebuje tylko pozwoleń na uzyskanie dostępu do dodatkowych źródeł. - Pokręciła głową. - I to wtedy, kiedy jeden na dzie-

Plaga

sięciu mieszkańców Endregaada umiera.

- Mam nadzieję, że nasz ładunek do czegoś się przyda - powiedział Mander.

Krin wsunęła do ust kawałek mięsa.

- Już się przydał, chociaż nie tak, jak można by się spodziewać. Wskutek niespodziewanego pojawienia się waszej przyprawy tryby biurokratycznej maszyny nagle przyspieszyły i lada dzień możemy się spodziewać się dostarczenia odpowiednich ilości lekarstw. Jednym słowem, kopnąłeś ich porządnie w tyłki.

- Czy rozdysponowaliście już nasz ładunek? - spytał Mander.

Twarz Angeli Krin lekko pociemniała.

- Wciąż go sprawdzają. To standardowy gatunek o rozległym działaniu odkażającym, anty bakteryjnym i antywirusowym, w dodatku bardzo wysokiej jakości. Wiesz może, skąd pochodzi?

- Musielibyśmy spytać o to Poparę - powiedział Mander.

- Chyba za nami zbyt nie przepada - westchnęła Krin.

- Ta część przestrzeni pełna jest ras i frakcji, które walczą ze sobą od tysiącleci - zauważył Jedi. - Zaufanie to rzadka waluta.

- Owszem - zgodziła się pani komandor - ale chodzi też o to, że Huttowie nie byli zbyt chętni do pomocy, zanim wy się zjawiliście. Przedstawione przez nich żądania pełne były gróźb i obelg, a kiedy nie zrobiliśmy tego, czego chcieli, wkurzyli się jeszcze bardziej.

- Rozmawiał z wami sam Popara? Czy może zielona Huttanka imieniem Vago?

- Ani jedno, ani drugie. - Angela Krin pokręciła głową. - To był taki duży, niebieskawy osobnik. Zonnos, zdaje się, mu było.

- To brat Miki - potwierdził Mander. - Poznałem go osobiście. Nie jest zbyt miły w obejściu, i to między innymi dlatego Huttowie zwrócili się do Jedi.

Nieco później, na pokładzie „Nowej Ambicji”, nad filiżanką karlińskiej herbaty Mander zdał relację z rozmowy reszcie swojej

załogi. Bothanin znów porównywał ze schematami listę brakujących części, podczas gdy Reen debugowała niedawno zainstalowane oprogramowanie.

- Uważacie, że Zonnos jest zwykłym durniem czy po prostu próbuje doprowadzić do śmierci brata? - spytał Bothanin.

- Nie wiem - odpowiedział Mander. - Oba scenariusze są równie prawdopodobne. Jedno jest pewne: dał mi do zrozumienia, że bezpieczeństwo Miki nie jest dla niego priorytetem. Jeśli jego młodszy brat nie wróci, to jemu przypadnie w udziale prowadzenie większości rodzinnych interesów.

- Wiesz, co mnie dziwi? - odezwała się Reen, odkręcając się na fotelu od konsoli. - To, że spędzasz aż tyle czasu z tą całą panią komandor. Czy ona przypadkiem nie ma planety do ochrony?

- Owszem, ma, i właśnie to spędza jej sen z powiek - wyjaśnił Jedi. - Jest bardzo skrupulatna i stara się trzymać procedur, możesz mi wierzyć, ale jest też dość bystra, żeby zdawać sobie sprawę, że w podręcznikach nie opisują wszystkich sytuacji, nawet jeśli sama robi co w jej mocy. WSW to biurokratyczny moloch i przeważnie załatwienie pewnych spraw i naprowadzenie ich na właściwe tory zabiera mnóstwo czasu.

- Mówisz o WSW czy Huttcie Poparzę? - spytał Bothanin.

- Pewnie o obydwu - stwierdził Mander, wpatrując się w fusy w swoim kubku. - Nie potrzebuję Mocy, żeby wyczuć frustrację tej kobiety. Tak czy inaczej, chciałbym się stąd wynieść najszybciej jak to możliwe. Jak stoimy z naprawami?

Bothanin uśmiechnął się szeroko.

- Za każdym razem, gdy szedłeś sobie na kolacyjkę, dostawaliśmy więcej części, które „przypadkiem” znajdowali u siebie na składzie oficerowie WSW. Sądzę, że do jutra powinniśmy być gotowi... do północy czasu lokalnego albo coś koło tego.

- Świetnie - ucieszył się Mander. - Mam nadzieję, że zdołam przekonać naszą panią komandor do udzielenia nam pozwolenia na lądowanie.

Plaga

- Nie ma mowy - powiedziała Krin następnego wieczoru i pokręciła stanowczo głową. Była ubrana w swój sztywny mundur, a włosy miała ściągnięte w kok ciaśniejszy niż zwykle - nie wystawał z niego ani jeden niesforny kosmyk. Mander miał przez chwilę wrażenie, że mówi do niego, ale szybko się zorientował, że rozmawia przez komunikator, zdając swoim przełożonym relację z przebiegu kwarantanny - a dokładniej odpowiada na zarzuty lokalnego urzędnika z Duroona. Miała lekko podkrążone oczy, napięte mięśnie szczęki i zdecydowany wyraz twarzy.

- Wkrótce będziecie musieli rozdysonować leki - zauważył Mander. - Nawet biurokracja WSW nie może was tyle czasu wstrzymywać. Przyjmij moją pomoc. Możemy polecieć na planetę z lekarstwami i personelem medycznym na pokładzie.

- Chciałabym, ale nie mogę na to pozwolić - westchnęła pani komandor. - Mamy odpowiednie promy... a przynajmniej będziemy mieli, kiedy doślą nam resztę zaopatrzenia. Przekazanie kilku zezłomowanych części załodze prywatnego frachtowca, który uczynił mi przysługę, to jedno, ale sprzeciwianie się rozkazom to zupełnie co innego. A o to tu właśnie chodzi: mam rozkaz zatrzymać każdego, kto spróbuje naruszyć kwarantannę, nieważne, w którą stronę będzie leciał, z planety czy na planetę.

- I nieważne, jakim kosztem - dopowiedział Mander.

- Dokładnie - potwierdziła, podając mu kieliszek szmaragdowego wina i wznosząc toast: - Za wasz bezpieczny i spokojny powrót do domu.

- Za bezpieczne i spokojne loty nas wszystkich - odparł Mander.

Kiedy Mander Zuma wrócił na pokład „Nowej Ambicji”, Eddey zakończył już przeprowadzanie procedur przedstartowych i reinstalował teraz system komputera nawigacyjnego. Bothanin podniósł na niego wzrok i spytał:

- I jak? Twoje sztuczki Jedi zadziałały? Lecimy szukać naszego Huttciątka?

- Zabieramy się stąd - oznajmił Mander i podał mu datapad.

- Tu jest nasz plan lotu.

Plaga

Na widok danych Eddeyowi zrzęda mina.

- A więc wracamy...

- Jak widać - westchnął Mander. - Wszystko wskazuje na to, że nasza pani komandor spędziła prawie cały dzień na rozmowach z urzędasami i nie była w nastroju do naruszania procedur. Leć nad biegun Endregaada i do sektora, w którym spotkaliśmy załogę Bomu.

Eddey warknęła coś w bothańskim i zamknęła włązy, a Reen opadła na jeden z foteli. Mander poszedł w jej ślady.

- Przykro mi - powiedziała Pantoranka. - Ale mówiłam ci, że te typy z WSW to pieprzeni formalści.

Mander nie odpowiedział; pochylił się tylko do przodu, splatając palce na podołku.

Aktywowane pole ochronne zamigotało i „Nowa Ambicja” opuściła pokład „Śmiałego”, kierując się lekko w górę i biorąc kurs na biegun planety, wpisany do datapada przez Mandera. Endregaad rzucał na drednota głęboki cień; majaczące nieco powyżej płaszczyzny „Śmiałego” miasto Tel Bollin migotało rozmytym blaskiem światła. Kiedy zbliżyli się do brudnobiałych polarnych pustyni tego świata, powitał ich fałszywy wschód słońca układu.

Minęli już terminator polarny, kiedy Mander wziął wreszcie głęboki oddech i powiedział:

- No dobra. Schodzimy. Eddey, sprowadź nas na Endregaad.

Bothanin podskoczył lekko w swoim fotelu, a potem wyszczerzył kły w szerokim uśmiechu i zaczął rekonfigurować silniki manewrowe. Reen spojrzała na niego, zaskoczona, i spytała:

- Czy mam iść do wieżyczki?

- Jeszcze nie - odrzekł Mander. - Na razie pilnuj odczytów czujników. Jestem pewien, że porucznik Krin nie była na tyle głupia, żeby wycofać patrole, mając tylko moje słowo na to, że polecimy grzecznie do domu.

- Okłamałeś ją - stwierdziła Reen. - Nie wiedziałam, że Jedi kłamią.

Plaga

- Wolę o tym myśleć jako o zmienianiu... albo zatajaniu czy może nawet naginaniu prawdy - rzucił Mander. - Ale owszem, znalazłszy się w sytuacji podbramkowej, Jedi mogą kłamać. Tylko nie mów o tym nikomu, to zepsułoby naszą reputację. - Uśmiechnął się do niej prawie tak szeroko, jak przed chwilą Bothanin.

Weszli w jasną strefę planety i wokół kadłuba statku zatańczyły ogniste smugi.

- Są - mruknęła Reen, kiedy w rogu wyświetlacza skanera pojawiło się kilka nowych punkcików. - Dwa IRD lecą naszym kursem. Kontakt za jakieś dziesięć minut.

- Szybciej niż się spodziewałem - zdziwił się Eddey. - Dobra jest, trzeba jej przyznać.

- Podręcznikowa procedura. - Mander westchnął. - Standard. Sprowadź nas trochę w dół i odbij na lewo. Wrócimy naokoło do Tel Bollin, zanim wzejdzie tam słońce.

- Gdybyśmy zeszli bardziej stromo, mielibyśmy większe szanse na ich zgubienie - zauważył Bothanin.

- Wiem, ale na razie nie chcemy ich gubić - odparł Mander. Dziewięć minut później nawiązali kontakt wizualny - ich oczom ukazała się para myśliwców typu IRD, podobnych do tych, które wcześniej ostrzelały statek klanu Bomu. Odbiornik zaszumiał i rozległ się głos bardzo podobny do głosu oficera lotów Lockerbee'ego:

- „Nowa Ambicjo”, naruszyłaś chronioną przestrzeń. Zwróć i kieruj się na pokład „Śmiałego”. W przeciwnym razie będziemy zmuszeni otworzyć ogień.

Reen nachyliła się do mikrofonu, ale Mander ją ubiegł:

- Tu „Nowa Ambicja” do myśliwców IRD - odparł. - Mamy trudności z pilotowaniem statku... naprawy okazały się niewystarczające. Tracimy wysokość i będziemy musieli lądować.

Systemy szwan... - Urwał w pół słowa i odłożył mikrofon na miejsce. - Jeśli znów będą próbowali nas wywołać, nie odpowiadajcie.

- Strasznie narazasz tę waszą reputację Jedi, wiesz? - za-

Plaga

zartował Bothanin.

Minęła ich o włos podwójna wiązka strzałów z działek jonowych.

- To był pierwszy strzał - powiedział Mander. - Zgodnie z przepisami muszą spróbować jeszcze dwa razy, bo najwyraźniej jesteśmy w niebezpieczeństwie. - Zeszli już głęboko w niższe warstwy atmosfery i Jedi przeskanował wzrokiem horyzont w poszukiwaniu charakterystycznego punktu. - Tam - dodał, klepiąc Eddeya w ramię i wskazując na wschód.

- Burza piaskowa - stwierdziła Reen. - Podnieś nas i przeleć nad nią.

- Nie - zaprotestował Jedi. - Leć prosto w nią.

- Komputer nawigacyjny nam zgłupieje - zauważył niechętnie Bothanin. - A dopiero co wszystko wyregulowałem...

- I o to chodzi - powiedział Mander, kiedy obok śmignęła kolejna salwa z działek. - Dwa... Zaraz wystrzelą trzecią... a wtedy koniec przyjmowania zakładów. - Wstrzymał oddech, kiedy ściana kurzu i piachu, widoczna nawet z orbity i mieciona z jednej strony planety na drugą, zbliżyła się i pochłonęła ich. Iluminatory wypełniła bura masa, bębniąc w poszycie statku gradem piaskowych drobinek. Przeciął ją blask trzeciego strzału, ale tym razem Mander nawet nie zwrócił na niego uwagi. Jeszcze kilka sekund i...

Znaleźli się dokładnie w samym środku chmury piasku. Eddey zaklął, ale bardziej z troski o stan poszycia niż ze względu na faktyczne szkody, które mogła wyrządzić statkowi burza. Szalejący wokół piasek wdzierał się do silników i dostawał do wszystkich zakamarków. Niebo nad nimi rozjaśniła seria strzałów, ale żaden ich nie dosięgnął.

- Lecą teraz zgodnie ze wskazaniem czujników - powiedział Mander. - Dasz radę zrobić to samo?

- Mamy włączone skanery, ale lecimy parszywie nisko - odparł Bothanin.

Wlecieli w ciemny cień, potem drugi i jeszcze jeden.

- To skały! - krzyknęła Reen. - Lecimy za nisko! Poderwij

nas!

- Nie, jeszcze minutkę - nalegał Mander. Bothanin nie odpowiedział, tylko mocniej zacisnął dłoń na drążku sterowniczym.

Minęła ich kolejna seria promieni rozżarzonej energii, ale teraz już skierowana dalej od nich i bardziej rozmyta. Piasek zaczynał rzednąć i wkrótce znaleźli się w pobliżu granicy burzy.

Z tumanu kurzu wyrosła przed nimi ściana płaskowyzu.

Przeklinając pod nosem, Eddey szarpnął drążek i podniósł dziób statku niemal pionowo. Ominęli wzniesienie, ale kiedy wzbili się nad równinę, z powrotem znaleźli się w zasięgu wzroku pilotów IRD. Myśliwce obniżyły lot, a ich przednie działka znowu bluznęły ogniem. Jeden z nich spowiała chmura dymu, kiedy wystrzelił w ich stronę pocisk udarowy.

- Zaraz będzie po nas - stwierdził Eddey. - Przykro mi...

- Jeszcze dziesięć sekund - mruknął Mander. - Przyspiesz!

Poszycie „Nowej Ambicji” jęknęło od naprężenia, kiedy statek wystrzelił naprzód. Pocisk był szybki, ale masywne silniki Suwanteka miały więcej mocy i już wkrótce zostawili go w tyle. IRD z kolei, zamiast przyspieszyć, poderwały się nagle niemal pionowo w górę i jak na komendę skierowały z powrotem w przestrzeń.

Cała trójka w sterowni „Nowej Ambicji” westchnęła z ulgą. Eddey spróbował uspokoić zapiaszczone silniki.

- Co to było? - spytała Reen.

- Standardowa procedura WSW - wyjaśnił Mander. - IRD mogą latać w atmosferze, ale zgodnie z przepisami mają prawo w niej spędzić tylko ściśle określoną ilość czasu. Gdyby piloci nie dostosowali się do regulaminu, informacja o tym trafiłaby do ich akt.

Reen spojrzała na niego nie bez podziwu.

- Mówiłeś, że czytałeś te ich instrukcje... a więc wiedziałeś o tym!

- Wiedziałem, że mogę trafić na coś, co nam się przyda - sprostował Jedi. - Tak czy inaczej, sądzę, że w Tel Bollin nie powinniśmy się zbyt wychyłać. Eddey, gdybyś mógł znaleźć ja-

kieś wyschnięte jezioro na tyle blisko miasta, żeby dało się do niego dotrzeć skiffem, ale poza zasięgiem ich skanerów, byłbym zobowiązany.

- Się zrobi - obiecał Bothanin. - Panie i panowie, witajcie na malowniczym Endregaadzie. Po tym lądowaniu wszystko inne będzie się wam wydawało przyjemną wycieczką.

ROZDZIAŁ 6. TEL BOLLIN

Zostawili „Nową Ambicję” w pobliżu Tel Bollin. Mander ustawił wokół ich obozowiska kilka kamer, a Reen i Bothanin zakryli statek płachtą sieci maskującej. Mander wiedział, że takie środki ostrożności nie powstrzymają dociekliwego poszukiwacza, ale ktoś przelatujący w okolicy przypadkiem raczej nie zwróci na nich szczególnej uwagi. Potem wyprowadzili z ładowni lekki skiff repulsorowy Ubrikkian Bantha III, którym mogli dolecieć do miasta i w razie potrzeby zabrać z powrotem na jego pokładzie młodego Hutta. Pojazd miał opływowe, typowe dla większości produktów Ubrikkiana kształty i jego obecność w ładowni ich frachtowca nie była dla Mandera zaskoczeniem.

Przyglądał się, jak Bothanin i Pantoranka sprawnie wykonują powierzone im zadania. Nie odzywali się do siebie prawie wcale, a jednak kiedy jedno potrzebowało jakiegoś narzędzia, drugie już trzymało je w pogotowiu. Podczas przygotowania skiffu sprawiali wrażenie, że czują się jak u siebie w domu, całkiem jakby podróżowanie po ogarniętej zarazą planecie i konieczność ukrywania się przed Władzami Sektora Wspólnego były dla nich chlebem codziennym.

Mander pomyślał ze smutkiem, że on i Toro nigdy nie tworzyli tak zgranego zespołu. Od samego początku młody Pantoranin zamykał się przed nim - nie, żeby miał jakieś szczególne tajemnice, ale daleko mu było do szczerości. Toro tak bardzo pragnął zostać Jedi... tak mocno zależało mu na wizerunku popularyzowanym w holofilmach i legendach, że przydzielenie mu starszego archiwisty, noszącego gogle i zagrze-

banego po uszy w starych dokumentach, musiało być dla niego wielkim rozczarowaniem. Nie powiedział wtedy nic, ale Mander wyraźnie widział, że kiedy pierwszy raz się spotkali, młody człowiek oczekiwał czegoś zupełnie innego - liczył na spotkanie z jakimś bohaterem albo nadczłowiekiem...

Rozczarowanie nie opuściło go nawet po ich pierwszym treningu na miecze, kiedy Toro naparł na niego z furją, a Mander bez trudu go rozbroił. Starszy Jedi unikał każdego ataku, blokował wszystkie ciosy i odpowiadał na zapalczywość Pantorantina doprowadzającym go do szału spokojem. Nie na wiele to się zdało. Po ich pierwszym starciu młody Jedi uznał Mandera Zumę za zagadkę, którą trzeba rozwiązać, tajemnicę, którą należy odkryć. Starszy, niepozorny mężczyzna z pewnością skrywał jakieś sekrety, a Toro zamierzał je poznać. Jak inaczej taki przeciętniak jak stary Zuma mógł pokonać tak zaciekłego przeciwnika jak Toro Irana, jeśli nie sztuczkami Jedi?

Dla Mandera ich pierwszy pojedynek był równie niepokojący. Owszem, rozbroił młodzika sprawnie i spokojnie, ale czy naprawdę właśnie tego oczekiwano od Mistrza? Już wówczas czuł kipiącą w tym uczniu Moc, jego zniecierpliwienie - jasne było, że przy odpowiednim szkoleniu Toro Irana mógłby zostać potężnym Jedi.

Przy odpowiednim szkoleniu... Mistrz Jedi pokręcił głową. Może właśnie dlatego Mander poniósł ostatecznie klęskę... Owszem, kołł jego gniew, ale nigdy nie nauczył go nad nim panować. Toro zawsze chętnie podejmował wyzwania - i to zarówno podczas treningu, jak i filozoficznych dysput. Zawsze kwestionował, zawsze przesuwał granice, wiecznie szukał słabego punktu. Zdolność do dostrzegania słabych stron planu czy przeciwnika była u Jedi bardzo cenna, jednak Toro zawsze zaczynał od ich poszukiwania, często ignorując płynące z tego zagrożenie.

Czy właśnie to sprawiło, że padł ofiarą Nawalnicy? Może szukał jakiegoś większego wyzwania niż nauki jego Mistrza? Może chciał lepiej poznać samego siebie? Zawsze chciał mieć nad

Plaga

innymi przewagę - a to była prosta droga do zatracenia. Mander naczytał się w Archiwach dość opowieści, żeby wiedzieć, że także kusząca pułapka.

Ustawił ostatnią z kamer i spojrział w niebo - przesłonięte pyłem i tylko nieznacznie rozjaśnione wschodzącym słońcem; w pobliżu Tel Bollin czerwona plama ciemniała od zanieczyszczeń. Chmury pyłu zasłonią ich skutecznie przed większością obserwatorów z atmosfery, ale gdyby ktoś pokusił się o przeprowadzenie dokładniejszego skanu, znajdzie ich statek bez problemu. Pytanie brzmiało: jak bardzo zdeterminowani będą ci, którzy zechcą ich szukać...? Pani komandor była dość uparta, żeby ich ścigać, nawet gdyby miało to oznaczać złamanie kilku przepisów - tyle Mander potrafił stwierdzić, poznawszy ją nieco lepiej. I chociaż - tak jak wspomniał już wcześniej swojej załodze - wiedział, że jest dość bystra, żeby trzymać się przepisów, miał też nadzieję, że poświęcenie dla sprawy powstrzyma ją przed zbyt pochopnym ich łamaniem.

Tak pogrążonego w myślach zastała go Reen z naręczem ubrań.

- Masz - powiedziała, wręczając mu kolorowe ponczo. - Włóż to.

Mander przyjął od niej pelerynę.

- To zerape - wyjaśniła Pantoranka. - W lokalnych barwach planet Zewnętrznych Rubieży. Nawet jeśli Krin jest zbyt zajęta, żeby skanować teren, jej ludzie pewnie wiedzą, kogo szukać.

- Jedi, Bothanin i Pantoranka. - Mander westchnął. - Wątpię, żeby udało się nam wmieszać w tutejszy tłum. - Mimo to założył ponczo na szatę. Zerape było właściwie czymś w rodzaju kapy z otworem na głowę, ale całkiem wygodnym, a poza tym zapewniającym swobodę ruchów.

- Sama nie wiem... - Reen przyjrzała mu się znów z namysłem. - Nie zachowujesz się... jak Jedi.

Mander aż się wzdrygnął. Miał wrażenie, że dziewczyna czyta mu w myślach.

- A z wieloma Jedi miałas już do czynienia? - spytał. - To

Plaga

znaczy, poza twoim bratem...

- Nie - zaprzeczyła Pantoranka. - Poza tym nie miałam okazji spotkać się z Torem od chwili, kiedy wstąpił do Zakonu. Mam na myśli holofilmy... stare legendy i wiadomości z czasów wojny. Jedi zawsze byli w ruchu, zawsze atakowali, zawsze podejmowali ryzyko. Byli bohaterzy. A ty wydajesz się zbyt...

- Nieudolny? - podsunął, przypominając sobie sen.

- Zwyczajny - poprawiła go Reen, ale to wcale nie rozwiązało obaw Mander. - Normalny. Kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, zamiast ze mną walczyć, chciałeś rozmawiać. Byłeś miły dla Popary i jego sług. I oddałeś WSW leki.

- Oni rozdysponują je lepiej niż my - zauważył Mander.

- Jasne, ale i tak spodziewałam się, że sięgniesz po miecz świetlny albo ciśniesz czymś przez pokój... albo wpłyniesz na ich umysły, żeby tańczyli, jak im zagrasz.

- A dlaczego sądzisz, że potrafię coś takiego? - spytał Jedi, uśmiechając się do niej z nadzieją, że powstrzyma ją to przed zadawaniem kolejnych pytań.

Nie udało się.

- A czym w ogóle się zajmujecie? No, jako Jedi? - drążyła.

- Różni Jedi mają różne role - odparł wymijająco Mander.

- A ty? Jaka jest twoja?

- Byłem Mistrzem Tora - wyjaśnił. - Uczyłem go władać Mocą.

- Tak, wiem. - Reen pokiwała głową. - Kiedy wspominał cię w swoich wiadomościach, dobrze się o tobie wyrażał. Czy tylko tym się zajmujesz? Učeniem młodych Jedi?

Mander zagryzł wargę.

- Jest tylko kilku nauczycieli, a wielu uczniów - powiedział ostrożnie. - Ale mam także inne zadania.

- Na przykład?

Westchnął głęboko.

- Udaję się tam, gdzie wysłał mnie Zakon. Obecnie pełnię pieczę nad Archiwami Jedi na Yavinie Cztery. Jednym z moich zadań jest wyszukiwanie tekstów i holokronów w tym rejonie

galaktyki i porównywanie ich z innymi w bibliotece Jedi na Coruscant. Podczas Galaktycznej Wojny Domowej wiele z ważnych nagrań zostało uszkodzonych i...

- A więc jesteś bibliotekarzem - weszła mu w słowo.

- Archiwistą, jeśli już - poprawił ją.

- Bibliotekarzem! - powtórzyła Reen ze śmiechem.

Czuł, że czerwienieją mu policzki.

- Byłem uczniem wielkiej historyczki Jedi, Tionny Solusar - powiedział. - Włożyła mnóstwo wysiłku w próbę odbudowania Archiwów w starej Świątyni Jedi, a moja praca ma kluczowe znaczenie dla identyfikacji i potwierdzenia autentyczności zaginionych tekstów.

Pantoranka wyszczerzyła zęby w uśmiechu, który mógłby się wydawać radosny i zwyczajny, gdyby dziewczyna nie była tak nieznośna.

- Bibliotekarz! - Znów się roześmiała. - Mój brat nigdy mi o tym nie mówił, ale powinnam się była domyślić! Narzekał, że ciągle odsyłasz go do tego tekstu albo tamtego tomu, do jakichś cytatów starych filozofów Jedi, którzy umarli dawno przed utworzeniem Republiki!

Miał ochotę utrzyć jej nosa i wyjaśnić, że to wcale nie jest tak, jak myśli, ale przerwało mu ponaglające warknięcie Eddeya. Bothanin zamknął już ładownię i lokował się za sterami skiffu na rufie. Reen obejrzała się na niego, zbiegła ze stoku i także wskoczyła na pokład.

Mander westchnął tylko ciężko i zastanowił się przelotnie, dlaczego w ogóle dał jej się sprowokować do tej jałowej dyskusji. Może dlatego, że była tak podobna do brata? Wklepał kod bezpieczeństwa i podążył za nią.

Otwarty skiff był typowym produktem Ubrikkiana; Eddey prowadził go płynnie i szybko nad dnem suchego jeziora, ale pęd i tumany kurzu, które wzbijali, uniemożliwiały wszelkie próby konwersacji. Przelecieli między skałami strażniczymi i opuścili nieckę, wynurzając się nad niziną, na której rozciągało się Tel Bollin. Mander odwrócił się, żeby sprawdzić punkt, z którego

Plaga

wylecieli. Tuman pyłu za nimi zmienił kolor z czerwono-brązowego na jaśniejszy i do Jedi dotarło, że miasto wzniesiono na dnie wielkiego wyschniętego jeziora - być może pozostałości po deszczach, które obmywały powierzchnię planety tysiące lat temu.

Samo miasto jawiło się na horyzoncie jako brudna smuga, która zresztą wcale nie zaczęła wyglądać lepiej, kiedy się do niej zbliżyli. Jak na większości górniczych światów, wszystko robiło tu wrażenie prowizoryczne i tymczasowe - mury miasta zbudowano z prefabrykatów, sprowadzanych spoza planety i uzupełnianych cegłami z lokalnego błota. Najwyższe budynki miały jedno piętro, a ich krawędzie były wyslizgane do obłości. Gdyby kolonia z jakiegoś powodu została opuszczona, zniknęłaby, zawiana piachem i pyłem, w ciągu jednego pokolenia.

Teraz zresztą też sprawiała wrażenie, że jest na dobrej drodze do takiego stanu. Większość ze wzniesionych na rogatkach budowli była opustoszała; drzwi i okna patrzyły ziejącymi mrokiem otworami na pustynię. Framugi niektórych nosiły ślady ognia, a część murów była naznaczona symbolem czerwonej czaszki i numerami pod spodem - to były domy zarazonych, a cyfry wskazywały, ile ciał znaleziono w środku. Ulice wyglądały na wymarłe i jeśli nawet w pobliżu przebywali jacyś mieszkańcy, to przyczaili się w cieniu i nie mieli ochoty pokazywać się obcym.

Eddey zwolnił, a Mander polecił mu:

- Znajdź miejsce, gdzie moglibyśmy zaparkować; dalej pójdziemy pieszo. W tym skiffie zanedo się wyróżniamy, a przecież - skinał Reen głową - chcemy się wmieszać w... eee, tłum.

Eddey wybrał miejsce wyglądające na złomowisko albo miejsce karambolu dużej liczby pojazdów. W pobliżu stało coś, co - jeśli mieli do czynienia z pierwszą opcją - mogło być wcześniej biurem, wyżartym przez ogień, o ścianach poznaczonych plamami sadzy. Mander upewnił się, że w pobliżu nikogo nie ma, podczas gdy Eddey zabezpieczał ich pojazd. Reen sprawdziła blaster i wsunęła go sobie do kabury na udzie.

Miasto nie wyglądało zbyt imponująco. W miarę jak zagłę-

Plaga

biali się w serce Tel Bollin, zaczęli spotykać jego mieszkańców - ubranych w zakurzone łachmany nieszczęśników, kręcących się niemrawo po ulicach w promieniach porannego słońca. W normalnych warunkach o tej porze roiliby się tu pewnie od miejscowych, zanim zrobi się naprawdę gorąco, ale teraz było ich naprawdę niewielu; sprawiali wrażenie garstki paciorków grzechoczących w pustym, zbyt dużym pojemniku. Jednego z nich, powłóczącego nogami, sądząc po wyglądzie - górnika, Mander zaczepił i zapytał o siedzibę Skydove Freight, firmę Popary, od której powinni zacząć poszukiwania.

Mężczyzna nerwowo podniósł na niego wzrok, całkiem jakby Mander był duchem, który nagle się przed nim zmateriałizował. Oczy miał czerwone i załzawione, a w ich kącikach i wokół wąsów skóra łuszczyła mu się grubą warstwą białego nalotu. Na widok objawów zarazy Mander pierwszy raz zastanowił się z niepokojem nad skutecznością szczepionek Popary. Usta górnika poruszały się przez chwilę, ale nie padło z nich ani jedno słowo. Potem mężczyzna machnął ręką w prawo, wskazując jedną z metalowych wież górujących nad centrum miasta. Mander podziękował mu i wcisnął w dłoń kilka kredytów. Kiedy uszedł kilka kroków i obejrzał się na niego, zobaczył, że górnik nadal stoi w miejscu, gapiąc się na kredyty, jakby Jedi dał mu żywe zuki.

- Następnym razem spróbuj z walutą Huttów - zasugerowała Reen. - Kilka wupiupi powinno załatwić sprawę.

Mander skinął głową.

- Szesnaście wupiupi to trugut, a cztery truguty to peggat, o wartości równej czterdziestu standardowym kredytom - wyrecytował. - W takim układzie wupiupi będzie warte jakieś... dwie trzecie kredytu.

Reen prychnęła z poirytowaniem i Mander natychmiast pożałował, że zaczął się wymądrzać. Wyuczył się tego wszystkiego jeszcze na Yavinie Cztery, jak tylko dowiedział się, że będzie miał kontakt z Huttami, ale truguty i wupiupi, które ze sobą zabrał, wciąż spoczywały nietknięte w jego kieszeni.

Za nimi rozległo się wycie silników i nieliczni mieszkańcy z

ulicy szybko zanurkowali do kryjówek, czyli pobliskich wejść do domów. Oni stanęli w niskim przejściu pod werandą i odwrócili się w stronę źródła dźwięku.

Na ulicy pojawiło się sześć swoopów, pędzących z rykiem przez miasto. W kontraście do otoczenia maszyny były pomalowane na jaskrawe kolory i zadbane, a dosiadali ich wytatuowani jeźdźcy, szczerzący zęby w szerokich uśmiechach. Mander zauważył, że nie nosili jakichś ujednoczonych uniformów, ale z pewnością łączyło ich zamiłowanie do hałasu i efektu, jaki wywierali na miejscowych.

Założył ręce na piersi i przyglądał się spokojnie, jak go mijają; nagle dotarło do niego, że Reen i Eddey wycofali się do jednego z wejść. Mijając go, jeden z członków bandy rzucił w jego stronę pustą butelkę - nie wyglądało na to, żeby zrobił to specjalnie, ale szkło rozbiło się o ścianę za Manderem, dosłownie kilka centymetrów od jego głowy. Gdy jeźdźcy zniknęli im z oczu, z budynków znów zaczęli się wylaniać miejscowi, wracając do swoich spraw, jakby nigdy nic.

- Podobno mamy nie rzucać się w oczy - zauważyła z przekąsem Reen. - Powinieneś był się schować razem z nami.

- Nie wiedziałem, że się ukryliście, dopóki nie było za późno. - Mander wzruszył ramionami. - A ten, który rzucił butelką, ma beznadziejnego cęla. - Strząsnął swoje ponczo, otrzepując z niego pył.

Ruszyli dalej, mijając coraz więcej sklepów, gdzie za kontuarami stali sprzedawcy, sprawiający wrażenie zdrowych - albo takich, co wyszli z zarazy obronną ręką. Wszyscy jednak wydawali się zabiedzeni i zmęczeni, i nie mieli zbyt wielu informacji, z których Mander i jego przyjaciele mogliby skorzystać. Skierowali ich tylko bliżej siedziby Skydove Freight i ostrzegli, żeby trzymali się z dala od centrum miasta. Starsza kobieta, sprzedająca na krzywym straganie jakieś bure owoce, poinformowała ich, że WSW rozkazało mieszkańcom zgromadzić się na opuszczonym stadionie. Mander wsunął jej w rękę kilka wupiupi. Skinęła głową, ale na odchodnym rzuciła Eddeyowi złe,

gniewne spojrzenie.

Dwa kwartały dalej spostrzegli skręcający za róg śmigacz WSW. Tym razem Mander nie wyłamał się i wycofał wraz z resztą do sieni, żeby nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi. Pojazd był nieco poobijany, a jego przednie działka zaślepione. Kierowca nosił mundur WSW, ale Mander zauważył, że twarz skrywała mu maska oddechowa. Cóż, najwyraźniej WSW nie do końca ufało skuteczności własnych szczepionek.

Podobny śmigacz mógł pomieścić cały oddział żołnierzy, ale ten został tylko wyposażony w głośnik, z którego rozbrzmiewały słowa w basicu, huttyjskim i kilku innych językach. Komunikat brzmiał: dostarczono leki. Będą rozdawane na boisku do procopiłki na południe od centrum miasta. Zaszczepione zostaną tylko osoby posiadające dokumenty wystawione przez WSW. Dokumenty powinni mieć wszyscy obywatele. Ci, którzy ich nie mają, łamią prawo i muszą się o nie postarać. Proszę ustawiać się w kolejce i zabrać ze sobą dokument tożsamości. Po krótkiej przerwie z głośników rozległ się ten sam komunikat w innym języku, a pojazd ruszył dalej ulicą, ignorując przechodniów. Ci z kolei sprawiali wrażenie, że niezbyt im spieszo do skorzystania z pomocy oferowanej przez WSW.

- Zaczęli rozdawać leki - powiedział Mander. - To powinno zadziałać na naszą korzyść. Na ulice wyjdzie więcej ludzi.

- A to z kolei może oznaczać, że zastaniemy biuro Skydove puste - zauważyła Reen - bo wszyscy zbiegną się po szczepionki, które mogliśmy im dostarczyć sami.

Siedziba Skydove Freight rzeczywiście była opustoszała, ale nie wyglądało na to, żeby pracownicy zrobili sobie przerwę na szczepienie. Drzwi wejściowe były wyważone, a okna - powybijane. W środku panował nieopisany bałagan - biurka poprzewracano, a wystające z nich kable zwisały porwane i bezużyteczne. Pod stopami chrzęściły szczątki datapadów i kryształów - wewnątrz zdemolowano, a fotele i krzesła połamano. Pośrodku pokoju ziała dziura, która wcześniej mogła być czymś w rodzaju schronu, do drzwi zaś prowadziły od niej długie ślady,

jakby kogoś - albo coś - wywleczono wbrew jego woli.

Na jednej ze ścian ciemną farbą namazano coś po huttyjsku.

Mander przeczytał:

- „Upadły Wojownik”. Czy to odnosi się do Miki? A może to przesłanie dla tych, którzy go chronili? - zastanowił się głośno.

- Raczej nie uznałabym Huttów za wojowników - mruknęła Reen. - Może to przechwałki ludzi, który to zrobili. - Zatoczyła ręką krąg, wskazując bałagan. - Może to nazwa grupy, jakiegoś gangu, jak tamci na śmigach.

- Dziwna nazwa - mruknął pod nosem Mander. - Rozejrzyjcie się. Sprawdźcie, czy uda się znaleźć jakieś działające datapady. Ja pójdę wypytać sąsiadów.

Sąsiadów jednak nie było - zamiast tego Mander zastał kolejne puste biura. Niektóre były zdemolowane, ale część okazała się nietknięta. W jednym z nich znalazł skulonego za biurkiem młodego mężczyznę.

- Przyprawa, przyprawa - wymamrotał, kiedy Mander się do niego zbliżył.

- Masz przyprawę? - spytał go Jedi.

- Mam lekarstwo - powiedział chłopak. - Spadło z transportowca dziś rano. WSW ma tego po uszy, ale nie rozda bez bawienia się w tę całą papierkologię.

- Pokaż - poprosił Mander i mężczyzna podał mu brudną fiolkę wypełnioną żółtawymi kryształkami. Miała się do przyprawy, którą Jedi i jego towarzysze dostarczyli WSW, tak samo, jak wyobrażenia Reen o Jedi do prawdy o członkach Zakonu.

- Dobra jakość - skłamał Mander. - Ale tym, czego potrzebuję, są informacje. O Upadłym Wojowniku. - Wsaczył do głosu odrobinę sugestii Mocy, dość, żeby skłonić mężczyznę do mówienia.

- Lepiej tam nie chodź - syknął młody człowiek, chowając głowę w ramiona.

- A więc to jest to miejsce - odgadł Mander, wciąż nasycając swoje słowa Mocą. - Powiedz mi, dlaczego nie powinienem tam

Plaga

iść.

- To kantyna dla nie ludzi - wyjaśnił nieznajomy. - Niektórzy mówią, że to nie ludzie zawlekli plagę. Bo nie chorowali. Huttowie, Toydarianie... żaden z nich. Na początku, kiedy zaczęło się robić gorąco, ludzie wygnali ich z miasta.

To dlatego wszyscy patrzyli na Eddeya z ukosa, uprzytomnił sobie Mander. Kiedy coś szło nie tak, ludzie zazwyczaj zaczynali winić tych, którzy byli inni. Obcych, pozaświatowców. Przypomniał sobie rozmowę, którą przeprowadził na pokładzie „Śmiałego” z młodą panią oficer służb planetarnych.

- A co z Huttem? - spytał. - Jego też zabrali?

Mężczyzna wahał się przez chwilę; Mander nie wiedział, czy zastanawia się nad odpowiedzią, czy próbuje walczyć z Mocą zawartą w jego słowach. Wreszcie pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Nie wiem - powiedział. - Tak, był tu Hutt, ale ostatnio go nie widziałem. Możliwe, że nie żyje, ale równie dobrze może być w Wojowniku. Zanim zaraza rozszalała się na dobre, kręcił się tu jakiś Nikto... już po tym, jak splądrowali biuro. Pieprzeni obcy...

Mander stwierdził, że młody człowiek działa mu na nerwy.

- Gdzie jest to miejsce, do którego nie powinienem iść?

Mężczyzna wyjaśnił mu, a potem zamrugł nieprzytomnie i spytał:

- Chcesz tę przyprawę?

- To nie jest przyprawa - stwierdził Jedi, krzywiąc się i napieniając słowa maksymalną dawką Mocy.

Chłopak cofnął się o krok i wzruszył znów ramionami.

- Tak naprawdę to wcale nie przyprawa - powtórzył w oszołomieniu.

- Musisz się zaszczepić - polecił mu wzmocnionym Mocą głosem Mander, a młodzik prawie się potknął i cofnął jeszcze o krok.

- Muszę się zaszczepić - wymamrotał.

- I powiedz innym, że powinni zrobić to samo.

Mężczyzna skinął głową; wzrok miał pusty, nieobecny.

Plaga

- Muszę powiedzieć innym - przytaknął, a potem odwrócił się i zniknął na ulicy, powłócząc nogami, podczas gdy jego mózg próbował dojść do ładu z tym, co przed chwilą się wydarzyło.

Mander zmarszczył czoło. Nie musiał tego robić, ale po rozmowie z Reen czuł potrzebę demonstracji sztuczek Jedi, bardzo silną - choć przecież Reen nie było teraz w pobliżu. Uświadomił sobie, że to była chwila głupiej słabości. Zachował się jak dziecko kopiące w mrowisko - tak samo dojrzałe, tym bardziej że miał już to, czego szukał.

Kiedy wrócił do biura, okazało się, że Reen i Eddey wszystko już przetrząsnęli.

- Byli bardzo dokładni. - Pantoranka westchnęła. - Nie ma tu dość czipów, żeby zapalić pojedynczy fotoreceptor droida.

- Dowiedziałem się, że Upadły Wojownik to kantyna, jakieś dziesięć kwartałów stąd - oznajmił Mander - i że miejscowi obwiniają o zawleczenie zarazy nie ludzi. Musimy być ostrożni.

Reen i Eddey nie odpowiedzieli, ale kiedy wyszli na ulicę, rozglądali się czujnie dookoła na wypadek potencjalnych kłopotów.

Upadły Wojownik mieścił się w budynku przypominającym bunkier; Mander pomyślał, że byłby to całkiem niezły schron, w razie gdyby ludzie postanowili zemścić się na nie ludziach. Jego ściany z permabetonu pokryto dodatkowymi warstwami lokalnego błota, do wejścia prowadziły niskie schodki, a sam budynek był oddzielony od innych szerokimi alejkami i dużym placem. Miał także kilka zapasowych wyjść i wejść.

Mander zauważył w pobliżu, pod bezlistnym, rozłożystym drzewem, kilka zaparkowanych jaskrawo pomalowanych swoopów.

Ich właściciele byli w środku - zajęli połowę baru, przeganiając klientelę innych ras do boksów pod ścianami. Za barem stała poważna, postawna, białowłosa kobieta; na ich widok skinęła głową w geście, który wydawał się być jednocześnie powitaniem, podszytą groźbą nadzieją, że wiedzą, czego chcą i sugestią, że lepiej, żeby tym, czego tu szukali, był drink.

Plaga

Mander i jego towarzysze rozejrzeli się po sali, mrugając, zanim ich oczy przyzwyczyły się do panującego tu półmroku. Przy jednym ze stolików siedział Ithorianin o zażawionych oczach, w boksie obok dwójka Neimoidian rozprawiała o czymś żywo z durosjańskim kuzynem. Nie było tu Rodian, za co Mander podziękował w duchu Mocy. Jakiś Chiss wyjrzał zza zasłony z paciorków, żeby sprawdzić, kto przyszedł, a potem wrócił do przerwanej rozmowy.

Był tu także jeden Nikto - z podgatunku Esral'sa'Nikto, zwanego czasem wśród przedstawicieli ich rasy Ludem Gór. Miał typową dla Niktów, płaską twarz, ale jego bladoszare oblicze okalały duże twarzowe pletwy. Siedział przy końcu baru, śpiący, pijany albo jedno i drugie, oparty plecami o graniczącą z blatem ścianę.

Wytatuowani członkowie gangu swoopów zrobili sobie z niego cel w swojej grze - każdy po kolei popychał w jego stronę po barze na wpół pełny kufel. W zabawie chodziło najwyraźniej o przysunięcie naczynia jak najbliżej nieprzytomnego Nikto, nie wylewając z niego przy tym ani kropelki. Sądząc po wynikach, nie było to łatwe zadanie.

- To pewnie nasz Nikto - mruknął Mander do reszty towarzyszy. - Zajmę się tym.

- I co im zrobisz? Zagadasz ich na śmierć? - zażartowała Reen, ale Jedi zignorował jej uwagę i dał im gestem znak, żeby zostali przy drzwiach.

Jeden z członków gangu, potężny zbir w kapeluszu z szerokim rondem, popchnął swój kufel za mocno - naczynie prześliznęło się po barze, rozchlapując po drodze dookoła pianistą, silnie pachnącą cieczą, a potem uderzyło w inny kufel i spadło na kolana Nikta... a właściwie spadłoby, gdyby nie Mander. Jedi złapał je zwinnie, usiadł na stołku obok nieprzytomnego klienta i podniósł kufel w stronę członków gangu, wznosząc toast, a potem postawił naczynie na blacie.

- Przepraszam, że psuję wam zabawę - powiedział - ale muszę z nim porozmawiać. Za chwilę będziecie mogli wrócić do

Plaga

waszej gry. - Odwrócił się w stronę Nikta i potrząsnął go za ramię.
- Obudź się - powiedział cicho. - Szukam Hutta Miki.

- Hej! - krzyknął ktoś i za chwilę członek gangu, który puścił po barze ostatni kufel, zaczął iść w jego stronę. Mander odwrócił się do niego i natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił błąd - ciała mężczyzn pokrywały nie tatuaze, tylko ciemne, nabrzmiące żyły. Nawałnica, pomyślał w panice, ale rzucił tylko:

- Dajcie nam chwilę. - Nappełnił słowa taką dużą dawką Mocy, jaką mógł na poczekaniu przywołać.

Osilek powinien był zatrzymać się w pół kroku i wymamrotać coś o daniu im chwili, ale zamiast tego podniósł wielką pięść i rąbnął Mandera prosto w szczękę.

Zaskoczony Jedi opadł na jedno kolano, a barowa sala rozmazała mu się przed oczami w barwną smugę. Kiedy podniósł znów wzrok i nieco się otrząsnął, zobaczył, że reszta gangu - sześciu swoopersów - ruszyła w stronę Reen i Eddeya. Nikt nie sięgnął po broń, ale Pantoranka zdążyła już unieszkodliwić jednego z napastników, Eddey zaś bronił się przed trójką krzesłem.

Stojący nad Manderem wielkolud też miał w rękach krzesło i unosił je właśnie nad głowę, żeby go nim uderzyć. Jedi natychmiast oprzytomniał i sięgnął po miecz... który zaplątał się niefortunnie w fałdy jego zerape. Kiedy osilek opuszczał krzesło, Mander odtoczył się na bok i błyskawicznie wstał, a potem zacisnął rękę na mieczu, trzymanym emiterem do siebie. Chociaż mógł go bez trudu obrócić, wbił tylko rękojeść w brzuch oprycha. Powietrze uciekło napastnikowi ze świstem z płuc, a Mander szybko poderwał rękojeść i rąbnął go nią dla odmiany w szczękę. Ogłuszony swoopers upadł na podłogę.

Mander obejrzał się na resztę - Reen rozprawiała się już z drugim członkiem gangu, a Eddey stracił co prawda krzesło, ale jeden z atakujących go swoopersów leżał rozciągnięty na podłodze u jego stóp. Mimo to banda ćpunów nadal miała nad nimi przewagę.

Wielkolud od Mandera podźwignął się na nogi. Żyły na jego twarzy nabrzmiwały teraz jeszcze bardziej, a Jedi dostrzegał także

Plaga

sinawy nalot w kącikach jego oczu. Tym razem obrócił miecz świetlny w dłoni i zapalił ostrze, które z cichym buczeniem obudziło się do życia. Osilek cofnął się od niego o krok, a reszta walczących, zaalarmowana hałasem, natychmiast przerwała bi-jatykę. Wszyscy patrzyli teraz na miecz świetlny, lśniący w mroku kantyny niczym snop światła latarni.

Twarz szefa gangu wykrzywił grymas strachu - nagle w świetle ostrza wydał się niezdrowo blady.

- Chyba powinniście już iść - powiedział Mander i tym razem nie musiał wsączać Mocy w słowa, żeby odniosły one pożą-dany efekt. - I to szybko.

Szef swoopersów cofnął się o jeszcze jeden krok, potem drugi i trzeci, a wreszcie obrócił się na pięcie i pognął co sił w nogach do drzwi; jego ziomkowie - a przynajmniej ci wciąż przytomni - szybko poszli w jego ślady. Po chwili z zewnątrz dobiegł odgłos zapalanych silników, który wkrótce umilkł w oddali.

Reen wezwała gestem barmankę, żeby przedyskutować z nią sprawę pokrycia kosztów bałaganu i uzgodnić, co zrobić z nieprzytomnymi swoopersami, a Eddey podniósł z ziemi kape-lusz z rondem, zgubiony przez osiłka, otrzepał go i przymierzył. Pasował całkiem nieźle. Mander odwrócił się do Nikta, który zdążył już wytrzeźwieć i płaszczył się ze strachu na ścianie przy barze.

- Hutt Mika - powiedział do niego łagodnie. - Szukamy go. Przysłał mnie jego ojciec.

Nikto wymamrotał coś w huttyjskim, potem nabrał głęboko tchu i powtórzył w basicu:

- Tak, tak, zabiorę was do niego. Jest na północy, w Wą-wozie Świątynnym. - Odepchnął się od ściany i prawie na niego przewrócił.

Mander pomógł mu wyjść z kantyny. Na zewnątrz pod uschniętym drzewem wciąż stały trzy swoopy, więc skierował się w ich stronę, dając Reen i Eddeyowi znak, żeby ruszyli za nim. Polecił Niktowi wsiąść na bagażnik jednej z maszyn, a Bothanina

Plaga

poprosił o zajęcie się systemami zabezpieczeń śmigów.

- To było całkiem niezłe - skomentowała akcję w barze Reen. - Wiesz, tak naprawdę wcale nie sądziłam, że spróbujesz zagadać go na śmierć.

- Wiem - mruknął Mander, starając się ukryć zakłopotanie. - Widziałas ich żyły...? To dlatego byli tacy wściekli.

- Zauważyłam to dopiero po rozpoczęciu bójki. Nawałnica.

- Wszystko wskazuje na to, że zakłóca zdolności Jedi do wpływania na umysły... - Mander zerknął na Eddeya, który poradził sobie właśnie z zabezpieczeniem ostatniego ze śmigów i odpalił jego silnik. Maszyna zamruczała cicho, a Bothanin podniósł oba kciuki do góry.

- Wpływa na twoje zdolności? - Reen pokiwała głową. - To niedobrze.

- Bardzo niedobrze - potwierdził Jedi. - Wracajmy na skiff. Zostawimy śmigi, żeby znaleźli je ich właściciele, i polecimy skiffem do tego całego Wąwozu Świątynnego.

Zanim dotarli do skiffu, Nikto wytrzeźwiał na tyle, żeby przeprosić ich za opuszczenie stanowiska w siedzibie Skydove i upicie się. Miał czuwać nad biurem pod nieobecność dzielnego młodego Miki, który postanowił opuścić miasto - na samym początku, kiedy zaraza szalała, a ludzie obarczali winą za nią istoty obcych ras. Mieszkał w biurze od czasu, kiedy Hutt je opuścił, aż do pewnej nocy, kiedy włamał się do niego tłum miejscowych. Udało mu się uciec, ale siedzibę zdemolowano, więc zostawił informację, gdzie go można szukać. Teraz, kiedy przybyła pomoc, zabierze ich do Wąwozu Świątynnego.

Sam wąwóz okazał się jednym z przyjemniejszych miejsc na Endregaadzie - był raczej otoczoną pagórkami doliną niż jarem o stromych stokach. Mimo to na horyzoncie tu i tam wznosiły się wysokie formacje skalne, przypominające na wpół zawalone katedry, od których okolica wzięła swoją nazwę. Nikto dobrze ich popilotował i niebawem, kiedy już wspięli się na ostatni z pagórków, ich oczom ukazał się niecodzienny widok: rozbity statek o silnikach dosłownie wyrwanych z łożysk pod-

czas uderzenia w powierzchnię planety. Mniej więcej kilometr od wraku na zachód ciągnął się płytki rów wypełniony szczątkami; wokół dało się też dostrzec większe fragmenty złomu, przypominające metalowe ołtarze jakichś zapomnianych bóstw. Korpus statku był nadpęknięty wzdłuż na pół, a jego lewa burta została dosłownie wgnieciona w pobliski pagórek.

Pod prawym skrzydłem, w pobliżu luksusowego skiffu ustawiono w cieniu kilka niewielkich namiotów. Kiedy zbliżyli się do obozowiska, z cienia statku wyszło kilku Niktów z różnych podgatunków - Czerwonych, Zielonych i przedstawicieli Ludu Gór. Wszyscy byli uzbrojeni, ale kiedy zobaczyli obok Mandera swojego pobratymca, wyraźnie się rozluźnili.

Eddey zaparkował skiff, a kiedy wysiedli, Nikto z Ludu Gór wyjaśnił reszcie pokrótce w huttyjskim, co się stało. Mówił zbyt szybko, żeby Mander wszystko zrozumiał, ale wylapywał słowa takie jak „mądry Popara” i „Jeedai”.

Przyjrzał się rozbitemu pod skrzydłem obozowisku i zobaczył w słońcu jeszcze jeden duży kształt - Hutta. Był zdecydowanie drobniejszy niż ci, których widział wcześniej. Jego ciało miało blady, zielonożółty kolor, z jaśniejszą plamą na podbrzuszu. Młody Hutt miał na sobie dziwaczną zerape wykonaną z dużego koca, a na głowie wielki kapelusz z rondem, osłaniający oczy od słońca. Mander wyszedł mu na spotkanie.

- Jestem Mander Zuma - przedstawił się w huttyjskim. - Jeśli to ty jesteś Huttem Miką, mam ci przekazać, że twój ojciec martwi się o ciebie.

- Jestem Mika Anjiliac - potwierdził młody Hutt płynnym, perfekcyjnym basikiem. - A mój ojciec ma wszelkie podstawy ku temu, żeby się martwić. Witajcie w punkcie zero plagi Endregada.

ROZDZIAŁ 7. HUTT MIKA

- Kiedy rozpętała się zaraza, nie mieliśmy szansy opuścić planety - powiedział Mika. - I jeśli mam być szczery, wcale nie

miałem takiego zamiaru. Prowadziłem negocjacje z górnikiem na temat szczególnie bogatego złoża geod i byłem naprawdę zaskoczony, jak szybko zapadli na zdrowiu. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, ale mieliśmy zbyt mało leków. Nawet moi Niktowie zachorowali, chociaż ci, którzy przeżyli, uodpornili się.

Stali pod skrzydłem roztrzaskanego statku. Ochroniarze rasy Nikto ustawili wokół nich parawany z grubego materiału, zatrzymujące większość pyłu i piasku, i urządzili wygodny, zaciszny kącik dla swojego huttańskiego pana. Na dywanach, które pewnie pochodziły z wnętrza statku, rozrzucono brokatowe poduszki - Reen i Mander usiedli na nich, Eddey zaś, wciąż w swoim kapeluszu z szerokim rondem, kręcił się wokół statku i przyglądał zniszczeniom powstałym w wyniku katastrofy. W bezpiecznej odległości za nim trzymało się cały czas dwóch Niktów.

Kolejny ochroniarz podał Mice parującą misę, nad którą Hutt pochylił twarz, inhalując unoszące się z niej opary. Mimo zabiegów pielęgnacyjnych jego skóra była w wielu miejscach sucha i spękana. Inni słudzy przynieśli Reen i Manderowi wysokie kieliszki wypełnione woniowinem. Nawet tutaj, w dziczy i na odludziu, Hutt nadal nie potrafił się obejść bez luksusów, do których nawykł, pomyślał z pewnym rozbawieniem Mander.

Mika odetchnął głęboko i podjął:

- W Tel Bollin sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Rząd upadł, a zapasy środków medycznych błyskawicznie się wyczerpały. W ciągu doby zaraza ogarniała całe kwartały miasta. Wkrótce po mieście zaczęły krążyć historie, jakoby za zawleczenie jej tutaj byli odpowiedzialni handlarze, pozaświatowcy i obcy. Zaczęły się podpalenia... - Mika westchnął. - Okazało się, że ci, którzy obwiniali pozaświatowców, mieli rację, jednak nie do końca było tak, jak myśleli. Sprawdziłem trasę rozprzestrzeniania się zarazy i odkryłem, że pierwsze przypadki pojawiły się w Wąwozie Świątynnym. Kiedy w mieście zaczęło się robić gorąco, wraz z moją świętą opuściłem biuro i zacząłem węszyć. Zostawiłem Orgamona w siedzibie Skydove z poleceniem rozpuszczenia wici

Plaga

i oczekiwania na pomoc. - Spojrzał na trzeźwego już Nikta, który rozmawiał ściszym głosem ze swoimi ziomkami. - Wygląda na to, że nie wywiązał się z tego pierwszego zadania, jednak z drugim poradził sobie śpiewająco. - Hutt odwrócił się znów do przybyszów, przyglądając się im wielkimi, wyrazistymi oczami. - Udało mi się potwierdzić, że pierwsze, najbardziej zjadliwe przypadki wystąpiły w tym rejonie. Kiedy tu przybyliśmy, zaczęliśmy szukać, dopóki nie trafiliśmy na ten statek. - Spojrzał w górę na poczerniały, powykręcany kadłub. - Sądząc po zniszczeniach i stanie statku, katastrofa miała miejsce całkiem niedawno... według mnie maksymalnie dwa tygodnie, zanim epidemia ogarnęła całe Tel Bollin.

- A co to za statek? - zainteresował się Mander.

- Cóż, w tym cały szkopał. - Mika westchnął. - Nie mam pojęcia.

- To YV-100 - pospieszyła z odpowiedzią Reen. - Model produkcji Corellian Engineering Corporation, ale nawet po szczątkach widać, że silnie zmodyfikowany... i to nietypowo.

- Znamy producenta, ale nie mamy żadnych dowodów sugerujących, kto był jego właścicielem - uściślił Mika. - W naszych rejestrach nie ma żadnych informacji, które wskazywałyby na jego powiązania z Gildią Wydobywców w Tel Bollin, a dziennik pokładowy i inne dokumenty statku nie zachowały się. Wszystko uległo zniszczeniu podczas kraksy. Znaleźliśmy ciała załogi - Kordian - i spaliliśmy szczątki, postępując w miarę możliwości zgodnie z ich zwyczajami.

- Możemy sprawdzić numery seryjne silników - podsunęła Reen.

Hutt milczał przez chwilę, po czym skinął głową jednemu z ochroniarzy. Nikto natychmiast podszedł z datapadem do leżącego w pobliżu silnika, a Mika tymczasem wskazał krótką rączką na zachód.

- Przypuszczam, że to byli szmuglerzy... przemyt geod jest tu dość popularnym zajęciem. Inaczej wylądowałiby w Tel Bollin. O ile można stwierdzić, statek podszedł do lądowania pod bar-

Plaga

dzo niskim kątem z zachodu. Sądzę, że zawadził o jeden z głązów strażniczych, o, tam. Może lecieli w nocy albo podczas burzy? Gdyby pilotka była bardziej doświadczona, mogłaby spokojnie wylądować nawet w takich warunkach. Możliwe, że byli już zarażeni.

- Co przewozili? - zainteresowała się Reen.

Hutt wzruszył ramionami - jego ciałem wstrząsnął dreszcz, pełznący stopniowo w dół ramion i ogona.

- Kiedy moi ludzie znaleźli statek, był już pusty. Może lecieli na sucho? Albo mieli stąd coś... czy też kogoś zabrać?

- A może ktoś znalazł statek przed wami i go splądrował? - podsunął Eddey. Mander nie zauważył, kiedy Bothanin dołączył do ich grupy - stał teraz obok, przysłuchując się rozmowie. Chwilę później podszedł do Jedi i wyciągnął w jego stronę zamkniętą dłoń. - Znalazłem jej resztki w ładowni. - Ostrożnie przesypał zawartość garści do ręki Mandera: piasek. Kiedy jednak Jedi przyjrzał się lepiej, zobaczył między ziarenkami kwarcu fioletowe kryształki.

- Nawałnica - powiedziała cicho Reen, która także nachyliła głowę, żeby się przyjrzeć.

- Niewiele tego, a wszystko wymieszane z pyłem i piachem, ale sądzę, że pochodzi ze statku - stwierdził Bothanin.

- Nawałnica? - spytał Mika, przyglądając im się z uwagą.

- Twarda przyprawa, bardzo silnie uzależniająca - wyjaśnił Mander, wyciągając dłoń z piaskiem w stronę Hutta. Mika cofnął się, ale skinął na jednego ze swoich Niktów, polecając mu przynieść próbkę. Kiedy ten postarał się o pojemnik, w którym dostarczył Mice piasek, Hutt zaczął się wpatrywać w substancję swoimi wielkimi, lśniącoymi oczami, całkiem jakby samym wzrokiem mógł przeniknąć skrywane przez nią tajemnice.

- Kiedy tu przybyliśmy, znaleźliśmy podobne, purpurowosine plamy na piasku - powiedział wreszcie. - Pomyślałem wówczas, że to jakiś płyn, który wyciekł z układów statku po katastrofie. A więc to przyprawa... Muszę przyznać, że nigdy wcześniej takiej nie widziałem.

Plaga

- My widzieliśmy... a także jej skutki - oznajmiła ponuro Reen. - Powoduje napady wściekłości. Jednym z objawów nadużywania są też nabrzmiałe, sine żyły, widoczne przez skórę. - Pod koniec zdania lekko podniosła głos, chcąc podkreślić znaczenie swoich słów.

Mika zmarszczył szerokie czoło.

- Wydaje mi się, że widziałem w mieście kilka osób z takimi objawami. Moja rodzina co prawda handluje w ograniczonym zakresie przyprawą, ale nie jej twardszymi odmianami. Mój ojciec na pewno o tym gatunku nie słyszał, ale muszę powiedzieć, że teraz to zaczyna nabierać sensu. Jeśli statek przewoził na pokładzie niebezpieczny narkotyk, pewnie jego załoga była tu umówiona z lokalnym kontaktem. Coś poszło nie tak i statek się rozbił, a ten kontakt go znalazł..

- ...a potem zabrał przyprawę i sprzedał ją miejscowym, przyczyniając się przy okazji do rozprzestrzenienia zarazy - dokończyła Reen.

Hutt skinął głową i dodał:

- Możliwe, że do przeniesienia ładunku wynajęli lokalnych górników. To by wyjaśniało, dlaczego to oni zachorowali pierwsi.

- Pierwszy raz zetknąłem się z tym narkotykiem na Makem Te - wyjaśnił Mander. - Mielśmy tam też małe starcie z członkami klanu Bomu, Rodianami, zajmującymi się jego dystrybucją. Później, kiedy zjawiliśmy się na orbicie Endregaada, zostaliśmy zaatakowani przez ich statek.

Mika pochylił się w jego stronę, zaintrygowany.

- A więc niewykluczone, że jeśli to Rodianie są zamieszani w handel tą przyprawą, ten tu statek też należał do nich... A może ci, którzy was zaatakowali, wiedzieli o ładunku przyprawy i zestrzelili frachtowiec... i właśnie to stało się przyczyną katastrofy?

- Całkiem możliwe, że zarówno załoga frachtowca, jak i nasi Rodianie pracowali w tej samej siatce - zauważył Mander.

Mika opadł na oparcie swojego siedziska i pogładził z namysłem skryty pod fałdami tłuszczu podbródek.

- Pewnie ci Rodianie kręcili się na orbicie, bo nie mogli

Plaga

wylądować i dostać się do ładunku Nawałnicy.

- Albo nie mieli z tym nic wspólnego i czekali tam na nas - skwitowała Reen.

Hutt otworzył oczy jeszcze szerzej i przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

- Rodianie traktują zemstę bardzo serio - tłumaczył Mander - a my daliśmy im dobry powód, żeby nas ścigali. Poza tym bardzo prawdopodobne, że są też zamieszani w śmierć naszego... przyjaciela.

Mika przyglądał się Reen jeszcze przez chwilę bez słowa, aż wreszcie go olśniło:

- Ty jesteś Pantoranką, jak tamten Jedi! Jak mu było? Toro?

- Było - zgodziła się Reen z nachmurzoną miną. - Został zabity.

Hutt skrzywił się ponuro.

- Przykro mi - powiedział, a jego słowa brzmiały, jakby rzeczywiście jej współczuł. - Spotkałem się z nim kilka razy podczas negocjacji. Wydawał się bardzo dzielny i... uczciwy.

- To właśnie jedna z rzeczy, których chcemy się dowiedzieć - dodał Mander i Mika znów skupił na nim wzrok. - Bomu mogą nas ścigać z powodu Nawałnicy albo w związku ze współrzędnymi Spirali Indrexu.

- Tak? - mruknął młody Hutt. - A więc doszliście do porozumienia w sprawie koordynatów? Cóż, pewnie właśnie dlatego tu jesteście. Owszem, sam z nich skorzystałem.

- Czy nie interesował się nimi przypadkiem ktoś jeszcze? - spytał Mander. - Albo inaczej: czy był ktoś, kto mógł nie chcieć, żeby te współrzędne wpadły w czyjeś ręce?

- Nie - stwierdził Mika po chwili namysłu. - My... weszliśmy w posiadanie tych koordynatów jakieś sześć standardowych miesięcy temu i korzystaliśmy z nich, żeby przyspieszyć proces naszych dostaw. Przy okazji wyszło na jaw, że to trasa lepsza dla lekkich frachtowców niż dużych statków. Mój ojciec zawsze mawia: *Jopando ki fofon* - informacje są jak owoc: łatwo się psują i szybko stają się bezużyteczne. Jak tylko coś odkryjesz, szanse,

że ktoś inny wpadnie na to samo... albo zorientuje się, że się tego dowiedziałeś... gwałtownie rosną. Bothanie pewnie doskonale o tym wiedzą. - Skinął głową w stronę Eddeya, który na znak, że się z nim zgadza, dotknął róna swojego kapelusza. Mika wrócił do przerwanej rozmowy: - Rozpuściliśmy wici z informacją o istnieniu trasy i z zaskoczeniem stwierdziliśmy, że najrozsądniejsza oferta nadeszła od Nowego Zakonu Jedi. Uznaliśmy, że to dobry interes, ponieważ wiedzieliśmy, że rozpowszechnicie te informacje bez większego zysku dla was, a my tylko na tym skorzystamy. Możesz wypytać jeszcze mojego ojca, ale z tego, co wiem, nie braliśmy poważnie pod uwagę innych oferentów.

- To jednak wcale nie znaczy, że nie dotarł tu ktoś jeszcze, z nadzieją, że inni będą się trzymać z dala od tego miejsca - zauważył Jedi.

Hutt zastanawiał się nad jego słowami przez moment, a potem skinął głową.

- Tym bardziej, jeśli ten ktoś wykorzystywał tę trasę do przemykania tej twardej przyprawy, tej całej Nawalnicy - powiedział. - To z kolei oznacza, że miałyby wszelkie powody do powstrzymania każdego, kto mógłby zdradzić jego sekret.

- Włącznie z Anjiliacami... - zaczął mówić Mander, ale przerwały mu nagłe okrzyki niktańskich strażników. Pokazywali sobie coś na zboczu od strony Tel Bollin.

Mander wstał i podszedł do granicy cienia rzucanego przez skrzydło statku, żeby lepiej widzieć. Na krawędzi stoku stało dwadzieścia kilka śmigów, dosiadanych przez ubranych w barwne stroje jeźdźców. Jedi rozpoznał wśród nich trzy maszyny, które „pożyczyli” wcześniej od gangu i porzucili w miejscu, w którym zaparkowali wcześniej skiff.

- Wrócili nasi przyjaciele - mruknął pod nosem.

- Przyjaciele? - powtórzył Mika.

- Gang swoopersów! - wykrzyknęła Reen, wyciągając z kabury blaster. - Są uzależnieni od Nawalnicy...

Eddey także sięgnął po broń i zajął pozycję obok Pantoranki. Mander zauważył, że Bothanin jest uzbrojony w niewielki,

Plaga

podręczny blaster, którego wcześniej u niego nie widział. Zapalił miecz świetlny; ostrze wystrzeliło z klingi z cichym buczeniem.

Za nimi grupka Niktów otoczyła Mikę i odeskortowała do jego skiffu. Reszta, z karabinami blasterowymi w dłoniach, rzuciła się w poszukiwaniu prowizorycznych kryjówek.

Przywódca gangu, osiłek, któremu Eddey zabrał kapelusz, podniósł dłoń i wydał z siebie wojenny okrzyk. Eskadra śmigłów sfrunęła w dół zbocza, ostrzeliwując ich grupę z działek blasterowych.

Pierwsza seria wykosiła kilku Niktów, którzy nie zdołali znaleźć schronienia, ale trzech kolejnych, którzy zdążyli już zająć pozycje wokół wraku, odpowiedziało napastnikom ogniem. Trafili kilku swoopersów, jednak pozostali przy życiu nie dali za wygraną.

Jeden z nich, dosiadający maszyny przyozdobionej czaszką gundarka i lecący na przedzie kolumny, obrał sobie najwyraźniej za cel Mandera, bo kierował strzały w jego stronę. Jedi odbił kanonadę, a potem, kiedy śmig rozpoczął szarżę, skoczył naprzód.

Skok był dobrze wymierzony - Jedi znalazł się tuż za śmigiem swoopersa i przeturlał się pod maszyną, w trakcie manewru wbijając w nią ostrze swojego miecza. Jeździec zeskoczył z siodełka, ale poruszał się zbyt wolno i w ułamku sekundy jego oddzielona od reszty ciała głowa i prawe ramię upadły w piach. Pozbawiony kierowcy swoop poleciał dalej, prosto na samotną skałę, nad którą przeकोziołkował, trafiając w szczątki rozbitego statku.

Mander złapał równowagę i skrzywił się, czując dojmujący ból w kostce. Tymczasem pierwsza fala śmigów minęła ich obozowisko i teraz przegrupowywała się z dala, szykując do kolejnego ataku. W pierwszym starciu poległo zaledwie czworo członków gangu, a do natarcia szykowało się wciąż kilkunastu. Wkrótce ruszyli na nich z triumfalnym okrzykiem na ustach.

Mander rozejrzał się pospiesznie. Nigdzie nie widział śladu Miki ani jego strażników. Eddey i Reen kulili się za stertą

skrzynek i ostrzeliwali się zaciekle. Oцениwszy sytuację, stwierdził, że podczas ataku poległa większość Niktów i uświadomił sobie, że atakujący mają przewagę dzięki temu, że są mobilni i dysponują większą siłą ognia. W tej sytuacji najlepszym wyjściem będzie przejęcie inicjatywy, uznał.

Wybiegł na otwartą przestrzeń, szarżując wprost na przywódcę gangu. Ten dobył z pochwy u pasa długie, zakrzywione ostrze i nakierował swoją maszynę na Jedi, zamierzając rozprawić się krwawo z tym, który go wcześniej upokorzył.

Mander czuł z każdym krokiem promieniujący ze zranionej kostki ból i podczas niepewnego biegu starał się ją chronić. Kiedy przywódca gangu zobaczył, że przeciwnik kuleje, wydał z siebie triumfalny okrzyk; jego twarz wykrzywił grymas wściekłości - efekt nadużywania Nawałnicy. Jedi zaczął do ostatniej sekundy, a potem podniósł miecz na wysokość ostrza swoopersa...

Świetlna klinga cięła bez trudu przez metal, ale to nie nóż oprycha był jego celem - przeciąwszy klingę, promień energii zagłębił się w brzuch przywódcy, a potem w siodełko i dalej, w złączki i silniki manewrowe. Coś zgrzytnęło i maszyna zakotyła się na boki, wlokąc martwego jeźdźca przez piach jeszcze kilkanaście metrów, zanim roztrzaskała się o silnik zniszczonego statku.

Wokół zaroilo się od strzałów z blasterów; Mander odbił większość z nich, kuśtykając w stronę osłaniających go Reen i Eddeya. Napastników zostało mniej niż tuzin, ale broniących się Niktów była już tylko garstka. Ocalałe śmigie zawinęły, szykując się do następnej szarży - najwyraźniej pozbawienie grupy lidera wcale ich nie zniechęciło.

W tej samej chwili z za wraku frachtowca wynurzył się skiff Miki z Huttem stojącym dumnie za kontrolkami przedniego działka. Broń obudziła się do życia, a jej lufa przesunęła się płynnym, pewnym łukiem, zbierając zniwo pośród szarżujących swoopersów. Dwie z maszyn natychmiast stanęły w płomieniach, a ich eksplozje uszkodziły kolejne dwie. Pozostali przy życiu

Plaga

członkowie gangu poszli po rozum do głowy i zwiali, kierując się w stronę zbrocza, ścigani kilkoma pożegnalnymi salwami oddanymi z blasterów przez Eddeya i Reen.

Mander odwrócił się w stronę skiffu Hutta - Mika zasalutował mu, ale w tej samej chwili zza pojazdu wynurzył się ostatni ze śmigów; dosiadający go ranny jeździec wycelował w plecy Hutta z bliźniaczych działek maszyny... Mander chciał krzyknąć i ostrzec Mikę, ale swoopers już nacisnął spust. I wtedy Hutt zrobił unik. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Mander nie mógł w to uwierzyć: młody Mika schował głowę w ramiona i rzucił się w bok, a strzały z blasterowych działek trafiły w stanowisko strzelnicze skiffu, raniąc przy tym jednego z Niktów, jednak samemu Huttowi nic się nie stało. Nim minęło kilka sekund, Eddey, Reen i pozostali przy życiu Niktowie unieszkodliwili spóźnialskiego swoopersa i było po wszystkim.

Strzelanina skończyła się tak samo szybko, jak się zaczęła - teraz o potyczce świadczyły tylko porozrzucane tu i ówdzie ciała i znaczące piach ślady po strzałach z działek i blasterów. Mander rozejrzał się w poszukiwaniu Niktów; atak przeżyło tylko pięciu, jednak żaden z członków gangu - oprócz tych nielicznych, którzy uciekli - nie uszedł z życiem. Twarze zabitych, poznaczone nabrzmiałymi od Nawałnicy żyłami, wykrzywiały grymasy wściekłości.

Kiedy Eddey i Reen podeszli do Mandera, pokręcił głową.

- Nikt nie przeżył.

- Nie wiedziałem, że chciałeś ich przesłuchać... - mruknął Bothanin.

Teraz to Reen pokręciła głową.

- Może sam powinieneś się zatroszczyć o zostawienie kogoś przy życiu - stwierdziła z przekąsem. - Chociaż, fakt, miecz świetlny nie ma trybu ogłuszania.

Mika wysunął się z cienia kryjówki w asyście dwóch Niktów.

- Dziękuję - odezwał się do niego Mander.

- Twoje chwalebne czyny zostaną nagrodzone - odparł

Plaga

Hutt. - Dzięki temu, że ich częściowo unieszkodliwiłeś, mogłem wkroczyć do akcji. Gdybym zareagował zbyt wcześnie, ściągnąłbym na siebie cały ogień. Wiedziałeś, że się tu zjawią?

- To byli ci uzależnieni od Nawałnicy, których spotkaliśmy wcześniej - wyjaśnił Jedi. - Widocznie nas śledzili.

- Pewnie tak - przyznał młody Hutt, ale nie wyglądał na przekonanego. - Co teraz?

Mander rozejrzał się po pobojowisku.

- Jeśli nie masz tu nic więcej do załatwienia, chciałbym, żebyśmy wrócili na pokład naszego statku. W miarę możliwości niepostrzeżenie.

- Możemy umieścić naszych rannych na jednym skiffie, a ja polecę z wami drugim - zaproponował Hutt. - A potem... odlatujemy?

- Jak tylko dotrzemy do naszego statku, wyślemy twojemu ojcu wiadomość - zapewnił go Mander. - Jeśli jednak nie napotkamy następnych kłopotów, możemy tu zostać jeszcze kilka dni. WSW rozprawdza przyprawę, którą przekazał im twój ojciec. Lepiej będzie chyba poczekać, aż odwołają kwarantannę.

- Chwileczkę - mruknął Hutt, unosząc wzrok w niebo. - Chyba szykuje się zmiana planów.

Eddey także coś warknął - najwyraźniej dosłyszał dźwięki niestyszalne dla ludzkich uszu.

Reen spojrzała za ich przykładem w zasnute dymem niebo.

- O co chodzi? - spytała niepewnie. - Nic nie słyszę...

Mander przeskanował wzrokiem horyzont.

- Masz rację - zwrócił się do Hutta. - Chyba mamy następnych gości. - Ledwie zdołał to powiedzieć, w zasięgu ich wzroku pojawiły się trzy myśliwce typu IRD. Jeden z nich zawinął w kierunku Tel Bollin, a dwa pozostałe przeleciały nad obozowiskiem, szukając miejsca do lądowania.

- Oho, nadlatuje kawaleria powietrzna - mruknęła kpiąco Reen. - W samą porę, tuż po walce...

- Bardziej prawdopodobne, że to właśnie ta walka ich tu

ściągnęła - poprawił ją Mander.

- Macie jakiś plan? - spytał Mika, zerkając kątem oka na Jedi.

- Grajmy fair. - Mander westchnął, na co Reen prychnęła lekceważąco. - Tak czy inaczej - ciągnął Jedi, zwracając się do Miki - twój ojciec poprosił najpierw WSW o odszukanie cię, a teraz... cóż, wygląda na to, że cię znaleźli.

Oficer lotów Lockerbee miał na sobie swój wyprasowany na kant mundur, ale zachowywał się z większą rezerwą i bardziej oficjalnie, niż Mander mógłby się po nim spodziewać. Wydając szorstkim tonem rozkazy, trzymał się z dala od Jedi i jego towarzyszy. Wszyscy mają zostać w obozowisku, zarządził. Z pokładu „Śmiałego” zostanie przysłany prom, który zabierze rannych. Reszta IRD ruszy w pościg za zbiegami na śmigach. Nie, nie będą mogli wrócić na pokład „Nowej Ambicji”, przynajmniej dopóki nie rozmówi się z nimi porucznik Krin. Ach, i jeszcze jedno - pani komandor chce się natychmiast widzieć z Jedi Manderem Zumą.

ROZDZIAŁ 8. KONSEKWENCJE

Wszystko wskazywało na to, że żądając spotkania z Manderem Zumą, pani komandor miała na myśli to, że chce go zamknąć na trzy spusty i trzymać pod kluczem nie wiadomo jak długo.

Dwa następne dni Mander spędził w wygodnych, ale pilnie strzeżonych kwaterach na pokładzie drednota „Śmiały”. Pokoje były wyposażone we wszelkie udogodnienia i na wielu światach zostałyby uznane za bardziej niż przyzwoite apartamenty - z osobną sypialnią i łazienką. Efekt psuła jedynie bezustanna obecność uzbrojonych w karabiny blasterowe żołnierzy WSW pod drzwiami, jednak Mander miał okazję ich oglądać tylko wtedy, kiedy dostarczano mu posiłki. Nie pozwolono mu widywać się ani kontaktować z nikim, nie miał też dostępu do systemu łączności ani do biblioteki statku.

Plaga

Zostawiono go sam na sam z jego myślami, co zresztą wydawało mu się bardziej niż wystarczającą karą za jego „wykroczenie”.

Między posiłkami medytował i spał; jeśli w jego kwaterach były kamery - a zakładał, że tak - to osoby nadzorujące monitoring mogły obserwować tylko, jak je, śpi i odpoczywa w stanie, który przypominał drzemkę. W rzeczywistości Mander rozmyślał o wszystkim, czego się dowiedział na Endregaadzie.

Wszystko wskazywało na to, że zaraza była ściśle powiązana z handlem Nawałnicą, co oznaczało, że epidemia mogła wybuchnąć również na innych, gęściej zaludnionych światach. Całkiem możliwe zresztą, że już do tego doszło i że nie została ona po prostu wykryta pośród innych, bardziej zjadliwych chorób. Może też wyleczono ją dzięki specyfikom tradycyjnie aplikowanym profilaktycznie na bardziej cywilizowanych planetach, a oddziałującym na inne przypadłości. Nie można było się nie zgodzić, że takie odludzie jak to, w dodatku o niskiej populacji, było idealnym miejscem do rozplenienia się nowej plagi.

Pytanie, które się nasuwało, brzmiało: czy ten statek niewiadomego pochodzenia i należący do nieznanego właściciela dokował wcześniej na planecie, na której wybuchła epidemia, czy może to sama Nawałnica była źródłem zarazy? Mander zapamiętał, żeby poprosić panią porucznik o przebadanie próbek przyprawy i materiału pobranego od zakażonych mieszkańców pod kątem sprawdzenia miejsca pochodzenia. To znaczy, jeśli będzie miał znów okazję się z nią zobaczyć...

Wiedział, że kiedyś w końcu muszą ich wypuścić. Przetrzywanie w nieskończoność Hutta było równoznaczne z proszeniem się o kłopoty - a już szczególnie takiego Hutta, którego rodzinie zależało na jego oswobodzeniu. A kiedy Mika powróci na jej łono... cóż, wieści o tym, że Mander został zatrzymany przez służby WSW, z pewnością rozejdą się lotem błyskawicy - jeśli Anjiliacowie nie poinformują o tym Zakonu dobrowolnie, bez dwóch zdań nie omieszkają sprzedać tej informacji, a wtedy Jedi niechybnie zwrócą się z prośbą o jego uwolnienie.

On zaś nie zgodzi się na to, dopóki nie otrzyma gwarancji, że razem z nim uwolnieni zostaną także Reen Irana i Eddey Be'ray.

To zaś oznaczało, że musi się po prostu uzbroić w cierpliwość. Nie było innego wyjścia. Mimo to żałował, że nie może się z nimi skontaktować - zwłaszcza z Reen. Trudno mu było wyobrazić sobie, jak ciężko dziewczyna znosi areszt.

Mysłąc o niej i o Eddeyu, zastanawiał się czy w ich aktach jest coś, co mogłoby skłonić WSW do wniesienia przeciwko nim innych zarzutów. Uznał, że to mało prawdopodobne. Reen nie była zanadto skłonna zwierzyć się, że ona i Bothanin byli wcześniej zamieszani w przemyt, więc zakładał, że nie było to ich stałe zajęcie. W końcu słono za to zapłacili i stracili statek, co by sugerowało, że zajmowali się tym raczej dorywczo. Podejrzewał, że Pantoranka zgodziła się przyjąć takie zlecenie impulsywnie; może uznała wynagrodzenie za na tyle wysokie, że warte ryzyka.

Reen bardzo mu przypominała w tym względzie jej brata Tora: impulsywnego, dającego się łatwo ponieść emocjom, gotowego podjąć ryzyko bez zastanawiania się nad skutkami swojego postępowania. Jego impulsywność dawała mu też co prawda pewną przewagę - myślenia poza ogólnie przyjętymi ramami, ale też często wpędzała go w tarapaty, z których wybrnięcie wymagało często olbrzymiego wysiłku.

Mander Zuma przypomniał sobie ich pierwszy pojedynek jako Mistrza i ucznia, w prakseum na Yavinie Cztery. To, co rozpoczęło się jako zwykłe ćwiczenia, przerodziło się w przyjacielskie, regularne starcia, podczas których Toro wypróbowywał na nim coraz to nową taktykę i nowe posunięcia, nad którymi nieustannie pracował. Wskutek tego Mander zaczął spędzać coraz więcej czasu, szperając wśród starych holotekstów na temat stylów walki i próbując zrozumieć ich podstawy. Zazwyczaj okazywało się, że nowe ruchy „odkrywane” przez Tora zostały wymyślone wieki temu przez innych Jedi, którzy opracowali także techniki kontrataku. Mimo to młody Pantoranin był chętnym, pełnym entuzjazmu i pojętym uczniem i wydawał się nie mieć żalu, że inni Jedi kroczyli wcześniej ścieżkami, które sobie

wybierał.

Tego dnia, kiedy po raz pierwszy stoczyli pojedynek, Toro walczył własnoręcznie skonstruowanym mieczem - zrobił go sam, umieszczając w nim wybrany przez siebie kryształ, tak samo jak przed nim Mander. Ostrze jego broni miało czysty, jasnoniebieski odcień, znakomicie pasujący do koloru jego ciemnobłękitnej skóry. Rękojeść jego broni była krótsza niż miecza Mandera, ale młody Pantoranin władał nim z pełną gracji płynnością, całkiem jakby broń była przedłużeniem jego ciała. Mander pomyślał wówczas z pewnym żalem, że wkrótce jego uczeń, Toro, opuści prakseum i sam zostanie Rycerzem Jedi... Wtedy nie wiedział jeszcze, jak szybko to nastąpi.

Tamtego dnia przed pojedyńkiem zaszalutowali sobie, a potem zaczęli walczyć - ich ostrza starły się w ataku i obronie. Obydwaj odpierali ciosy - Toro cały czas czekał na odpowiednią chwilę, żeby wypróbować na swoim Mistrzu jakąś nową sztuczkę, a Mander - aż jego uczeń go zaskoczy. Toro napierał, a Mander wycofywał się kilka kroków i unikał ataku, żeby za chwilę samemu zaatakować i zmusić Tora do obrony.

W pewnym momencie Pantoranin spostrzegł w ruchach swojego Mistrza pewną lukę - słabość, której Manderowi nigdy wcześniej nie zdarzało się okazać podczas walki, a która dawała Torowi szansę na zaatakowanie starszego Jedi z niechronionego boku. Kiedy padawan się zorientował, że ma pewną przewagę, wykorzystał ją, nacierając na Mandera serią szerokich ciosów. W tej chwili Mistrz Jedi zauważył, co się święci, i szybko sparował atak, ale wtedy Toro zdążył się już wycofać, po czym błyskawicznie zaatakował ponownie - tym razem z góry, tnąc z furją trzymanym oburącz mieczem.

Mander rozpoznał tę taktykę. Widział ją wcześniej na przeglądanych w archiwum hologramach; była wykorzystywana dość powszechnie jakieś dwa wieki wcześniej, głównie ze względu na jej żywiołowy charakter. Mogła robić wrażenie na postronnych widzach, ale istniało kilka ciosów, które skutecznie osłabiały jej efektywność - między innymi prowokowana blokada.

Mander podniósł własne ostrze do góry i miecze obu Jedi starły się przy akompaniamencie przenikliwego skwierczenia kling. Impet ciosu Tora sprawił, że Mander na chwilę stracił równowagę, ale szybko opadł na kolana i wytrzymał paradę. Choć to on był teraz celem ataku, miał pewną przewagę nad przeciwnikiem: mógł w ograniczonym zakresie pokierować jego ruchem, bo ten włożył w niego całą siłę i nie dałby rady przekierować energii na kolejny, niespodziewany manewr. Mander bez trudu mógł przesunąć jego ostrze w lewo albo w prawo, przerywając kontakt i zyskując nad nim przewagę, jednak zamiast tego przytrzymał miecz Tora w starciu przez dłuższą chwilę. Czuł, jak Pantoranin napiera na jego ostrze, próbując najpierw zepchnąć je na jedną, potem na drugą stronę. Za każdym razem udaremniał te próby, zmuszając Tora do utrzymania pozycji. Jego uczeń został schwytyany w pułapkę - mógł tylko odpuścić i wycofać się, dając za wygraną, która przypadłaby wówczas w udziale Manderowi.

Do starszego Jedi dotarło w pewnej chwili, że Toro zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę. Wykorzystywanie prowokowanej blokady do unieruchomienia ostrza przeciwnika było jednym z podstawowych manewrów i żaden Jedi nie mógł mu zaradzić, kiedy uświadomił sobie, że jego przeciwnik ma nad nim przewagę. Czyżby Toro Irana to wszystko zaplanował? - zastanowił się Mander.

- Mistrzu - powiedział wówczas Toro głosem przesyconym Mocą - chcesz opuścić broń.

Mander poczuł, jak Moc przenika przez niego; jego umysł był jak statek, niesiony falą przyływu. Przez chwilę sądził, że prośba - czy rozkaz - jego ucznia jest w pełni uzasadniona i zmniejszył nacisk, poddając się woli Mocy. Wtedy Toro uśmiechnął się, napał mocniej... i nagle fala się załamała. Mander wiedział już, co próbuje zrobić jego uczeń: Toro korzystał z Mocy, stosując zwykłą sztuczkę z wpływaniem na umysł, żeby go zmanipulować. Poczuł nagły napływ sił, sprzeciwił się naciskowi i wytrzymał cios, sprawiając, że Toro stracił równowagę. Zasko-

czony oporem, zachwiał się w jego stronę. Wtedy Mander skierował jego miecz w prawo i cofnął się o krok, w ostatniej chwili zmuszając go do ustąpienia i próby odzyskania utraconego balansu. Zakończył starcie zdecydowanym ruchem nadgarstka i krótka rękojeść miecza Tora wysunęła się z uścisku jego palców.

Pantoranin przetoczył się na bok i spróbował natychmiast podźwignąć się na nogi, przywołując do ręki utraconą broń, ale jak tylko spostrzegł, że Mander stoi nad nim z ostrzem wycelowanym w jego pierś, zrezygnował z jej odzyskania. Podniósł obie ręce do góry w geście kapitulacji. Pojedynek się zakończył.

Mimo to jego Mistrz nie ruszył się z miejsca. Czuł, jak narasta w nim słuszny gniew.

- To było wyjątkowo głupie zagranie - zbeształ ucznia, starając się, żeby słowa nie brzmiały jak pretensja, tylko upomnienie. Nie udało mu się. - Nigdy więcej nie próbuj tak mną manipulować!

Toro otworzył szerzej oczy i Mander zobaczył w nich coś, czego nigdy wcześniej nie widział: strach. Powoli podniósł ostrze, dezaktywował miecz i wyciągnął do Tora dłoń. Pantoranin wahał się przez ułamek sekundy, ale szybko przyjął pomoc i podźwignął się na nogi.

- Wybacz, Mistrzu Zumo - bąknął. - Nie chciałem cię rozzłościć.

- Nie rozzłościłeś mnie - zapewnił go Mander, ale jak tylko wypowiedział te słowa, zorientował się, że kłamie. - Po prostu mnie zaskoczyłeś, co, jak sądzę, było twoim zamiarem.

- Owszem - przyznał Toro, szukając w jego oczach śladu wybaczenia. - Nie wiedziałem, że wcześniej ktoś już tego próbował.

- Tak było, możesz mi wierzyć - zapewnił go łagodnie Mander, przechodząc od karcącego tonu do łagodnego pouczenia. - I właśnie dlatego nie powinieneś tak postępować. Kiedy próbujesz używać Mocy, żeby zmanipulować umysł kogoś na nią wrażliwego, twój cel jest w pełni tego świadom, więc najprawdopodobniej spotkasz się z silnym oporem i taką samą reakcją. A

Plaga

to oznacza także, że przeciwnik może spróbować na tobie tego samego i odplacić ci pięknym za nadobne.

- W takim razie - zaczął Toro, a Mander widział wyraźnie, że młody Pantoranin stara się usilnie przeanalizować jego uwagę i wyciągnąć z niej wnioski - czy mogę korzystać z tej taktyki w przypadku osób, które nie są silne Mocą?

- Gdyby tak było - zauważył Mander - to po pierwsze, nie musiałbyś sięgać po miecz. „Moc wywiera wielki wpływ na słabe umysły” - dodał.

- To był cytat - zgadł Toro.

- Masz rację - przyznał Mander. - Mistrza Mistrza mojego Mistrza. A sztuczki z wpływaniem na umysł stosowane przez ucznia nie powinny działać na tych, którzy go ich nauczyli. Jeśli kiedyś znajdziesz się w sytuacji, w której ktoś spróbuje użyć na tobie w taki sposób Mocy, spróbuj Medytacji Pustki. Ona oczyści twój umysł, także z wpływów innych.

- Będę o tym pamiętał, Mistrzu - obiecał Toro z uśmiechem, teraz już pewien, że mu wybaczone.

Mander także spróbował się uśmiechnąć, jednak jego umysł nie był ani pusty, ani oczyszczony, skoro już mowa o medytacji.

- Chodź - poprosił. - Opowiem ci teraz o niebezpieczeństwach, płynących z używania Mocy w taki sposób. Później jeszcze poćwiczymy.

Mimo to już nigdy więcej się nie pojedynkowali, jak zresztą Mander podejrzewał. Nawet bez prób wpływania na niego Mocą Toro miał nad nim przewagę i starszy Jedi doskonale zdawał sobie z tego sprawę... Dlatego, gdy tylko nadarzyła się okazja do opuszczenia prakseum Jedi na Yavinie Cztery, Toro Irana z niej skorzystał i już nigdy nie miał do niego powrócić. Kiedy Mander Zuma znów miał okazję go zobaczyć, młody Pantoranin był martwy i leżał na marach w kostnicy Swokes Swokesów, a jego ciało nosiło ślady nadużywania Nawałnicy i upadku ze znacznej wysokości.

Kto był temu winien? - zachodził w głowę Mistrz Jedi. Czy gdyby nie zareagował tak gniewnie, upokorzony przez młodzika,

nie doszłoby do tej tragedii? Może gdyby Mander wyszkolił go lepiej, Toro zostałby lepszym Jedi? A może powinien był go szkolić ktoś inny? Czy też losy Tora Irany potoczyły się tak fatalnie, bo Mander Zuma, jego Mistrz, pozwolił mu wyruszyć w świat, nie wyszkoliwszy go właściwie, ponieważ jemu samemu brakło zdolności do nauczania go czegoś więcej?

Być może śmierć jego ucznia spowodowało to, że Toro był, jaki był, i nic nie mogło zapobiec temu, że wpadł w sidła Nawalnicy... Czyżby Toro szukał czegoś nowego, pragnął przekroczyć pewne granice? Skoro Nawalnica zwiększała odporność na wpływ Mocy, może rozglądał się za czymś, co ograniczy szanse innych na manipulowanie nim - jeśli nawet odbierze mu w pewnym stopniu możliwość wpływania na nich?

Jego rozmyślania przerwało pukanie do drzwi, które chwilę później rozsunęły się z cichym sykiem. Do środka wszedł porucznik Lockerbee w towarzystwie dwóch strażników.

- Pani komandor chciałaby się z tobą zobaczyć - oznajmił. -
Możliwie szybko. - Ani on, ani jego eskorta nie mszyli się z przejścia, co sugerowało, że uprzejme zaproszenie jest zaproszeniem tylko formalnym.

Mander westchnął i wstał z koi, sięgając po oficjalną szatę.

- I tak kiepsko mi się medytowało - mruknął i ruszył za trójką żołnierzy.

Kiedy dotarli do pomieszczeń konferencyjnych, drzwi się rozsunęły i ze środka wynurzył się inny oficer, eskortujący Reen Iranę w towarzystwie dwóch strażników. Obie grupy minęły się w korytarzu.

- Wygląda na to - odezwała się Reen, zerkając na Mandera - że nasza gospodyni chce porozmawiać ze wszystkimi po kolei.

- O co cię pytała?

Reen się skrzywiła.

- A o czym mogą ze sobą rozmawiać dwie baby? - Na widok jego miny sama sobie odpowiedziała: - O facetach. - A potem, eskortowana przez uzbrojonych strażników, Reen znikła mu z oczu, odprowadzona do własnych, także pilnie strzeżonych

Plaga

kwater. Mander został wprowadzony do pokoju zajmowanego przez panią komandor.

Pomieszczenie było urządzone tak samo surowo, jak Mander je zapamiętał. Przed imponującą konsolą biurka ustawiono tym razem tylko jedno krzesło. Mander zauważył, że stojąca pod ścianą plansza holoszczów została zatrzymana w pół partii. Siedząca za biurkiem porucznik Angela Krin odwróciła się powoli na obrotowym fotelu w jego stronę; wyglądała tak samo jak wtedy, kiedy widział ją ostatni raz - kiedy na Endegaardzie szalała epidemia.

Chociaż od zamieszek na planecie minęły całe dwa długie dni, pani komandor nie wydawała się szczególnie zachwycona jego widokiem.

- Wygląda na to - odezwała się - że twoje postęпки źle świadczą o moich zdolnościach do oceniania ludzi...

- Nie sądzę - odparł spokojnie Mander.

- Kiedy się ostatnio widzieliśmy, byliście moimi gośćmi. Przez trzy dni. Trzy dni - powtórzyła. - Kiedy się pożegnaliśmy, zamiast postąpić zgodnie z moimi instrukcjami, natychmiast spróbowaliście złamać blokadę i wylądowaliście na objętej kwarrantanną planetę.

- Zaczniemy od tego - odparł grzecznie Mander - że blokada miała przede wszystkim na celu powstrzymanie mieszkańców planety przed jej opuszczeniem, a tym samym rozwleczeniem zarazy. Samo pchanie się na zarazy świat powinno podlegać całkiem innej karze.

- Naruszyliście tym samym prawo WSW - ciągnęła chłodno Krin, ignorując jego uwagę - a poza tym wdaliście się w bójkę z lokalnym gangiem, co poskutkowało strzelaniną w miejscu niezgłoszonej wcześniej katastrofy... która mogła być przyczyną zawleczenia zarazy. - Pokręciła głową i spytała: - Co masz na swoje wytłumaczenie?

- Nie musicie mi dziękować.

Zanim pani porucznik zdążyła ochłonąć po jego bezczelnym komentarzu, Mander dodał szybko:

Plaga

- Dostarczyliśmy wam środki medyczne, zanim jeszcze zdołał to zrobić wasz rząd, przyczyniając się do przywrócenia na planecie porządku. Podjęliśmy się - i to skutecznie - odnalezienia zaginionego Hutta, co w znacznym stopniu wpłynęło pozytywnie na stosunki dyplomatyczne z Huttami i zniwelowało liczbę irytujących holowiadomości, które otrzymywaliście od klanu Anjiliac. Ponadto rozbiliśmy gang swoopersów, który terroryzował osłabioną przez epidemię ludność planety, a także trafiliśmy na ślad śmiertelnie groźnego gatunku przyprawy, przemycanej na Endregaad. Tego, z całym szacunkiem, nie byliście w stanie dokonać, nam zaś poszło, jak ośmielę się zauważyć, nad wyraz sprawnie - gdyby nie drobny fakt, że staraliście się zająć wszystkim naraz i utrzymać blokadę za pomocą jednego, jedyne statku. Jeśli teraz umieścisz w raporcie WSW kilka odpowiednio sformułowanych informacji... to kto wie? Może nawet otrzymasz pochwałę za inicjatywę i talent do rozwiązywania problemów...?

Komandor porucznik Angela Krin zmierzyła Mandera piorunującym wzrokiem. W końcu jednak roześmiała się i powiedziała:

- Jesteś inny, niż można by się spodziewać po Jedi.

- Cóż, co dziwniejsze, nie jesteś pierwszą osobą, która mi to mówi - odparł Mander.

Pani komandor usiadła wygodniej w swoim fotelu.

- Leki od WSW rzeczywiście zostały przysłane i, skoro już o tym mowa, są właśnie rozdawane. Można rzec, że plaga została opanowana.

- Tak jak powiedziałem, skutecznie wzięłaś sprawy w swoje ręce - skomentował Mander. - My pomogliśmy tylko w usprawnieniu całego procesu.

- A ta cała Nawałnica... - zaczęła Angela Krin.

- Wiesz coś o niej? - wszedł jej w słowo Mander.

- Nie bezpośrednio - odpowiedziała, stukając palcem w swój datapad. - Z całego ramienia Spirali wciąż napływają raporty o tym narkotyku. Trafia z zewnątrz na światy Sektora Wspólnego, szczególnie te opierające swoją gospodarkę na handlu. A

Plaga

wraz ze wzrostem liczby uzależnionych rośnie przemoc. I to w zauważalnym na skalę planetarną stopniu.

- A to jest już problem, na który WSW nie może przysmykać oka - dopowiedział Mander.

Pani komandor odłożyła datapad i znużonym gestem przejechała dłonią po twarzy.

- A więc rozwiązałam jeden problem tylko po to, żeby trafić na drugi, większy? Ten Hutt, którego uratowaliście... także jest inny, niż mogłabym się spodziewać.

- Też tak sędzę - zgodził się Mander.

- Mówi w basicu i wydaje się prawie... - przez chwilę szukała słowa - prawie zyczliwy, chętny do współpracy. Zdał nam pełny raport na temat sytuacji i waszego udziału w wydarzeniach. Dostarczył nam także numery seryjne silników statku, żebyśmy mogli go odnaleźć w rejestrach. Dał nawet moim ludziom próbkę tej całej Nawałnicy do analizy. Mam wrażenie, że jest bardziej skłonny do kooperacji, niż byliście wy.

- I do tego gra w holoszachy - zauważył Mander, wskazując podbródkiem przerwaną w połowie grę.

- I to całkiem nieźle - przyznała Angela Krin. - Wyrażał się także bardzo dobrze o działaniach WSW związanych z opanowaniem epidemii. Powiedział, że docenia nasze starania.

- To huttyjski odpowiednik słowa „dziękuję” - wyjaśnił jej Jedi. - Jednak, że pozwolę sobie spytać, co z tego wszystkiego wynika?

Krin uśmiechnęła się do niego konspiracyjnie.

- Rozmawiałam trochę z tym dziwnym, młody Huttem. Dał mi do zrozumienia, że ma o tobie i twoich przyjaciółkach bardzo dobre mniemanie i chciałby, żeby cała sprawa zakończyła się polubownie. Przypuszczam, że dzięki ostrożnemu opisowi zdarzeń w raporcie, a także pochwałę dla oficera lotów Lockerbee'ego zostaniecie oczyszczeni z zarzutów i zwolnieni za poręczeniem. Odzyskacie dzięki temu wolność... po udzieleniu wam stosownej przestrogi, żeby coś takiego nie powtórzyło się już nigdy.

Plaga

- Postaram się w przyszłości trzymać z dala od ogarniętych epidemią planet, na których przebywają Huttowie - obiecał Mander z szerokim uśmiechem.

Pani komandor aktywowała kilka ikon na biurku i wstała.

- Mam dla ciebie pewną wiadomość. Pozwoliłam sobie po waszym powrocie skontaktować się z Huttami i przesłać im pełen raport. Oto odpowiedź. - Dotknęła jeszcze jednego symbolu na blacie biurka i w powietrzu nad nim pojawiła się widmowa, biała głowa jednego z droidów H-3PO Vago.

- Popara, oby jego język zawsze był namaszczony słodkimi olejkami - przemówił robot - przesyła pozdrowienia Jeedai Manderowi Zumie i jego czcigodnym towarzyszom, w uznaniu jego zasług dla uwolnienia jego syna, Miki, i ma nadzieję, że udało wam się dojść do porozumienia. Pragnie, żebyście eskortowali jego ukochanego potomka Mikę na Nar Shaddaa, gdzie Popara będzie na was oczekiwał, aby nagrodzić was za wasze czyny, a także omówić inne kwestie, mogące przynieść obopólne korzyści. - Obraz droida zniknął i wiadomość zakończyła się bez dalszych wyjaśnień.

- Chyba nie muszę cię ostrzegać - powiedziała Angela Krin - jak niebezpiecznie jest się układać z Huttami. Nawet tymi skłonnyymi do współpracy. - Spojrzała na swój datapad. - Sprawdzę informacje Miki na temat przemytu przyprawy - poinformowała go. - A tymczasem... pomyślnych lotów, Manderze Zumo.

Mander wstał i skłonił z szacunkiem głowę.

- Pomyślnych lotów, pani komandor.

Na zewnątrz spotkał Eddeya Be'raya, eskortowanego dla odmiany nie przez strażników, ale przez pilotów promów.

- Wypuszczają mnie i oddają nam „Nową Ambicję” - poinformował go Bothanin. - Zaproponowali, że sami ją tu sprowadzą, ale Reen nie chciała im powiedzieć, gdzie jest. Bywa w tych sprawach bardzo... zaborcza.

- Rozumiem - rzucił Jedi. - Rozmawiałeś już z komandor Krin?

Plaga

Eddey Be'ray pokręcił głową.

- Ja nie. Ale Reen - owszem, w imieniu naszej dwójki.

- Twierdzi, że plotkowały o facetach - parsknął Mander.

Pysk Bothanina rozciągnął się w drapieżnym uśmiechu.

- Tylko się z tobą drażni - odparł. - Rozmawiała z nią o współpracy.

Mander zamrugał, nie wierząc własnym uszom. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Reen i Bothanin mogą ot tak odejść.

- Współpracy? - spytał. - Jakiej współpracy? Chcecie dla nich pracować?

Eddey podniósł ręce do góry i wzruszył ramionami, a do Mandera dotarło nagle, że są w towarzystwie czwórki oficerów WSW.

- Może zapytam inaczej - powiedział, starając się zapomnieć o ostatnim pytaniu. - Co powiecie na... małą podwózkę? Bothanin znów się wyszczerzył.

- Sądzę, że nie powinno być problemu, ale będę musiał pogadać o tym z Reen.

- Jasne - zgodził się Jedi. - Kiedy wrócicie na statek, przygotujcie się na podróż na Nar Shaddaa. Popara życzy sobie, żebyśmy mu przywieźli jego krnąbrną latorośl, i wydaje mi się, że powinniśmy spełnić jego prośbę.

Eddey wydał z siebie nieokreślone parsknięcie.

- Niech będzie i tak. Muszę jednak przyznać, że jako Bothanin mam problemy z zaufaniem Huttowi. Rywalizacja zawodowa i tak dalej... A pod tym wszystkim jest jeszcze coś więcej niż widać na pierwszy rzut oka.

- Huttowie byli bardzo skłonni do współpracy. Nawet ty musisz to przyznać - zauważył Mander.

Eddey skinął głową.

- Tak, ale, jak to mawia Reen, w głębi duszy to nadal Huttowie. Powinniśmy być ostrożni, przyjmując ich podarunki. Pamiętaj to powiedzenie Miki, że informacje są jak owoc?

- Tak.

- To bothańskie przysłowie - oznajmił Eddey. - Ukradli nam

je.

ROZDZIAŁ 9. NOC NA NAR SHADDAA

- Dawno temu - mówiła Reen - Huttowie nie mieszkali na Nal Hutta ani na jego księżycu, Nar Shaddaa. Zamieszkiwali planetę o nazwie Varl... okropne miejsce, w sam raz dla nich. Wokół ich świata orbitowały dwie gwiazdy: Evona i Ardos, których Huttowie traktowali jak bogów kochanków. Evonę pochłonęła ciemność, a rozwścieczony Ardos wybuchł, niszcząc wszystkie inne światy w ich układzie i pozabawiając Varl atmosfery. - Zmieniła ustawienia na konsoli i wskaźniki lądowania zaświeciły się na zielono. Dziób „Nowej Ambicji” skierował się w dół, ku celowi ich podróży.

- Evona została wessana przez czarną dziurę - powiedział Mander. - A Ardos stał się nową i jest teraz białym karłem.

Reen zignorowała jego uwagę i podjęła swoją opowieść:

- Huttowie uciekli, zanim ich świat został zniszczony, i przybyli do układu Y'Toub, w którym znaleźli planetę zwaną Evocar. Nadali jej nazwę Nal Hutta, co w ich języku znaczyło „wspaniały klejnot”. Okazało się jednak, że Nal Huttę zamieszkuje już inna rasa, Evocii. Evocii powitali Huttów i chcieli podzielić się z nimi własną ziemią, jednak Huttowie nie byli skłonni się dzielić, więc wygnali Evociich z ich ojczyzny na największy z jej księżyców, który nazwali Nar Shaddaa. Później zaś zajęli także Nar Shaddaa, Księżyc Przemysłowców, i pozabijali wszystkich Evociich.

- Znam te opowieści i całą historię - powiedział Mander. - Czytałem to wszystko w archiwach. Do czego zmierzasz?

- Do tego - podjęła Pantoranka - że Huttowie przeżyli śmierć własnych bogów i myślą o sobie jako o ich prawowitych następcach. Wszystkich i wszystko inne traktują lekką ręką, jak środki, które można wykorzystać, a potem się ich pozbyć.

Długo potrwało, zanim opuścili orbitę Księżyca Przemysłowców z pozwoleniem na lądowanie. Mander pomyślał, że naj-

Plaga

wyraźniej, chociaż Popara ma silne wpływy w Sektorze Indrexu, jego ród nie jest jednym z Klanów Pradawnych, sprawujących faktyczną władzę na planecie Huttów. Był tylko drobną rybką w morzu pełnym znacznie groźniejszych niż on drapieżników.

Teraz, podchodząc do lądowania między strzelistymi wieżami Nar Shaddaa, Mander nie mógł myśleć o niczym innym oprócz gniazda błotos - zawsze uwijających się jak w ukropie, zawsze czymś zajętych, ale niemających żadnych specjalnych planów. Nar Shaddaa był znany jako Księżyc Przemysłowców albo Małe Coruscant i chociaż dorównywał byłej imperialnej stolicy pod względem urbanizacji, brakowało mu architektonicznego ładu i wdzięku tej ostatniej. Wysokie wieżowce Nar Shaddaa wydawały się rozrzucone chaotycznie, całkiem jakby projektujący je architekci nie przejmowali się zupełnie efektem całości, w dodatku ustawiono je względem siebie tak, że płynące nieustannie rzeki wozów napowietrznych i śmigaczy prawie się ocierały o ich ściany. Na domiar złego trasy ruchu powietrznego nijak się miały do szlaków wytyczonych na Coruscant - niewielkie pojazdy nurkowały i przemykały obok większych jednostek, takich jak „Nowa Ambicja”, we wrzącym strumieniu ślizgaczy, śmigaczy, śmigów, motolotów, podnośników repulsorowych i wiropłatów. Reen zmeła w ustach przekleństwo, kiedy drogę przecięła im zbłąkana repulsolotnia, a widoczne przez sierść porastającą zaciśnięte na drążku sterowniczym palce Eddeya miały zbieleć knykcie. Lecieli teraz między najwyższymi wieżami wysokich budowli, a od ziemi dzieliło ich wciąż wiele kilometrów.

- Zobaczę, co u naszych pasażerów - mruknął Mander, zostawiając swoich towarzyszy zawilosciom pilotażu trasami Nar Shaddaa w godzinach szczytu.

Znalazł Mikę w kambuzie wraz z Orgamonem i innymi Niktami; pozostali z tych, którzy przetrwali strzelaninę, zostali oddelegowani do siedziby Skydove celem odzyskania tego, co dało się ocalić w magazynach, i dopilnowania zabezpieczenia praw do rozbitego frachtowca. Mika zamienił swoją wielką zerape na równie obszerną kamizelę, wyszywaną złotą nicią. Dwóch

Plaga

Niktów obmywało jego ciało jakimś specyfikiem, cuchnącym jak gnijące kwiaty.

- Za dwie minuty lądujemy - poinformował go Mander. - Spory tu ruch.

Mika skinął głową.

- Zawsze tu tak jest. Huttowie są zadowoleni, jeśli nikt nie ma czasu stosować się do kodeksu ruchu powietrznego. - Skinął dłonią na swoich służących, instruując ich w huttyjskim, żeby zajęli się jego bagażem, i Mander został z Huttem sam na sam.

- Twoja przyjaciółka, ta Pantoranka... - zaczął Hutt, kiedy Niktowie wyszli.

- Reen Irana. - Mander skinął głową.

- To siostra tamtego Jedi, prawda? - zapytał Mika. - Czy ona też ma takie... moce?

- To siostra Tora Irany - uściślił Jedi. - I chociaż Moc bywa silna w członkach tej samej rodziny, Reen ani nie ma zdolności swojego brata, ani nie była szkolona tak jak on.

- Tak, zdolności - mruknął Mika, po czym dodał: - A ten jej brat... on naprawdę nie żyje?

- Owszem - przytaknął cicho Mander.

- I to ci... Rodianie z klanu Bomu go zabili? - drażył Hutt.

- Tak sądzę. Toro był... - Mander zastanawiał się przez chwilę nad tym, ile może zdradzić Huttowi. Wreszcie podjął: - Toro został otruty. Odurzony Nawalnicą. Spadł z dużej wysokości.

- Przykro mi - powiedział Mika i spuścił wzrok niemal z szacunkiem. - To by wiele wyjaśniało...

- Wiele? - zdziwił się Mander.

- Ta młoda Pantoranka - zaczął tłumaczyć Mika - bardzo interesowała się ładunkiem statku, który zawlókł zarazę. Wypytywała porucznika WSW o niego i o to, co Sektor Wspólny wie o Nawalnicy. Angela Krin spytała z kolei o to samo mnie. Powiedziałem jej wszystko, co wiem. Uznałem, że to interesujące...

- Czyżby? - spytał Mander.

Hutt czknął nerwowo.

Plaga

- Jedi, którego wysłaliście, żeby negocjował z moim ojcem, zginął, zabity przez tę przyprawę. Okazuje się, że przewoził ją także statek, który zawłókł epidemię. Te dwie sprawy są ze sobą z pewnością powiązane. Galaktyka jest zbyt wielka, żeby to mógł być zbieg okoliczności czy zrządzenie losu.

- Tu nasuwa się pytanie o klan Bomu - zauważył Mander.

Hutt Mika przygryzł mięsistą wargę.

- Sprawdzę to, jak tylko będę miał okazję porozmawiać z ojcem. Nie wiem, czy robiliśmy z nimi jakieś interesy. Bez dwóch zdań coś jednak jest na rzeczy, a jeśli nie wiemy co, stoimy na słabszej pozycji. Nie podoba mi się to.

- Mnie także - przyznał Mander. - Byłbym zobowiązany, gdyby udało wam się dowiedzieć, kto za to wszystko odpowiada.

Mika skinął głową, ale Jedi nie zamierzał na tym poprzestać. Nie ruszył się z miejsca.

Młody Hutt przyjrzał mu się uważnie.

- Czy jest coś jeszcze, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać, Jeedai?

Mander zmarszczył czoło, starając się jak najlepiej wyłożyć sprawę.

- Na Endregaadzie, kiedy zaatakował nas ten gang swoopersów...

- Czego, mam nadzieję, nie doświadczę nigdy więcej - wtrącił z krzywym uśmiechem Mika.

- Bardzo... doceniam pomoc, jakiej nam udzieliłeś - podjął Mander. - Jednak pod koniec starcia, kiedy ten ostatni członek bandy wziął cię na cel...

- Tak?

- Chybił.

- Krzyknąłeś, żeby mnie ostrzec - zauważył Hutt.

- Po czasie - wyjaśnił Mander. - Poza tym uchyliliś się, zanim jeszcze w ogóle przyszło mi do głowy, żeby cię ostrzec.

- A więc... miałem po prostu szczęście - stwierdził spokojnie Mika. - Hm, chyba jednak czasem takie rzeczy się zdarzają. - Powiedziawszy to, przymknął oczy na znak, że chce zostać sam.

Plaga

Mimo jego wyjaśnień Mander miał zamiar nadal drążyć temat, ale w tej samej chwili ze sterowni doleciała go seria bothańskich przekleństw, więc wyszedł, by dowiedzieć się, o co chodzi. Nie omieszkał zauważyć, że Mika wyraził się o Zakonie jako o Jedi, nie stosując powszechnie używanego w huttyjskim określenia Jeedai. Cóż, jak spostrzegła już wcześniej komandor Krin, był najwyraźniej bardzo niezwykłym Huttem.

Po czasie, który zdawał się wiecznością, „Nowej Ambicji” udało się przedrzeć przez korki powietrzne i wylądować na jednym z lądowisk niższych wieżowców. Durastalowe wsporniki jęknęły pod ciężarem statku, sprawiając, że po twarzy Reen przemknął cień strachu - wizja „Nowej Ambicji” spadającej w czeluście przepastnych wąwozów planety Huttów nie była zbyt zachęcająca. Mimo jej obaw wysunięta platforma lądownicza wytrzymała, więc Eddey zajął się dezaktywacją systemów statku i ustawianiem kontrolki w tryb czuwania. Zarówno on, jak i Pantoranka wsunęli blastery w kabury u pasów.

- Platforma lądownicza X-1256 AEB - powiedział Eddey. - Zapamiętajcie jej numer, w razie gdybyśmy się rozdzielili.

Mander pozwolił, żeby Mika poprowadził ich pochód, kiedy opuszczali statek - on, Pantoranka i Bothanin szli w środku kolumny, a zamykali go Niktowie Hutta. Na spotkanie wyszli im dwaj inni Niktowie, uzbrojeni w karabiny blasterowe, w towarzystwie dwójki droidów protokolarnych H-3PO Vago.

- Młody lord Mika! - ucieszył się na ich widok jeden z androidów, po czym wyrzucił z siebie kilka zdań w huttyjskim. Mander nie rozumiał wszystkiego, ale pojął ich ogólny sens: co za szczęście, że młody, mężny Mika zdołał wyjść cało z opresji! Jak fortunnie dla mieszkańców Endregaada, że był tam w czasie wybuchu zarazy i jak mądry był wszechmocny Popara, że wysłał na pomoc tak kompetentne istoty jak te, które teraz za nim podążały!

Zakończywszy hymn pochwalny na cześć młodego Hutta, droid zwrócił się do Mandera i reszty:

- Na waszą cześć, a także aby uczcić powrót Miki na łono

Plaga

rodziny, została zorganizowana uczta. Proszę za mną, zaprowadzę was do wieży Popary.

Mander już już miał podziękować za zaproszenie, kiedy kątem oka dostrzegł coś na kładce nad wejściem do budynku. Na Endregaadzie zabrakło mu refleksu, jednak teraz udało mu się wykrzyknąć ostrzeżenie, zanim jeszcze snajper wystrzelił w ich stronę serię z blastera.

Przykucnął, dobywając jednocześnie miecza; obok niego przypadli do ziemi Reen i Eddey z blasterami w dłoniach. Niktowie otoczyli Mikę, który cofnął się i skulił za eskortą.

Nieszczęsny H-3PO nie miał się za czym schronić, więc kiedy obejrzał się w stronę źródła strzałów, jeden z nich trafił go prosto w metalowy czerep. Głowa robota wybuchła pod wpływem strzału i bezgłowy H-3PO uszedł jeszcze kilka chwiejnych kroków, a potem przewrócił się na ziemię.

Reen i Eddey natychmiast odwzajemnili ogień, ale ukryty snajper przerwał ostrzał. Mika dał znak gestem swoim ochroniarzom, żeby ruszyli naprzód, więc Orgamon i reszta ostrożnie podkradli się do wejścia. Kiedy do niego dotarli, pokręcili głowami. Mika wrócił do wjazdu „Nowej Ambicji”, a Niktowie rzucili kilka komend do swoich komunikatorów.

Młody Hutt zmarszczył szerokie czoło i spojrzał na szczątki zielonego droida.

- Nie tak wyobrażałem sobie powrót do domu - mruknął, zatroskany.

Wkrótce zjawily się posiłki - oddział Niktów w towarzystwie jeszcze jednego H-3PO. Mander rozpoznał droida po wgnieceniu w metalowej czaszce i zastanowił się przelotnie, czy Anjiliacowie dokonali zakupu całej partii takich jednostek, czy może po prostu przejęli produkującą je fabrykę. H-3PO wraz z połową oddziału Niktów został na platformie lądowniczej, żeby dopilnować uprzątnięcia bałaganu, a reszta eskorty otoczyła wianuszkami Mikę i innych, po czym poprowadziła ich krętymi korytarzami i kładkami nad głębokimi, permabetonowymi wąwozami księżyca. Na każdym skrzyżowaniu Niktowie wysyłali

Plaga

przed siebie zwiadowców, żeby upewnić się, że okolica jest bezpieczna i nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Mander zauważył, że chociaż cała grupa była uzbrojona i nikt z jej członków z tym się nie krył, tylko niewielu mieszkańców rejonu zwracało na nich uwagę, a ci, którzy ich dostrzegli, schodzili im po prostu z drogi. Najwyraźniej podobne zachowania nie były na Księżycu Przemysłowców niczym niezwykłym, a już szczególnie, kiedy w grę wchodził Hutta.

- Przyjrzałeś się snajperowi? - spytała Reen podczas jednego z licznych postojów, kiedy Niktowie sprawdzali teren.

- Miał kiepskiego celnika - skwitował Mander. - Widziałem tylko wąską, długą głowę. Sądzę, że to mógł być Cereanin, ale to tylko domysł.

- Jak sądzisz, dlaczego strzelał do Miki? - zastanawiała się Reen. - Może kogoś niepokoi to, czego dowiedział się na Endregadzie?

- Niewykluczone - zgodził się Jedi. - A może ktoś chciał mu po prostu przesłać wiadomość... jemu albo Poparzę...

- Bardzo wybuchową wiadomość.

- Tak czy inaczej, pragnął mu najwyraźniej coś przekazać - powtórzył Mander, uświadamiając sobie, że cały czas rozgląda się dookoła w oczekiwaniu kolejnego ataku. - Inaczej po co wynajmowałby kiepskiego Strzelca na Księżycu Przemysłowców?

Reen zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Masz rację, to głupi pomysł wynajmowanie słabego snajpera. To miejsce roi się od zdolnych najemników, którzy aż się palą, żeby wziąć za coś takiego kasę.

- Otóż to - potwierdził Jedi. - A mimo to do Miki strzelał snajper, któremu udało się chybić. I to Hutta! Co prawda niezbyt imponujących gabarytów, ale zawsze Hutta.

Pantoranka znów milczała przez chwilę, a potem zauważyła:

- Tak czy siak, mamy słabego Strzelca, który urwał łeb droidowi protokolarnemu. Cholernie mamy strzał. Chyba że to nie Mika był celem...

Plaga

- Sądzę, że ktoś chce, żebyśmy myśleli, że był - stwierdził Mander. - Ale jestem też przekonany, że nie był jedynym, którego opłacono za to, żeby strzelał. Tak jak wspomniałem, wydaje mi się, że to miała być wiadomość, ostrzeżenie.

Po serii podróży turbowindami ich trójka znalazła się w jednym z większych wieżowców w okolicy. W miarę jak zbliżali się do poziomów zajmowanych przez Poparę, otoczenie cechowało coraz większy przepych. Proste wykładziny zastąpiły kosztowne kobierce, sprzęty wypełniające pomieszczenia stały się bardziej ostentacyjne, a oświetlenie z prostych, kopułkowatych lamp zmieniło się na kryształowe kandelabry, rzucające na ściany cienie o kształtach Huttów. Wreszcie dotarli do ostatnich drzwi - wielkich niczym grobowiec wrót z ciężkiego drewna i metalu, przyozdobionych dobrotliwym obliczem samego Popary. Kiedy przed nimi stanęli, Mika odwrócił się w ich stronę.

- Muszę się spotkać z moim ojcem sam na sam - poinformował ich. - Przesłałem mu co prawda raport z ostatnich wydarzeń, ale przypuszczam, że może mieć jakieś pytania. Chciałby też z pewnością dowiedzieć się o niedawnym... incydencie. Spotkamy się znów po przyjęciu, które odbędzie się w apartamencie na dachu o zmierzchu. - Z tymi słowami opuścił ich i zniknął za potężnymi drzwiami komnat swojego ojca.

Pozostałą trójkę odprowadzono do niewielkich apartamentów i zostawiono ich tam, żeby się odświeżyli. Przyprawiono droida krawca, z którego usług Reen i Eddey nie omieszkali skorzystać. Mander miał ze sobą swoje oficjalne szaty Jedi i podczas gdy pozostała dwójka była zajęta dyskusją na temat próbek materiałów, wyszedł na balkon.

„Lepsza” część Nar Shaddaa była bardziej obskurna niż najgorsze slumsy Coruscant. Wbrew sobie Mander starał się odnaleźć jakiś ład pośród strzelistych budynków, wyposażonych w liczne balkony, galerie, mostki, tarasy, markizy, werandy i inne architektoniczne twory różnego przeznaczenia i form. Tu i ówdzie widział platformy lądownicze; część z tych udogodnień wydawała się nie mieć innego celu niż rzucanie cienia na

Plaga

umieszczone pod nimi poziomy. Jedi spojrział w dół, ale nie był pewien, czy z tej wysokości patrzy na ziemię, czy może na kolejne piętra wieżowców, pokrywających - zdawałoby się - szczerzenie powierzchnię księżyca. W głębokich wąwozach i wokół wysokościowców roilo się od pojazdów wszelkiej maści - od bliżej nieokreślonych repulsorowych ciężarówek, aż po wymalowane w jaskrawe kolory wozy reklamowe, oferujące wszelkie rodzaje rozrywek i usług dostępne istotom żywym.

Nad tym wszystkim wisiała zaś widoczna nawet w słońcu późnego popołudnia, niczym gnijący owoc, Nal Hutta - obecna ojczyzna Huttów. Tylko nieliczni pozaświatowcy byli mile widziani w rozmieszczonych na spowitych trujących oparami bagnach siedzibach huttyjskich lordów, Mander jednak nie wątpił, że gdzieś na tym wiszącym nad jego głową świecie także Anjiliacowie mają swoją dację.

Dzień na Nar Shaddaa trwał osiemdziesiąt siedem standardowych godzin, więc wypełniała go rutyna obejmująca cykl drzemek i lekkich posiłków - co prawda lekkich tylko w pojęciu Huttów. W praktyce oznaczało to raczenie się przekąskami z bogato zaopatrzonych bufetów, między innymi rumsztykami z banthy w tigmarnie, potrawką z kebulwy, podplomykami, różnego rodzaju przyprawomięsami i ziemniaczanym ryżem. Eddeyowi, na jego prośbę, dostarczono do ich kwater całkiem niezłe wyglądającą rybę zwaną salarem, która, jeśli wierzyć jego zapewnieniom, była przyrządzona lepiej niż inne, których miał okazję spróbować do tej pory. Na środku stołu wtoczonego do ich apartamentów poczesne miejsce zajmowała przyprawogalareta, uformowana na kształt ciała łaskawego Popary. Zaserwowano też robaki effriki - w całości, z obydwoma głowami. Nikt z ich trójki nie odważył się ich tknąć.

Podczas posiłku Mander odezwał się do Reen:

- Słyszałem, że pani komandor zaproponowała wam fuchę?

Pantoranka podniosła wzrok znad miski gęstej zupy i zerknęła z ukosa na Eddeya.

- Widzisz? - rzuciła pod jego adresem. - Wcale nie uważa, że

Plaga

o nim rozmawialiśmy. - Do Mandera powiedziała zaś: - Owszem. Sprawiała wrażenie zainteresowanej handlem Nawałnicą, szczególnie po rozmowie z naszym Huttciątkiem.

- Czy dużo czasu spędziła na rozmowach z Miką? - zainteresował się Mander.

- Nie bądź zazdrosny! - prychnęła Reen. - Odniosłam wrażenie, że nasza pani komandor spędziła na rozmowach z tobą mnóstwo czasu, a ja ani razu nie strzeliłam focha!

- Nie wspomniałaś, że chcesz ze mną porozmawiać... - zaczął Jedi, ale zanim dodał coś jeszcze, ugryzł się w język, żeby nie wyjść na durnia. - To znaczy... - podjął, kiedy Reen wstrzymała się od komentarza - doszły mnie słuchy, że pani komandor proponowała wam pracę?

Pantoranka skinęła głową.

- Wygląda na to, że Mika bardzo zainteresował się sprawą Nawałnicy. Krin chciała wiedzieć, czy nie mamy przypadkiem ochoty pomóc jej w prowadzeniu śledztwa...

- A macie? - spytał Mander.

Reen podniosła palec i przełknęła jakiś wyjątkowo duży kąsek z zupy.

- Jasne, że tak! Znajdziemy źródło dystrybucji tej całej Nawałnicy... i zabójcę Tora. Nie, żebym nie chciała pomóc także i tobie... ale dwie ścieżki prowadzenia śledztwa są chyba lepsze niż jedna, prawda? Nie mówiąc już o tym, że WSW dysponuje lepszymi środkami. Mimo wszystko...

- O, to, to... - wymamrotał Eddey, przymierzając się do pochłonięcia jeszcze jednego fileta z salara.

- ...nie wiem, czy można jej ufać - dokończyła Pantoranka.

- Ale mnie ufasz - zauważył Mander.

- Na tyle, żeby przyjąć współrzędne Spirali Indrexu w zamian za odrobinę ryzyka? - spytała retorycznie. - Jasne. Nie mówiąc już o tym, że ludzie powinni ci ufać. W końcu jesteś Jedi, no nie?

- Na to wygląda - zgodził się niechętnie Mander. - Aczkolwiek zazwyczaj okazuje się, że nie jestem takim Jedi, jakiego się

spodziewają.

- To fakt - zgodziła się Reen. - Faktem jest też jednak, że nasza droga Krin przedstawiła nam bardzo rozsądną ofertę. Wszystko wydaje się dograne i uczciwe. Bardzo zwięzłe. I bardzo...

- Przejrzyste... tak jej powiedziałaś - podsunął Eddey, rozprawiając się ze swoją rybą.

- Wiem, że nie możemy jej do końca ufać - bąknęła Pantoranka. - Ale fakt, że jej nie ufam, nie powstrzymuje mnie w żaden sposób przed przyjęciem tego zlecenia.

Mander skinął głową. Wiedział, że drogi jego i Reen wkrótce się rozejdą, ale jeszcze to do niego w pełni nie dotarło. Poza tym dziewczyna miała rację w jednym punkcie: WSW dysponowało znacznie lepszymi środkami niż samotny Jedi. Nadal jednak nie potrafił sobie wyobrazić, jak miałyby wyglądać współpraca Pantoranki ze ściśle trzymającymi się regułek i bezdusznymi Władzami Sektora Wspólnego.

- Wzięłabyś tę robotę, nawet gdybyś wiedziała, że wcale cię to nie zbliży do rozwiązania zagadki śmierci twojego brata - stwierdził.

Reen wzruszyła ramionami.

- Spójrz na to z innej strony - zaproponowała. - Popatrz, jak traktuję Huttów. To, że im nie ufam, nie powstrzymuje mnie od raczenia się ich jedzeniem. - Nie dodała nic więcej, więc rozmowa zeszła na inne tematy, w związku z czym kwestia podjęcia przez ich dwójkę decyzji o współpracy nie została rozwiązana.

Głęboko w mrocznych czeluściach Nar Shaddaa z cichym piskiem obudził się do życia komunikator, przypięty do pasa Koax. Jednooka Klatooinianka podeszła do swojej koi i aktywowała protokoły prywatności - standardowe, ale zmodyfikowane w taki sposób, żeby rzeczywiście gwarantowały bezpieczeństwo, którego potrzebowała. Zabezpieczywszy pomieszczenie przed podsłuchami, wyciągnęła spod koi przenośny ho-

loodbiomik i aktywowała urządzenie.

W powietrzu ciasnej kabiny zamajaczył obraz jej pana. Jak zawsze, sylwetka przyprawowego lorda była podświetlona od tyłu, co sprawiało, że nie widziała rysów jego twarzy. Ktokolwiek byłby świadkiem ich rozmowy, mógłby stwierdzić tylko tyle, że Koax kontaktowała się z Huttem - sugerowała to stożkowata w kształcie i pozbawiona szyi głowa, wyrastająca z potężnego cielska.

- *Ma Lorda* - przemówiła, skłaniając lekko głowę i przy-
mykając na znak szacunku jedyne oko. - Minęło dużo czasu...

- Dobrze się sprawiłaś - pochwalił ją Hutt głosem przefiltrowanym tak, że w głośnikach urządzenia brzmiał jak nikły szum. - Nie muszę ci wydawać dodatkowych rozkazów. Zдай mi, proszę, relację z ostatnich wydarzeń.

- Infiltracja rynku Władz Sektora Wspólnego przebiega sprawnie - poinformowała go Koax. - Nawałnica cieszy się coraz większą popularnością, a dzięki lukom w prawie i biurokratycznym przestojom możemy liczyć na szybkie ustabilizowanie sytuacji. Co prawda kilku drobnych handlarzy narkotykami próbowało sprzedawać powszechniejsze gatunki przyprawy upozorowane na Nawałnicę, ale te same skorumpowane służby, które ułatwiają nam działalność, prędko się nimi zajęły.

- Świetnie. - Cień Hutta skinął głową i przez chwilę Koax czuła ulgę: przyprawowy lord był zadowolony z jej usług. - Jak przebiega zintensyfikowany proces produkcji naszej przyprawy? - spytał jej pracodawca.

- Szybko nadrabiamy stratę ładunku na Endregaadzie - zapewniła go Klatooinianka. - W związku z problemami na Korrelii nawiązaliśmy współpracę z kilkoma mniejszymi firmami. Postaraliśmy się też o pewne zmiany w łańcuchu dostaw, dzięki czemu statki dowożące surową przyprawę nie odbierają już gotowego produktu.

- Więcej statków oznacza zwiększenie prawdopodobieństwa, że powiniemy nam się noga - mruknął mroczny Hutt; zabrzmiało to, jakby cytował jakieś prastare proroctwo.

Plaga

- Statki transportujące przyprawę są dokładnie sprawdzane, zanim powierzymy im ładunek i dane tajnej trasy - zapewniła go Koax. - A te, które docierają do układu, są zadeklarowane jako jednostki pozbawione ładunku, dzięki czemu nie naruszamy prawa...

- Nasza tajna trasa nie jest już wcale tajna - poinformował ją chłodno przyprawowy lord. - Jednak dopóki nie wiedzą, gdzie szukać, jesteśmy wystarczająco bezpieczni. Co z zabezpieczeniami w procesie produkcyjnym?

- Zadbałam o dostarczenie łapówek, komu trzeba - zapewniła go Koax, wsuwając niewielki czip do szczeliny z boku urządzenia. W powietrzu między nią a Huttem pojawiła się białoniebieska tabela z danymi. - Jak widać, plasują się w ramach naszych oczekiwań finansowych, z lekką tylko tendencją w kierunku dolnej granicy.

- Nie ucz swoich przełożonych, jak wysysać jaja geejawa - zbeształ ją gromko Hutt. - Szacowałem arkusze zysków i strat, zanim jeszcze zabiłaś swoją pierwszą ofiarę.

- Oczywiście, *Ma Lorda* - zapewniła go Klatooinianka, zając niemal natychmiast swojej zawołowanej sugestii, że jej pan nie zna zasad ekonomii. Aby znów wkraść się w jego łaski, dodała: - Broń, którą odkryto w pobliżu statku produkcyjnego...

- Tak?

- Spożytkowaliśmy około połowy części, żeby uruchomić drugą połowę - dokończyła. - Jak na takie starocie, broń była w zaskakująco dobrym stanie.

- Doskonale - pochwalił ją jej pan. Klatooinianka odechnęła z ulgą. Ugłaskała przyprawowego lorda i poczuła się znów bezpieczna, choćby na krótką chwilę. - Przejdźmy w takim razie do rzeczy - podjął Hutt bez zbędnych wstępów. - Co z sektorem Nuiri?

- Nastąpił rozłam w organizacji, z którą prowadziliśmy interesy... między naszym długoterminowym dystrybutorem a jedną z jego córek. Oszacowałam oferty obu stron i uznałam, że lepiej wyjdziemy, przystając na propozycję córki. Jej matka, a

Plaga

także jej poplecznicy zostali wyeliminowani, w związku z czym interesami zajmuje się teraz córka. Pozwoliłam sobie przekierować ładunek, który miał dotrzeć na Makem Te. Poszedł do naszych nowych sprzymierzeńców, w ramach... nagrody.

- Nie oczekiwałam, że postąpisz inaczej - stwierdził przyprawowy lord. - A skoro już mowa o tej nieszczęsnej planecie, jak się mają sprawy na Makem Te?

- W chwili obecnej jej mieszkańcy dotkliwie cierpią w związku z brakiem dostaw - poinformowała go Koax. - Ich niedociągnięcia... przyciągnęły uwagę Jeedai.

- To tylko drobna niedogodność, z którą bez trudu sobie poradzimy - zapewnił ją jej pan. - Czy nadal jesteś na Nar Shaddaa?

- Zgodnie z twoimi rozkazami, panie. Skontaktowałam się też z matriarchinią klanu Bomu, która przysłała tu posiłki.

- Świetnie - powiedział Hutt. - W takim razie zajmij się nimi i czekaj na moje dalsze rozkazy. Jeszcze jedno pytanie: czy masz to, o co cię prosiłem?

Dłoń Koax mimowolnie powędrowała do wybrzuszonej sakwy na biodrze. Miecz świetlny dziwnie ciążył jej u pasa. Choć jej przekazywany przez holotransmitter obraz musiał być zmacony i niewyraźny, Koax w głębi duszy wiedziała, że Hutt zauważył ruch i był tym rozbawiony.

- Czy mam ci go dostarczyć, mój panie? - spytała.

- Nie - odparł prędko przyprawowy lord. - Już wkrótce sytuacja skomplikuje się jeszcze bardziej. Bądź czujna i pilnie śledź poczynania członków klanu Anjiliac. W chwili obecnej goszczą Jeedai i jego sprzymierzeńców. Nasz Jeedai już niebawem przekona się, jak niebezpiecznie jest się mieszać w sprawy Huttów. Bądź przygotowana do działania, i to szybko, natychmiast, kiedy dam ci znać.

Koax skłoniła znów głowę.

- Jak sobie życzysz, mój panie.

- Jak sobie życzę - potwierdził Hutt i przerwał połączenie.

Koax opadła, wyczerpana, na swoją koję. Mogła wspomnieć

swojemu pracodawcy o tym, że miała duże problemy z dogadaniem się z klanem Bomu, że ich matriarchini zaproponowała bardzo bezpośrednie i nazbyt ryzykowne działania w charakterze zemsty... ale jej pan nie musiał o tym wiedzieć. Jediną rzeczą, o której powinna go była poinformować, był fakt, że otrzymali oczekiwane wsparcie. Kontrola dalszego rozwoju wypadków... cóż, to już był jej problem.

Koax odpowiednio podburzyła przedstawicieli klanu Bomu, a teraz, zgodnie z rozkazem przyprawowego lorda, musiała tylko skierować ich gniew na Jeedai. Być może to wystarczy, żeby zażegnać chwilowy kryzys... No i, kto wie? - może stanie się tak, że jedni i drudzy powyrzynają się nawzajem, kładąc kres jej problemom? Dlaczego ktoś miałby właściwie winić członków klanu Bomu za to, że wykazują w swoich działaniach szczególnie entuzjazm?

Jednooka Klatooinianka sięgnęła do sakwy u pasa i wydobyla z niej trofeum przyprawowego lorda. Metalowa rękojeść miecza świetlnego martwego Jeedai zaśniła w słabym świetle diod jej kapsuły sypialnej. Przeszło jej przez myśl, żeby aktywować broń, poczuć jej potęgę i moc, ale szybko odsunęła od siebie ten pomysł. Jej kapsuła sypialna była tak ciasna, że ledwo zdołała się w niej pomieścić w odpowiedniej odległości od holobrazu swojego pana, więc wskórałaby pewnie tylko tyle, że zarysowałyby jej ściany...

A to z kolei mogłoby przyciągnąć uwagę osób postronnych - zdecydowanie niepożądaną.

Z przyprawowym lordem spotkała się na żywo tylko jeden, jedyny raz. Powiedział jej wówczas tylko dwa słowa: chroń mnie. Od tamtej pory robiła wszystko, co w jej mocy, żeby pilnować jego interesów - i to pomimo długich okresów braku kontaktu z nim. Czekala w gotowości na każdy rozkaz, gotowa spełnić każdą jego zachciankę.

A skoro przyprawowy lord zażyczył sobie miecza świetlnego Jedi, jak mogła mu odmówić?

Schowała broń do sakwy, a holoodbiomik wsunęła z po-

wrotem pod łóżko; przestawiła systemy zabezpieczeń na standardowy tryb i opuściła kapsułę. Czekala ją ważna misja: musiała się upewnić, czy wynajęte przez nią służusy rozwiążą jeden z licznych problemów na jej liście.

Sen znów powrócił, ale trochę inny: Mander znów znajdował się w bibliotece Jedi na Coruscant, jednak tym razem nie był sam. Otaczały go głosy - głosy istot, których nie widział w pogrążonym w półmroku pomieszczeniu, pełnym zastawionych regałów. Spojrzał w jedną stronę, a potem w drugą - za siebie i przed siebie, jednak wokół nie było żywej duszy. Głosy brzmiały, jakby się z czegoś cieszyły, jakby coś świętowały. Słyszał dyskusję... ożywioną wymianę argumentów.

W oddali, jak zawsze, bił dzwon, a kiedy Mander odwrócił się w stronę źródła dźwięku, zobaczył znów, jak gasną światła i jak regały pełne wiedzy Jedi z zamierzchłych czasów pogrążają się w mroku. Tym razem jednak w pełzającej ku niemu ciemności dostrzegł światełko - nikłą poświatę miecza świetlnego, błękitnobiały blask, rozświetlający mrok.

Zaczął iść w jego stronę, poruszając się w tym doskonale sobie znanym sennym tempie, w którym jego umysłowi wydawało się, że pędzi bez tchu, a tymczasem ciało poruszało się denerwująco powoli. Ciemne półki zdawały się ziać pustką, oświetlone bladym światłem, i Mander zdał sobie w końcu sprawę, że faktycznie są puste.

Niebawem nawet ten nikły blask zgasł i Mander usłyszał w ciemności kroki - ale ten, kto je stawiał, nie zbliżał się do niego, tylko cofał, uciekał. Starał się go doścignąć, a kiedy był już blisko, zaczynał rozumieć, że to wszystko to tylko sen - i to sen, który tak dobrze zna... To jednak nie powstrzymało go przed próbą dopędzenia umykającego światła.

To tylko sen, pomyślał. To sen, a ja mogę się z niego obudzić. Mogę nim pokierować. Mogę dogonić tego kogoś albo sprawić, że zwolni kroku...

Cienka linia światła rzucanego przez miecz świetlny przed

nim znieruchomiała i przez dosłownie ułamek sekundy Mander widział oblewaną jej blaskiem twarz - twarz kogoś, kto przyglądał mu się gniewnie, twarz wykrzywioną grymasem wściekłości i frustracji. Chwilę później jego ofiara znikła mu z oczu, skręcając w jeden z pograżonych w mroku korytarzy między regałami. Do Mandera dotarło, że głosy, brzęczące mu wcześniej w uszach, teraz zamilkły, tak samo jak dźwięk bijącego dzwonu i odgłos kroków.

Sięgnął po własny miecz, który tym razem nie okazał się, jak zwykle, wijącym się węzem - zaciskał palce na twardej, zimnej rękojeści. Wymacał kciukiem przycisk aktywujący ostrze i zapalił je. Kiedy skręcił za róg, w ślad za swoim celem, znalazł się w szerokim przejściu, na którego środku zobaczył skrzynię - taką samą, jakie widział w magazynie klanu Bomu jakiś czas temu. Wieko skrzynki leżało z boku, a w środku, opatulony kocem, kwilił mały Hutt. Jego ciało miało bladobłękitny kolor.

Huttciątko otworzyło oczy i Mander na chwilę stracił rezon.

- Witaj! - odezwał się mały Mika Anjiliac w nienagannym basicu...

...i wtedy Mander obudził się, zlany zimnym potem. Choć jego apartament spowijały cienie, zachodzące słońce wciąż rzucało blask na jedną ze ścian; ściany jego kwater były ponoć wygłuszone, ale słyszał - i czuł - przenikający jego ciało warkot wywoływany przez pojazdy, pędzące nieprzerwanym strumieniem za oknami.

Zsunął się z łóżka i pokręcił głową, próbując dojść do siebie. Potem przetaił oczy, usiłując jednocześnie przypomnieć sobie szczegóły na wpół zapomnianego snu.

Jakaś jego część była dla niego jasna - to Toro przed nim uciekał. Mimo tego wszystkiego, co starał mu się przekazać, jego uczeń się go wyrzekł. Kiedy sam został Rycerzem Jedi, wybrał własną ścieżkę... ścieżkę, która doprowadziła go do zguby. Mimo to Mander spróbował odsunąć szczegóły związane ze śmiercią jego byłego ucznia na bok, żeby zakończyć powierzoną mu misję.

Plaga

Liczył na to, że kiedy zdobędzie współrzędne, o które targował się jego uczeń, odetchnie z ulgą i zyska pewność, że duch Tora spocznie w pokoju.

Tak się jednak nie stało. Istniało zbyt wiele luźnych wątków, związanych z Nawałnicą - i to znacznie więcej, niż Jedi początkowo sądził. Tu nie chodziło tylko o niepowodzenie jednego Jedi czy nawet niepowodzenie jego Mistrza w wyszkoleniu go, ale o epidemię, prawdziwą plagę, rozprzestrzeniającą się w obrębie jednego z ramion galaktyki i zbierającą coraz większe zniwo.

I z pewnością był w to zamieszany Hutt Mika. Mander nie mógł zaprzeczyć, że młodszy syn Popary stanowi element całego zamieszania. Tu chodziło jednak o coś więcej niż o samego Mikę - o coś więcej, niż Jedi początkowo przypuszczał. To zaś, że wrak, na który trafili, był ściśle związany z Nawałnicą i z zarazą... oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko kolejną zagadkę, proszącą się o rozwiązanie. Udział w całej sprawie Huttów mógł równie dobrze służyć wyjaśnieniu sprawy, jak i tylko ją komplikować.

Mander zastanawiał się, co wyniknie z rozmowy Miki z jego ojcem na temat Nawałnicy. Czy Popara uzna pojawienie się nowego gatunku przyprawy na rynku za zagrożenie, czy też może wartą wykorzystania szansę? Przypomniawszy sobie słowa Reen, tłumaczącej mu, że Huttom nie powinno się ufać. Czy Popara będzie skłonny im pomóc w wytropieniu i wytępieniu tej plagi?

Pamiętał też cały czas o WSW i o Angeli Krin. Zarówno ona, jak i jej przełożeni wydawali się żywo zainteresowani sprawą Nawałnicy. Przypomniawszy sobie, że to zainteresowanie zostało jeszcze podsycone przez Mikę i zastanowił się, czy sam nie powinien przypadkiem zachęcić jej do współpracy z nimi. Tak czy inaczej, dzięki temu Jedi zyskaliby wolną rękę do działania w tej sprawie. A może, gdyby interesy trafiły w naprawdę dobre ręce, Mistrz Jedi mógłby po prostu spokojnie wrócić do Archiwum?

Mander Zuma znów pokręcił głową i postanowił się zdrzemnąć, zanim dołączy do reszty przy lekkim posiłku przed

główną ucztą.

Pod jego nieobecność zjawił się droid krawiec z nowymi strojami dla Reen i Eddeya. Pantoranka zdecydowała się na ciemnofioletowe, luźne spodnie i kamizelkę w tym samym kolorze z białą lamówką. Srebrzystoszara bluzka z dramassjańskiego błyszczojedwabiu znakomicie podkreślała jej lazurową skórę; Reen przyzdobiła też twarz malunkami wykonanymi ochrowym pudrem. Założyła pas z kaburą, ale zrezygnowała z blastera, który zostawiła na pokładzie statku. Eddey z kolei narzucił na plisowaną, białą koszulę luźną tunikę z poduszkami na ramionach. Jak tylko plamista od zanieczyszczeń tarcza słońca zniżyła się nad horyzont, w ich kwaterach zjawił się pokiereszowany H-3PO.

Prowadząc ich do sali, w której odbywało się przyjęcie, paplał nieustannie z droidzím odpowiednikiem entuzjazmu:

- Hojny Popara, niech jego imię zawsze będzie wychwalane przez klientów, zaprosił na dzisiejszą uroczystość wielu gości; podczas bankietu będzie ich przyjmował na audiencjach. Wielu z nich chciałoby także poznać was osobiście, jako że wieści o waszych czynach już się rozeszły. Czy nie będziecie mieli nic przeciwko siedzeniu przy różnych stolikach?

Mander zaczął coś mówić, ale Eddey przerwał mu szybko:

- Tak będzie najlepiej. Naoglądaliśmy się już siebie nawzajem dość na pokładzie ciasnego statku, więc z przyjemnością spędzimy ten wieczór w nowym towarzystwie.

Mander spojrzał na Bothanina i skinął z aprobatą głową. Z im większą liczbą gości będą mieli okazję porozmawiać, tym więcej informacji zgromadzą. Próba zabójstwa była ważną wiadomością i całkiem możliwe, że ten, kto ją wysłał, będzie obecny na przyjęciu.

Apartament zajmował całe piętro tuż pod szczytem wieżowca. Turbowinda dowiozła ich do ogromnej sali, otoczonej oknami ukazującymi panoramę miasta. Z jednej strony zachodzące słońce zaczynało nikać za kulą Nal Hutta, z drugiej miasto-księżyc pogrążało się już w cieniu, migając feerią barwnych

świateł i reklam. Po drugiej stronie pokoju, za półprzezroczystą, rozsuwaną ścianą, dało się zauważyć cienie Popary, Miki i trzeciego Hutta o wąskiej, stożkowatej głowie, pogrążonych w ożywionej dyskusji.

W pokoju było rojno od gości i ochrony. Większość półkolistych stołów zajmowali Huttowie, ale Mander zauważył też Cerean, Bimmów i dwóch Twi'leków. Reen wskazała ledwie zauważalnym ruchem podbródka stolik, przy którym siedziało kilku Rodian. Za Jedi i resztą wzdłuż ściany ustawili się Niktowie Popary.

Zonnos siedział przy stole razem ze swoimi Wookiemi; Mander podejrzewał, że ich wesoła gromadka opróżniła już niejedną beczkę kashyyyckiego ale. Na widok ich trójki starszy syn Popary otworzył szeroko oczy, ale zaraz zwężił je w szparki, wymamrotał coś do jednego ze swoich Wookiech i wrócił do picia.

Uczta była wystawna, to musieli przyznać - potraw było znacznie więcej niż podczas obfitego skądinał posiłku, dostarczonego wcześniej do ich kwater. Stoły ugięły się pod huttańskimi smakołykami, takimi jak kolcoplacki, piaskacze i kebaddy. Na środku stolików popiskiwały cicho pluskwocykady w małych miseczkach, a w klatkach ustawionych w pobliżu każdego z huttańskich gości stały żywe kłacze, służące tym istotom do oczyszczania kubków smakowych. Zaserwowano też dwugłowe robaki effriki, którymi oczywiście zajadali się tylko Huttowie. Chwilami Mander nie był do końca pewien, czy to, na co patrzy, jest daniem, wymyślnym sztucem czy może dekoracją stołu. Nad każdym ze stołów górowała duża przyprawogalareta, uformowana na kształt Popary, Zonnosa i Miki - szczęśliwej, żelatynowej rodziny. Poza kashyyyckim ale do picia serwowano bogę nogę i gardullę; nie zabrakło też karafek z czystą, źródlaną wodą.

W pewnym momencie półprzezroczysta ściana rozsunała się i z pomieszczenia za nią wyszło trzech Huttów - pochod otwierała Vago. Z drepczącym w ślad za nią jednym z jej wszę-

Plaga

dobylskich zielonych droidów skierowała się prosto do windy - najwyraźniej była zbyt zajęta, żeby uczestniczyć w przyjęciu. Za nią szedł Mika, który szybko dołączył do pustego stolika, gdzie zaraz zgromadziła się grupka Rodian, a w końcu pojawił się i sam Popara, spoczywający na platformie repulsorowej, w towarzystwie trójki nieodstępujących go najwyraźniej ani na krok Twi'lekanek.

- *Gijee bo mabonna matah* - powiedział, witając przybyłych. - *Chowbaso padunky*.

Reen spojrzała pytająco na Mandera.

- Dżentelistoty i drodzy przyjaciele - przetłumaczył Jedi ściszym głosem. - Witajcie w moich progach.

- *Jeema mojja nanyar kodowin Mander Zuma keeja Jeedai, Reen Irana, bo Eddey Be'ray, lomarin geejo mokyin Endregaadi. Gon kodowin pumba mallin* - ciągnął potężny Hutt.

- Oświadczył... - podjął Mander, ale Reen weszła mu w słowo:

- Usłyszałam nasze imiona. Dziękował nam?

- Na swój huttci sposób - wyjaśnił Mander. - Mówił, że nasza pomoc była bardziej niż skuteczna.

Pantoranka prychnęła cicho i rozejrzała się po stolikach.

- Obstawiam Rodian - powiedziała, zmieniając temat. - Sprawdzę, czy uda mi się z nich wyciągnąć coś na temat Bomu.

Mander skinął głową i pozwolił się zaprowadzić do stolika, przy którym siedzieli już Cereanie i opasła Huttanka z szerokim czołem ozdobionym diamentami. Eddey został usadzony między Twi'lekami a Bimmami - czyli żadne z trójki nie trafiło do stołu Zonnosa.

Wysoki Cereanin przy stole Mandera przedstawił mu Huttankę jako Lungru Nokko, długoletnią partnerkę biznesową klanu Anjiliac. On sam nazywał się Kir Sesad i był jej głównym doradcą. Przy ich stole siedziało także troje Quarrenów, ale tylko jedna z nich porozumiewała się w basicu, i to z syczącym seplenieniem. Kiedy quarreńska samica tłumaczyła rozmowę swoim kompanom, ojczysty język brzmiał w jej ustach znacznie

przyjemniej niż twardy basie.

Lungru mówiła oczywiście tylko w huttyjskim. Mander rozumiał co prawda większość jej słów, ale momentami, kiedy Lungru zdarzyło się użyć kolokwializmu albo Mander miał problem z wysłowieniem się, do akcji wkraczał Sesad. Huttanka była bardzo ciekawa wydarzeń na Endregaadzie i wielokrotnie zwracała się do Mandera jako do wybawcy Miki.

- Takie dziecko potrzebuje ochrony - zauważyła w pewnym momencie.

- Młodszy syn Popary wydaje się bardziej niż mężny i całkiem sprytny - uznał Mander. - Dzisiaj, trochę wcześniej, przydarzył nam się pewien wypadek, mianowicie strzelano do nas. Mika wykazał się wielką odwagą.

Lungru otworzyła szeroko oczy, a Mander dodał:

- Sądzę, że ten, który do nas strzelał, był Cereaninem.

Huttanka parsknęła i spytała:

- Cereaninem? Może to któryś z tych przy naszym stole? Może na przykład Kir Sesad wykradł się niepostrzeżenie, żeby postrzelać sobie do pupila Popary? - Cereański doradca rzucił Manderowi spojrzenie tak lodowate, jak głęboka przestrzeń, a Huttanka podjęła, rozbawiona własnym żartem: - Czyżbyś wymknął mi się, kiedy nie patrzyłam, Kirze Sesadzie?

- Nigdy nie pozwoliłbym sobie zrobić czegoś bez twojego rozkazu, Lorda Lungru - odparł chłodno Sesad.

Lungru dodała jeszcze, że nigdy nie przyszłoby jej do głowy zlecić coś tak idiotycznego jak zabójstwo rywala przed przyjęciem, i zauważyła, że to wcale nie ze swojej winy Mika znalazł się na czyimś celowniku.

- Popara go rozpuszcza. To czasem się zdarza starszym Huttom. Stajemy się zbyt łagodni, sentymentalni... Przegapiamy okazje, nie korzystamy z przewagi. Popara, którego pamiętam, był znacznie silniejszy i bardziej okrutny. Teraz jest już tylko stary, zupełnie jak ja. - Przerwało jej pojawienie się jednej z twi'lekańskich służących Popary, która poinformowała ją, że jej pan chce się z nią widzieć. Huttanka oddaliła się od stolika, a

wraz z nią jej Cereanie i służąca Popary. Pochód zamykał Kir Sesad. Platforma z Poparą skierowała się znów do sali audien-
cyjnej i wkrótce jej ściany zasunęły się za nimi.

Mander pomyślał, że starszy Hutt najwyraźniej lubi łączyć
interesy z przyjemnościami, skoro zmienił uroczystą ucztę w
poczekalnię dla petentów. Quarrenowie rozmawiali między sobą
w swoim języku, którego nie rozumiał. Kiedy rozejrzał się po
sali, podchwycił wzrok Reen; Pantoranka przeprosiła pozosta-
łych gości i podeszła do jego stolika. Opadła z westchnieniem na
miejsce Kira Sesada i sapnęła:

- Muszę chwilę odetchnąć.

- Jak tam twój Rodianie? - spytał ją Mander.

- To księgowi! - poskarżyła się. - Należą do klanu Kemu i są
tak drętwi jak kłody! Nigdy w życiu tak się nie wynudziłam!

Mander uśmiechnął się pod nosem.

- Biedny Mika.

Reen prychnęła z frustracją.

- Biedny? Mam wrażenie, że on to uwielbia! Przez ostatnie
pół godziny rozmawiali o postimperialnych zmianach ograni-
czeń w opodatkowaniu importu w Światach Jądra!

- A więc nie mamy szczęścia...

Pantoranka pokręciła głową.

- Znają klan Bomu, ale uważają jego członków za nie-
kompetentnych pajaców. Właściwie to nie mogę się z nimi nie
zgodzić. Uważają też, że przemytnicy zajmują się szmuglowa-
niem, bo nie potrafią zajmować się papierkową robotą...

- Chyba powinnaś wracać do swoich - mruknął Mander. -
Nadchodzą moi sąsiedzi.

Rzeczywiście, panele na ścianie rozsunęły się właśnie i ze
środką wypęzła Lungru, a za nią jej świta. Wyglądała tak, jakby
spotkanie nie przebiegło zbyt pomyślnie; po drodze do stolika
wzięła z jednej z tac fajkę hokuum i zaciągnęła się mocno. Ce-
reanin usiadł z kamienną twarzą przy stole. Nawet Quarrenowie
umilkli, kiedy Lungru wciągała dym głęboko do płuc.

Huttanka posłała Manderowi przez stół lodowate spoj-

Plaga

rzenie, a potem powiedziała w huttyjskim coś, czego nie rozumiał. Zerknął na Kira Sesada, licząc na jego pomoc. Cereanin przetłumaczył:

- Wiesz o Nawałnicy.

Mander powoli pokiwał głową.

- Owszem, zetknęliśmy się z nią na Endregaadzie. Wygląda na to, że narkotyk rozprzestrzenia się coraz szerzej w obrębie tego ramienia galaktyki.

- To okazja - powiedział Cereanin, a Lungru wydała z siebie odgłos, brzmiący jak pęknięcie błotnego bąbla. - Szansa, którą Popara zaprzepaszcza.

- *Gah ja boftah* - dodała Huttanka, co Cereanin przetłumaczył jako: - Robi się miękki.

- To niebezpieczna przyprawa - zauważył Mander.

- Wszystko w tej galaktyce jest niebezpieczne - oznajmił Cereanin, co zabrzmiało, jakby miał na myśli również siebie samego. - Ona jest też tutaj, na Księżycu Przemysłowców. Ta przyprawa. Widzieliśmy ją. Wiedza o tym, skąd pochodzi, kto ją produkuje i z kim można o niej rozmawiać, byłaby bardzo cenna. - Z tymi słowami Kir Sesad uśmiechnął się drapieżnie i pochylił nad stolikiem. - Bardzo cenna - powtórzył z naciskiem.

- Racja - zgodził się Mander, także nachylając się w jego stronę. - Sam chciałbym zdobyć podobne informacje. Pamiętajcie o mnie w razie czego. - Do Lungru zaś powiedział w swoim łamanym huttyjskim: - Dowiem się tego. - Postarał się, żeby zabrzmiało to jak groźba, po czym wstał od stolika, odprowadzany prychnięciem Lungru i chichotami Quarrenów. Od Popary wychodzili właśnie księgowi z Rodii, a ich miejsce zajął inny Hutt, Parella. Zamiast jednak ratować Reen przed koniecznością wysłuchiwania dalszych dyskusji na temat polityki wydobycia cennych kruszców w czasach Republiki, Mander zatrzymał się przy stoliku, przy którym siedział Bothanin pogrążony w rozmowie z Bimmami.

- Dobrze wiedzieć, że przynajmniej jedno z nas dobrze się bawi - mruknął do niego.

Plaga

Eddey uśmiechnął się pod nosem.

- Ci tutaj Bimmowie zostali uratowani przez załogę jednego ze statków Popary i negocjują właśnie cenę za ratunek. Nie spieszy im się, bo karmią ich tutaj całkiem nieźle. - Bimm skinął mu radośnie głową i podniósł do ust darniopęłzacza zapieczonego w pancerzyku.

- A ten cały Hutt? - spytał Mander.

- Dziwny - mruknął Eddey. - Nazywa się Parella i lubi polować.

- Polować? - zdziwił się Jedi.

- Większość Huttów to, hm, pełzające ślimaki - stwierdził Eddey. - Nieruchawe bezkręgowce. Jednak ten zdaje się czerpać satysfakcję z tropienia i zabijania ofiar. Rozwodził się bardzo długo nad zestrzeliwaniem wironietoperzy w jego rezydencji na Nal Hutta. Lubi broń. Najróżniejszą. Ach, i pewnie będzie cię wypytywał o twoje ostrze.

- Mój miecz świetlny? - spytał Mander; czując na biodrze ciężar rękojeści. - Dlaczego?

- To dla niego nowinka - wytłumaczył mu Bothanin. - Chciałby go wypróbować.

- Miecz świetlny w niepowołanych rękach może być niebezpiecznym narzędziem - odparł Mander. - Jedi przez całe lata ćwiczą biegłość w walce tą bronią. Używając takiego miecza, ktoś niewładający Mocą może równie dobrze zamiast przeciwnika zranić samego siebie.

- Powiedziałem mu coś w tym stylu - poinformował go Eddey. - Nie muszę ci jednak chyba mówić, że Hutt słyszy tylko to, co chce usłyszeć. Widziałeś Zonnosa?

Mander odruchowo odwrócił się w stronę starszego syna Popary, podchwytyjąc jego spojrzenie.

- Przez większość wieczoru nie robi nic innego, tylko gapi się na ciebie - dodał Bothanin. - Ostatnim razem zadarłem z jego Wookiemi, ale teraz... nic z tych rzeczy. Nie spuszcza cię z oka. Cokolwiek byś zrobił, wydaje się coraz bardziej go wkurzać. Okropnie działasz mu na nerwy.

Plaga

Hutt zmrużył oczy, a na dźwięk jakiejś uwagi wypowiedzianej przez jednego z Wookieech palnął go w głowę. Wyglądał - o ile to możliwe - na jeszcze bardziej rozgniewanego i groźniejszego niż wcześniej. Jego gruba, niebieskawa skóra wydawała się promieniować wściekłością i irytacją. Mander odwrócił się znów do Eddeya.

- Może podejrzewa, że powiedziałeś jego ojcu o rozmowie, którą przeprowadził z tobą, zanim wyruszyliśmy po Mikę... Albo rozdrażniło go coś innego... - rozważał Bothanin.

- To znaczy? - spytał Mander.

- To znaczy, że możemy teoretycznie przyjąć, iż celem dzisiejszej próby zamachu nie był Mika, tylko ktoś inny - podsunął Eddey. Mander rozważył w myśli tę sugestię, a potem skinął głową.

W tej samej chwili drzwi do drugiej sali rozsunęły się i pojawił się w nich Parella Łowca z uśmiechem na szerokiej twarzy. Mander zastanowił się, czy Hutt dostał to, czego chciał, czy może po prostu nie prosił o zbyt wiele?

Obok jak spod ziemi wyrosła Reen, z jedną z Twi'lekanek Popary u boku.

- Teraz nasza kolej - poinformowała go i twi'lekańska służąca poprowadziła ich do komnaty audiencyjnej.

Kiedy przechodzili przez drzwi, Mander poczuł mrowienie na całym ciele. Dotarło do niego, że sala musi być chroniona polem siłowym, przepuszczającym wolniej poruszające się obiekty - jak na przykład ciała istot żywych - ale odbijającym strzały energetyczne i pewnie także pociski.

Popara nie był głupcem i zabezpieczał się na wypadek, gdyby jakiś zabójca postanowił przesłać mu bardziej bezpośrednią wiadomość niż ta skierowana wcześniej do jego syna.

Hutt wciąż spoczywał na swojej platformie repulsorowej, a twi'lekańskie służące spełniały wszystkie jego zachcianki. Jedna z nich podnosiła mu do ust ozdobny pojemnik fajki hokuum, druga stała obok z datapadem, a trzecia trzymała dużą misę, pełną bladych, wijących się robaków.

Plaga

- Zakładam się, że tym razem też nam nie podziękuje - mruknęła Reen; Mander uciszył ją cichym syknięciem.

Popara Anjiliac pociągnął solidnie z fajki wodnej i skinął na trzymającą ją Twi'lekanę. Ta cofnęła się, a Hutt wypuścił z wąskich nozdrzy kłęb dymu. Potem wyrzucił z siebie serię słów w huttyjskim, przechodząc od razu do interesów. Mander zrozumiał ogólny sens, a Twi'lekanka potwierdziła jego domysły, tłumacząc:

- Potężny Popara chciałby, żebyś podjął się pracy dla jego rodziny - powiedziała, tymczasem Hutt zaczerpnął z misy garść robaków i wrzucił je sobie chyzo do ust. - Jego młodszy syn, Mika, odkrył, że zaraza, z powodu której został uwięziony na Endregaadzie, była związana z nowym gatunkiem przyprawy, silnym narkotykiem, mącącym umysł i wzbudzającym wielkie emocje. Potężny Popara, pomimo namów innych, nigdy nie pozwoliłby na obrót takim środkiem. - W tym miejscu Popara przełknął robaki i podjął przemowę w huttyjskim, akcentując każde zdanie gromkim pohukiwaniem.

- Nawałnica rozprzestrzeniła się w przestrzeni Huttów, a także na terenie całego ramienia galaktyki, i jest dla nas wszystkich trucizną - poinformowała w jego imieniu Twi'lekanka. - Potężny Popara jest przekonany, że młody Mika dowiedział się dość, żeby zwrócić uwagę na swoje działania, więc ci, którzy zajmują się przemytem, uczynili sobie z niego cel, który trzeba wyeliminować. - W tym miejscu Popara wymruczał długą serię przekleństw; część z nich Mander znalazł, ale kilka wydawało się niezwykle innowacyjnych. Twi'lekanka postanowiła pominąć je w tłumaczeniu: - Czcigodny Popara nie pozwoli na zastraszanie członków jego rodziny. Rozgromił swoich wrogów i spustoszył siedziby tych klanów, które zdecydowały się podnieść na niego rękę. Dlatego teraz także chce się dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za tę nową plagę, i zniszczyć go. - Popara poklepał się po brzuchu, beknął przeciągle i sięgnął po kolejną garść robaków. Kiedy je przełknął, wypił długi łyk z kryształowej karalld i podjął za pośrednictwem Twi'lekanki: - Potężny Popara

Plaga

sądzi, że podzielasz jego zdanie. Jedi nie tolerują niewolnictwa, i to zarówno jeśli chodzi o umysł, jak i ciało.

- Potężny Popara ma rację - potwierdził Mander w najlepszym huttyjskim, na jaki go było stać. Popara skrzywił się boleśnie i zarechotał kpiąco, a potem sięgnął po karafkę, wypił znów długi łyk i znowu przemówił ustami swojej służki:

- Dobrotliwy Popara nie chce, żeby jego młodszy syn, który dopiero co wrócił na łono rodziny, narażał się na ryzyko. Docenia kompetencję Vago, jednak Vago jest dla niego jak córka i także nie powinna się narażać. Zonnos jest starszy, więc nie może ryzykować życia jako dziedzic rodu. Dlatego to ty podejmiesz się rozwiązania tej sprawy w ich imieniu. - Twi'lekanka z datapadem podeszła do niego i wręczyła mu urządzenie. - W komputerze znajduje się lista lokali, w których, jak ustaliła Vago, rozprawiana była Nawałnica - wyjaśniła. - Może uda wam się odnaleźć źródło narkotyku albo niedoszłego zabójcę syna Miki.

Mander wsunął datapad za pazuchę i powiedział po prostu:

- To dla nas zaszczyt móc ci służyć.

Reen zaczęła coś mówić, ale Eddey trącił ją łokciem pod żebra i Pantoranka zamknęła usta, zakłopotana.

Popara także zaczął mówić, ale szybko przerwał... a potem powtórzył się i czknął tak głośno, aż jego Twi'lekanki cofnęły się o krok. Po chwili przerwy Hutt znów podjął przerwany wątek, ale i tym razem nie udało mu się dokończyć; wydawało się, że przez chwilę wstrząsnął nim lekki dreszcz... a potem otworzył szeroko oczy. Znać w nich było ból i strach.

- Co się stało? - spytał Eddey.

Mander nie miał pojęcia; podszedł do Hutta, co w normalnych okolicznościach zostałoby uznane za naruszenie etykiety, ale widział wyraźnie, że Popara cierpi. Jego brzuch zaczynał puchnąć; opasła istota wydała z siebie skrzeknięcie przypominające rechot rannej zaby. Twi'lekanki spojrzały po sobie, zauważalnie przerażone, a jedna z nich spróbowała odepchnąć Madera od swojego pana. Masywne cielsko Hutta wciąż

zwiększało objętość, a w jego oczach gościła teraz panika. Jego skóra z każdą sekundą napinała się bardziej, całkiem jak zanadto nadmuchany balon, który lada chwila ma pęknąć.

- Sprowadzę pomoc! - krzyknęła Reen i odwróciła się w stronę drzwi, które rozsunęły się na główną salę. Do Mandera dotarło w tej samej chwili, jaki widok musiał się ukazać zgromadzonym na niej gościom: wyraźnie ogarnięty boleściami Popara, krzyczące ze strachu Twi'lekanki i oni: Jedi, Pantoranka i Bothanin, stojący tuż przed rozdętym do monstrualnych rozmiarów Huttem.

- Reen, nie! - krzyknął, ale było już za późno. Eddey złapał go za ramię i odepchnął na bok. Popara wyglądał teraz jak jakaś upiorna, żywa piłka i wydawał z siebie niski, chrapliwy charkot...

A potem napięta skóra nie wytrzymała i ciało Hutta eksplodowało, posyłając na wszystkie strony szczątki organów. Twi'lekanki zaczęły wrzeszczeć jak opętane i rzuciły się w poszukiwaniu schronienia, a Reen została pchnięta wybuchem na pole siłowe wraz z częścią tego, co zostało z wielkiego Hutta. Poruszała się jednak zbyt szybko, żeby pole ochronne przepuściło ją na zewnątrz.

Na chwilę zapadła cisza, a kiedy Mander spojrział na zgromadzonych na sali gości - Quarrenów, Bimmów, Rodian, Wookiech i Cerean - zobaczył, że wszyscy gapią się, zszokowani, na pobojuwisko w sali audiencyjnej. W ułamku sekundy dotarło do niego, co się za chwilę stanie.

Nie mylił się. W przerażającej ciszy rozległ się ryk pijanego Zonnosa:

- Zabili mojego ojca! Śmierć Jeedai i jego sprzymierzeńcom!

ROZDZIAŁ 10. POŚCIG W GŁĘBINACH

Mander, Reen i Eddey mieli szczęście w nieszczęściu: w pierwszym, instynktownym odruchu goście i ochroniarze sięgnęli po broń - co kto miał, ukrytego albo trzymanego w pogo-

towiu - i zaczęli strzelać do domniemanych zabójców. Pole siłowe jednak wytrzymało i pierwsze strzały nie wyrządziły im żadnej krzywdy, rozbijając się niegroźnie na niewidzialnej barierze.

Mander rozejrzał się po pokoju. Nie widział innej drogi ucieczki niż turbowindy po przeciwnej stronie sali, jednak nie mieli szans się tam dostać, bo dzieliła ich od nich tarcza pola siłowego. Zapewne Popara miał gdzieś w sali audiencyjnej ukrytą turbowindę, jednak zlokalizowanie jej i aktywowanie zabrałoby za dużo czasu - którego nie mieli zbyt wiele. Musieli wymyślić coś innego.

- Masz jakiś plan? - spytał go Eddey, dobywając z fałdów luźnej tuniki podręczny blaster.

- Bierz Reen i chodźcie za mną - zakomenderował Mander.

Spryskanej krwią i szczątkami Hutta Reen nie trzeba było dwa razy powtarzać. Dwie zielonoskóre Twi'lekanki były w szoku i szlochały nad tym, co zostało z ich huttańskiego pana, ale trzecia szybko się otrząsnęła i rzuciła na Pantorankę z furią, wyciągając w jej stronę rozcapierzone palce, zakończone długimi, ostrymi paznokciami. Reen zanurkowała w bok i wycelowała łokieć w szczękę twi'lekańskiej służącej. Cios był celny i istota upadła na ziemię ze zbolałym jękiem.

Mander przeskoczył nad nią i wycofał się błyskawicznie na tyły sali, do wielkiego okna, wychodzącego na panoramę Nar Shaddaa. Patrząc przez nie, można było odnieść wrażenie, że w dole rozciąga się odbicie nieba - nisko nad horyzontem wisiała ciemna, ciężka bryła Nal Hutta, a światła miasta-księżycy migotały niczym gwiazdy na rozciągniętym nad nim sklepieniu niebieskim. Wozy powietrzne i pojazdy reklamowe przemykały tu i ówdzie na podobieństwo komet. Mander odpiął od pasa miecz świetlny, aktywował ostrze, które wysunęło się z rękojęści z cichym sykiem, a potem sprawnie wbił je w przejrzystą taflę szyby.

Okno nie pękło, ale tworzywo, z którego je wykonano, zaczęło się topić pod wpływem promienia energii, co dało mu nadzieję na udaną ucieczkę. Naparł klingą na transpastal, która

zaczęła niechętnie ustępować, jak fale nurtu poddające się wiośłom. W ciągu kilku sekund, które wydawały się wiecznością, udało mu się wyciąć w szybie otwór wielkości przeciętnej istoty humanoidalnej.

Kiedy obok niego przemknęły pierwsze strzały z blasterów, obejrzał się przez ramię. Niktowie, Wookie i Cereanie korzystali z wejścia jako osłony i ostrzeliwali ich z progu. Okazało się, że Eddey miał przezornie schowaną za pazuchą także broń swojej partnerki, bo para odwzajemniała teraz ogień nad stygnącymi szczątkami Popary i zawodzącymi w panice Twi'lekankami.

Mander kopniakiem wypchnął wycięty fragment szyby, która zniknęła w ciemności na zewnątrz, odbijając światła otaczających budynków.

- Na parapet! - krzyknął i dał reszcie przykład, wychodząc w mrok.

Gzyms był ozdobny, utrzymany w stylu typowym dla Huttów, co oznaczało, że był wąski, ale przeciętnego wzrostu i tuszy człowiek mógł się na nim poruszać z pewną, ograniczoną co prawda, swobodą. Jedi zrobił kilka kroków w prawo, a Reen i Eddey poszli w jego ślady. Na tej wysokości wiatr był dość silny i szarpał szatami, jakby chciał ich strącić z parapetu, ale rozplaszczyli się na ścianie i zaczęli ostrożnie posuwać w stronę rogu budynku.

Okno za ich plecami zadygotało wyczuwalnie, kiedy trafiła w nie seria strzałów z blastera. Eddey schował głowę w ramiona i zgarbił się, próbując ochronić przed atakiem.

- To transpastal - wyjaśnił Jedi. - Pewnie w końcu zdołają się przez nią przestrzelić, ale trochę im to zajmie. Musimy skręcić za róg!

Strzały punktowały całą ich podróż aż do końca ściany. Przez ten czas do wyciętego przez Jedi otworu dotarło dwóch Niktów, którzy próbowali ich ustrzelić, celując wzdłuż parapetu. Zamykająca pochód Reen dotarła do rogu i skryła się za nim, odpowiadając napastnikom ogniem. Ścianę za rogiem budynku

Plaga

także tworzyła tafla transpastali, którą obrali sobie za cel strzelający do nich Wookie, licząc na to, że ją skruszą, zanim uciekinierzy zdołają przemknąć dalej. Jedi, Bothanin i Pantoranka byli w pułapce.

- Świetny plan, nie ma co! - zawołała Reen, starając się przekrzyczeć odgłosy blasterowej kanonady. - Jak się teraz stąd wydostaniemy?

- Cicho! - warknął Eddey. - Jedi pracuje nad tym.

Mander oparł się plecami o drżące okno i spróbował oczyścić umysł. Kawałek dalej w powietrzu jeden z pojazdów reklamowych opadał powoli w dół. Jedi sięgnął ku niemu poprzez Moc i nie bez trudu spróbował go nakierować w ich stronę. Lekka konstrukcja poddała się jego mentalnemu naciskowi, ale kierujący nią droid dał ciąg do silników wstecznych, chcąc oddalić maszynę od budynku.

- Rozmiar nie ma znaczenia - wymamrotał pod nosem Mander - ale bezwładność to całkiem inna sprawa...

Zamiast skupiać się dalej na samej maszynie, zwrócił całą uwagę na przestrzeń dzielącą go od pojazdu. Wzbudzony przez niego ciąg powietrza przysunął reklamowóz, ku zaskoczeniu pilotującego go droida, w jego stronę. Kiedy cienka, heglumowa otoczka gazu napała na ścianę budynku, dało się słyszeć ciche skwierczenie.

- Wskakujcie! - zawołał Mander, ale nie musiał ich instruować; Eddey dał już susa, prześlizgując się nad roziskrzoną diodami burtą pojazdu, miażdżąc po drodze emitery światła i psując wyświetlaną na niej reklamę. Reen oddała jeszcze kilka strzałów w stronę napastników i wgramoliła się za nim do środka.

Mander skoczył za nią... dokładnie w tej samej chwili, w której transpastalowa tafla za jego plecami roztrzaskała się pod wpływem zmasowanego ognia. Wokół nich zaroilo się nagle od promieni śmiertcionośnej energii, która gasiła diody i zostawiała skwierczące bruzdy na zewnętrznej powłoce maszyny, naruszając część jej komór pływowych.

Plaga

Reklamowóz oddalił się od ściany... i zaczął powoli wytracać wysokość.

- Spadamy! - krzyknęła Reen, a zasiadający za sterami pojazdu droid wyrzucił z siebie kilka komend, okraszając je huttańskimi przekleństwami. Za ich plecami blasterowa kano-nada stopniowo traciła na sile i natężeniu.

Mander wskazał widniejącą kawałek dalej galerię, łączącą dwa wysokościowce, i zawołał w huttyjskim:

- Leć na mostek! - Dla efektu dorzucił kilka przekleństw. Nie wiedział, czy to rozkaz odniósł pożądany efekt, czy poskutkowały inwektywy, czy może spowodował to wiatr, ale reklamowóz posłusznie zanurkował na lewo i zaczął niezdarnie kierować się na przęsło kładki. Zderzenie uszkodziło kolejne komory pływowe, a mostek zajęczał pod naporem pojazdu, jednak ich trójce udało się w porę wgramolić na galerię i po chwili znaleźli się w przestronnych arkadach przylegającej do niej kładki powietrznej.

- Co to miało być? - jęknęła Reen.

- Nasz gospodarz, Hutt Popara... eksplodował - mruknął z przekąsem Mander.

- Tyle sama widziałam - odburknęła Pantoranka. - Pytam, jak to się stało?

- Bioeksplozja binarna, jak sądzę - stwierdził Eddey. - Dwa składniki, dostarczone przez różne nośniki. Równie groźna, co trudna do wykrycia.

- Jeden element mógł być zawarty w dymie, inny w robalach - dopowiedział Mander. - Całkiem możliwe, że gdzieś był też zapalnik, który spowodował aktywowanie całości w odpowiednim miejscu i o właściwym czasie. Powinniśmy przeszukać apartamenty...

- Mało prawdopodobne, żeby nam na to pozwolili. Zonnos postawił już na nas krzyżyk - zauważył Bothanin.

- Szybko mu to poszło - bąknęła Reen. - Poza tym przez cały czas podczas przyjęcia łytał na ciebie z ukosa. Sądzisz, że wiedział, co się święci? - Nie trzeba było geniusza, żeby domyślić

Plaga

się, do czego zmierza: czyżby to starszy syn starego Hutta był odpowiedzialny za incydent?

- Możliwe - stwierdził Jedi. - A może to sprawka Lungru albo Parelli... albo kogoś innego?

- A może przedstawiciele klanu Bomu nie są takimi ofiarami losu, za jakich ich uważaliśmy? - podsunęła Pantoranka. - Huttom nie brakuje wrogów i spiskowców.

Mander rozważał przez chwilę jej słowa.

- Jeśli dodamy do tego zamach na życie Miki dzisiejszego ranka, z równania wynika, że to może być próba przerzedzenia szeregów Huttów, którzy zanadto zaczęli się interesować źródłem pochodzenia Nawalnicy. - Rozejrzał się po okolicy. - Wiecie może, gdzie jesteśmy?

- Nie - westchnął Eddey. - Możemy spróbować trafić z powrotem do „Nowej Ambicji”, ale wydaje mi się, że ubiegliby nas Zonnos i jego Wookie. Właściwie to wcale mi się tak nie wydaje - uznał po namyśle. - Jestem tego pewien.

- Hej, dopiero co dostaliśmy ten statek! - zaprotestowała Reen. - Nie możemy go tak łatwo oddać!

- Nie pierwszy raz - mruknął Eddey, na co jego partnerka posłała mu gniewne spojrzenie.

- Mamy datapad z miejscami, w których handlowano Nawalnicą - wtrącił Mander, wyciągając urządzenie zza pazuchy. - Jeżeli śmierć Popary jest w jakiś sposób powiązana z przyprawą, będziemy mogli dzięki temu wytropić podejrzanych.

- I może też znaleźć statek, który nas stąd zabierze - odpowiedział Eddey. - W miejscu takim jak to powinno się roić od szemranych pilotów, szukających zleceń.

- Tak czy inaczej, chciałabym wcześniej znaleźć coś do przebrania - poskarżyła się Reen. - Cuchnę zdechłym Huttem.

Droid sprzedawca, na którego trafili, wydawał się zupełnie niezainteresowany stanem poplamionych krwią szat Pantoranki i bez zbędnych pytań dostarczył jej nowy strój, a także peleryny z kapturami dla Eddeya i Mandera. Nie tylko on sprawiał wrażenie obojętnego na ich trójkę. Większość populacji Nar Shaddaa

wydawała się nieświadoma niedawnych wydarzeń, które rozegrały się na przyjęciu u Popary, i jego wybuchowej śmierci, jak również pościgu za domniemanymi zabójcami Hutta.

- Tacy już właśnie są - zauważył Eddey z westchnieniem. - Starają się rozwiązywać wszystko po cichu, między sobą. Miejmy nadzieję, że tak już zostanie. Dokąd teraz?

Kantyna Kuzbara była całkiem przyzwoitą kafejką na poziomie czterdziestym drugim w pobliżu wieżowca Popary. W kącie lokalu rodiańska szansonistka produkowała się po huttyjsku przy akompaniamencie dźwięków wydobywanych z rogu kloo przez Bimma. Barman, przedstawiciel rasy humanoidalnej, której Mander nie rozpoznawał, przyjął od nich kilka kredytów i skierował ich do wyjątkowo opasłego Sullustanina imieniem Min Gost, który zajmował jeden z boksów w kącie i zachowywał się, jakby to było jego osobiste centrum sterowania galaktyką.

- Domyślam się, że szukacie informacji - powiedział, splatając przed sobą na stole serdelkowate palce i przyglądając im się z wyczekiwaniem.

- Chcemy opuścić księżyc - wyjaśnił Mander. - Czy możesz nam pomóc?

- Dla mnie to pestka, a dla was... duży wydatek - odparł Min, rozciągając wargi w obleśnym uśmiechu.

- Umowa stoi - powiedział Mander. - Płatność przy odbiorze.

Sullustanin wzruszył ramionami.

- Co wiesz o Nawałnicy? - wypaliła ni z tego, ni z owego Reen. Mander zmarszczył czoło. Chęć wydostania się z Nar Shaddaa sprawiła, że całkiem zapomniał, po co przede wszystkim dostali tę listę lokali.

Sullustanin lekko podniósł bezwłose brwi.

- Inni też pytali o Nawałnicę. Cuchnęli na kilometr służbami wojskowymi, więc nic im nie powiedziałem.

- A czy my cuchniemy wojskiem? - spytała go zalotnie Reen i Min się roześmiał. Wtedy Mander położył na stole kilka huttańskich tugrutów i kredytek z ich topniejącego zapasu, a

Plaga

Reen uśmiechnęła się i podjęła: - No to co wiesz o Nawałnicy?

- Wiem o Nawałnicy wiele rzeczy - westchnął ze znużeniem Min. - Jest nowa. Dochodowa. I bardzo, bardzo silna. Ma tendencję do zabijania tych, którzy z nią igrają, więc nie ma szczęścia do stałych klientów. Jeśli chcecie, mogę wam odrobinę załatwić...

- A może znasz jej źródło? Dystrybutora? - drążyła Reen.

Min znów wzruszył ramionami.

- Nikt nie zna. Mamy tu dilera, Rinniksa, miłego Trandoshanina. Lubiliśmy z nim dobijać interesu, ale od jakiegoś czasu nikt nie widział go w okolicy.

- A wiesz może, skąd brał towar? - zainteresowała się Pantoranka, a Mander dołożył do stosiku na stole jeszcze kilka monet, jednak Sullustanin machnął tylko ręką.

- Gdybym wiedział, nie handlowałbym informacjami, tylko sprzedawał samą Nawałnicę! - prychnął z rozbawieniem.

- Komu Rinnix sprzedawał przyprawę? - zapytał Eddey i tłusty Sullustanin zamrugał, całkiem jakby pierwszy raz zauważył Bothanina przy swoim stoliku. Zastanowił się przez chwilę nad informacją, której zamierzał im udzielić.

- Niewielu. Głównie tym z wyższych sfer. Między innymi Zonnosowi, synalkowi Popary.

Reen wyprostowała się i rozejrzała ukradkiem po sali.

- Zonnos tu bywa?

Sullustanin znów się roześmiał.

- Syn huttańskiego lorda w takim miejscu? O, skąd! Co to, to nie! Przysyła tu swoich kumpli Wookiech. Sądzi, że jest dyskretny, ale kto inny zatrudnia tutaj Wookiech? - Znowu się roześmiał.

W tym momencie do baru wtoczył się krępy droid z holoprojektorem zamontowanym na bulwiastej głowie. Stał na środku, a potem wydał z siebie niskie chrząknięcie, prosząc zgromadzonych o uwagę. Na widok Zonnosa, który pojawił się na wyświetlaczu droida, Mander poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Widział, jak żyły po bokach głowy Hutta pulsują gniewnie.

Plaga

- *Wundara Nar Shaddaa seetazz!* - huknął holograficzny Zonnos. Jego słowa zostały natychmiast przetłumaczone melodyjnym, kobiecym głosem na basie: - Uwaga, uwaga, mieszkańcy Nar Shaddaa! Wielki Popara Anjiliac został zamordowany, bezdusznie zabity przez te istoty! - Na monitorze pojawiły się podobizny Reen, Eddeya i Mandera, uchwyconych podczas podróży turbowindą przed przyjęciem. - Zapłacę sto peggatów temu, kto aresztuje ich albo wymierzy im sprawiedliwość! - Wiadomość się zakończyła i droid skierował się do wyjścia.

Mander powstrzymał chęć rozejrzenia się po sali, żeby sprawdzić, czy inni goście lokalu ich widzieli. Reen podniosła kaptur swojej kurtki i nasunęła na głowę, a Eddey opadł na wyściełaną ścianę ich boksu.

- No, wygląda na to, że chyba jednak cała sprawa nie zostanie w rodzinie - mruknął.

Min Gost znów splótł na stole przed sobą pulchne palce i uśmiechnął się do ich trójki chytrze.

- Pozwólcie, że teraz to ja zadam wam pytanie: ile jesteście skłonni mi zapłacić za milczenie?

- Jak sądzisz, ile mamy czasu? - spytała nerwowo Mandera Reen, kiedy wyszli z baru.

Jedi rozglądał się w poszukiwaniu zagrożenia. Znajdowali się w prawdziwym labiryncie kładek i mostków. Podsumował fundusze, które im zostały po opłaceniu Sullustanina, przeliczył je na czas i podzielił przez dwa.

- Daję mu jakieś dwadzieścia minut, zanim wypaple komuś, że tam byliśmy. Jeśli będziemy mieli szczęście...

Niestety, nie mieli szczęścia, a Sullustanin okazał się bardziej chciwy, niż sądzili - okazało się, że zostało im tylko dziesięć minut. Zdołali zejść po jednej z większych wewnętrznych ramp i kierowali się właśnie do chybotliwej podwieszanej kładki, kiedy usłyszeli dobiegający zza ich pleców paskudny, metaliczny odgłos, po którym rozległ się gromki, mechaniczny okrzyk:

- *Hagwa doopee!* Stać!

Plaga

Kiedy Mander się odwrócił, zobaczył wynurzającą się z cieni arkad przedziwną postać - wyglądała jak Hutt owinięty w metaliczną tkaninę; jej ciało pokrywała warstwa nachodzących na siebie płytek, a pozbawioną szyi głowę skrywała durastalowa kopuła z wąskimi wizjerami na oczy, najeżona czujnikami. W zakuty w metal rękach dziwadło dzierżyło pałkę ogłuszającą. Opancerzony Hutt wypłuł znów jakąś komendę, tym razem przetłumaczoną przez wokabulator translacyjny:

- Uciekajcie, tchórze! Dostarczcie mi rozrywki! Jesteście teraz ofiarą Parelli Łowcy!

- Jaja sobie robisz? - prychnęła Reen i otworzyła do niego ogień. Eddey poszedł w jej ślady, ale ich strzały odbijały się nieszkodliwie od metalowej zbroi i znikwały między budynkami.

- Uciekajcie! - zagrział znów wokabulator. - Nie ułatwiają mi tego! - Kiedy zakuty w zbroję Hutt Parella wgramolił się na kładkę, wsporniki jęknęły pod dodatkowym ciężarem i mostek ledwie zauważalnie opadł.

- Damy radę go prześcignąć? - spytała drwiąco Reen, nie przestając się ostrzeliwać.

- To prawdopodobne - mruknął Eddey. Na widok niewielkich kółek, które wysunęły się na dole z boków pancerza, dodał szybko: - Eee, znaczy, mało prawdopodobne.

- Zajmę się nim - powiedział Mander. - Wy poszukajcie jakiejś kryjówki i zaczekajcie na mnie. - Zapalił swój miecz świetlny. - Pięć minut. Jeśli nie wrócę, uciekajcie beze mnie. Sprawdźcie inne lokale z listy, a jeśli nic nie znajdziecie, znajdźcie statek i odlatujcie.

Eddey i Reen zaczęli się wycofywać, cały czas strzelając i celując w otwory wizjera Hutta - tylko po to, żeby się przekonać, że zasłaniające je przejrzyste panele są równie wytrzymałe jak reszta jego stroju. Mander wszedł zaś na mostek z mieczem świetlnym w dłoni.

- Oho, wyzwanie! - huknął Hutt i zasalutował Manderowi pałką ogłuszającą.

Jedi odwzajemnił salut i skoczył w stronę przeciwnika,

zawijając mieczem nad głową i celując w broń Hutta. Energetyczne ostrze powinno było przeciąć pałkę bez trudu... jednak zamiast tego ześliznęło się tylko po jej rękojeści, nie czyniąc jej najmniejszej krzywdy.

- Mandaloriańskie żelazo! - wypluł wokabulator Hutta. Parella zamachnęła się pałką; jej powierzchnia drgała od wylądowań. Mander skoczył saltem w tył, wylądował pewnie i rzucił się znów w stronę napastnika.

Kiedy zaatakował, Hutt ciął nisko, licząc zapewne na to, że zwali go z nóg, ale Jedi w ostatniej chwili podskoczył, unikając ciosu i wybijając się z opancerzonych karwaszów Hutta. Wylądował na kopule hełmu i wbił ostrze między oczy... czy może raczej spróbował wbić, bo klinga ześliznęła się po hełmie tak samo nieszkodliwie jak wcześniej po broni. Zaskoczenie Mandera szybko przerodziło się w szok... i to dosłownie, kiedy poraziło go silne wylądowanie elektryczne. Stracił równowagę i zaczął spadać, ale wylądował bezpiecznie na czworakach na mostku z mieczem w dłoni. Podtrzymujące mostek żelazne liny jęknęły pod impetem jego upadku.

Parella mógł wykorzystać przewagę, jaką nad nim w tej chwili zyskał, jednak zamiast tego zarechotał tylko gardłowo.

- Nie możesz uszkodzić mojej broni - przetłumaczył wokabulator. - I nie możesz sforsować mojej zbroi. Twój sprzymierzeńcy uciekli. Co teraz, mój mały Jeedai?

Rzeczywiście, co teraz? - zastanowił się Mander. Zebrał się w sobie i zasalutował Huttowi raz jeszcze. Parella odwzajemnił gest i Mander zaatakował znów, dokładnie tak samo jak wcześniej. Hutt znowu podniósł swoją pałkę, żeby zablokować cios, jednak tym razem Mander przyjął paradę i ciął w prawo, chlaszcząc mieczem przez linę utrzymującą mostek, a potem przeturlał się na lewo. Wstając, ciął liny z drugiej strony.

Opancerzony Hutt aktywował kółka swojej zbroi, żeby do niego dotrzeć, podczas tego ruchu podnosząc pałkę, żeby strącić go z mostu... i dopiero wtedy czujniki jego zbroi przekazały mu dźwięk pękających lin i jęk metalu, kiedy kładka zaczynała się

poddawać pod jego ciężarem.

Parella Łowca miał tylko tyle czasu, żeby wyartykułować kilka zdumionych przekleństw, a potem reszta lin pękła i kładka się załamała. Mander skoczył w ostatniej chwili, chwytając jedną z luźnych lin. Parella rzucił się w jego stronę, zdeterminowany zabrać podczas upadku Jedi ze sobą, ale jego pancerne rękawice zamknęły się na powietrzu i wielki, metalowy ślimak zaczął spadać, koziołkując, w głąb kanionu między budynkami.

Zwisający na kablu Mander przypiął miecz do pasa, rozhuštał się i skoczył na kikut mostka. Kiedy wylądował, spojrzał w dół, ale zobaczył tylko unoszący się w powietrzu pył i śmieci zaścielające niższe poziomy.

Reen i Eddey czekali na niego za rogiem.

- Co się stało? - spytał Eddey, któremu wyraźnie ulżyło na jego widok.

- Mielśmy mały... wypadek - powiedział bez cienia uśmiechu Jedi. - Musimy być ostrożniejsi. Wszystko wskazuje na to, że Zonnos uznał, iż zrobi z tego coś więcej niż tylko problem klanu, więc wkrótce powinniśmy się spodziewać kolejnych ataków.

Poruszali się teraz bardziej czujnie, z kapturami na głowach, niższymi poziomami. Przepych wyższych pięter znikł bezpowrotnie, zastąpiony nędzą i obskurnością; ściany w okolicy były upstrzone plamami krwi, smarów i innych cieczy, kładki pełne rys i pęknięć, a ci mieszkańcy, których spotykali po drodze, patrzyli na nich nieufnie i podejrzliwie z kryjówek w drzwiach i za witrynami.

Mroczna Melodia znajdowała się na poziomie trzydziestym piątym, a większość jej klienteli stanowili obcy, który trafili na Nar Shaddaa z tego czy innego powodu i od czasu przybycia nie znaleźli powodu albo sił, żeby opuścić Księżyc Przemysłowców. Próby znalezienia pilota i statku, który zabrałby ich z Nar Shaddaa, były tu bezcelowe, a kiedy Mander zaczął wypytywać o Nawałnicę, odesłano ich do trupa Trandoshanina porzuconego pod drzwiami.

Plaga

- Chyba znaleźliśmy kontakt Zonnosa. - Eddey westchnął.
- Hm... - mruknął Mander. - Ma pociemniałe, nabrzmiące żyły, ale nie widać śladów przemocy.

- No i...? - spytała Reen.

- No i - podjął Mander - prawdopodobnie oznacza to, że nie padł ofiarą własnej wściekłości, jak mieliśmy to już okazję zaobserwować u innych. Jak zginął? - spytał barmana o włosach spiętych w wyliniały kucyk.

Ten wzruszył wytatuowanymi ramionami i powiedział:

- Żył... a potem już nie żył. I tyle.

- Co o tym sądzisz? - zagadnął Mandera Eddey.

- Gdybyśmy mogli zbadać trupa... - westchnął Jedi. - Prawdopodobnie okazałoby się, że został otruty. Czymś, co, jak sądził, było Nawałnicą.

- Skąd wiesz? - spytała Reen.

- Nikt nie wie, kto ani w jaki sposób wytwarza Nawałnicę - powiedział Mander. - Załóżmy, że jej producenci to wprawni biochemicy, bo nikt inny nie jest jej w stanie zsyntetyzować.

- A tacy biochemicy - zauważył słusznie Eddey - mogliby wytworzyć także binarny ładunek wybuchowy, a potem przeszmugłować go niepostrzeżenie przez systemy zabezpieczeń Hutta.

- Jak również otruć naszego Trandoshanina - dopowiedział Jedi. - Ktoś najwyraźniej stara się zatrzeć ślady. I ktokolwiek to jest, wie już, że go szukamy. Mamy na naszej liście jeszcze jedno miejsce. W drogę.

W miarę jak zbliżali się do kolejnego celu, światła bladły, a zaułki i alejki spowijał coraz większy mrok. Nie widzieli w górze nieba, a jedynie poszarpane szczyty wyższych budynków. Nie umieliby już teraz powiedzieć, czy znajdują się wewnątrz, czy na zewnątrz wieżowców Nar Shaddaa, bo wszystko wydawało się pokrywającym powierzchnię księżycy wielkim labiryntem. Przejścia przypominały teraz raczej tunele, wychodzące na niewiele szersze dziedzińce, pozbawione roślinności czy fontann. Spotykali coraz mniej mieszkańców, jednak Mander wyczuwał,

że są obserwowani przez istoty czekające na rozwój wypadków. Przed nimi tunel opadał lekko - kiedyś było to pewnie podziemne przejście, teraz połamane przez jakiś inny twór architektoniczny.

Tuż przed tym, zanim w ich stronę oddano pierwszy strzał, Mander uświadomił sobie, że to idealne miejsce na zasadzkę.

Napastników było dwóch. Ukrywali się za systemem zgniatarek śmieci na końcu tunelu. Kiedy przymierzali się do kolejnych strzałów, zza barykady widać było końce ich zielonych antenek - Rodianie z klanu Bomu nie chcieli widocznie ryzykować. Wystawiali tylko co jakiś czas zielone głowy i oddawali w ich stronę krótkie, bezładne serie.

Mander zapalił miecz, ale działał zbyt wolno i otaczający ich stresbeton zaczął pękać, posyłając we wszystkie strony ostre odłamki. Mimo to Jedi udało się odbić najcelniejszy ze strzałów. Reen i Eddey także mieli już w dłoniach swoje blastery.

- Wycofujemy się! - krzyknął Eddey. - Spróbujemy innej drogi!

Jedi zaczął mu tłumaczyć, że nie mogą tego zrobić, bo strzelający do nich Rodianie nie próbowali ich zabić, a jedynie wypłoszyć i zagnać w pułapkę, teraz jednak strzały docierały do nich także z drugiej strony, zza ich pleców - zaatakowała ich kolejna grupa Bomu, strzelająca znacznie celniej od swoich pobratymców.

Reen i Eddey odpowiedzieli ogniem, ale Mander dosłownie zgłupiał: nie wiedział, czy odbijać strzały kierowane do nich z przodu, czy z tyłu, chroniąc resztę, ale i wchodząc im w paradę. Starał się skupić i działać na wycucie, ale wkrótce poczuł, że traci kontrolę, kiedy jeden z promieni blasterowej energii przeleciał niebezpiecznie blisko jego głowy.

- Naprzód! - krzyknął. - Zajmijcie się tymi za zgniatarkami i wykorzystajcie je do osłony!

Sam także zaczął się wycofywać, byle dalej od depczących im po piętach napastników. Odbijał systematycznie ich strzały, podczas gdy Reen i Eddey ostrzeliwali dwóch Rodian na prze-

dzie, znacząc obudowę sprzętu, którego tamci używali do osłony, czarnymi smugami ognia. Dwaj Bomu wychylali się coraz śmielej, próbując celniej namierzyć swoje ofiary. Odbijający strzał za strzałem Mander czuł, jak po plecach ściekają mu krople potu; miał coraz większe problemy z utrzymaniem celności i z szybkością reakcji. Każdy strzał zdawał się mieć własny, ściśle ustalony czas przelotu, a on musiał zrobić wszystko, żeby nie dotarł do pleców jego towarzyszy.

Reen krzyknęła triumfalnie, kiedy jeden z jej strzałów dosięgnął Bomu, wychylającego się właśnie, żeby wziąć ich na cel, drugi jednak nie przestawał zasypywać ich lawiną ognia.

- Trafiliśmy tego po lewej! - oznajmił Eddey.

- Wykurzcie tamtych! - odkrzyknął Mander, odwrócił się i ruszył biegiem. Po drodze wirował i robił uniki, odbijając kolejne strzały, najlepiej jak umiał, teraz jednak liczył bardziej na brak biegłości Rodian w walce niż na własne umiejętności.

Eddey i Reen zanurkowali za pierwszą zgniatarkę i z za tej osłony zaczęli natychmiast ostrzeliwać grupę na drugim końcu korytarza. Chwilę później Mander przeskoczył nad drugą zgniatarką. Kiedy ukrywający się za nią Rodianin podniósł karabin do strzału, Jedi ciął mieczem przez lufę, przymierzając się do unieszkodliwienia napastnika, jednak ten wykazał się zaskakującą pomysłowością - rzucił się naprzód i wcisnął na wpeł stopioną lufę w podbrzusze Mandera.

Cios zaskoczył Jedi, który odtoczył się na bok, próbując spazmatycznie zaczerpnąć tchu. Miecz świetlny wypadł mu z dłoni i potoczył się w dół alejką. Zdołał jeszcze przekreślić się na bok i wylądować na plecach na ścianie zgniatarki, po przeciwnej stronie od nadal ostrzeliwujących ich Bomu, jednak Rodianin, który powalił go na ziemię, stał teraz nad nim, trzymając swój uszkodzony blaster jak pałkę i szykując się do zadania następnego uderzenia... Mander spróbował się usunąć z drogi broni, ale kolba trafiła go w skroń, a Rodianin podniósł ją znowu, szykując się do zadania ostatecznego ciosu...

I wtedy rozległo się staccato blasterowej serii i głowa Ro-

dianina zamieniła się w dymiącą dziurę. Mander pomyślał najpierw, że ocaliła go Reen albo Eddey, ale nie - strzały nadeszły z innego kierunku. Kręciło mu się w głowie od uderzenia, a pole widzenia zawężyło się do wąskiego tunelu. Słyszał swój rżący oddech i odległe strzały, a także krzyki Reen i Eddeya.

Ktoś przy nim uklęknął - postać o czerwonych włosach, w mundurze służb Sektora Wspólnego złożyła się do strzału i dołączyła do reszty w ostrzale Bomu.

- Jak babcię kocham - mruknęła Angela Krin - jesteś inny niż wszyscy Jedi, których dotąd spotkałam.

ROZDZIAŁ 11. POD KSIĘŻYCEM PRZEMYTNIKÓW

- Oficjalnie zostałam przydzielona do innego zadania - powiedziała komandor Angela Krin. - Kiedy gościliście na pokładzie „Śmiałego”, zaczęłam prowadzić śledztwo w sprawie Nawalnicy i przekonałam moich przełożonych, że trop prowadzi na Nar Shaddaa.

Kiedy Angela dołączyła do nich przeciwko Bomu, napastnicy wycofali się - Jedi i jego sprzymierzeńcy nie mieli nad nimi co prawda przewagi liczebnej, ale trudno było bronić się przed ostrzałem trzech blasterów zza marnej osłony. Angela na wpół doprowadziła, na wpół dowlokła Mandera na pobliskie podwórze z bramą, z której mogli się bronić. Reen odnalazła miecz świetlny Mandera i wręczyła mu go. Jedi zamyślony, patrzył na niego długą chwilę, zanim przyjął go z jej rąk. Uznając, że Rodianin, który wymierzył mu cios, ucieknie na sam widok miecza świetlnego, popełnił kardynalny błąd - błąd amatora.

- Śledziłaś nas! - oskarżyła Reen agentkę WSW.

- Podążałam tropem - poprawiła ją lodowatym tonem Angela Krin. - Tropem, na który sami już trafiliście. Znalazłam was w Mrocznej Melodii. - Spojrzała na Mandera i powiedziała: - Mój kontakt jest w pobliżu. Jeśli jesteście gotowi, powinniśmy już iść.

Mander odetchnął głęboko. Powinien był wiedzieć, że są śledzeni. Bolał go obity bok - zastanawiał się, czy przypadkiem

Plaga

nie ma złamanego zebra. Na szczęście dzwonięcie w uszach nieco osłabło.

- Nic mi nie jest - ocenił, wstając powoli. - Możemy ruszać.

Okolica stawała się coraz bardziej obskurna i zdziczała - w miarę jak zagłębiali się coraz niżej, zanikały wszelkie oznaki cywilizacji. To właśnie tutaj kończyły wszystkie odpadki i śmieci z wyższych poziomów. Wokół piętrzyły się sterty opakowań i kartonów, a między nimi walały się szczątki zepsutych i okradzionych z części droidów. Wśród nich były także ciała - niektóre częściowo zjedzone.

- Vrbllthery - powiedziała Angela Krin i Reen spojrzęła na nią wyczekująco. Pani komandor wyjaśniła: - To lokalne formy życia, polujące stadami. Padlinożercy. Idealnie zaadaptowali się do życia w mieście Huttów.

- Jeszcze jeden powód do zmartwień - mruknęła pod nosem Pantoranka, teraz jeszcze uważniej przyglądając się ceniom w zakamarkach.

- Powiedziałaś, że trop doprowadził cię na Nar Shaddaa - zwrócił się Mander do Angeli Krin. - Jak doszłaś do takiego wniosku?

- Pamiętasz ten rozbity statek, który zawlókł plagę? - spytała Angela. - Udało nam się sprawdzić numery silnika.

- I co się okazało? - zainteresował się Eddey. - Do kogo należał?

- Do Skydove - odparła spokojnie Krin, wpatrując się w twarz Bothanina w poszukiwaniu oznak zaskoczenia.

Nie zawiodła się, bo Eddey otworzył szeroko oczy i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Frachtowiec Skydove? Statek Anjiliaców... przemycał Nawałnicę?

Angela Krin skinęła głową.

- A więc Popara kłamał, kiedy zapewniał nas, że nie handluje twardą przyprawą - warknęła Reen.

- Nie byłabym tego taka pewna - stwierdziła ostrożnie pani komandor. - Mój kontakt zapewniał mnie, że Popara o niczym nie

Plaga

wiedział i że odpowiada za to ktoś inny z organizacji.

- A czy będziemy mogli porozmawiać z twoim kontaktem?

- spytał Mander.

- Czekaj na nas w Bólu Głowy - powiedziała Angela. - Zawsze zaczynajcie od ostatniego miejsca na liście. Zresztą mój kontakt wie o waszym spisie. Gdybyście po drodze nie zostali osaczeni, już byście się z nim spotkali.

W oddali migotał niepewnie neonowy szyld. Trzy sylaby Bólu Głowy rozbłyskiwały nieregularnie, już dawno zdesynchronizowane. W środku było dziwnie pusto - pojedyncza lampa nad barem pogrążała dalsze zakamarki w głębokich cieniach.

Jeden z nich się poruszył...

- To właśnie mój kontakt - wyjaśniła Angela Krin.

Z ciemności wynurzył się Hutt Mika i gestem zaprosił ich do swojego stołu. Miał na sobie taką samą kamizelkę, jaką nosił podczas przyjęcia, ale ozdobioną teraz zielonkawym ogniowirem i niewielkimi czerwonymi klejnotami. Z małą torbą przewieszoną przez ramię wyglądał kubek w kubek jak Hutt, który dopiero co uciekł ukradkiem z domu.

Na jego widok po twarzy Eddeya przemknął gniewny grymas i Bothanin sięgnął po blaster. Mander położył dłoń na ramieniu Pantoranki i spytał Angelę spokojnie:

- To od niego dowiedziałas się, że statek należał do Skydove, prawda? Mika ci o tym powiedział, tak?

- WSW i tak by się tego dowiedziało - prędzej czy później - stwierdził drobny Hutt. - Numery rejestracyjne były ukryte pod kilkoma fałszywymi firmami krzakami, ale nie tak skrzętnie, żeby nie odnalazł ich ktoś, komu naprawdę zależało na ich odkryciu. Jak zapewne wiecie, powodzenie przemytu często zależy od tego, czy ludzie szukają we właściwych miejscach. Ja sam nie miałem pojęcia, że jeden ze statków naszej rodziny był wykorzystywany do przemytu przyprawy, dopóki osobiście nie sprawdziłem numerów silnika, których dostarczyła nam wasza Pantoranka.

Reen zignorowała sugestię, jakoby miałyby być czyjaś

Plaga

Pantoranką, i odezwała się:

- A więc za handlem Nawałnicą stoi twój ojciec?

Mika zamrugał gwałtownie, wprawiając swoją pozbawioną szyi głowę w drzenie.

- Nie - zaprzeczył stanowczo. - Kiedy wróciłem, sprawdziłem dokładnie wszystkie rejestry. Statek, który rozbił się na Endregaadzie, zaginął podczas burzy kometowej jakieś dwa lata temu. Ktoś go sobie przywłaszczył i zaczął wykorzystywać... sądzę, że bez wiedzy mojego ojca. Gdyby Popara się o tym dowiedział, wściekłby się. - Mika westchnął głęboko i Mander zastanowił się, czy to ze smutku po śmierci rodzica, czy może ze wstydu, że ujawniono słabość w jego rodzinie.

- Przypuszczamy, że Zonnos też może być uzależniony od Nawałnicy - zauważył łagodnie.

Mika otworzył szeroko oczy, wyraźnie zaskoczony, ale szybko się opamiętał i znów je przymrużył.

- Tak - powiedział. - To by miało sens... ale jestem pewien, że mimo to nigdy nie przyszłoby mu do głowy spróbować uśmiercić Poparę.

Jedi pokręcił stanowczo głową.

- Nie bezpośrednio - powiedział cicho. - Tu chodzi o coś więcej. Ten spisek jest zbyt skomplikowany, żeby Zonnos trafił go uknuć...

Mika prychnął z niesmakiem.

- Jeżeli chcesz przez to powiedzieć, że mój brat jest zbyt głupi, żeby wysadzić mojego świętej pamięci ojca w powietrze... to możesz mieć rację. W takim razie musiał mu ktoś pomagać.

- Jak sytuacja w waszym wieżowcu? - zmienił temat Mander.

- Niezbyt dobrze. - Mika westchnął. - A jeśli to prawda, że Zonnos jest uzależniony... cóż, to by wiele wyjaśniało. Nałożył nagrodę na wasze głowy, nawet jeśli jesteście niewinni. Zonnos szuka kogoś, kogo mógłby obwinić o śmierć ojca, żeby mógł się obwołać prawowitym dziedzicem klanu Anjiliac. Zmiana w przywództwie często oznacza problemy dla młodszego rodzeń-

stwa, dlatego uciekłem wkrótce po... incydencie z moim ojcem, żeby spotkać się z moim kontaktem z WSW. - Machnął rączką o krótkich palcach w stronę Angeli Krin.

- Dałabyś radę nas stąd zabrać? - spytała ją Reen.

- Owszem - potwierdziła pani komandor.

- Dysponuję ograniczonymi środkami - dodał Mika. - Tym bardziej jeśli mój brat jest naprawdę uzależniony od przyprawy i zamieszany w przemyt... ale mam dość wpływów, żeby zapewnić wam statek i godnego zaufania pilota. Nie tylko Zonnos dysponuje małą flotą, która nie figuruje w oficjalnych rejestrach.

- WSW ma w pobliżu bezpieczną kryjówkę - wyjaśniła Angela Krin i Mika jeszcze raz zrobił zaskoczoną minę. Cóż, to by miało sens, pomyślał Mander. Nic dziwnego, że WSW miało na Księżycu Przemytników swoją bazę, a Mika na pewno by ich o to nie podejrzewał. - Możemy się tam ukryć do czasu, aż przygotujecie się do podróży - dodała Krin, pozornie nie zauważając reakcji Miki.

Wkrótce opuścili Ból Głowy i skierowali się do bezpiecznych kwater WSW, mieszczących się jeszcze głębiej pod perma-betonową skórą świata. Nie było to łatwe, jako że musieli unikać tego, co było tu odpowiednikiem transportu publicznego. Nawet Mika wydawał się teraz lekko zdenerwowany - widać było, że znalazł się na obcym mu terenie. Jeśli Angela Krin także czuła się tu nieswojo, nie dawała tego po sobie poznać; zamiast tego pewnie wskazywała im drogę na każdym skrzyżowaniu.

Ale w pewnym momencie gdzieś przed nimi rozległo się ciche powarkiwanie.

Angela zatrzymała się w pół kroku.

- Vrbllthery - powiedziała cicho. - Musimy zawrócić i znaleźć inną drogę... - Przerwał jej wysoki, ludzki okrzyk; Mander bez zastanowienia ruszył w stronę źródła głosu - tę samą, z której dobiegało wściekłe warczenie.

Kilka metrów dalej stado dwunożnych, jaszczuropolobnych istot otaczało stertę śmiecia zrzuconego z wyższych poziomów, rozkradzionego i porzuconego. Vrbllthery miały grubą

skórę w kolorze przejrzalego owocu i krótkie rogi, wywinięte w stronę wysuniętej, zębatej szczęki. Na stertę śmieci, które otoczyły, próbowała się wdrapać ich ofiara - dziecko jakiejś humanoidalnej rasy. Vrbłthery podkradły się jeszcze bliżej niego na szponiastych łapach.

Mander nie tracił czasu - zanim bestie w ogóle się zorientowały, że jest w pobliżu, jednym ciosem powalił dwie z nich. Potem skoczył na zbocze śmietniska, wylądował obok dziecka i odwrócił się błyskawicznie do napastników. Wyglądało na to, że śmierć części stada nie zrobiła na nich żadnego wrażenia, bo podeszły jeszcze bliżej.

Jedi wbił ostrze pod szczękę przywódcy stada, rozcinając go od piersi aż po czoło. Drapieznik nie zdążył wydać z siebie żadnego dźwięku - padł tylko na ziemię, ale jego miejsce natychmiast zajęły dwa następne. Zamaszysty, wyprowadzony z boku cios dosięgnął je tuż pod zaślinionymi pyskami... i wtedy Jedi poczuł, że śmieci usuwają mu się spod stóp. Zamiast jednak próbować złapać równowagę, wykorzystał lawinę szczątków - poniosła go w dół, dzięki czemu po drodze powalił jeszcze trzy bestie. Ich szczątki dołączyły do tworzących stertę śmieci.

Kiedy do walki dołączyli Reen, Angela i Eddey w towarzystwie nieuzbrojonego Miki, wokół zaroilo się od promieni energii wystrzeliwanych z blasterów. Szybko zabrali się do unieszkodliwiania pozostałych członków sfory, którzy okrążali nowych napastników, ale bezskutecznie. Jeden z nich odłączył od stada i rzucił się w stronę Miki. Zanim Mander zdołał do niego dotrzeć, drobny Hutt podniósł ręce do góry, jakby w niezdarnej próbie odparcia ciosu... i vrbłther zaskrzeczał, odepchnięty od niego, całkiem jakby trafił na niewidzialną ścianę. Hutt zanurkował za osłonę zapewnianą mu przez resztę, a Mander zawirował i obciął głowę bestii próbującej dosięgnąć dziecka w czasie, kiedy reszta jej ziomków była zajęta odpieraniem ataku.

Kilka strzałów później całe stado było martwe. Mander wyłączył miecz i wspiał się na stertę śmieci, do kulającej się i szlochającej na jej szczycie niedoszej ofiary vrbłtherów.

Plaga

Nie potrafił rozpoznać rasy dziecka - miało bladożółtą skórę w kolorze owocu guinchin, a jedną stronę głowy porastał mu krąg niewielkich, koślawych wypustek. Było ubrane w szmaty trudnego do określenia koloru.

- Chodź - powiedział do niego łagodnie Mander. - Nie zrobię ci krzywdy. - Wyciągnął do niego dłoń.

Dziecko spojrzało na niego pełnymi zielonkawych łez oczami i sięgnęło wątlą rączką po jego rękę. Kiedy wspólnie zeszli ze sterty śmieci, przyjrzało się ze zdumieniem ich gromadce, a na widok Hutta cofnęło się, wyraźnie przestraszone.

- Niesamowite - mruknął Mika. - Sądziłem, że nikt z nich nie przeżył...

- Kto to? - spytała Angela.

- Evocii - wyjaśnił Hutt. - Kiedyś zamieszkiwali Nal Hutta. Zostali przesiedleni na Nar Shaddaa, aby pomóc budować Księżyc Przemysłników. Nigdy nie wykazywali się zbyt dużą odpornością. Nie sądziłem, że któryś z nich przetrwał.

Reen spojrzała na Mandera z ukosa, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Eddey wtrącił:

- Nie jest sam.

Rzeczywiście. W pobliskim przejściu kryło się kilkoro innych Evociich - starszych i wyższych, ale z pewnością należących do tego samego gatunku co dziecko. Byli ubrani w łachmany i elementy pancerzy, a uzbrojeni w coś, co - jak miał nadzieję Mander - było nie działającą bronią.

Jedi podniósł do góry obie ręce, żeby pokazać, że nie mają złych zamiarów, ale nie musiał tego robić, bo na widok pobratymców dziecko zostawiło ich i puściło się pędem w stronę dorosłych. Ukryło buzię w szatach jednej z kobiet i zaczęło świergotać coś w języku, który na pierwszy rzut ucha wydał się Manderowi połączeniem huttyjskiego i basica.

Stojący na czele grupy Evocii postąpił o krok, spiorunował Hutta wzrokiem i skłonił się Manderowi. Jedi odwzajemnił ukłon, ale kiedy podniósł głowę, wszyscy Evocii oprócz lidera grupy zniknęli już w mroku pobliskich tuneli. Ten ostatni skinął mu

głową i także się wycofał.

Z torby Miki dobiegł głos kwilącego dziecka. Hutt sięgnął do niej i wyjął niewielki holoodbiomik, ale na widok migającego światełka, zwiastującego wiadomość, zmarszczył czoło.

- Powinienem odebrać - poinformował ich - ale chyba lepiej, żeby nie było was widać w pobliżu.

Reen i reszta wycofali się kilka kroków, pozwalając, żeby skrył ich mrok. Mander także się cofnął, ale pozostał na tyle blisko, żeby dobrze widzieć hologram.

W powietrzu zamajaczyła obłana poświatą głowa i ramiona pokiereszowanego droida H-3PO.

- Łaskawy Miko, mam nadzieję, że jesteś cały i zdrowy - odezwał się droid. - Zonnos domaga się twojego powrotu i wymierzenia sprawiedliwości tym, z którymi przestajesz. Mądra Vago ostudziła najgorszy gniew twojego brata, ale z godziny na godzinę Zonnos popada w coraz większą paranoję. Vago sądzi, że lepiej dla ciebie będzie, jeśli najgorsze przeczekaś w ukryciu. W doku Q2214 na poziomie dwudziestym drugim oczekuje prom, który zabierze cię do posiadłości na Nal Hutta. Pilot spodziewa się ciebie lada chwila. - W tle za droidem nastąpiło jakieś zamieszanie, a kiedy H-3PO się odwrócił, połączenie zostało nagle przerwane.

Mika nachmurzył się i przygryzł dolną wargę, a Mander wszedł z powrotem w krąg światła.

- Wygląda na to, że mój brat zrobi wszystko, byle tylko przejąć kontrolę nad klanem - powiedział Mika. - I raczej nie uwzględni w swoich planach mnie...

- Na to wygląda - zgodził się Mander.

- Vago chce, żebym ukrył się w naszej posiadłości, dopóki Zonnosowi nie przejdzie. - Mika sprawiał wrażenie niezbyt zadowolonego z takiej perspektywy.

- A co, jeśli Vago spiskuje z Zonnosem? - spytał Jedi.

- Również o tym pomyślałem - przyznał drobny Hutt. - I wcale mi się ta myśl nie podoba. Więzi rodzinne w moim klanie były zawsze... skomplikowane.

Plaga

Mander rozejrzał się dookoła. Reen i Eddey szukali potencjalnych pułapek, a Angela Krin cofnęła się kawałek, żeby sprawdzić, czy nikt nie śledził ich w drodze z Bólu Głowy.

- Cokolwiek powiesz, może nam pomóc - oznajmił Jedi.

- Jesteśmy rodziną - westchnął Hutt - ale także organizacją. Popara był zarówno naszym ojcem, jak i pracodawcą. Niektórzy Huttowie traktują swoich pracowników jak... inwestycje, ale Popara, niech jego duch spoczywa w pokoju, zawsze bardzo troszczył się o swoich podwładnych. Jeśli ktoś dla niego pracował, ojciec wiele od niego wymagał, ale także hojnie się odwdzięczał.

- Miał was tylko dwóch... - dodał Mander.

- Dwóch żyjących - uściślił Mika i przez chwilę milczał. Wreszcie podjął: - Nie znałem większości mojego rodzeństwa. Huttowie są długowieczni, ale nasz... styl życia sprawia, że rzadko który z nas może liczyć na śmierć z przyczyn naturalnych. A jeśli chodzi o naszą budowę biologiczną... zakładam, że jako naukowiec wiesz, o czym mówię?

- Jesteście dwupłciowi - powiedział Mander.

- Otóż to - przytaknął Mika. - Dlatego też między innymi mamy bardzo niski współczynnik dzietności. Możliwe, że jest to w jakiś sposób związane z utratą naszej ojczyzny, Varla... Zazwyczaj potomkowie traktowani są jak cenny dar, a mój ojciec, muszę to ze wstydem przyznać, rozpieszczał mnie. Byłem jego oczkiem w głowie.

- I sądzisz, że to mogło wpłynąć na niechęć Zonnosa do ciebie? - domyślił się Mander.

Mika wypuścił głośno powietrze.

- Możliwe - przyznał. - Zonnos jest dziedzicem naszego rodu... a do tego czystej krwi Huttem. Inne klany z Rady Starszych poprą go. Nie jest może najostrzejszym wibroostrzem w zbrojowni naszego rodu, jak zresztą sam zdążyłeś zauważyć, ale ma to coś, co inni w naszych kręgach politycznych darzą szacunkiem.

Patrząc na młodego Hutta, Mander poczuł współczucie, a

Plaga

nawet pewną sympatię. Mika nie był typowym przedstawicielem swojego gatunku i Jedi obawiał się, że zostanie za to ukarany. Rozejrzył się znów dookoła, ale wyglądało na to, że nic im nie grozi - przynajmniej chwilowo.

- Co możesz mi powiedzieć o Vago? - spytał.

Mika pokręcił głową.

- Jest... była bardzo oddana mojemu ojcu. Zajmowała się wszystkimi jego sprawami. Na pewno rodzinne interesy obchodziły ją bardziej niż Zonnosa. Poza tym zawsze była dla mnie... miła. Uczyła mnie prowadzenia interesów i zachęcała do samodzielności. To ona aranżowała podróże, takie jak ta na Endregaad. Wydaje mi się, że według niej, gdyby Zonnosowi coś się przydarzyło, powinienem być dobrze przygotowany do wzięcia spraw w swoje ręce. Trudno mi się pogodzić z myślą, że mogłaby być w to wszystko zamieszana...

Przerwało im pojawienie się Angeli Krin.

- Czysto - zameldowała pani komandor. - Możemy ruszać do bezpiecznej kryjówki WSW i spróbować wydostać się z planety. Możemy cię chronić, Miko - dodała pod adresem Hutta.

Mika spojrział na Angelę i Mander wyobraził sobie, jak w umyśle młodego Hutta obracają się trybiki analizujące klanowe interesy. Przyjęcie propozycji agentki WSW byłoby bezpiecznym rozwiązaniem, ale niosło ze sobą dodatkowe zobowiązania... a do tego odrzucenie oferty Vago mogło go kosztować sprzymierzenia. Jeżeli oczywiście Vago nadal była mu przychylna...

- Wolisz skorzystać z propozycji Vago - rzucił, bezskutecznie starając się, żeby zabrzmiało to jak pytanie. - Nie powinienś lecieć sam - dodał.

Hutt skinął głową.

- To prawda - przyznał mu rację. - Powinniśmy się skontaktować z Vago, ale musimy być ostrożni. Punkt zborny jest zaledwie kilka poziomów nad nami.

Angela Krin przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby chciała zaprotestować, ale w końcu tylko ściągnęła brwi i skinęła w milczeniu głową.

Plaga

- Gdybym zniknął... - powiedział z wahaniem Mika - nie pozwólcie, żeby Vago uszło to płazem.

Angela znów skinęła głową, tym razem wolniej. Mander zastanawiał się, co dokładnie kryło się za tą obietnicą.

Podjęli znów marsz - okazało się, że młody Hutt bez trudu dotrzymuje im kroku. W miarę jak wspinali się wyżej, na dziedzińcach i w przejściach pojawiało się coraz więcej mieszkańców - i jeśli nawet uznawali widok Hutta podróżującego ze swoją świtą tak głęboko w czeluściach księżycy-miasta za dziwny, to nie dawali nic po sobie poznać. Nad nimi wciąż nie było widać nieba, ale im dłużej maszerowali, tym bardziej Mader czuł się, jakby z jego barków ktoś zdejmował ciężkie brzemię.

Ich dok znajdował się na jednym z poziomów długiego szybu platformy lądowniczej, zawieszzonego między wieżowcami w slumsach Księżycy Przemysłowców. Pod nimi szyb ciągnął się jeszcze wiele poziomów w dół, a nad ich głowami rozciągała się rozsuwana, przejrzysta kopuła. Mander wyobraził sobie, że za nią widzi niebo. Liczne kładki i wsporniki zmieniały korytarz powietrzny w skomplikowany labirynt, w którym trudno się było poruszać nawet najbardziej doświadczonym pilotom.

Ich statek okazał się kanciastym promem produkcji Sorro-Suub. O jedną z jego goleni opierał się Quarren, sącząc leniwie igiełkę śmierci. Na ich widok pomachał im i wszedł do środka, żeby poczynić ostatnie przygotowania do startu. Kiedy Mander i reszta weszli na wąską kładkę prowadzącą na platformę, po rampie zszedł pokancerowany H-3PO i pokuśtykał w ich stronę. Mander uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu wstrzymuje oddech, a teraz wreszcie westchnął z ulgą. Eddey i Reen też odrobinę się odprężyli.

Droid wyszedł im na spotkanie i powiedział:

- Zonos kazał mi was okłamać. Uciekajcie.

Ledwie skończył mówić, że statku wysypała się gromada porykujących bojowo Wookiech, uzbrojonych w karabiny blasterowe i wyrzutnie sieci ogłuszających. Reen zaklęła brzydko i podniosła swój blaster do strzału, a Eddey odwrócił się i krzyknął

do nich:

- Odwrót! Odwrót! Wycofujemy się!

Dwóch Wookiech na przedzie kolumny przykłękło i wycelowało swoje wyrzutnie - z ich luf wystrzeliły strumienie mikrosiatki, otoczone niczym zachłanne, pasożytnicze kwiaty ciężarkami pod napięciem. Mander skoczył na bok, wspomagając się Mocą, jednak reszta pocisków dotarła do celu i młody Mika został uwięziony w sieci. Z okrzykiem wściekłości i bólu na ustach Hutt zaczął się miotać jak w amoku; po jego zielonkawej skórze pełzały wyładowania mikroładunków z siatki.

Byli w połowie drogi do wyjścia, kiedy zza rogu wychynęła grupka Rodian, uzbrojonych w pistolety blasterowe i pałki ogłuszające. Odcięli im drogę powrotną, zasypując blasterowym ogniem. Mander wyskoczył na czoło ich grupy z zapalonym mieczem świetlnym i zaczął odbijać promienie śmiertelnej energii, najlepiej jak mógł. Za jego plecami Eddey i Angela Krin ostrzeliwali się zaciekle, zdejmując po kolei atakujących ich członków rodiańskiego klanu.

- Sądzisz, że byli z tamtymi w zмовie?! - krzyknęła agentka WSW.

- Wątpię! - odkrzyknął Bothanin. - Wydaje mi się, że Wookie chcą nas wziąć żywcem! Bomu chyba niespecjalnie na tym zależy!

Mander zerknął przez ramię i zorientował się, że Reen została w tyle i wciąż jest na platformie, bliżej statku. Skryła się za ogłuszonym Miką i strzelała do Wookiech - dwóch udało jej się trafić, ale trzeci zdołał się do niej przedrzeć i bez zastanowienia wystrzelił jej w twarz serię z blastera. Pantoranka padła bezwładnie na ziemię.

- Reen! - krzyknął Mander.

- Uważaj! - wrzasnął Eddey. - Mają detonator!

Kiedy Mander odwrócił się, zobaczył, jak jeden z pozostałych przy życiu Rodian ciska w jego stronę niewielki ładunek termiczny. Sięgnął ku niemu Mocą i spróbował go zrzucić z platformy w czeluść między wieżowcami...

Prawie mu się to udało.

Ładunek prześliznął się w stronę krawędzi platformy, zatrzymał się i eksplodował, zmieniając się na ułamek sekundy w czerwono-białą chmurę ognia i zabierając ze sobą połowę podestu. Siła wybuchu zakotłosała resztą konstrukcji i Wookie po drugiej stronie kładki zostali strąceni w przepaść. Mander za sterami promu zobaczył Quarrena - jego palce zatańczyły nad konsolą i silniki manewrowe statku obudziły się do życia. Prom zsunął się na skraj platformy ostrym szarpnięciem i zawisł niebezpiecznie nad ziejącą w dole otchłanią.

A potem ziemia usunęła się Manderowi spod nóg. Niewiele myśląc, skoczył w stronę majaczącej w górze kładki, ale miał do niej za daleko - już w trakcie skoku dotarło do niego, że chybi... I wtedy z mroku wyłoniło się żółte, owinięte w łachmany ramię i chwyciło jego wyciągniętą dłoń. Kiedy Mander spojrział w górę, zobaczył wystawioną zza krawędzi kładki głowę przywódcy Evociich.

- Czasem walczysz, czasem uciekasz - powiedział Evocii w łamanym basicu. - Teraz, jeśli chcesz jeszcze później walczyć, musisz uciekać!

Jedi rozejrzał się dookoła i zobaczył, że Eddey i Angela Krin są bezpieczni w rękach innych Evociich, prowadzeni przez nich na wyższe poziomy. Za nimi, w dole, pilot promu starał się ocalić swoją maszynę przed walącymi się na nią szczątkami platformy lądowniczej, próbując ustabilizować silniki. Wyglądało na to, że nic z tego...

Dwójka ocalałych Wookiech ochraniała ciała Miki i Reen, a dwóch innych tłoczyło się na rampie, próbując zepchnąć skazany na zagładę statek z platformy. Wszystko wskazywało na to że lada chwila spadną w przepaść.

Quarren za kontrolkami pojazdu widocznie spanikował, bo główne silniki na chwilę przygasty. Jeśli znów je odpali, cała platforma stanie w ogniu i wszyscy zginą, pomyślał nieprzytomnie Mander. Wookie wydali z siebie okrzyk, napanarli z całych sił... i prom przesunął się na krawędź lądowiska. Przez jedną krótką chwilę Jedi sądził, że pilotowi udało się odzyskać kontrolę

nad statkiem... Wtedy jednak pojazd runął jak kamień w dół, wirując w stronę ziejącej w dole otchłani.

Był już w bezpiecznej kryjówce, doprowadzony do niej przez Evociich, kiedy usłyszał echo odległej eksplozji. Zastanawiał się, czy szczątki i płomień sięgną aż tak wysoko... A potem durastalowe drzwi wjazdu zamknęły się za nim z głuchym, nieodwołalnym hukiem.

ROZDZIAŁ 12. CZAS SĄDU I STRACHU

- To nie twoja wina! - upierał się Edey.

- Gdybym zdołał zepchnąć ten detonator - mruknął ponuro Mander - ocaliłbym ich.

Stali na balkonie bezpiecznej kwatery WSW. Miejsce było zaskakująco przyzwoite jak na tajną kryjówkę; mieściło się na jednym ze środkowych poziomów wieżowca, jakich wiele było na Nar Shaddaa. Z tego miejsca mieli dobry widok na panoramę niższych budynków i ruin; widzieli też stąd strzelistą sylwetkę wysokościowca Anjiliaców, górującego nad siedzibami innych potężnych klanów Huttów.

Mander uświadomił sobie, że to musiał być jeden z powodów, dla których WSW postanowiło umiejscowić swoją kryjówkę w takim punkcie - dzięki temu mogli mieć oko na huttańskie klany. Długa narshaddaańska noc minęła i nastał blady, mdły dzień; powietrze było szare od zanieczyszczeń.

Evocii przyprowadzili ich tutaj zgodnie ze wskazówkami Angeli Krin i teraz w głównym pomieszczeniu koczowało sześcioro ich wojowników; część z nich wyraźnie bała się przebywać tak daleko od terenu, na którym zazwyczaj polowali. Inni byli zajęci pładrowaniem spizami WSW i dostarczaniem jej zawartości zostawionym na dole rodzinom.

Angela dołączyła do nich, najwyraźniej niezbyt przejęta faktem, że większość zapasów WSW znika głęboko w slumsach Nar Shaddaa. Mander zastanowił się przelotnie i z troską, jak agentka WSW wytłumaczy się z tego wszystkiego przed swoimi

przełożonymi.

- Mamy szansę wydostać się z planety - powiedziała. Kiedy zauważyła pytający wzrok Mander, dodała: - Rozmawiałam z kilkoma osobami, które są mi winne przysługę. Możemy odlecieć o zmierzchu, to znaczy za jakieś czterdzieści godzin.

- Musimy uratować Reen - warknął twardo Eddey. Mander wahał się przez chwilę, ale w końcu kiwnął głową.

- Wasz wybór - stwierdziła Angela Krin, mierząc go poważnym wzrokiem. Wiedziała już za dobrze, że nie ma sensu wyklócać się z Bothaninem. - Jednak moim zdaniem szybciej rozwiążecie zagadkę Nawałnicy żywi. A mało prawdopodobne, że ujdziecie z życiem, jeśli dorwie was Zonnos.

- Musimy uratować Reen - powtórzył z uporem Bothanin.

Angela Krin pokręciła głową.

- Straty zdarzają się nawet podczas najlepiej zaplanowanych operacji.

Czego z pewnością nie można powiedzieć o tej, pomyślał smutno Mander. Spojrzał w dół, na wielopoziomowe, przecinające się ze sobą strumienie ruchu powietrznego.

- A poza tym - podjęła pani komandor - nie wiemy nawet, czy wasza Pantoranka nadal żyje. - Na chwilę zapatrzyła się w przestrzeń, pogrążona w myślach. - Tak samo jak Mika.

- Żyje - rzucił Mander, wskazując na wiszący w powietrzu potężny telebim.

Widniało na nim ogromne oblicze Hutta Zonnosa, a z głośników nad szumem i gwarem odgłosów ruchu zadudnił głos:

- Zabójczyni mojego ojca została schwytana! - przetłumaczył wiozący telebim droid pilot, kiedy na ekranie pojawiła się twarz Reen, brzydko posiniaczona, ale z całą pewnością żywa. - Zostanie stracona dziś przed południem, za dwie godziny. Sąd i egzekucja będą transmitowane za pośrednictwem niniejszych telebimów. Będziecie mieli szansę, by obejrzeć zasłużony koniec mordercy mojego ojca i podziwiać sprawiedliwość wymierzoną ręką klanu Anjiliaków!

- Utwierdza swoją władzę w środowisku klanów - mruknęła

Plaga

Angela Krin. - Daje w ten sposób innym Huttom do zrozumienia, że jest godny miana przywódcy własnego klanu. To tylko przedstawienie, nic poza tym.

- Przedstawienie, w którym Reen zginie - zauważył ostro Mander. - Nie wspomniął jednak ani słowem o Mice...

- Pewnie więzi go w swojej siedzibie - powiedziała Krin. - Gdyby był martwy, zarzut spowodowania jego śmierci zostałyby dodany do rejestru win Reen. Jeśli jednak coś mu się stanie... przysięgam, że Vago słono za to zapłaci.

Mander spojrzał na nią uważnie i zobaczył przemykające po jej twarzy emocje: strach, gniew i frustrację - zanim zdołała je ukryć pod maską spokoju kompetentnej oficer służb WSW. Czyżby była gotowa pogodzić się z myślą o śmierci Reen, ale przysięgła zemstę w imieniu Miki?

- Musimy ją uratować - powtórzył z naciskiem Bothanin.

Angela zamrugała nieprzytomnie, przeniosła wzrok na Eddeya, a potem na Mandera. Po chwili milczenia westchnęła z rezygnacją:

- No dobrze. Musimy ją uratować. Ale jak?

- Czy wśród twoich... środków służbowych znalazłby się śmigacz powietrzny? - spytał ją Mander.

Angela zastanowiła się chwilę nad jego pytaniem, a potem skinęła głową.

- Potrafiłbyś go popilotować? - zapytał z kolei Eddeya Jedi.

- Umiem pilotować wszystko - odparł z szerokim uśmiechem Bothanin.

- Masz jakiś plan? - spytała go Angela.

- Owszem - potwierdził Mander - ale będę potrzebował karabinu blasterowego.

Główna obwiniona, zabójczyni nieodżałowanego Popary Anjiliaca, oskarżona o zbrodnie, ale nieskazana jeszcze na śmierć, stała na oświetlonej platformie z dala od mających ją osądzić zgromadzonych, zakuta w łańcuchy. Była wystawiona na widok publiczny, a sąd nad nią i egzekucja miały być transmi-

towane wszem wobec aż do jej nieuchronnego końca.

Reen Irana była główną atrakcją w tym medialnym cyrku i nie czuła się z tego powodu zbyt szczęśliwa.

Droidy kamerzyści przemykały wokół niej na przegubowych ramionach, a soczewki ich obiektywów przekazywały obraz w podczerwieni i ultrafiolecie oczom istot odbierających w tych zakresach fal. Na licznych ekranach, holowyświetlaczach, monitorach, paskach wiadomości i innych medialnych przekazach wizja opatrzona była napisami w odpowiednich językach, jednak wydarzenie transmitowano oczywiście głównie w huttyjskim.

Apartament w wieżowcu Huttów został na tę okoliczność przekształcony w salę sądową - panoramiczne okna przesłonięto ekranami, a zniszczone tego samego dnia przez ogień z blasterów panele zastąpiły tymczasowo płyty cienkiej durastali. Przepierzenie między prywatnymi kwaterami audiencyjnymi Popary a salą przyjęć usunięto, tak samo jak strzegące tych pierwszych pole siłowe. Ustawiony w rogu holoprojektor wyświetlał obraz świętej pamięci ofiary zamachu, Popary Anjiliaca - mądrego, szacownego, całego i zdrowego.

Platformę dla zakutej w cienkie plastalowe linki oskarżonej ustawiono w samym centrum pokoju. Twarz Pantoranki była posiniaczona - jak utrzymywano, obrażenia zadano jej podczas mrożącego krew w żyłach pościgu, kiedy to, zgodnie z doniesieniami prasy, powstrzymano ją przed zabiciem Hutta Miki - tylko dzięki bohaterским wysiłkom osobistych strażników Zonnosa rasy Wookie. Mimo skutecznej obławy oskarżona zdołała zniszczyć prom, jak również część systemu kontroli lotów. Za te czyny nie wniesiono jednak przeciwko niej żadnych zarzutów, jako że bladły w obliczu głównej winy: huttobójstwa. A sprawczynią tego czynu została uznana bezdyskusyjnie. Pozostało tylko dopełnić formalności procesu i wydać wyrok - zgodnie z rozkazem Zonnosa Anjiliaca.

Drzwi turbowindy otworzyły się i do środka wszedł sam Zonnos, otoczony swoją świtą. Wśród przybyłych nie było Miki

Plaga

ani Vago, za to dało się dostrzec między innymi ubrane w skromne szaty były twi'lekańskie służące świętej pamięci Popary, stanowiące teraz część orszaku nowego pana. Za nimi do sali wkroczyli Wookie; z głowami odrzuconymi do tyłu wydawali z siebie gardłowe ryki i pomruki. Kudłaci ochroniarze Zonnosa przeszli przez środek sali i zatrzymali się przy platformie, żeby strzec oskarżonej. Jako ostatni weszli służący rodzinie Anjiliaców Niktowie - okryci hańbą nie tylko dlatego, że nie udało im się uchronić byłego pana od śmierci, ale też dlatego, że nie zdołali pochwycić jego zabójców. Zakuci w zbroje, ustawili się w szeregu za Zonnosem i Twi'lekankami.

Zonnos miał na sobie szatę ze złotych łusek, ale Reen nie miała pojęcia, czy jest to u Huttów symbol żałoby, czy władzy. Jego błękitną twarz znaczyła siateczka sinych żył, nabrzmiałych od nadużywania Nawałnicy. Kiedy na niego patrzyła, miała wrażenie, że żyły pulsują. Zdawało jej się też, że w kącikach wielkich oczu Hutta dostrzega fioletową ropę. Uświadomiła sobie, że Zonnos tkwi już na dobre w szponach zabójczej przyprawy, a teraz z całej siły stara się zachować pozory spokoju. Dopelził do niewielkiej platformy, na której mógł górować nad Pantoranką.

Lewa połowa twarzy Reen była spuchnięta i pulsowała nieznosnym bólem, ale kiedy wpatrywała się w Hutta, jej oczy lśniły nieposkromionym gniewem. Nawet teraz, ponizona i splekana, nie zamierzała dać się zastraszyć. Nad jej głową nieustannie krążyła konstelacja holokamer, zainstalowanych specjalnie, żeby przekazywać mediom na bieżąco wolę potężnego Zonnosa.

Istota, której nie widziała wcześniej w otoczeniu Huttów - wielooki Vuvrianin - wysunęła się do przodu, trzymając w owdzich odnóżach pokaźną, dwuręczną pałkę. Przez chwilę Reen zastanawiała się, czy będzie musiała walczyć z Vuvrianinem sam na sam, ale istota uderzyła podstawą pałki w podłogę i ogłosiła coś entuzjastycznie w huttyjskim. Możliwe, że osobnik był sędzią prowadzącym rozprawę i właśnie przedstawił jej zarzuty... albo prawnikiem, wychwalającym cnoty świętej pamięci Popary... a może po prostu podlizywał się Zonnosowi? Cóż, jakakolwiek była

jego rola, chyba za bardzo się nią przejął, bo głądził w nieskończoność, całkiem jakby chciał zanudzić zgromadzonych na śmierć.

Reen zastanawiała się z lekkim rozbawieniem, czy może właśnie w taki sposób Huttowie pozbywali się swoich wrogów - zanudzając ich na śmierć. Chociaż czuła się tak podle, jak wyglądała, uśmiechnęła się na tę myśl. Uznała, że Mandera też by to rozbawiło. Zonnos zauważył jej uśmiech i zareagował gniewem, przerywając Vuvrianinowi gromkim rykiem i wykrzykując coś, czego nie rozumiała. Kiedy Hutt rzucał na nią kalumnie i oszczerstwa, z ust pryskały mu na wszystkie strony ciężkie krople oleistej śliny.

Reen spojrzała mu spokojnie w oczy i wypowiedziała głośno i wyraźnie jedyne zdanie, które dobrze znała w huttyjskim. Było co prawda krótkie, ale za to bardzo obraźliwe i odnosiło się zarówno do obyczajów Zonnosa w toalecie, jak i przy stole, czyniąc między nimi wyjątkowo nieprzystojne porównanie.

Zonnos zbladł, a fioletowe żyły na jego twarzy nabrzmiały jeszcze bardziej. Sięgnął po trzymaną przez Vuvrianina pałkę, wyrwał mu ją i zawinął nad głową. Reen pomyślała przelotnie, że może w ostatniej chwili uda jej się zrobić unik, podnieść skrzepowane dłonie do góry i być może wykorzystać wściekłość Hutta do zerwania plastalowych więzów... Jeśli jej się to nie uda, za chwilę będzie martwa... cóż, wtedy przynajmniej uniknie całej reszty tej parszywej szopki, pomyślała z przekąsem.

Przygotowała się na skok, ale nie zdążyła go wykonać, bo w tej samej chwili ściana za nią eksplodowała z hukiem.

Kiedy publicznie obraziła Zonnosa, oczy wszystkich zgromadzonych, czy to żywych, czy mechanicznych, zwróciły się na nią, więc nikt nie zauważył śmigacza, który za oknem oderwał się od strumienia ruchu powietrznego. Nikt nie mógł nawet pomyśleć, że to dziwne, że pojazd stara się ustalić nową, własną trasę... kolidującą z budynkiem, w którym się znajdowali. Niecodziennosć sytuacji dotarła do nich jednak w tej samej chwili, w której śmigacz skręcił ostro w lewo, kierując się prosto na ścianę

apartamentu, i uderzył w dopiero co zasłonięty durastalową płytą panel. Co prawda tafla wytrzymała, ale jej mocowanie nie było już tak odporne. Pod naporem pojazdu panel wpadł z impetem na salę. Rozstawieni wzdłuż niego ochroniarze Wookie rozsypali się jak pionki na przewróconej szachownicy; część z nich legła przygnieciona jego ciężarem i unieruchomiona.

Ułamek sekundy później owiewka pojazdu pękła pod naporem promienia energii i ze środka wysunęło się wśród kłębow dymu ostrze miecza świetlnego. Z wraku pojazdu wyskoczył Mander Zuma, a w ślad za nim Angela Krin i Eddey Be'ray z blasterami gotowymi do strzału.

Zaskoczeni Niktowie nie zdążyli nawet sięgnąć po broń, kiedy Eddey i Angela wzięli ich na muszkę. Dwie z twi'lekańskich służących zdołały zbiec do windy pośród okrzyków paniki, ale trzecia w porę ochłonęła i skryła się za ochroniarzami. Vuvrianin zanurkował w bok, szukając osłony za droidami kamerzystami.

- Uwolnijcie ją! - zażądał Mander. W jego głosie brzmiał gniew, którego nie zdołał ukryć.

Zonnos zakipiał wściekłością, ale nie stracił zimnej krwi. Sięgnął błyskawicznie po jeden z porzuconych w pobliżu karabinów blasterowych i przyciągnął do siebie Reen - tak blisko, jak pozwalały na to krępujące ją więzy.

- *Kickeeyuna je killyo* - warknął. Reen nie miała pojęcia, co dokładnie znaczą jego słowa, ale domyśliła się ich znaczenia po tonie, w jakim jej wypowiedział: albo Mander się podda, albo za chwilę będzie oglądał śmierć swojej towarzyszki.

Mander zawahał się i przez chwilę Reen była pewna, że ustąpi pod groźbą Hutta. Była też pewna, że Zonnos nie przejmie się tym zbytnio i zabije potem ich wszystkich.

Jednak Mander... sięgnął tylko za pazuchę drugą dłonią i wydobył blaster. I zanim Zonnos zdążył się zorientować, zanim zdołał skryć się za swoją zakładniczką, Mistrz Jedi Mander Zuma strzelił do Reen Irany, trafiając ją prosto w pierś.

Pantoranka opadła bezwładnie na ziemię, napinając więzy trzymane w rękach Zonnosa, a potężny, pozbawiony zakładnika

Plaga

Hutt wydał z siebie okrzyk gniewu i rzucił się w stronę Mandera. Podniósł blaster, zamierzając go użyć jak pałki. W jego oczach zamiast chytrości lśnił teraz czysty i nieposkromiony gniew.

Był w połowie drogi do Jedi, kiedy jego pierś przeciął promień błękitnej energii.

Mander szybko wycofał ostrze i saltem uskoczył w tył; potem chwycił rękojeść miecza oburącz i ciął z góry, przepoławiając cielsko Hutta. Zonnos, głowa klanu Anjiliac na Nar Shaddaa przez mniej niż dzień, opadł ciężko u jego stóp.

Pozostali przy życiu Wookie i Niktowie przegrupowali się, szukając schronienia między zniszczonymi krzesłami i szczątkami droidów. Wzięli na cel Mandera i resztę, jednak byli zbyt sparaliżowani strachem, żeby działać - nikt nie wystrzelił.

- Co teraz? - spytał osłaniający Jedi Eddey.

- Nie wiedzą, jak się zachować - mruknęła Angela Krin. - Nie wiedzą, co zrobić. Nie wiedzą, czy w ogóle mają teraz jakiegoś pana. Nie ma kto wydawać im rozkazów...

W tym momencie drzwi turbowindy się otworzyły i do sali wszedł eskortowany przez Niktów Hutt Mika. Wyglądał na wyczerpanego i brakowało mu tchu. Mander miał wrażenie, że młody Hutt został dosłownie przed chwilą wyciągnięty z celi, w której go przetrzymywano, i co sił w ogonie zapędzony do miejsca będącego sceną śmierci jego brata.

- *Ap-xmasi keepun!* - warknął drobny Hutt, a Niktowie na ten rozkaz natychmiast opuścili broń, od małego szkoleni, aby słuchać poleceń swoich panów. Wookie wahali się przez chwilę, ale szybko poszli w ich ślady. - *Reloj bapreesen!* - ryknął Mika pod adresem Mandera: uwolnić więźnia! W jego głosie brzmiała rozkazująca, nieznosząca sprzeciwu nuta. I chociaż Mika nie był zbyt imponującego wzrostu, teraz wydawało się, że góruje nad wszystkimi obecnymi w pomieszczeniu. Mander przyklęknął obok ciała Reen i oswobodził ją z więzów, a Eddey podźwignął dziewczynę w ramionach. Angela Krin pilnowała tyłów.

Tymczasem Mika wykrzyknął:

- *Jee gah plogoon du bunky dunko:* swoją obecnością hań-

bicie moje domostwo!

Mander przez chwilę trwał w bezruchu, unieruchomiony gniewem i potęgą głosu Hutta, a potem dotarło do niego, że wszystko nadal relacjonują działający cały czas droidy kamerzyści. Słowa Miki były nadawane na wszystkich falach i odbierane przez zaludniających księżyc Huttów; każdy z nich oceniał, słuchając, czy najmłodszy z członków wygasłego klanu nadaje się na jego przywódcę. Mika grał, żeby zadowolić przedstawicieli swojej rasy...

Młody Hutt znów przemówił w huttyjskim - tym razem na tyle powoli, żeby mieć pewność, że Mander go zrozumie:

- Odkryłem, że to Zonnos był odpowiedzialny za śmierć mojego ojca. Wy byliście zaledwie pionkami w jego grze. Chodźcie ze mną. Nie będziecie już dłużej kalali swoją obecnością jego komnat! - Skinął na nich, nakazując Manderowi i reszcie podążyć w ślad za nim. Eddey przerzucił sobie ciało Reen przez ramię, a Angela Krin podążyła za nim z blasterem w pogotowiu, na wypadek gdyby Wookie zdecydowali się zanadto przypodobać swojemu nowemu panu, próbując jakichś sztuczek.

Jak tylko znaleźli się poza zasięgiem kamer, w windzie, Mika spuścił z tonu, pozwalając sobie na odrobinę luzu:

- Mam nadzieję, że to zabrzmiało przekonująco - wymamrotał w basicu, uśmiechając się blado i popatrując nieśmiało na agentkę WSW i Bothanina.

- Byłam bardziej niż pewna, że patrzę na Hutta z krwi i kości - stwierdziła Angela Krin. - Co im powiedziałaś?

Mika wzruszył ramionami.

- Prawdę - powiedział po prostu. - A przynajmniej prawdę w tej wersji, którą znam. Mój ojciec zawsze dobrze na tym wychodził. Powiedziałem im, że to Zonnos był odpowiedzialny za śmierć mojego ojca, a wy tylko przypadkowo w tym uczestniczyliście. Byliście nic nieznaczącymi pionkami w jego planie, a ja takie pionki gorliwie usunę z mojego domu, z pompą i przy dźwiękach fanfar.

- Postaramy się sprawiać wrażenie odpowiednio zmiesz-

Plaga

nych - zapewnił go ochoczo Mander.

- Wasze usługi zostaną nagrodzone - obiecał im Mika. Kiedy drzwi windy się otworzyły, ich oczom ukazał się niepozorny repulsorowy transporter o przyciemnianych szybach. - Zawiezie was do waszego statku - wyjaśnił drobny Hutt - przygotowanego do odlotu. - Angela weszła do środka pierwsza i pomogła Eddeyowi wnieść na pokład Reen.

- Dziękuję - powiedział Mander. - Chciałbym cię jednak spytać o coś jeszcze... - dodał, kiedy był pewien, że reszta go nie usłyszy. - Kiedy walczyliśmy z vrbltherami, miałem wrażenie, że...

- ... korzystam z dziwnych mocy? - dokończył za niego Hutt.

Mander skinął głową.

- Mocy, które są udziałem moich braci.

Twarz Miki pociemniała z zakłopotania.

- Uważają mnie powszechnie za dziwaczego syna dziwaczego Hutta. - Westchnął smutno. - Jak sądzisz, jak zareagowałyby inne klany, gdyby dowiedziały się, że...

- ...masz nadprzyrodzone talenty? - dopowiedział Mander.

- Traktuję to jako swego rodzaju... narzędzie, ale wolę, żeby inni o tym nie wiedzieli - mruknął Mika. - Mój ojciec wiedział. Dowiedział się też tego twój uczeń... i pomógł mi trochę zrozumieć jego naturę. Mimo to większość waszych nauk jest mi obca. Nie potrafię ich pojąć... nieważne, jak bardzo się staram.

- Nie każdy silny Mocą może zostać Jedi - skwitował Mander.

- Wiem - westchnął Mika i zdawało się, że po tym słowie zapadł się w siebie; nagle wydał się Manderowi znacznie mniejszy niż był w istocie. - Potrafię stosować tylko głupie sztuczki, którymi umie się posługiwać byle dzieciak, nic więcej. I wolałbym, żeby nie wiedział o tym nikt więcej - ani pośród Jedi, ani wśród Huttów.

Młody Hutt zmarszczył szerokie czoło i pokręcił splaszczoną głową.

- Teraz będę pełne miał ręce roboty. Vago zniknęła. Nie

Plaga

mam pojęcia, czy Zonnos ją zabił, czy może uciekła. Nie wiem nawet, w jakim stopniu była odpowiedzialna za to, co się stało. Czeka mnie długa droga, zanim przywrócę mojej rodzinie utraconą reputację... A to... powiedzmy, że to tajemnica rodzinna, którą chciałbym zachować w sekrecie.

- Rozumiem - powiedział Mander. - I chciałbym też ci przypomnieć, że gdybyś jeszcze kiedykolwiek potrzebował pomocy Jedi, możesz liczyć na to, że dochowamy tajemnicy.

Mika uśmiechnął się do niego blado.

- Wasze starania zostaną nagrodzone - obiecał, wzruszając ramionami.

- My z kolei możemy ci obiecać, że spróbujemy wytropić źródło handlu Nawałnicą.

Mika pokręcił smutno głową.

- Reasumując, to chyba właśnie ten przeklęty narkotyk wpędził moją rodzinę w najgorsze kłopoty. Może śmierć Zonnosa położy im kres...? Informujcie mnie, proszę, o waszych postępach w tej sprawie. Ze swojej strony postaram się, żebyście wiedzieli o wszystkim, czego dowie się przez ten czas Vago.

- Oczywiście - obiecał mu Jedi.

- A teraz - dodał Hutt - pośpieszcie się, zanim droidy kamerzyści wyniuchają, gdzie stacjonuje wasz statek.

Mander wszedł na pokład transportowca i maszyna wystartowała. Za przyciemnioną szybą Jedi widział wątłą, malejącą w mroku figurkę żegnającego ich Hutta - pozbawionego rodziny i wsparcia; dziwnego, małego Hutta, uwięzionego pośród meandrów życia, na które nie miał żadnego wpływu.

Po chwili transporter uniósł się w powietrze i włączył do ruchu... i drobny Hutt znikł Manderowi z oczu.

ROZDZIAŁ 13. KALKULACJE

Jednooka Klatooinianka Koax stała przed hologramem, cierpliwie znosząc strumień obelg płynących w huttyjskim z holonadajnika. Z ust przyprawowego lorda pryskała ślina, kiedy

Plaga

jej wymyślał. Cieszyła się, że w swojej kapsule sypialnej może ustawić opcje prywatności na maksimum, dzięki czemu nikt na zewnątrz nie miał szans usłyszeć gniewu wściekłego Hutta.

- Amatorszczyzna! - ryczała pozbawiona twarzy sylwetka, zawieszona w powietrzu nad platformą holoodbiornika. - Ci twoi Rodianie potrafią spartolić najprostsze zadanie! Nie umieli nawet zatrzeć własnych śladów na Makem Te! Dlaczego nie miałbym ich rzucić na pożarcie akkom albo w inny sposób zakończyć ich nędzne żywoty?! Dlaczego w ogóle mam was dalej zatrudniać?!

Koax zbladła na samą myśl o tym, że mogłaby wylądować na ulicy.

- Z całym szacunkiem, *Ma Lorda*, Rodianie są z natury brutalni i żądni zemsty, a członkowie klanu Bomu to nieodrodni przedstawiciele własnego gatunku...

Jej argument najwyraźniej nie bardzo przekonał przyprawowego lorda.

- Co ty w ogóle sobie myślałaś, skoro nie raczyłaś mnie poinformować, że kiedy powierzy się im tak banalne zadanie, rozpełzną się po slumsach niczym zaraza, strzelając do wszystkiego, co się rusza, i wysadzając w powietrze każdą rudę?!

Koax zatkało na chwilę, a czerwone światło w jej sztucznym oku zdawało się drgać nerwowo. Dla Klatooinian - a zasadniczo dla większości ras będących pod wpływem Huttów - rozczarowanie swojego pana było śmiertelnym grzechem. Mimo to gdzieś w głębi duszy Koax zrywała się i buntowała - uznała, że to nie był jej problem. Przyprawowy lord dostał dokładnie to, czego chciał.

- Przepraszam za ich... entuzjazm. Mieli tylko zapędzić grupę w pułapkę Zonnosa, a nie... wysadzać ją w powietrze.

Hutt wydał z siebie warknięcie, które mogło być równie dobrze śmiechem, jak wyrazem oburzenia.

- Zonos! Oto cena, jaką zapłaciliśmy za ich „entuzjazm” - wypluł z pogardą. - Powinien był dostać swój proces i wymierzyć karę całej trójce, zając miejsce Popary i służyć nam jako narzędzie

Plaga

dzie! Zamiast tego mamy Jeedai i agentkę WSW depczących nam po piętach!

Klejnot w oku Koax zalsnił złowrogim blaskiem.

- Czy mam zakończyć nasze stosunki z klanem Bomu? - spytała.

- Tak - powiedział Hutt, ale po chwili namysłu zmienił zdanie: - Albo nie. Dajmy Bomu jeszcze jedną okazję do wykazania się. Dopilnuj, żeby się rozproszyli. Wyślij ich grupami w różne punkty, z dala od Jeedai i ich łowców. Nie pozwól, żeby wywarli swoją zemstę, podczas gdy my będziemy gromadzić siły i umacniać nasze wpływy. Kiedy nadejdzie czas, poświęcimy ich sprawie. - Hutt wybuchnął rubasznym śmiechem, a po chwili Koax dołączyła do niego niepewnie. - Dobrze mi słyszysz, Koax - pochwalił ją przyprawowy lord, kiedy skończył się śmiać. - Twoje potknięcia mogą zostać wybaczone w obliczu zysków, które generujesz. - Podniósł serdelkowatą dłoń, w której trzymał trofeum, będące jeszcze niedawno w posiadaniu Koax. Przyglądając się broni, Klatooinianka poczuła ukłucie zazdrości. Nie było możliwości, żeby nie oddała miecza świetlnego przyprawowemu lordowi, ale jednak brakowało jej znajomego ciężaru w sakwie na biodrze.

Hutt wcisnął przycisk aktywujący ostrze i klinga wysunęła się z rękojeści, oświetlając w pełni postać jej pana. Pierwszy raz Koax zobaczyła podczas holorozmowy jego twarz.

Oparła się odruchowej chęci cofnięcia się o krok i skulenia na ziemi w obecności przyprawowego lorda i oświadczyła:

- Cieszę się, że go dostałeś, panie. I cieszę się, że uznajesz mnie za wartą służenia ci.

- Dobry rzemieślnik nie wyrzuca dobrych narzędzi - odparł Hutt i zakończył połączenie.

Koax stała przez chwilę, wpatrzona w holoodbiornik, zanim dotarło do niej, że cała drży. Widziała twarz przyprawowego lorda - i jej wyraz: zimny, okrutny, wyrachowany. I nawet pomimo niedawnej pochwały z jego ust wiedziała aż za dobrze, że przyprawowy lord nie zawahałby się ani sekundy przed zabiciem

Plaga

jej' gdyby tylko dała mu najmniejszy powód do podejrzenia o niekompetencję czy nieudolność.

Nie mogła do tego dopuścić.

Podwoi wysiłki, znajdzie członkom klanu Bomu zajęcia, zajmie się tysiącem rzeczy, którymi należało się zająć, a na które przyprawowy lord nie miał czasu. Bo dla Klatooinianina zawiezdzenie Hutta było najgorszą z możliwych porażek.

- Strzeliłeś do mnie! - oburzyła się Reen.

- Miecz świetlny nie ma trybu ogłuszania... - zaczął się tłumaczyć Mander. - Sama tak powiedziałaś.

- Strzeliłeś do mnie - powtórzyła z uporem Pantoranka.

- Tylko po to, żeby cię ocalić - argumentował Jedi, ale jego słowa nie brzmiały przekonująco nawet w jego własnych uszach.

Byli znów na pokładzie „Śmiałego”, przemierzającego powoli przestrzeń Sektora Wspólnego. Angela Krin poprosiła, żeby po opuszczeniu Nar Shaddaa wstąpili na pokład jej statku. Byli teraz w ambulatorium i droid medyczny opatrywał pęcherze na poparzonej skórze Reen, aplikując maści i środki łagodzące. Dziewczyna była naga do pasa, ale przepelniający ją gniew sprawiał, że nie czuła wstydu. Mander z kolei zainteresował się nagle przeciwległą ścianą, próbując skupić na niej całą swoją uwagę.

Droid medyczny BI E zaszczekał z aprobatą chwytakami i odtoczył się od opatrzonej pacjentki na swoich trzech kołach. Reen się ubrała i Mander natychmiast poczuł się swobodniej.

- A poza tym ominęła mnie cała zabawa - dodała Pantoranka, zapinając guziki rozchełstanej koszuli.

- Nie powiedziałbym, że to było zabawne - mruknął Mander, odwracając się od ściany. - Musiałem zabić Zonnosa.

- Dla mnie byłoby to bardzo zabawne - stwierdziła Reen. - Zresztą wątpię, żeby to on był odpowiedzialny za Nawałnicę.

- Co racja, to racja - zgodził się Jedi. - Nie był dość sprytny, żeby sam pociągnąć taki interes.

- Poza tym oznaczałoby to, że jest uzależniony od wła-

Plaga

snego produktu - zauważyła Reen.

- A to w handlu przyprawą kardynalny błąd - zgodził się Jedi.

Pantoranka pokręciła głową.

- Fakt, ktoś kupował mu narkotyki na Nar Shaddaa. Jeden z jego Wookiech, pamiętasz?

- I...?

- Wysyłałbyś kogoś, żeby płacił jak za zboże, kiedy masz pod ręką własne źródło?

Mander otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Dziewczyna miała rację.

- Od czasu śmierci Popary nikt nie widział Vago - zauważył zamiast tego.

Reen spojrzała na niego spokojnie.

- A Vago jest dość sprytna, żeby rozkręcić taki biznes...

W drzwiach ambulatorium pojawił się Eddey.

- Dobrze widzieć cię całą i... no, prawie zdrową - powiedział do swojej partnerki. - Pani komandor chce nas widzieć w swoich kwaterach.

- Idź przodem - poprosiła Mandera Reen, zeskakując ze stołu.

- Proszę. - Jedi zaprosił ją gestem, żeby szła pierwsza.

- Chyba sobie żartujesz? - prychnęła Pantoranka. - Nie zamierzam odwracać się do ciebie plecami. Strzeliłeś do mnie, pamiętasz?

Mander poszukał w jej twarzy śladu rozbawienia, ale na próżno. Strapiony, wyszedł pierwszy z ambulatorium.

Biuro pani komandor było tak samo surowe i praktycznie urządzone jak ostatnim razem, kiedy w nim gościli. Holoszachy stały znowu pod ścianą, znów zatrzymane w połowie gry. Tym razem za iluminatorem widniała czerń głębokiej przestrzeni; migoczące w oddali gwiazdy przesuwają się nieznacznie i w bardzo wolnym tempie. Komandor porucznik Angela Krin stała tyłem do nich, zwrócona twarzą do iluminatora; znów miała na sobie swój wyprasowany na kant mundur. Odczekała, kiedy zo-

staną sami, a potem odwróciła się do biurka i wcisnęła kilka guzików na panelu sterowania.

- Kiedy byliśmy w przestrzeni Huttów - zaczęła - poprosiłam techników medycznych Sektora Wspólnego o zbadanie próbki Nawalnicy i zakażonego materiału z Endregaada. Oto dane analityczne zarazy. - Przesunęła po blacie biurka palcem i w powietrzu nad nim zatańczył schemat przedstawiający łańcuch molekularny. Od niektórych punktów w jego budowie przeprowadzono linie, na których końcu przedstawiono powiększenie danych elementów.

Mander i pozostali pokiwali głowami. Pani komandor jednym ruchem palca otworzyła kolejny dokument. Obok podwójnej spirali zarazka w powietrzu pojawił się nieco większy, bardziej geometryczny obraz - trójwymiarowa sieć heksadecymalna. Od niej także w miejscach, które technicy uznali za interesujące, poprowadzono linie z powiększeniem.

Mander pochylił się w stronę obrazów, ale pokręcił z powątpiewaniem głową. Na pierwszy rzut oka było widać, że prezentują zupełnie odmienne schematy, jednak Eddey był najwyraźniej innego zdania, bo wskazał po kolei na jednej i drugiej projekcji zwiniętą linię.

- Są podobne.

Angela pokiwała głową.

- Moi ludzie też to zauważyli. Obie cząsteczki mają podobną budowę organiczną tych krzywych. Są ze sobą w jakiś sposób... powiązane.

- Czy to oznacza, że plagę na Endregaadzie wywołała przyprawa? - spytał Mander.

- Nie - zaprzeczyła Angela Krin. - Ta przyprawa to zmutowana forma zwykłej przyprawy. Jej podstawa to narkotyk... albo kilka narkotyków, występujących powszechnie na kilku innych światach, jednak zmodyfikowana w taki sposób, że skutki jej zażywania są śmiertelne. Wyjątkowe własności zostają jej nadane w procesie przetwarzania. Sądzimy, że jest produkowana w miejscu, z którego pochodzi zaraza.

Plaga

- No dobrze - zgodził się Jedi. - A skąd pochodzi zaraza?

Eddey wskazał podbródkiem na obracający się powoli nad biurkiem diagram cząsteczki plagi.

- Czy dobrze widzę ślady skażenia spowodowane silnym promieniowaniem?

Angela uśmiechnęła się do niego ukradkiem.

- Bardzo dobrze. To silne promieniowanie w bardzo wąskim zakresie fal, charakterystyczne dla białych karłów. Wiemy, że zaraza musiała zostać zawleczona z silnie napromieniowanego świata, i wiemy też, w jakiego rodzaju układzie należy go szukać.

- W galaktyce są setki tysięcy białych karłów - zauważył Mander.

- Ale tylko dziesiątki tysięcy w odległości pozwalającej na transport na Endregaad i do Sektora Wspólnego - dopowiedziała pani komandor. - Prawdopodobnie będę mogła przeznaczyć nieco środków na metodyczne poszukiwania handlarzy prowadzących interesy w martwych układach, dziwnych przypadków importu i eksportu, tego typu rzeczy...

- A jednak - westchnął Jedi - to nadal będzie próba znalezienia igły w nieco tylko mniejszym stogu siana.

- I tutaj właśnie wkraczają do akcji nasi doświadczeni konsultanci - odparła Angela Krin.

Reen, która dotąd milczała, podniosła gwałtownie głowę. Najwyraźniej była dotąd pogrążona w myślach na jakiś jej tylko znany temat.

- My? - spytała. - A co my mamy do tego?

Cóż, uznał Mander, widocznie nie postawiła jeszcze krzyżyka na ofercie współpracy z WSW.

- Informacje - powiedziała Angela spokojnie, chociaż Mander mógłby przysiąc, że słyszy w jej głosie lekkie napięcie. - Znacie zwyczaje kosmicznych łażęgów lepiej niż ktokolwiek z moich ludzi. Gdzie się kręcą? Gdzie można się ich spodziewać, gdyby mieli się zajmować szmuglowaniem kontrabandy? W jakich układach przemysł nie jest surowo karany? Kim mogą być ich

informatory?

- Nie paramy się przemytem - burknęła Reen, a twarz pociemniała jej ze wstydu.

- Oczywiście, że nie - przyznała Angela Krin. - Nikt was o to nie oskarża. Chcę tylko powiedzieć, że dysponuję dość ograniczonymi środkami, a gdybyśmy mogli skorzystać z waszej wiedzy, a może też informacji będących w posiadaniu przemytników, których znacie - bo na pewno w społeczności pilotów tacy się trafiają - oszczędziłoby nam to mnóstwo zachodu.

Reen milczała przez chwilę, a na policzki wystąpił jej jeszcze silniejszy rumieniec - Mander widywał nieraz taki sam u Tora. To nie było zakłopotanie, tylko gniew.

- Nie - rzuciła po prostu.

- Nie? - spytała Angela Krin. Wydawała się zaskoczona, niczym oficer nie przywykły do niesubordynacji na pokładzie własnego statku.

- Nie - powtórzyła Pantoranka. - Przykro mi. - Wzięła głęboki oddech. - Doceniam, że oferujesz nam pomoc w odnalezieniu zabójców Tora, ale nie mogę wyjawiać sekretów branżowych tylko po to, żeby ułatwić wam poszukiwania.

- To nie tak... - zaczął mówić Mander, ale pani komandor weszła mu w słowo:

- Mam wrażenie, że nie dociera do ciebie w pełni, jak poważna jest sytuacja. Tu nie chodzi tylko o śmierć twojego brata.

- Musiałabym ci zaufać - wtrąciła Pantoranka.

- Owszem.

- Nie.

- Możemy to przedyskutować - powiedział Mander w tej samej chwili, w której Angela Krin dodała:

- Dobrze wam zapłacimy.

Mander jęknął w duchu. Tylko wszystko pogorszyła...

Reen pokręciła głową.

- Nie rozumiesz - zwróciła się do Angeli. - Macie w WSW aż nadto ludzi, żeby się tym zająć... ludzi, którym możecie zaufać, którym możecie wydawać rozkazy. Nie znacie nas. Nie macie

Plaga

pojęcia o tym, co robimy. Nie musicie ryzykować tak jak my. A my nie musimy ryzykować, biorąc w tym udział. - Odwróciła się i ruszyła zdecydowanym krokiem do drzwi. - Zamierzam teraz udać się na pokład „Nowej Ambicji” i, za twoim pozwoleniem, przeszukać ją od dziobu po rufę, żeby sprawdzić, czy Huttowie nie sprezentowali nam przypadkiem jakichś niespodzianek podczas naszej wizyty na Nar Shaddaa. Potem odlatujemy z Eddeyem.

Była już prawie przy samych drzwiach, kiedy Angela Krin zawołała za nią:

- Kapitan Irano! - Na dźwięk jej głosu Pantoranka zatrzymała się przed wyjściem. - Mander Zuma postąpił słusznie, strzelając do ciebie. Mogłabyś zostać wykorzystana przeciwko nam, jako jeniec. Musiał usunąć cię z gry.

Reen obróciła się z furią na pięcie i już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale po namyśle skierowała się znów w stronę drzwi i wyszła. Mander zerknął na Eddeya.

- Co to miało znaczyć? - spytał go.

- Chyba rzuciliśmy tę robotę, zanim jeszcze ją przyjęliśmy. - Bothanin wzruszył ramionami i dodał pod adresem Angeli Krin: - Przykro mi. Ten tutaj przypadek wydaje się całkiem ciekawy. - Wskazał znów podbródkiem obracające się z wolna nad biurkiem diagramy, ale nie ruszył się z miejsca.

- Nie zamierzasz pomóc Reen na statku? - spytał go Jedi.

- Mógłbym - przyznał Eddey - ale chyba nie ja powinienem z nią teraz dyskutować. Poza tym, jeśli mam być szczery, wolałbym zostać tutaj i porozmawiać z panią komandor o jej technikach medycznych. Czy mógłbym zgrać te dokumenty na dataczip? - spytał. - Mam swoje... powiedzmy, wtyki, z którymi chciałbym to skonsultować.

Angela Krin skinęła w milczeniu głową. Mander miał wrażenie, że za wszelką cenę stara się zgadnąć, w którym momencie straciła całkowicie kontrolę nad sytuacją.

Zostawił ich samych i zjechał na poziom hangarowy, gdzie dokowała „Nowa Ambicja”. Kiedy wspinał się po trapie statku,

Plaga

słyszał krzątającą się w środku Reen. Zająła się już przednią sekcją awioniki i teraz grzebała w bebeczach statku, zanurzona do pasa w jednym z paneli dostępu.

- Przydadz się na coś wreszcie, Eddey! - krzyknęła do niego. - Podaj mi reflekszałtkę. Dałabym głowę, że są tu jakieś spawy, których nie było, kiedy dostaliśmy statek od Huttów.

Mander usiadł w fotelu drugiego pilota i przyjrzał się krytycznie narzędziom w skrzynce. Pogrzebał wśród nich i podał Pantorance coś, co wydało mu się potencjalnym kandydatem na reflekszałtkę - pulsujące światełkami urządzenie o licznych nakładkach. Reen odrzuciła je, jakby podał jej węża, i wrzasnęła:

- Reflekszałtkę! Nie wkurzaj mnie, Eddey!

- Eddey rozmawia jeszcze z panią porucznik - powiedział spokojnie. - Mogę ci jakoś pomóc?

Reen wycofała się z panelu i spiorunowała go wzrokiem.

- Wydawało mi się, że wyraziłam się jasno: nie mamy ochoty na żadne nowe kriffolone przygody.

- Owszem, tyle zrozumiałem - zgodził się Mander. - Nie wiem tylko jednej rzeczy: dlaczego. To znaczy, domyślałam się, że po tym, co wydarzyło się na Nar Shaddaa, każdy byłby roztrzęsiony i...

Posłała mu takie samo spojrzenie, jakie widywał czasem u jej brata.

- Strzeliłeś do mnie.

- Ogłuszyłem cię - poprawił ją Mander. - I mam wrażenie, że dręczy cię to bardziej, niż powinno. Jestem pewien, że to nie był pierwszy raz, kiedy do ciebie strzelano. Sam zresztą byłem tego świadkiem, i to nieraz.

- Nie rozumiesz - rzuciła, starając się ukryć poirytowanie. Znów to samo, zupełnie jak Toro.

- A więc spróbuj mi wytłumaczyć - odparł, przypominając sobie rozmowy, jakie prowadził ze swoim byłym uczniem. Kiedy Toro został jego padawanem, był młodszy od Reen, ale wcale nie mniej uparty.

- Strzeliłeś do mnie - powtórzyła znów Pantoranka - a ja się

tego nie spodziewałam.

Mander opadł na oparcie fotela drugiego pilota i westchnął ciężko.

- A więc jesteś zła, bo cię zaskoczyłem?

Reen oparła się plecami o jedną z konsol, unikając wzroku Jedi.

- Wydawało mi się, że cię znam, że znam twój tok myślenia, potrafię przewidzieć twoje zamiary... To znaczy, jesteś bibliotekarzem i...

- Archiwistą - poprawił ją Mander, ale zignorowała jego uwagę.

- To ty zawsze nalegałeś, żeby najpierw wszystko omawiać - dodała. - Ostrożnie zaplanować. Poznać przeciwnika. Czekać, aż ktoś inny zrobi pierwszy ruch.

- Sądziłem, że do tego czasu zdążyliśmy już poznać Zonnosa dość dobrze - zauważył Jedi. - I że nasz plan był całkiem niezły.

- Plan polegający na wleceniu śmigaczem do budynku i strzeleniu do mnie? - spytała podniesionym głosem.

- Mieliliśmy mało czasu - zwrócił jej uwagę - a strzelenie do ciebie było jedynym wyjściem. Inaczej Zonnos wykorzystałby cię jako zakładnika. Co zresztą i tak zrobił.

- Zachowałeś się po prostu jak... - Urwała, szukając słowa.

- Jak Jedi? - podsunął jej.

- Dokładnie tak! - zawołała, klepiąc się w kolano.

Mander przez chwilę milczał.

- Czasem trafiamy w sam środek wydarzeń - powiedział wreszcie. - I nie mamy na nie żadnego wpływu.

Reen zaczęła protestować, ale Jedi uciszył ją gestem i podjął:

- Chyba wiem, co masz na myśli. Częścią obowiązków Jedi jest ocena zagrożenia i sytuacji, przeanalizowanie ich, wybranie najlepszej opcji i działanie. Ten proces przebiega zazwyczaj bardzo szybko. Właściwie od razu wiemy, jakie jest najlepsze wyjście z sytuacji. Po części wynika to z więzi, jaka łączy nas z

Plaga

Mocą, a po części ze szkolenia, jakie przechodzimy. - Westchnął znów. - Zawsze byłem dobry w ocenie i analizie sytuacji, ale nigdy we wcielaniu planów w życie, w instynktownym działaniu, w natychmiastowym reagowaniu - aż do czasu tej walki z vrbl-therami w slumsach Nar Shaddaa. Wtedy nagle od razu wiedziałem, co powinienem zrobić... i po prostu to zrobiłem. A kiedy musiałem stawić czoło Zonosowi... było tak samo. - Podniósł wzrok na Reen i dodał: - Przepraszam, że cię zaskoczyłem.

Siedzieli jeszcze jakiś czas w ciszy w sterowni „Nowej Ambicji”.

- Co dalej? - spytał wreszcie Jedi.

Teraz to Reen westchnęła.

- Wciąż jesteś moim najlepszym tropem. Tym bardziej że chyba wkurzyłam trochę panią komandor, odmawiając jej ujawnienia informacji.

- No dobrze - powiedział po chwili zastanowienia Mander. - Klan Bomu...?

- Polowali na nas od samego początku - zgodziła się Pantoranka.

- Na rozkaz kogoś innego - dopowiedział Mander. - Sama to zauważyłaś... nie są zbyt wpływowi. Gdyby jednak udało nam się trochę nimi... potrząsnąć, może wyjawiliby nam, dla kogo pracują.

- Dla jakichś innych płotek - prychnęła sfrustrowana Reen.

- Pracujących dla kogoś innego, kto pracuje dla jeszcze kogoś innego - dodał Mander. - I tak dalej, i tak dalej, dzięki czemu w końcu trafimy do kogoś, kto nie pracuje dla nikogo innego, czyli do osoby, której szukamy.

Reen przez chwilę rozważała jego słowa w milczeniu.

- Brzmi znacznie lepiej niż opowiadanie WSW tego, co wiem o przemyśle - stwierdziła wreszcie z krzywym uśmiechem.

- Albo przetrząsanie tysięcy martwych, napromieniowanych układów - dorzucił Mander.

- Wygląda na to, że klan Bomu wcale nie będzie na nas przez to mniej wkurzony - skomentowała dziewczyna, uśmiechając się teraz do niego miłym, łagodnym uśmiechem. Burza

minęła.

- Wybacz, że do ciebie strzelałem - powiedział. - Ale to był właściwy krok. Musiałem to zrobić.

- Następnym razem mnie uprzedź, dobra? - poprosiła Reen i milczała przez chwilę. - A tak w ogóle... - podjęła po upływie kilku sekund - co ty tu właściwie jeszcze robisz? Dostałeś współrzędne i zakończyłeś ostatnią misję Tora. Uratowałeś mnie, zabiłeś Hutta i żyjesz. Znam swoje pobudki i rozumiem nawet powody kierujące Angelą. Ale ty?

- Chcę odnaleźć źródło pochodzenia Nawałnicy - odpowiedział Jedi. - Chcę położyć temu kres.

- Dla Tora? - spytała.

- Między innymi - odparł. - I dla ciebie. - A także dla Miki, dodał w myśli. Dla tego dziwnego, małego Hutta, który z powodu Nawałnicy stracił całą rodzinę.

- A przypadkiem nie dla siebie? - spytała go zaczepnie Reen. - Jesteś pewien, że nie walczysz z własną, wewnętrzną nawałnicą? Czy twojego osądu nie mąci ekscytacja, chęć zgrywania bohatera?

- Nie wiem - przyznał uczciwie Mistrz Jedi Mander Zuma. - Czy zechcesz mi towarzyszyć, żeby upewnić się, że mój osąd nie jest zmacony?

Reen prychnęła i zanurkowała z powrotem pod konsolę awioniki.

- Jasne - dobiegło spod niej. - Tak czy siak, zamierzam wcześniej sprawdzić tę łajbę. Powiedz Eddeyowi, że może tu przyjść i mi pomóc.

- Jasne - obiecał Mander i wstał. Zanim wyszedł, Reen wysunęła głowę z otworu panelu i obejrzała się na niego. - Mander? Jeszcze jedno...

- Tak?

- Powiedz pani komandor, że nie jesteśmy kawałkami jej układanki - poprosiła. - Nie będziemy jej pionkami. Nienawidzę, kiedy ktoś próbuje mną sterować.

- Muszę przyznać, że bardzo kiepsko ubrała w słowa to, o

co chciała was poprosić - stwierdził Mander. - Ale dobrze, przekażę jej twoją opinię i sam również będę ją miał na uwadze. - Zanim jednak skończył mówić, Reen znów zniknęła pod konsolą, mamrocząc pod nosem i zastanawiając nad spawami, których nie było tam, zanim przylecieli na Nar Shaddaa.

ROZDZIAŁ 14. NA TROPIE PRZYPRAWY

Rolan był ostatnim członkiem klanu Bomu na Makem Te, ale czuł się tak, jakby był ostatnim Rodianinem w galaktyce. Przeciskał się przez targowisko mortuariów, otoczony ze wszystkich stron przez zwalistych Swokes Swokesów, i miał niejasne uczucie, że znalazł się w pułapce. Kiedy był na zewnątrz, bał się nieustannie, że zostanie namierzony, a kiedy się ukrywał, miał wrażenie, jakby czekał tylko na swój mamy koniec.

Dlatego właśnie starał się być w ruchu i nie nocować nigdy dwa razy w tym samym miejscu. Zaszywał się w alejkach i krył w cieniach wielkich grobowców. Kradł, gdzie mógł, i uciekał, kiedy było trzeba. Wyróżniał się na tle tłumu tych flakowatych, pozabawionych szyi potworów i nie mógł spocząć - nawet na chwilę.

Nie miał jak uciec z tego świata. Podczas tragedii w magazynie przyprawy wraz z pojawieniem się drugiego Jeedai zginęli najlepsi wojownicy jego klanu. Niedługo potem zniknął Dejarro, jego kontakt z ludźmi przyprawowego lorda. Chodziły słuchy, że to Jeedai go dopadł, ale Rolan sądził, że to mało prawdopodobne. Przypuszczał, że Dejarro zwyczajnie dał nogę - opuścił to zapyziałe cmentarzysko i tyle.

A potem... potem sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Zapasy Nawańnicy z każdą dostawą malały, a potem źródło zupełnie wyschło. Próby dopominania się o kolejne dostawy najpierw spotykały się z przeprosinami, a potem z brakiem jakiegokolwiek odpowiedzi. Ci członkowie klanu Bomu, którzy przeżyli ataki Jeedai, opuszczali planetę dwójkami albo pojedynczo. Niektórzy byli odwoływani w interesach i wysyłani gdzie indziej, inni jednego dnia byli jeszcze na Makem Te, a następnego znikali

Plaga

- i nikt nie wiedział gdzie. W końcu w nekropolii zostali tylko trzeciorzędni dilerzy, którzy nie mieli o niczym pojęcia i nie zauważyli stopniowej migracji - nawet nie dostrzegali, że ich zaopatrzeniowiec i pracodawca, przyprawowy lord, odwrócił się od Makem Te.

Tacy jak Rolan.

Kiedy przyprawa się skończyła, było jeszcze gorzej. Jako pierwsi odczuli na swojej skórze brak Nawałnicy klienci, kiedy brak narkotyku spowodował głód i wzmógł ich wściekłość. Nawet Swokes Swokesowie, którzy nie mieli receptorów bólu, nie byli odporni na gniew wywołany przyprawą. Dobrze natomiast wiedzieli, że za jej dystrybucję odpowiadają Rodianie...

A Rolan zbyt późno zorientował się w niebezpieczeństwach związanych z posiadaniem klientów będących amatorami przyprawy, która wprawiała ich we wściekłość... klientów, którzy podczas walki byli niewrażliwi na ból. Wściekłych, wyprowadzonych z równowagi i zaskakująco odpornych klientów, którzy wiedzieli, jak wyglądał.

Rolan zatrzymał się przy straganie ze słodyczami w kształcie czaszek - ludzkich, cereańskich, Wookiech i oczywiście, jakżeby inaczej, swokeńskich. Jego żołądek zaprotestował głośno i do Rodianina dotarło, że od wczoraj nic nie jadł. Zerknął na sprzedawcę, doradzającego na drugim końcu stoiska przyozdobionemu licznymi klejnotami tubylcowi, a potem rozejrzał się ukradkiem dookoła. Czy nikt go nie obserwuje? Nie patrzył na łakocie, a zamiast tego wyciągnął zielonkawą dłoń po jakiś bliżej nieokreślony produkt - bezkształtną czaszkę, która wydawała się nie należeć do żadnej ze znanych ras. Jakąś niedoróbkę, którą szkoda było wyrzucić... nadprodukcję. I zamarł, kiedy zauważył, że ktoś się mu przygląda. Po drugiej stronie przejścia stała kobieta w kapturze, na pierwszy rzut oka oceniająca trzymany w dłoni owoc muja, ale Rolan widział, że tak naprawdę wcale nie patrzy na owoc. Zezowała w jego stronę. Kiedy podchwyciła jego spojrzenie, wolną ręką zdjęła z głowy kaptur. Miała niebieską skórę, przyozdobioną złotymi tatuażami... całkiem jak ten mar-

twy Jeedai, od którego to wszystko się zaczęło.

Rolan zamarł na chwilę, a potem puścił się pędem alejką. Nie zdążył odbiec trzech kroków, kiedy bok głowy eksplodował mu bólem od trafienia muja. Skórka owocu pękła, a jego mazista treść spłynęła Rodianinowi po twarzy; oczy zapiekły go od lepkiego soku.

Rolan zachwiał się, ale nie stracił równowagi - zamiast tego rzucił się w tłum i zaczął przeciskać się między Swokes Swokesami, klnąc pod nosem. Za plecami słyszał lamentującego sprzedawcę, narzekającego na zmarnowany owoc; zastanawiał się, czy to opóźni pogoń.

Okazało się, że nie miało to żadnego znaczenia - kilka kroków dalej w jego stronę zmierzał kolejny pozaświatowiec. Ten także miał na sobie długą szatę, a na nosie lśniące czerwonym blaskiem gogle. U jego pasa zwisało coś ciężkiego... To musiał być ten zatracony Jeedai!

Rolan skręcił ostro w prawo i przeskoczył nad niskim straganem z wieńcami pogrzebowymi. Jego właściciel zamachnął się na niego, chcąc mu wymierzyć cios, ale Rodianin uchylił się i po chwili był już z drugiej strony stoiska.

Zyskał nieco przewagi czasowej nad ścigającymi, ale niewiele - no i musiał szybko znaleźć sobie jakąś kryjówkę. Bazarek przecinała siatka niezliczonych alejek. Nie oglądając się za siebie, ostatni członek klanu Bomu na Makem Te zanurkował w jedną z nich, pogrążoną w mroku.

Dopiero kiedy był bezpieczny w cuchnącej ciemności, odważył się obejrzeć za siebie. Ścigający go - kobieta i Jeedai - stali w przejściu, rozglądając się dookoła. Rolan wstrzymał oddech - widział ich ze swojej kryjówki doskonale; byli zwróceni plecami w jego stronę. Uff, zgubił ich!

Powoli odwrócił się i skierował w stronę drugiego wyjścia z alejki - ku wolności. I w tej samej chwili zauważył wycelowany w niego blaster - małą, podręczną broń, jednak Rolan nie miał wątpliwości co do jej mocy. Trzymała ją włochata ręka Bothanina, który uśmiechał się do Rodianina zębatym uśmiechem.

Plaga

- Witaj - odezwał się obcy zaskakująco miłym dla ucha głosem z doskonałym akcentem. - Moi przyjaciele i ja chcielibyśmy porozmawiać o osobie, która zaopatruje cię w przyprawę.

Threnda z klanu Bomu, mieszkanka Teg Kithri na planecie Budpock, uważała się przede wszystkim za kobietę interesów. I nie chodziło tu o prowadzoną przez nią kantynę - która była raczej czymś w rodzaju hobby, miejscem, w którym mogła omawiać transakcje i rozmawiać z klientami. To była tylko przykrywka. Prawdziwym źródłem jej dochodu był długi magazyn na tyłach kantyny, w którym trójka robotników, droidów typu CLL-6, uwijała się przy trzech paletach, a Mitt, jej trandoshański pomocnik, zajmował się czwartą. Wszystko odbywało się automatycznie, z wyjątkiem zawierania umów i liczenia pieniędzy.

Dlatego kiedy w magazynie zjawiała się ta trójka, wiedziała, że szykują się kłopoty. Mężczyzna, Pantoranka i Bothanin. Dwoje pierwszych włożyło szaty z kapturami - zbyt ciepłe na letni wieczór; Threnda natychmiast pomyślała, że ukrywają pod nimi broń. Bothanin miał na sobie zerape i kapelusz z szerokim rondem.

- Wejście do kantyny jest od frontu - burknęła, wskazując kciukiem przez ramię drzwi. Zerknęła szybko na Mitta i Trandoshanin zbliżył się do obcych od tyłu, bezszelestnie, z hydrokluczem w dłoni.

- Nie przyszliśmy na drinka - powiedział mężczyzna spokojnie. - Tylko po odrobinę przyprawy.

Threnda zmrużyła oczy i warknęła w basicu:

- Nie jestem dilerem. Tylko hurt. Kto was przysłał?

Mężczyzna rozsunął lekko szatę i Threnda zauważyła błysk rękojeści zawieszzonego u jego pasa miecza świetlnego.

- Budpock to wolna planeta - wycedziła. - Jedi nie mają tu nic do gadania.

- Możliwe - zgodził się z nią Mander Zuma. - Przypuszczam też, że zapłaciłaś członkom swojego gangu za ochronę, żeby

Plaga

dziesięć minut po tym, jak ich wezwiesz - co, jak sądzę, już uczyniłaś - zjawili się tu z pomocą. Nas tu nie będzie już za trzy minuty.

Mitt okrzykiem ich powoli, zachodząc od tyłu, cały czas z ciężkim kluczem w szponiastej dłoni. Bothanin odwrócił się w jego stronę i wycelował w jego pierś niewielki blaster, schowany wcześniej pod połą zerape.

Trandoshanin cofnął się dwa kroki i rzucił hydroklucz na ziemię, a Bothanin gestem dał mu znak, żeby stanął obok Threndy. Trzecia z grupy obcych, Pantoranka, ruszyła wzdłuż alejki ze skanerem, sprawdzając kody na poszczególnych skrzyniach. Tępe droidy podnośniki ignorowały ją, dopóki nie stuknęła jednego z nich w nogę - wówczas ruszył za nią posłusznie.

Threnda zmarszczyła zielone, łuskowate czoło i podjęła:

- Handluję przyprawą od dawna. Czego chcecie?

- Szukamy pewnego szczególnego rodzaju przyprawy - wyjaśnił mężczyzna. - Nawałnicy.

Pozwól mu gadać, pomyślała Threnda. Jej klanowi bracia powinni już być w drodze.

- Nigdy o niej nie słyszałam - odparła spokojnie.

- To niebezpieczny narkotyk - rzucił Jedi.

- Nie handluję twardym towarem - prychnęła Rodianka z krzywym uśmiechem.

- Mam! - zameldowała Pantoranka, kiedy podnośnik binarny postawił na podłodze jedną ze skrzyń. Kiedy droid się wycofał, klepnęła kod towarowy z boku kontenera.

- Otwórz - polecił Mander i Bothanin wy dobył spod zerape łom. Wieko zabezpieczonej skrzyni ustąpiło bez trudu i ich oczom ukazały się palety wypakowane woreczkami z przyprawą w kolorze ciemnofioletowym. Magazyn natychmiast wypełnił gryzący zapach narkotyku.

- Pierwszy raz to widzę - udała zdziwienie Threnda. - Widocznie pomylili ładunki. To się czasem zdarza. Tak jak wam powiedziałam, nie handluję twardymi narkotykami.

Plaga

- A więc pewnie nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli ją sobie zabierzemy - bardziej stwierdził niż spytał Jedi. - Eddey?

Tym razem Bothanin wydobył spod zerape niewielki granat; położył kciuk na przycisku uzbrajającym i wyciągnął rękę z ładunkiem nad skrzynię z Nawalnicą.

- Czekaj - zmięła Threnda. - No, dobrze. Czego chcecie? Informacji?

- Nie, dziękuję - powiedział Jedi.

Rodianka wybałuszyła na niego oczy.

- Nie? Powiem wam, skąd ją mam, a wy sobie pójdziecie, co wy na to?

- Nie - powtórzył Jedi. - Wiem, że ta przesyłka pochodzi z „Oka Demona”, które dostarczyło ją tu z Ventooine, gdzie trafiła z układu Bosph. - Przyglądał się przez chwilę zaskoczony Rodiance. - To nie pierwszy punkt dystrybucji, który odwiedzamy. Część z ich właścicieli jest całkiem gadatliwa. Eddey?

Bothanin uzbroił granat i na szczycie kulistego ładunku zaczęło migać czerwone światełko.

- Dziesięć sekund - poinformował ją Jedi. - Lepiej się cofnij.

Threnda i Mitt rzucili się do tyłu i padli na ziemię w tej samej chwili, w której granat wybuchł. Eksplozja wyrzuciła w powietrze chmurę fioletowego proszku. Płonące grudki rozsypały się po całym magazynie, podpalając niektóre z pozostałych skrzyń. Nad zniszczonym kontenerem unosił się kłęb siniego dymu, spowijając ich niczym upiorna mgła.

Rodianka zakłęła paskudnie i palnęła Mitta w ramię. Trandoshanin natychmiast się opamiętał, zerwał z podłogi i popędził po gaśnicę, odciągając po drodze ciężkie podnośniki od ognia.

Trójka nieproszonych gości stała w pobliżu jakby nigdy nic.

- Minęły trzy minuty - oznajmił Jedi. - Wychodzimy.

- Dlaczego to robicie? - zawołała płaczkliwie Threnda, przekrzykując trzask płomieni. Za jej plecami Mitt kłął pod nosem, starając się uruchomić gaśnicę szponiastymi łapami. - Czego

Plaga

chcecie?!

Jedi zatrzymał się w pół kroku i odwrócił w jej stronę.

- Chcemy przesłać wiadomość reszcie twojego klanu i przyprawowemu lordowi, dla którego pracujecie - powiedział. - Zamierzamy ukrócić handel Nawałnicą, i nieważne, ile czasu nam to zajmie. - A potem zniknął w kłębach sinego dymu.

- Przynajmniej dalej masz kantynę - rzucił jej na pożegnanie Bothanin i tyle ich widziała.

- *Ma Lorda* - zaczęła Koax; twarz jej holowizerunku była śmiertelnie poważna. - Jeedai i jego sprzymierzeńcy poważnie szkodzą naszym interesom...

- Chcę usłyszeć raport - wybełkotał przyprawowy lord. Jak zwykle, stał tyłem do silnego źródła światła, dzięki czemu widziała tylko zarys jego sylwetki. Koax była zawsze ostrożna w kontaktach ze swoim przełożonym, ale ostatnie wydarzenia wyprowadziły ją z równowagi i zaniepokoiły, a poza tym akurat teraz nie miała żadnych pomyslnych wieści ani informacji, które mogłyby wprawić jej pana w dobry humor.

- Jeedai napada na nasze punkty dystrybucyjne - powiedziała cicho. - Szczególnie te nadzorowane przez członków klanu Bomu. On i jego ziomkowie narażają nas na straty...

Hutt prychnął lekceważąco - zabrzmiało to jak spadająca z kilku metrów na ziemię pacyna błota.

- Trochę przestoju w dostawach dobrze zrobi popytowi - stwierdził przyprawowy lord. - Wywinduj cenę, podbij zapotrzebowanie. Wierzę w twoje zdolności przyspieszenia dostaw do najwrażliwszych punktów. - Opadł na oparcie swojego podium i wziął z pobliskiego stojaka fajkę hokuum, nie okazując najmniejszego niepokoju.

- Z całym szacunkiem, *Ma Lorda* - podjęła Klatooinianka, ostrożnie dobierając słowa - to coś więcej niż tylko chwilowe problemy na rynku... Coraz więcej rządów wie o Nawałnicy... i drastycznie spada nam sprzedaż. Na samym rynku Sektora Wspólnego w interesach mamy zupełny impas... Istnieje też re-

Plaga

alne zagrożenie utraty nowych kontaktów w sektorze Nuiri. Nikt nie chce handlować przyprawą, która może spowodować odwieziny Jeedai. Uderzają, a przy tym wysyłają wiadomość... że zakończą handel Nawalnicą.

Przyprawowy lord pochylił się w jej stronę.

- Czego mi nie mówisz?

Koax jękała się przez chwilę, aż wreszcie spuściła wzrok i wydukała:

- Klan Bomu... - zaczęła.

Przyprawowy lord wydał z siebie ryk, na którego dźwięk Klatooinianka aż podskoczyła.

- Klan Bomu! Czy nie kazałem ci ich pozabijać albo czymś zająć, tak żeby przestali myśleć o zemście?

- Są... elastyczni - wymamrotała Koax. - I liczni... ale straty, jakich ich klan doznaje z rąk Jeedai, sprawiają, że przestają być... lojalni. Jeden z nich wyjawiał naszym przeciwnikom imię Morgi Bunny, zarządzającego magazynem - dodała prawie szeptem, jakby wyjawiała jakiś ściśle tajny sekret.

Przyprawowy lord zastanowił się, od jak dawna tała przed nim tę informację.

- Ach - sapnął, opadając znów na poduszki. - A ty boisz się, że nas wsypią? Że uznają, że Jeedai będzie zadowolony, jeśli po prostu powiedzą mu, co wiedzą - i będą mieli spokój? Że doprowadzą go do nas?

- Wiem, że na pewno byś sobie z nim bez trudu poradził - powiedziała stanowczo Klatooinianka - i że ten Jeedai i jego banda zadrzeliby w obliczu twojej niekwestionowanej potęgi... ale to mogłoby źle wpłynąć na interesy...

Przyprawowy lord parsknął dudniącym śmiechem.

- Tak, tak... Nie obawiam się, że dotrą do punktu produkcji przyprawy. Na ramieniu Spirali jest zbyt dużo magazynów i miejsc przerzutu, sieć fałszywych kontaktów jest za gęsta i zbyt starannie utkana, żeby w niej nie ugrzęźli. Doceniam jednak twoją troskę. Zorganizuj spotkanie z matriarchinią klanu Bomu. Powiedz jej, że jestem zadowolony ze współpracy z nimi i że

Plaga

martwię się ostatnimi wydarzeniami, i że zrobię, co w mojej mocy, aby ją chronić. Spotkaj się z nią osobiście. Daj jej do zrozumienia, że jesteś pod opieką przyprawowego lorda. Będę cię chronił tak, jak ty chronisz mnie.

Koax uśmiechnęła się, a klejnot w jej oczodole zaśnił, odbijając obraz przyprawowego lorda.

- Będę cię chronić - obiecała cichym głosem, pokrzepiona i spokojna. - Będzie, jak sobie życzysz.

- Będzie, jak sobie życzę - powtórzył przyprawowy lord i przerwał połączenie, postukując serdelkowatym palcem w ściankę pojemnika fajki hokuum. Koax służyła mu długo i dobrze, ale teraz była wyraźnie wytrącona z równowagi i rozkojarzona. Poza tym ukrywała przed nim, swoim panem, najgorszą prawdę. Takie błędy można było naprawić, ale jej nerwowość mogła się rozprzestrzenić jak zaraza między tymi, z którymi miała do czynienia.

Koax czegoś nie wiedziała, a mianowicie tego, że nie wszystkie braki w dostawach były skutkiem działań Jeedai. Część towaru była teraz kierowana gdzie indziej, innymi kanałami. Z powodu swojej chęci zemsty klan Bomu wybił się na pierwszy plan, ściągając na siebie uwagę - a to nie było korzystne dla interesów. Lepiej było wycofywać się stopniowo z transakcji prowadzonych za ich pośrednictwem i skupiać na innych obszarach.

A jeśli Koax miała być jedną z ofiar takich działań... cóż, szkoda, ale perspektywa utraty dobrego pracownika nie powinna powstrzymać dobrego Hutta przed podejmowaniem ważnych decyzji.

Przyprawowy lord strzelił palcami i z cienia w kącie przydreptał do niego zielony droid.

- Sądzę - powiedział do niego Hutt - że nadszedł czas, że-
byśmy wysłali pewną wiadomość...

ROZDZIAŁ 15. INTERESY

Plaga

Leżący na samym skraju sektora księżyc Bosph był księżycem tylko z nazwy - tak naprawdę była to naga skała, stanowiąca szczątek nieco większej skały, rozbitej na kawałki w jakiejś dawno zapomnianej wojnie. Leżał z dala od planety i jej gwiazdy, i był tak odludnym miejscem, że o bardziej odludne było trudno - na zupełnym uboczu ruchliwych szlaków gwiazdnych galaktyki.

Było to także idealne miejsce na kryjówkę dla Morgi Bunny, bosphańskiego łowcy nagród na emeryturze - i tutaj też Morga założył swój magazyn.

Wiedział aż za dobrze, jak kapryśnymi prawami rządzi się handel. Sprzedawca mógł czasem przechowywać długo swój towar, czekając na odpowiedniego kupca. Czasami też zdarzało się, że ten towar był gorący - zbyt gorący, żeby trzymać go za długo, gorący jak powierzchnia słońca. A sprzedawca mógł nie chcieć spotykać się bezpośrednio z kupcem... I tu właśnie wkroczył do akcji Morga Bunna. Jego magazyn był zarówno tajnym składem, przeznaczonym do przechowywania najbardziej gorącego towaru, jak i miejscem dobijania targu dla tych, którzy nie chcieli zawierać interesów osobiście.

Przez ten czas Morga Bunna wgryzł się głęboko w powierzchnię księżyca, drążąc w niej sale, korytarze i składy. Zbudował sobie także przejrzystą kopułę mieszkalną, wyposażoną we wszelkie udogodnienia. Trzymał tutaj rzeczy, które leżały u niego od wielu, wielu lat - takie, o których ich pierwotni właściciele dawno zapomnieli albo im się zmarło. Miał też u siebie towary, które dostarczano mu i zabierano od niego błyskawicznie - takie, które schodziły, jak tylko się pojawiały.

Morga Bunna nie dożyłby podeszłego wieku, będąc głupcem, więc był przygotowany, kiedy za pośrednictwem kanału, który znali tylko jego klienci, skontaktował się z nim statek o nazwie „Nowa Ambicja”.

Kiedy „Nowa Ambicja” wylądowała na jednej z platform transportowych, nieco poniżej poziomu kraterów księżyca, jego droidy natychmiast pospieszyły ze szczelnymi tunelami do słuz statku. Ze środka wyszła trójka przybyszów, tak jak Morga zo-

Plaga

stał ostrzeżony - Bothanin, Pantoranka i Jedi. Spotkał się z nimi w zakrytych przezrzystą kopułą apartamentach swojego kompleksu mieszkalnego.

Przybyszom mógł się wydać zwykłym, bogatym i szanowanym Bosphem - cztery ramiona miał wytatuowane w gwiazdne mapy, znaczące trasę jego podróży, jego cienkie rogi zdobiły złote nakładki, fasetkowe oczy lśniły, wypolerowane, a szaty były najwyższej jakości. Czekał na nich spokojnie na środku swojej małej kopuły, otoczony przez rośliny z jego ojczystej planety, oświetlane lampami radiacyjnymi. Bogaty ogród otaczały balkony, prowadzące do innych części jego domostwa.

Kiedy przybysze zjawili się w jego kwaterach, Morga zakłosał się na palcach stóp w przód i w tył.

- Witajcie w moich skromnych progach - powiedział. - Czy to ty jesteś Jedi, którego zwą Manderem Zumą?

Mężczyzna skinął głową i wskazał swoich towarzyszy.

- Tak. A to moi przyjaciele, Edey Be'ray i Reen Irana. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony, kiedy udzieliłeś nam pozwolenia na lądowanie...

- Cywilizacja dociera nawet do najciemniejszych zakątków galaktyki - odparł Morga Bunna. - Zaprosiłbym was na ucztę, ale nie znam waszych upodobań kulinarnych, a poza tym, jeśli mam być szczery, wolałbym, żeby to spotkanie było możliwie jak najkrótsze.

- Znasz moje imię - zauważył Mander. - Czy wiesz także, dlaczego tu jesteśmy?

- Domyślam się - odpowiedział Morga Bunna. - Znam imiona twoje i twoich towarzyszy, bo wiem, że przemierzacie przestworza między Przestrzenią Huttów i Sektorem Wspólnym, niepokojąc wielu z moich stałych klientów. To ma dla mnie zarówno plusy, jak i minusy, jako że są tacy, którzy zjawiają się, żeby odebrać swoje towary, inni zaś chcą je u mnie przechować.

- Przybywamy w sprawie przyprawy zwanej Nawałnicą - oznajmiła Pantoranka.

Bosph podniósł wszystkie cztery ramiona do góry.

Plaga

- Brakuje towaru! - zawołał. - O, tak. Miałem jej trochę na stanie. Cóż, tak naprawdę to całkiem sporo. Kiedy jednak rozeszły się wieści, że niszcycie jej zapasy wszędzie, gdzie na nie traficie, odesłałem wszystko, co miałem, i przestałem przyjmować nowe kontrakty. - Podał im datasześcian. - Tutaj są zapisy transakcji, jeśli na coś wam się przydadzą.

Mander wziął od niego niewielką kostkę tak ostrożnie, jakby była ulepiona z samej Nawalnicy.

- Zdasz sobie sprawę, że będziemy musieli to potwierdzić...

- Tak - przytaknął Bosph. - Tak samo ja jestem pewien, że wiecie, iż nie mogę na to pozwolić. Nie widzę przeszkód w dostarczeniu wam tego, czego moim zdaniem potrzebujecie, ale jeśli zaczniecie wtykać swoje nozdrza w moje pozostałe interesy, będę musiał zaprotestować.

- Sądzę, że chcesz mi coś wyjawić - powiedział Mander i Morga Bunna cofnęła się chwiejnie o pół kroku, jakby Jedi zagroził mu bronią. Podniósł wytatuowane ramię do czoła, pokręcił rogatą głową i westchnął głęboko.

- Nie ma potrzeby używania twoich magicznych sztuczek, Jedi - zaznaczył. - Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Wszystkie moje operacje, te wychodzące i te przychodzące, są realizowane przez klientów, a oni ciągle zmieniają terminy wysyłek. A w ciągu ostatnich kilku tygodni także dostawców towarów. Możecie zdzierać silniki kilka kolejnych lat i nie dotrzecie ani trochę bliżej do przygotowawego lorda.

- Moglibyśmy zabrać twoje komputery i przekonać się o tym sami - warknęła Reen, wyraźnie sfrustrowana.

- Owszem, moglibyście - zgodził się Bosph - ale nie raziłbym wam tego robić. - Strzelił palcami i na balkonach pojawił się oddział czarno ubranych najemników z karabinami blasterowymi wycelowanymi w gości. - Zjawili się wczoraj - poinformował ich Morga Bunna. - Wynajęto ich tym samym systemem, którym docierają do mnie wspomniane wcześniej towary. Dostali polecenie przybycia i dostarczenia mi wszelkiej pomocy, jaka

będzie potrzebna. Oczywiście, przyjąłem ich, tak samo jak teraz przyjmuję was. Tutaj, w głębi przestrzeni kosmicznej, czuję się bardzo samotny i doceniam każde towarzystwo.

Mander ściągnął brwi i spojrzał na Morgę Bunnę.

- Sądzę, że powinieneś ich odwołać, a potem porozmawiać ze mną o swoich interesach z przyprawowym lordem. - Co dziwne, w jego sugestii nie było nawet śladu wpływu Mocy.

- Jest was tylko troje - zadrwił Morga Bunna. - Przewyższamy was pod względem liczebności. Proszę, żebyście wrócili na swój statek, zanim ci tutaj zdenerwują się i otworzą ogień.

- Nie dostaliśmy tego, po co tu przylecieliśmy - powiedział Mander. Jego dłoń powędrowała do rękojeści miecza świetlnego, ale zanim dobył broni, spojrzał pytająco na Reen. Pantoranka pokręciła głową, a on potwierdził skinieniem.

- Przykro mi, ale powinniście już pójść - nalegał grzecznie, ale stanowczo Bosph. - To za dużo dla waszej trójki.

- Wiemy - zapewnił go Jedi. - I właśnie dlatego przywieźliśmy ze sobą posiłki.

W tej samej chwili dał się słyszeć huk i księżycem dosłownie zatrzęsło. Morga podniósł wzrok i zobaczył wiszącą wysoko nad nimi sylwetkę statku WSW, „Śmiałego”, niczym młot gotowy w każdej chwili opaść. Wokół niego roilo się od myśliwców typu IRD; dało się też dostrzec kilka promów, opuszczających pokłady hangarowe i szykujących się do lądowania na księżycu.

Najemnicy rozejrzeli się dookoła w panice i Morga przez chwilę obawiał się, że spróbują strzelać do statków przez przejrzystą kopułę jego kwater. Ich broń pewnie nie byłaby w stanie skruszyć zbrojonej transpastali, ale nie miał złudzeń: turbolansery statków nie miałyby z tym najmniejszego problemu. Wydał najemnikom rozkaz opuszczenia broni; niechętnie, ale posłuchali.

- Macie nade mną przewagę - przyznał. - Ale, tak jak wspomniałem, nie posiadam takich informacji na temat przyprawowego lorda, które byłyby dla was przydatne. Ten, którego szukacie, rozmawia tylko z wybranymi, o ile mi wiadomo, a

Plaga

towar, który tu składa, pochodzi z wielu różnych źródeł. Obawiam się, że wasz trop urywa się w tym miejscu.

- A może i nie - powiedziała z namysłem Reen. - Czy mógłbyś nam powiedzieć, gdzie możemy znaleźć przywódcę klanu Bomu?

- Ach - mruknął Bosph, popatrując na zawieszony nad jego domostwem, górujący nad księżycem statek WSW. - Tu chyba mógłbym wam pomóc...

- Bosph mówi prawdę - powiedziała Angela Krin. - Sprawdziliśmy krok po kroku jego dane i rzeczywiście większość interesów prowadzi za pośrednictwem klientów. Nie ma żadnych informacji na temat tego, jakie statki dostarczają towar ani kto płaci rachunki. Są tylko dowody przyjęć i odbiorów ładunków.

Ich czwórka siedziała znów w biurze pani komandor. Angela Krin aktywowała kilka kontrolek na biurku i w powietrzu nad blatem zamajaczyła seria holograficznych obrazów przedstawiających biżuterię, broń, a nawet mały statek.

- Mimo to udało nam się zidentyfikować parę przedmiotów należących do obywateli WSW.

- Chyba macie prawo zażądać ich zwrotu i dostarczyć je do prawowitych właścicieli? - spytał Mander Zuma. - Resztę powinniście mu jednak zostawić. W końcu był z nami szczery.

- Rzeczywiście, kryształowo uczciwy - prychnęła Angela Krin z przekąsem. - Ale, owszem, masz rację. Jesteśmy daleko poza terytorium naszych wpływów i gdybyśmy zrobili z tego aferę, moi przełożeni mogliby zacząć zanadto interesować się całą sprawą. Tak czy inaczej, kiedy rozmawialiście z Bosphem, otrzymałam pewną interesującą wiadomość. Zobaczcie sami.

Aktywowała kilka nowych ikonki i nad biurkiem wyświetliła się potężna postać Miki Anjiliaca.

- Ród Anjiliaków przesyła pozdrowienia komandor porucznik Angeli Krin i żywi nadzieję, że jest pani w kontakcie z Manderem Zumą i jego towarzyszami - powiedział drobny Hutt. - Nasz klan zbiera siły po śmierci mojego ojca i brata. Wiele

jeszcze jest do zrobienia. Wciąż nie możemy odnaleźć Vago i obawiam się najgorszego... jednak jeden z naszych klientów trafił w kosmoporcie na tego oto droida. - Mika odsunął się trochę na bok, a jego miejsce na wizji zajął zielony H-3PO. Nawet pomimo szumów i śnieżenia zniekształcającego obraz nie mogło być wątpliwości, że patrzą na jednego z robotów należących do Vago.

- To bardzo ważne - stwierdził droid. - Bardzo ważne, bardzo ważne, bardzo, bardzo ważne. Muszę wracać.

- Kiedy go znaleźliśmy, był mocno uszkodzony, a większość jego pamięci została wyczyszczona - poinformował Mika, kiedy jedna z jego Twi'lekanek odprowadziła droida na bok. - Jednak z tego, czego udało nam się dowiedzieć, wynika, że Vago spotyka się z przywódczynią klanu Bomu. Sam nie mogę się udać na spotkanie z nimi, ale pomyślałem, że ta wiadomość was zainteresuje. Mam nadzieję, że to pomoże, pani komandor Krin - zakończył swoją wiadomość - i chciałbym wam życzyć powodzenia. - Z tymi słowy się rozłączył.

- Przysłał nam współrzędne miejsca, w którym znaleziono droida - dodała pani komandor. - Wszystko wskazuje na to, że Vago jest obecnie na...

- Dennogrze - dopowiedziała Reen. - Vago jest na Dennogrze.

Angela Krin urwała i otworzyła usta ze zdziwienia, ale po chwili opamiętała się, skrzywiła lekko i skinęła głową.

- Jak, u... - zaczęła.

- Morga Bunna - wszedł jej w słowo Mander. - Nie udało nam się trafić do przyprawowego lorda, ale Reen przytomnie zapytała o kogoś, kto może wiedzieć, gdzie go szukać.

- A więc mamy dwa tropy prowadzące na Dennogrę - podsumował Eddey. - Przypadek? Pułapka?

- Niewykluczone - przyznał Mander. - Pytanie brzmi: kto mógłby chcieć nas w nią zwabić?

- Droid został odesłany do Miki - zauważyła Angela Krin. - Czyżby to była próba zwabienia go do jaskini smoka krayt?

Plaga

Mander skubnął z namysłem podbródek.

- Nie wiem. Ale znam sposób, żeby to sprawdzić.

Reen skinęła głową i wstała.

- Bądźmy w kontakcie - zarządziła Angela Krin. - Muszę oddelegować „Śmiałego” z tej... nadprogramowej misji i wrócić, żeby ugłaskać nastroszone piórka różnych szych z WSW. Zwrócenie kilku zaginionych przesyłek w’ znacznym stopniu mi to ułatwi.

Eddey także wstał.

- Jeszcze jedno, pani komandor. Czy mógłbym ponownie zobaczyć analizy cząsteczek Nawałnicy i plagi z Endregaada?

Krin przesunęła palcem po biurku i nad blatem zawisły dwa obrazy.

- Proszę bardzo. Wciąż sprawdzamy białe karty, ale jeszcze nie wpadliśmy na żaden istotny trop.

- Jasne - powiedział Eddey. - To, czego szukam, jest tu. - Wskazał jeden z ciągów cząsteczek w obrazie zarazy. - Czy możemy porównać to z podobnymi łańcuchami i sprawdzić, skąd pochodzą?

- Poproszę moich techników laboratoryjnych, żeby nad tym popracowali - obiecała Angela Krin. - To nie powinno być bardzo trudne.

- Trafieś na coś? - spytał Eddeya Mander.

- To tylko przeczucie - odparł Bothanin, wzruszając ramionami. - A tymczasem... w drogę. Mamy randkę na Dennogrze.

ROZDZIAŁ 16. RODIAŃSKA MATRIARCHINI

- Cały problem z waszym ludem - powiedziała w huttyjskim Hedu, matriarchini klanu Bomu - polega na tym, że uważacie Huttów za bogów.

Koax aż się zjeżyła, ale nie dała nic po sobie poznać. Zamiast tego zapytała:

- Mówiąc „nasz lud”, masz na myśli...?

- Klatooinian, Vodran i inne pomioty Niktów - zaczęła wy-

Plaga

liczać matriarchini. - Wszystkie te wasze rasy, które poprzysięgły wierność Huttom.

Były w głównym pomieszczeniu kompleksu majątku na Dennogrze, na przedmieściach miasta Zio Snaffkin. Sama metropolia była w zasadzie bagniskiem, punktowanym przez wapienne formacje zawłaszczone przez co bardziej wpływowych gangsterów, piratów i inne szumowiny. Posiadłość klanu Bomu nie różniła się od większości jej podobnych w promieniu pięciu kilometrów.

Główną salę zajmowało przede wszystkim podwyższenie, na którym ustawiono coś w rodzaju tronu, zajmowanego teraz przez zasuszoną rodiańską staruchę, odpowiedzialną za pchnięcie większości członków jej klanu w szpony przyprawowego lorda... a także za śmierć swoich pobratymców, wysłanych w bezsensownej pogoni za zemstą. Za tronem stała czwórka jej klanowych dzieci z karabinami blasterowymi w pogotowiu; Koax słyszała, jak po obejściu krzają się inni Rodianie.

- Z całym należnym szacunkiem - powiedziała ostrożnie Koax - ale wasi Rodianie także służą Huttom.

- Ale z godniejszych powodów! - zasyczała matriarchini. - Służymy dla pieniędzy, nie dlatego, że łazimy za nimi krok w krok jak oswojone mrokowilki!

- I dla zemsty - dodała Koax cicho.

- Zemsta! - huknęła Rodianka, zwijając z zachwytem trąbkę.
- Jasne jak kriffolona franca!

Koax przyznała w myśli rację przyprawowemu lordowi - Bomu byli niczym ładunki wybuchowe i tylko czekali na iskrę, która roznieci ich ogień. Pozostawało tylko skierować go w odpowiednią stronę. Kiedyś zastanawiała się, czy matriarchini Hedu sama nie używa Nawałnicy. Teraz, kiedy była z nią sam na sam, widziała wyraźnie, że stara Rodianka już dawno padła ofiarą innego narkotyku, jakim była władza.

Nie dała się zbić z tropu patosowi starowiny. Wyprostowała się i zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem, błyskając groźnie czerwonym klejnotem wprawionym w pusty oczodół.

Plaga

- *Ma Lorda* obawia się o twoje zdrowie i bezpieczeństwo twojego klanu. *Ma Lorda* chce, żebyś wiedziała, że w razie potrzeby możesz śmiało zwrócić się do niego z prośbą o ochronę. *Ma Lorda* żąda, żebyście wycofali się, przegrupowali, zebrali siły i wyszli z kręgu światła, które rzuca sprawa Jeedai.

- *Ma Lorda!* - prychnęła z rozbawieniem Hedu. - Dlaczego przyprawowy lord po prostu nie założy ci obrozy i nie przypnie do niej smyczy? Jesteśmy Rodianami, członkami dumnego klanu! My nie podkulamy pod siebie ogonów i nie uciekamy! Nie kryjemy się! Jeedai szkodzi naszym interesom, interesom, które prowadzimy dla twojego przyprawowego lorda, więc nie puścimy mu tego płazem. Uderzymy w niego z całą mocą...

- Wasza historia sugeruje co innego - zauważyła spokojnie Klatooinianka. - Zostałam do was przysłana, żeby zaoferować wam ochronę przyprawowego lorda. Nie polecono mi wyklócać się z wami, jeśli będziecie na tyle lekkomyślni, żeby nie skorzystać z naszej propozycji.

- Powiedz swojemu przyprawowemu lordowi - wycodziła rodiańska starucha - że jest nas wielu i jesteśmy dobrze chronieni. Nigdy nas nie znajdą. To my znajdziemy Jeedai i wyrzemy swoją zemstę!

W oddali rozległo się echo wybuchu i zyrandole na suficie sali zakotływały się lekko. Strażnicy pełniący wartę za plecami matriarchini popatrzyli po sobie z niepokojem.

- Co to było? - warknęła Hedu.

- Pycha - wymamrotała pod nosem Koax. - Jeśli odrzucasz łaskę bogów, musisz być przygotowana, że cię za to ukarzą.

W oddali dało się słyszeć odgłos następnej eksplozji, a potem tupot nóg, okrzyki w huttyjskim i staccato blasterowej kanonady.

Hedu wstała niepewnie ze swojego tronu i dała znak zgromadzonym za nią dzieciom. Na jej sygnał puścili się biegiem w stronę podwójnych drzwi na drugim końcu sali. Koax postąpiła w stronę podium matriarchini.

- Macie tu drogę ewakuacyjną? - spytała, ale zanim do-

Plaga

kończyła zdanie, drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wdarła się grupa Rodian, ostrzeliwujących się zaciekle. Odpowiadały im strzały wystrzeliwane z równym zapalem.

Nim minęło kilka sekund, do komnaty wpadł rozpędzony napastnik; teraz było jasne, że większość kierowanych w stronę Rodian strzałów to były tylko rykoszety, odbijane przez Jeedai. Za nim wkroczyła do środka dwójka jego ostrzeliwujących się towarzyszy.

- Brońcie mnie! - zakwiczła matriarchini; pełniący wartę u jej boku strażnik honorowy przyklęknął na jedno kolano i odpowiedział atakującym ogniem. Chociaż wydawało się to niemożliwe, Jeedai, wirujący niczym rozszalałe tornado, przyspieszył jeszcze bardziej, odbijając jego strzały z zabójczą skutecznością. Jeden po drugim Rodianie zaczęli padać pod ostrzałem jak muchy, torując napastnikom drogę do podium.

Matriarchini odwróciła się pędem do Koax i powtórzyła spanikowanym głosem:

- Chroń mnie! Przyjmuję propozycję przyprawowego lorda! Obie wiemy zbyt dużo, żeby dać się schwytać! Chroń mnie!

„Chroń mnie”... o to samo poprosił Koax przyprawowy lord, kiedy spotkali się pierwszy raz. Klatooinianka wiedziała, co ma robić. Wyciągnęła z kabury własny blaster, wycelowała go w głowę rodiańskiej matriarchini i nacisnęła spust.

Odgłos wystrzału został zagłuszony przez kanonadę z blasterów atakujących i zaden z Rodian, skupionych teraz na Jedi i jego towarzyszach, nie zauważył, jak starucha pada bez życia na podłogę. Koax obróciła się na pięcie i puściła biegiem w stronę drzwi na przeciwległej ścianie, mając nadzieję, że uda jej się dzięki nim wydostać na wolność.

- Ucieka! - krzyknął za nią Bothanin.

- Dorwę ją! - odkrzyknęła Pantoranka.

Jedi także coś krzyknął, ale jego odpowiedź utonęła w hałasie walki. Pantoranka przemknęła pod ścianą, unikając ognia z blasterów Rodian, i rzuciła się w pogoń za Klatooinianką. Tymczasem Jedi zdołał się przedrzeć do szeregów ostrzeliwujących

się Rodian, którzy nagle mieli jeden problem na głowach więcej.

Koax biegła korytarzem co sił w nogach, mając nadzieję, że wkrótce dotrze do drzwi prowadzących na zewnętrzny dziedzińiec. Wiedziała, że potem czeka ją jeszcze przeprawa przez mur, ale na otwartej przestrzeni będzie miała większą swobodę ruchów i większe szanse w walce. Nigdzie nie widziała wyjścia, więc weszła w ostatnie drzwi po lewej stronie.

Znalazła się w gabinecie, którego ściany były obwieszane klanowymi trofeami. Pod ścianami stały niskie sofy i fotele, na środku mały stolik do holoszachów, zastawiony drobiazgami. Nie było tu okien, tylko świetlik w suficie.

Koax zaklęła pod nosem i wróciła na korytarz, ale seria strzałów z blastera Pantoranki zmusiła ją do szybkiego powrotu do pokoju.

Rozejrzała się uważnie jeszcze raz. Niestety, podczas jej krótkiej nieobecności nie zmaterializowało się tu cudownie żadne dodatkowe wyjście. Kopnęła jedną z otoman, wykorzystując ją jako prowizoryczną barykadę i zaczęła na Pantorankę. Wkrótce w wejściu pojawił się cień i Koax strzeliła do niego, ale dziewczyna zanurkowała błyskawicznie za osłonę ściany.

Po chwili ciszy rozległ się jej głos:

- Równie dobrze możesz się poddać już teraz. Powiedz nam, co wiesz. Nie utrudniaj tego sobie i nam...

Koax nie spuszczała wejścia z oczu, ale cień się nie ruszał. Bo i po co? Klatooinianka była w pułapce. Wkrótce zjawi się Jedi i wyciągnie z jej mózgu wszystkie tajemnice.

„Chroń mnie”, poprosił ją przyprawowy lord.

Klatooinianka Koax odpięła od pasa jeden z plemiennych sztyletów, przycisnęła czubek ostrza do brzucha i wzięła głęboki oddech.

- To już ostatni? - spytał Eddey.

Mander Zuma rozejrzył się po poboju i ciałach wojowników z klanu Bomu.

Plaga

- Tak sędę. Nigdzie nie ma jednak śladu po Vago...

- Jakoś mnie to nie dziwi.

- Gdzie Reen?

Eddey skinął głową w stronę drzwi na tyłach pokoju.

- Pobiegła za Klatooinianką... tą, która zastrzeliła matriarchinię.

Mander podbiegł do drzwi, ale w tej samej chwili stanęła w nich Reen. Jej niebieska skóra była dziwnie blada.

- Co się stało? - spytał Mander.

- Zabiła się - powiedziała nieprzytomnie Reen. - Zagoniłam ją do pokoju bez wyjścia, a ona zamiast walczyć... - Pokręciła głową.

Mander spojrzała na Eddeya, ale Bothanin wzruszył tylko ramionami.

- Zabierzcie wszystkie tablety i datasześciany, jakie znajdziecie, ale potem musimy się stąd zabierać. Dennogra może i jest gniazdem zmij, ale wkrótce pewnie ktoś zacznie się interesować tym zamieszaniami, którego tu narobiliśmy.

Przez większą część drogi do punktu skoku Reen milczała. Oddała stery Eddeyowi, a sama zaszyła się w kambuzie i zajęła przeglądaniem zabranych z siedziby Bomu datapadów, dataczipów, sześcianów i kryształów.

- Jak idzie? - zapytał ją Mander.

Reen skrzywiła się tylko i machnęła ręką, wskazując stos nośników danych.

- Dowiemy się może czegoś więcej, kiedy zabezpieczeniami części plików zajmą się slicerzy, ale mamy tu sporo informacji: dostawy, klientów, kontakty, łapówki... wszystko, co dotyczy handlu Nawałnicą, którym zajmowali się Bomu. - Westchnęła.

- Poza...?

- Poza danymi na temat tego, skąd pochodzi - mruknęła Reen. - I poza informacjami na temat przyprawowego lorda.

- Nie wszystkie odpowiedzi da się wyczytać z dataczipów - ocenił Mander.

Plaga

- Wiem - przytaknęła. - Przyglądam się temu wszystkiemu i pytam sama siebie, czy to dosyć?

- Dosyć? - Jedi podniósł pytająco brew.

- Toro - powiedziała Reen i Jedi skinął głową. - Myślałby kto, że wystarczy zakończyć jego misję. Sądziłam, że zadowoli mnie zemsta na tych, którzy wciągnęli go w to całe przyprawowe bagno.

- A mimo to jesteśmy tutaj - dopowiedział cicho Mander.

Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę; ciszę mącił tylko ledwie słyszalny, wibrujący szum silników.

- Nadal jestem wściekła na Tora - powiedziała wreszcie Reen.

- Wściekła? - spytał.

- Zła - poprawiła się. - Uważam, że zrobił coś bezgranicznie głupiego i okropnego, i chciałabym, żeby był tutaj teraz, żebym mogła na niego nakrzyczeć. Zastanawiam się, czy kiedyś mi to przejdzie.

- Wątpię - zauważył Mander i zamilkł na chwilę. - Chciałbym go zapytać dlaczego - dodał.

- Na to też nie znajdziesz odpowiedzi na dataczipach. - Reen pokręciła smutno głową. - Co teraz?

- Przekażemy te informacje Angeli Krin - odparł Jedi. - Ona prześle je dalej lokalnym władzom. A my nadal będziemy szukać winnego.

Pantoranka westchnęła.

- Cóż, każda dziewczyna powinna mieć jakieś hobby...

W tej samej chwili zapiszczał interkom i z głośników dobiegł głos Eddeya:

- Mamy wiadomość z pokładu „Śmiałego”. Pomyślałem, że chcecie jej wysłuchać.

- O wilku mowa - mruknęła Reen, podnosząc się od stołu. Razem z Manderem wrócili do sterowni.

Kiedy do niej dotarli, powitał ich głos komandora Angeli Krin:

- ...gratuluje udanej misji. Pozostali przy życiu członkowie

Plaga

klanu Bomu najprawdopodobniej przegrupują siły i wybiorą nowego przywódcę... miejmy nadzieję, że tym razem nieco mniej opętanego myślą o zemście. Żałuję, że mnie z wami nie było.

- Ani śladu Vago - powiedział Mander.

- A więc to była pułapka - stwierdziła pani oficer.

- Wątpię. Nie spodziewali się nas. Nasze przybycie zaskoczyło zarówno Klatooiniankę, jak i rodiańską matriarchinię.

- Sądzę - wtrącił Eddey - że nasz przyprawowy lord specjalnie dopuścił do przecieku informacji, licząc na to, że powiążemy luźne wątki.

Mander skinął głową. To miało sens.

Angela Krin także pokiwała głową i podjęła, zwracając się do Eddeya:

- Sprawdziłam te łańcuchy chemiczne, o które pytałeś. Okazały się bardzo ciekawe.

- Ciekawe? Dlaczego? - spytał Mander.

- To dziwna pętla organiczna. Tego typu anomalia występują w strefach charakteryzujących się wahaniem w zakresie wysokiej grawitacji. Przy promieniowaniu czarnych dziur.

Mander rozważał chwilę jej słowa w myśli, a potem powiedział:

- Zgaduję, że w tym regionie przestrzeni nie ma zbyt wielu miejsc będących równocześnie w pobliżu czarnej dziury i białego karła...

- Nie - przyznała Angela Krin. - Zaczniemy od tego, że mało której planecie udaje się przetrwać, kiedy jej gwiazda zapada się w siebie i staje się czarną dziurą.

- A więc szukamy planety, która przetrwała zniszczenie swojej gwiazdy, na której panuje promieniowanie i która znajduje się w pobliżu czarnej dziury - podsumował Mander.

- Varl - powiedziała Reen, do tej pory milcząca.

- Varl? - zdziwił się Mander. - Ojczyzna Huttów?

- Pamiętasz tę historię, którą ci opowiedziałam? - spytała go Reen. - Evonę pochłonął mrok, a Ardos wybuchł z wściekłości. Ardos to nasz biały karzeł. Varl jest na orbicie Ardosy.

Plaga

- Ale Varl to martwa planeta - zaprotestował Mander. - A przynajmniej tak wynika z zapisów w Archiwach Jedi.

- Może nie jest tak martwy, jak się wydaje - mruknął Eddey.

- Nie sprawdziliście Varla? - spytał Mander Angelę Krin. - Nawet gdybyśmy nie wiedzieli o czarnej dziurze, to przecież jest to planeta w samym sercu Przestrzeni Huttów mająca białego karła.

Wizerunek Angeli Krin zamarł na chwilę, ale Mander pomyślał, że równie dobrze mogło to być chwilowe zawieszenie systemu. Po mniej niż sekundzie pani komandor pochyliła się i wcisnęła kilka przycisków na niewidocznym dla nich panelu.

- Powinniśmy byli... O, jest. Był na naszej liście, ale żeby go sprawdzić, musielibyśmy mieć pozwolenie Rady Starszych Huttów. To nadal ich planeta, nawet jeśli już jej nie zamieszkują. Powinam była tego dopilnować. - Nawet pomimo zakłóceń obrazu widać było, że pani komandor jest zakłopotana. - Dziwne.

- Czy monitorujecie ruch powietrzny w układzie Ardos?

- Tak - potwierdziła Angela Krin i wcisnęła jeszcze kilka niewidzialnych guzików. - Oczywiście z Varla nic nie odlatuje, mamy jednak coś ciekawego: kilka niezależnych listów przewozowych ze statków, które przewoziły przyprawę. Przelatywały przez układ Ardos, jednak kiedy docierały do punktów docelowych, ładunek nie był dostarczany. Wlatywały do układu z pełnymi ładowniami, a wylatywały - z pustymi.

- A ja idę o zakład, że te kursy zaczęły się wkrótce po wybuchu plagi na Endregaadzie - dodał Eddey. - Po katastrofie statku Skydove.

- I prowadziły przez Spiralę Indrexu - dodał jeszcze Mander. - Której koordynaty należały do Anjiliaców. Możliwe, że są też inni ich odbiorcy, których nie chcą ujawnić.

- Vago - rzucił Eddey. - To Vago miała współrzędne i mogła dopilnować znikania statków z planów kursów.

- Tymczasem ona także zniknęła - zauważył Mander. - Może jest na Varlu. - Spojrzał na panią komandor. - Masz jakiś plan?

- Tak mi się wydaje - przyznała Angela Krin i Mander

mógłby przysiąc, że widzi na jej twarzy ślad ponurego uśmiechu. - Moglibyśmy wysłać „Śmiałego” do Przestrzeni Huttów bez wywoływania jakichś poważniejszych incydentów dyplomatycznych, ale są też inne wyjścia. Spotkajmy się w tym punkcie... sądzę, że damy radę wyprawić was na Varla.

ROZDZIAŁ 17. PODRÓŻ NA VARLA

„Trasa na Barabi” wyskoczyła z nadprzestrzeni nad Rhi-lithanem, kończąc w tym punkcie skok zbiorczy, podczas którego odebrała od grona dostawców ładunki przyprawy, mające trafić na martwą planetę. Stacjonujące w pobliżu statki obronne, strzegące ostatecznego celu jej podróży, były uprzedzone o jej przybyciu i wiedziały, że mają ją przepuścić - żadnych blokad, które trzeba byłoby przełamywać, statków strażniczych, które trzeba by omijać, agentów służ celnych i niewygodnych pytań.

Zamiast tego kapitan „Trasy na Barabi” trafił na „Śmiałego” i jego bliźniaka, „Czujnego” - dwa pancerniki WSW, odsunięte od swoich zwykłych zajęć i czekające cierpliwie na swoją zdobycz. Kilka chwil po wyjściu z nadprzestrzeni jego czujniki zostały zablokowane, a z głośników rozległ się głos pani komandor Angeli Krin. Zanim załoga „Trasy na Barabi” zdążyła choćby pomyśleć o wyrzuceniu ładunku, wokół niej zaroilo się od myśliwców IRD.

„Trasa” została przez nie odeskortowana do potężnego hangaru i posadzona obok TL-1200 Suwanteka, wyremontowanego egzemplarza w całkiem niezłym stanie, z kilkoma śladami trafień na kadłubie. Potem służbisty aż do przesady porucznik WSW poinformował załogę statku, że jest on rekwirowany przez WSW i że zostaną na pokładzie „Śmiałego”, dopóki WSW będzie potrzebowało ich jednostki. Nie, nie mogą odlecieć, i, tak, WSW wystawi im później fakturę.

Reen spędziła większość następnego dnia na skanowaniu „Trasy na Barabi” w poszukiwaniu urządzeń podsłuchowych i

namierzających. Znalazła kilka tych ostatnich - różne modele, w tym kilka niedziałających. Były to pamiątki po poprzednich właścicielach statku i dawnych zleceniach. Trafiła też na niewielkiego bota autodestrukcyjnego, kręcącego się wokół przewodów paliwowych. Dotknął jednego z nagich kabli i usmażył się - jego pochodzenie i niewypełniona misja miały na zawsze pozostać tajemnicą. W sercu awioniki znalazła zaś transponder, który dezaktywowała, nie ingerując w koordynaty następnych skoków, obliczonych na dotarcie do Varla.

W końcu „Trasa na Barabi” wystartowała z pokładu hangarowego „Śmiałego” i wróciła na swój pierwotny kurs. Za sterami statku zasiadała Reen - z Angelą Krin, teraz znów w cywilu, jako drugim pilotem. Za nimi siedział Mander, Eddey zaś leciał w pewnej odległości za „Trasą” na pokładzie „Nowej Ambicji”, na wypadek gdyby okazało się, że potrzebują dodatkowego wsparcia.

Kiedy przed ostatnim skokiem Reen upewniała się, że wszystko jest w porządku, Mander przyglądał się surowej twarzy Angeli. Wiedział, że mogła wysłać ich na tę misję samych albo dać im do ochrony Lockerbee’ego. Zastanawiał się czy ona też nie złapała przypadkiem bakcyła przygody... Cóż, ściganie przemytników Nawałnicy było z pewnością bardziej emocjonującym zajęciem niż pełnienie służby na statku zawieszonym nad planetą.

Kiedy weszli w nadprzestrzeń, statkiem zatrzęsło lekko i Mander złapał się poręczy krzesła, żeby nie stracić równowagi; gwiazdy w iluminatorach zamieniły się w świetliste smugi, a Reen zaklęła pod nosem i wyregulowała kilka kontrolki.

- Coś nie tak? - zaniepokoiła się Angela Krin. Mówiła spokojnie, ale Mander widział, że sama kurczowo zaciska dłonie na instrumentach - tak mocno, że aż zbieleły jej knykcie.

Reen pokręciła głową.

- Nie, to nic takiego. Po prostu ten statek to kupa złomu, która przeżyła już zbyt wiele skoków. Kiedy robiłam przegląd, zauważyłam, że motywatory zakrzywienia przestrzeni są odro-

Plaga

binę zjechane, ale pomogłaby im tylko wymiana. Będzie trzęsło. - Wstała. - Pani komandor, proszę spróbować utrzymać nas w jakiej takiej stabilności. Pójdę sprawdzić rdzenie zasilające. - Nie czekając na potwierdzenie Angeli Krin, wyszła, kierując się do maszynowni. Angela zajęła jej miejsce za sterami i w milczeniu wpatrywała się w mknące za iluminatorami świetlne smugi.

- Wiesz, postąpiłeś słusznie - powiedziała jakiś czas później do Mander.

- Kiedy? - spytał ją. - Wtedy, kiedy do niej strzeliłem?

- Wtedy też - przyznała. - I teraz, kiedy zmanipulowałeś ją, żeby leciała z nami. Ona i ten jej Bothanin są bardzo pomocni.

- Dlaczego zakładasz, że ją zmanipulowałem? - spytał Mander.

- Czy Jedi z tego nie słyną? - Angela uśmiechnęła się do niego szeroko. - Za każdym razem, kiedy rozmawiamy, po wszystkim zachodzę w głowę, czy przypadkiem nie użyłeś na mnie sztuczki z wpływaniem na umysł.

- I co, użyłem?

- Jeśli tak, to o tym nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - A więc albo nie użyłeś, albo jesteś w tym bardzo dobry.

- Najlepsza broń to taka, której nigdy nie trzeba używać - powiedział Mander. - Ale nie, nie zmanipulowałem Reen. Powiedziałem jej po prostu prawdę. Chociaż wydaje mi się, że minie jeszcze trochę czasu, zanim w pełni mi zaufa.

- Ważne, że ufa ci w wystarczającym stopniu.

Statek zadygotał i dotychczasowe trzęsienie zmieniło się w ledwie wyczuwalne drżenie. W drzwiach znów pojawiła się Reen, ale gestem dała znak pani komandor, żeby została za sterami.

- Luźna złączka przeplotu - wyjaśniła. - Nic poważnego. Jak idzie?

- Wszystko gra - zapewniła ją Angela.

Ostatni skok doprowadził ich w miejsce, które na pierwszy rzut oka wyglądało jak głęboka przestrzeń w bezgwiazdnej okolicy. W oddali jedna z gwiazd migotała jaśniej niż reszta - Ardos, słońce Varla.

Plaga

- Z odczytów czujników wynika - mruknęła Angela Krin - że mamy towarzystwo. Tyle że bezwładne... czyżby asteroidy?

- To szczątki innych planet układu - wyjaśniła Reen. - Dzieci Ardosa, zniszczone podczas burzy. - Wcisnęła guzik na konsoli. - Eddey, jesteś z nami?

W głośnikach chwilę zarzęziło, a potem rozległ się głos Bothanina:

- Właśnie wyskoczyłem z nadprzestrzeni. Trochę tutaj tłoczno. Znajdę jakiś miły kawałek skały i przycupnę sobie za nim, ale w razie gdybyście musieli szybko się stąd zmywać, będę w pobliżu.

Mander zerknął na monitory - w pobliżu majaczyła ciemna bryła „Nowej Ambicji”. Kiedy się jej przyglądał, trzy silniki manewrowe zapłonęły i statek zniknął w mroku.

- Zostawimy tutaj Eddeya - odpowiedziała Reen na wiszące w powietrzu, niewypowiedziane pytanie. - Na wypadek gdyby okazało się, że Varl ma swoich stróżów.

- Dobry pomysł - poparł ją Mander. - Chociaż według danych z Archiwów Varl jest wymarły, wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby Starsi Huttów zostawili swoją prawdziwą ojczyznę bez opieki.

Przez niemal godzinę opadali w stronę rozjarzonego, białego punktu, który niegdyś był słońcem planety. Wreszcie ich komunikator pokładowy obudził się do życia i rozbrzmiał gromkim huttyjskim. Po ich lewej stronie pojawił się jakiś kształt - w bladym świetle karła Mander rozpoznał zwalistą sylwetkę statku patrolowego. Nie wyglądał imponująco, ale był z pewnością solidnie uzbrojony.

- Żądają właściwych kodów podejścia - przetłumaczył Mander.

- No to jedziemy - mruknęła Reen, manipulując pokrętkiem transpondera.

- Dziwne... Hutt tak daleko? - rzuciła Angela Krin.

- Mówi zbyt wyraźnie jak na Hutta - powiedział Mander. - Brakuje syczących i mlaskających dźwięków, typowych dla nich.

Plaga

To może być przedstawiciel którejś ze służących im ras albo nawet droid.

- Droid albo istota odpowiadająca przed Huttem - dodała Reen, wyczuwalnie zdenerwowana.

Czekali długą chwilę na potwierdzenie kodu. Mander zauważył, że Angela przesunęła się do konsoli uzbrojenia, licząc na to, że gdyby statek postanowił ich ostrzelać, będą mogli od razu odpowiedzieć ogniem.

Komunikator wypluł pojedyncze słowo, a potem obok przemknął rozmazany w smugę cień i on także zniknął w mroku.

Varl wyglądał paskudnie - jego powierzchnia była nakrapiana brązowymi plamami i poprzecinana ciemniejszymi bruzdami pasm górskich, wznoszących się wysoko w jałowej, zamglonej atmosferze. Sama ziemia - tam, gdzie było ją widać - miała kolor zgniłych liści, tu i ówdzie przełamany lśniącymi plackami jadowicie zielonego promieniowania.

- Czy tam jest bezpiecznie? - spytała Reen.

- Będziesz potrzebowała maski tlenowej - poinformowała ją Angela Krin - a potem pewnie całej serii badań. Nie mówiąc już o tym, że formy życia, które Huttowie zwykli tworzyć, są z reguły bardzo odporne i trudne. Nic dziwnego, że do unicestwienia ich planety - a i to, jak widać, nie do końca - trzeba było czegoś takiego jak gwiazda, która zapadła się w sobie.

- Nie powinniśmy tu długo zabawić - obiecał Mander.

Zeszli niżej, przedzierając się przez cienką warstwę atmosfery.

Z tej wysokości lepiej było widać skutki katastrofy - jak okiem sięgnąć, ciągnęły się szkielety wymarłych miast, świadectwo cywilizacji, która kiedyś rządziła tym i sąsiednimi światami. Wokół wznosiły się sterty zielonkawych skał - być może pozostałości po posągach przedstawiających Huttów albo ich bogów, a może po prostu skamieniałe zwały zerodowanej magmy, która przedarła się na powierzchnię podczas agonii planety. Mander zauważył obok jednego z zielonkawych pagórków coś, co sprawiało wrażenie kępy krzewów, a w pobliżu wściekłozielonej sa-

Plaga

dzawki poruszyło się coś dużego, bladego i okropnie powolnego.

A więc ten świat nie był do końca martwy, chociaż niewiele mu do tego brakowało, uznał.

Kiedy zeszli jeszcze niżej, transponder zapiszczał.

- Cel przed nami - zameldowała Angela Krin.

Ich oczom ukazała się formacja przypominająca krater, chociaż trudno było powiedzieć, czy powstały w wyniku eksplozji naziemnej, czy od uderzenia asteroidy. Jego ściany wznosiły się stromo z wyjątkiem wschodniego stoku, który się zawalił pod własnym ciężarem. W sercu zagłębienia lśniła zielonkawa tafla jeziora, rzucając jadowity blask na zbocza, a na jego brzegach wznosił się długi budynek, zakończony z jednej strony szpicem, z drugiej zwalistą bryłą. W miejscach, w których spękana ziemia utworzyła głębokie bruzdy, wypełnione spływającymi do jeziora szlamowatymi strumykami, jego ściany podpierały ciężkie wsporniki.

- Chyba znaleźliśmy naszą fabrykę - mruknęła Angela.

Mander zamrugał gwałtownie i pokręcił głową, kiedy dotarło do niego, na co patrzą.

- To statek - stwierdził. - Wylądowali tu i przekształcili go w zakład produkcyjny.

- To by miało sens - orzekła pani komandor. - Komu chciałoby się budować w tym miejscu taki moloch?

Reen ostrożnie sprowadziła statek nad oświetloną platformę lądowniczą - samotną plamę ciepłego, żółtego światła.

- Wygląda na to, że wkrótce spodziewają się też innych gości - zauważyła.

Rzeczywiście - ściany statku fabryki zostały udrapowane ciężką siatką maskującą, dzięki której wtapiał się w ciemne skały krateru, wokół lądowiska rozstawiono zaś duże, kuliste działa jonowe. Dało się też dostrzec stanowiska przygotowane najwyraźniej do zamontowania kolejnych.

- Jeszcze z miesiąc i wykrycie tej placówki graniczyłoby z cudem - oceniła Krin, przyglądając się systemowi obronnemu. - Nie mówiąc już o jej zdobyciu.

„Trasa na Barabi” osiadła na platformie, a palce Reen zatańczyły nad kontrolkami, wygaszając ostatni z dopalaczy. Aktywowała trap i otworzyła ładownię.

- Mamy towarzystwo.

Faktycznie - w stronę przewożonego przez nich ładunku posuwały się już niewielkie i zwinne droidy pełzacze.

- Co teraz? - spytała.

- Zgodnie z tym, co mówili nasi goście na pokładzie „Śmiałego”, mieli zostawić ładunek i odlecieć - powiedziała Angela Krin. - Zapłata miała wpłynąć na ich konto, przekierowana przez kilka firm krzaków. Nigdy nie spotykali nikogo innego niż droidy rozładunkowe. To standardowa procedura.

- W takim razie za chwilę ją naruszymy - stwierdziła Reen, zapinając pas z kaburą.

- Zaczekaj - powstrzymał ją Mander, przyglądając się uważnie jednemu z monitorów pokładowych.

Widać było na nim stojącego we wrotach ładowni zakładu zielonego droida protokolarnego, sprawdzającego ładunek z wykazem na trzymanym w dłoni datapadzie.

Reen zagwizdała cicho pod nosem.

- To chyba jeden z pupilków Vago. Chyba znaleźliśmy naszego przyprawowego lorda.

ROZDZIAŁ 18. W SERCU NAWAŁNICY

Cała trójka zeszła po trapie i skierowała się do wejścia do statku budynku. Ustalili między sobą, że pochód będzie otwierać Angela Krin, jako że nigdy wcześniej nie miała do czynienia osobiście ani z Vago, ani z jej sługami. Reen i Mander szli z tyłu, trzymając broń w pogotowiu, ukrytą w fałdach peleryn; kaptury naciągnęli głęboko na oczy. Cała trójka nosiła maski oddechowe i chociaż od statku dzieliło ich tylko kilka metrów, Mander złapał się na tym, że wstrzymuje oddech w obawie przed toksynami i wirusami, które mogłyby przeniknąć przez uszczelkę.

Droidy pełzacze ignorowały ich, ale 3PO nie był tak obo-

jętny.

- Jakiś problem? - zapytał ich uprzejmie.

- Chciałabym się zobaczyć z twoim szefem - powiedziała agentka WSW. Starła się wyrażać nie tyle oficjalnie, co stanowczo, ale w uszach Mandera nie brzmiało to zbyt przekonująco.

- Hm, to dziwne - stwierdził H-3PO. - Nie mam odpowiedniego protokołu dla takiej sytuacji.

- Vago - nie ustępowała Angela Krin. - Jest tutaj, prawda?

Droid wyraźnie zaskoczony przyjrzał się jej, a potem pozostałej dwójce nieoczekiwanych gości.

- Powinniście wrócić na wasz statek. - Jego palce wcisnęły kilka klawiszy na klawiaturze datapada. - Niech no sprawdzę...

Blaster Reen zmaterializował się nagle przy skroni droida i jego głowa wybuchła w fontannie iskier. Chwilę później metalowe ciało runęło na ziemię, cały czas kurczowo zaciskając palce na urządzeniu, za pośrednictwem którego zamierzał poinformować przełożonych o wizycie.

Droidy pełzacze zamarły i zwróciły w stronę Reen i reszty stożkowate głowy.

- Spory zawodowe - warknęła do nich Reen. - Wracajcie do pracy. - Mander pomyślał, że Pantoranka brzmi znacznie bardziej przekonująco niż Krin. Wszystkie co do jednego pełzacze wróciły posłusznie do przerwanych zajęć.

- I to by było tyle, jeśli chodzi o dyskrecję - westchnęła ciężko Angela Krin.

- I tak prędzej czy później dowiedzą się, że tu jesteśmy. - Reen wzruszyła ramionami. - Kupiłam nam tylko trochę czasu. - Wśliznęła się do środka, klucząc między przemykającymi tam i z powrotem droidami.

Mander Zuma przyznał jej w duchu rację, bo kiedy weszli do środka, w magazynie nie zastali żywej duszy, jeśli nie liczyć zajętych rozładunkiem droidów, przenoszących skrzynie z przyprawą. W korytarzu namierzył kilka holokamer, które wskazał Reen i Angeli. Kobiety zajęły się nimi, dezaktywując każdą celnymi strzałami z blasterów. Teraz przyprawowy lord

Plaga

wiedział już pewnie o ich obecności, ale musieli zrobić, co w ich mocy, żeby nie pozwolić mu się zaskoczyć.

Podążyli za droidami rozładunkowymi w głąb statku.

Kiedy minęli długi korytarz, dotarli do drzwi wychodzących na szeroką galerię, zawieszoną nad sercem fabryki. Centralna część uziemionego statku została pozbawiona wewnętrznych ścian i przekształcona w wielką halę produkcyjną. Po prawej stronie piętrzyły się kontenery z przyprawą, wyładowywane przez droidy z ładowni „Trasy na Barabi” i zapewne kilku innych statków, które przybyły tu przed nimi. Mieniący się całą tęczą bladych kolorów narkotyk był wykładany na długie, ruchome pasy taśmowe, dostarczające go do wielkich zbiorników, do których długimi rurami płynęła bladozielona substancja. Mander uświadomił sobie, że ciecz była tym samym płynem, który wypełniał jezioro w kraterze. Kiedy obie substancje łączyły się ze sobą, do góry wzbijały się jadowicie wyglądające opary; później zabarwione na sinofioletowy kolor szumowiny były zbierane z powierzchni kadzi sterowanymi przez droidy cedzakami. Produkt wędrował następnie pod wielkie lampy suszące, nadające mu lśniący, ciemnofioletowy odcień. Pasy transportowały gotową Nawałnicę na tyły statku, w okolice silników, gdzie była ona pewnie dzielona na mniejsze porcje i pakowana do transportu. Powietrze przesycił ostry zapach zwykłej przyprawy, przemieszany z charakterystycznym odorem Nawałnicy.

A więc narkotyk był dziełem Varla. Może chodziło tylko o ten jeden krater, ale to właśnie krew martwego świata tworzyła zabójczą przyprawę.

Gdzie jednak był właściciel fabryki? Mander zerknął w stronę turbowind, znajdujących się na odległym końcu hali. Bardzo prawdopodobne, że właśnie tam znajdował się mostek, uznał.

Wokół kadzi uwijały się jak w ukropie droidy pełzacze, zawiadując olbrzymimi cedzarkami, ładując przyprawę na pasy transportowe i nadzorując proces sprawdzania jakości gotowego produktu. Między nimi dało się dostrzec inne, większe roboty -

Plaga

potężne, metalowe bestie, niepodobne do żadnych tworów techniki, jakie Mander miał do tej pory okazję oglądać. Były dwunożne, a z ich torsów sterczały na wszystkie strony działka. Ich pancerze były pokiereszowane, a sposób chodzenia dziwnie ociężały, całkiem jakby zastanawiały się długo nad każdym kolejnym krokiem.

- Co to za dziwadła? - spytała Reen.

- Starożytne... huttańskie droidy bojowe - odpowiedział jej powoli damski głos, dobiegający z za ich pleców. Jak na komendę, odwrócili się w jego stronę, stając twarzą w twarz z Vago. Musiała tu dotrzeć jakimś ukrytym przejściem; towarzyszyły jej dwie twi'lekańskie służące świętej pamięci Popary. Nie miały już na sobie zwiewnych fatałaszków tancerek, a zamiast tego były ubrane w ciężkie, wyściełane zbroje. Jedynymi odsłoniętymi częściami ich ciał były długie głowoogony. Ich dłonie skrywały rękawice udarowe, w których trzymały ciężkie karabiny blasterowe, wycelowane w ich trójkę. Mimo to zdawały się trzymać nieco z tyłu, całkiem jakby wykorzystywały byłą asystentkę Popary jako tarczę. Może bały się, bo za każdym razem, kiedy miały do czynienia z Jedi i jego sprzymierzeńcami, ich aktualny pan ginął?

Mander dostrzegł też pokrywającą ich lekko siateczkę wybrzuszonych, pulsujących żył. A więc one także padły ofiarą Nawałnicy... co czyniło z nich istoty nieobliczalne i podwójnie niebezpieczne. Vago nie była uzbrojona.

- Porozmawiajmy najpierw... - zaproponowała, dziwnie przeciągając zgłoski. - Później będzie czas na... walkę i... śmierć.

Reen i Angela spojrzały pytająco na Mandera, który skinął głową, a wtedy one lekko obniżyły lufy blasterów. Twi'lekanki ani myślały iść w ich ślady.

Vago mówiła powoli i Mader zaczął się zastanawiać, czy ona także jest pod wpływem Nawałnicy. Jeśli tak, nie widział żadnych zewnętrznych oznak uzależnienia, jednak po chwili dotarło do niego: mówiła w basicu. Wiedziała, że Mander rozumie huttyjski, dlaczego więc zadawała sobie taki trud? I dlaczego nie

Plaga

prosiła o tłumaczenie wbitych w pancerze Twi'lekanek?

- Te... olbrzymy... znaleźliśmy w opuszczonej zbrojowni... kiedy zakładaliśmy tę fabrykę. Pochodzą z okresu... okresu... - zająknęła się i przeszła na huttyjski: - *tatammo nar shaggan*.

- Okresu, zanim zyskaliście sługi - przetłumaczył reszcie Mander. Vago miała na myśli starożytne czasy, zanim jeszcze Huttowie podbili Klatooinian, Niktów, Weequayów i inne służące im teraz rasy. Jego dłoń powędrowała odruchowo do rękojeści miecza, ale kiedy jedna z Twi'lekanek dostrzegła jego ruch, szczerknęła po huttyjsku jakiś rozkaz i z cieni ściennych wnek wystąpiło w krąg światła więcej droidów - nie niemrawych olbrzymów, takich jak te kręcące się w dole, ale smukłych robotów o dwóch ramionach - jednym zakończonym czteropalczystą dłonią, a drugim zastąpionym karabinem blasterowym. Ich sklepione stożkowato głowy były pozbawione oczu - a przynajmniej widocznych na pierwszy rzut oka fotoreceptorów, ukrytych zapewne pod odbarwionymi, opancerzonymi płytami.

- Tak - potwierdziła Vago, przechodząc znów na basie. - Te droidy nie mają swoich... typów. Nazw...? Ale służą nam dobrze.

- To już koniec, Vago - odezwał się spokojnie Mander.

- Być może... - sapnęła Huttanka. - Służyliście... potężnemu Poparzę dobrze. Może... moglibyście służyć także i... nam. Jeedai byłby w naszych szeregach... przydatny. - Ostatnie słowa wypuła niczym zatruty cukierek.

- Władze Sektora Wspólnego wiedzą, że tu jesteśmy - powiedziała Angela Krin. - Przyślą tu innych. - Mander zerknął na nią, ale nie mógł podchwycić jej wzroku. Spojrzał na Reen, ale Pantoranka nie spuszczała oczu z Twi'lekanek, gotowa zareagować na ich najmniejszy ruch. One z kolei przenosiły nerwowo wzrok z Vago na ich trójkę i z powrotem. Rozmowa najwyraźniej niepokoiła je i drażniła.

- To będzie... trudne - westchnęła Vago i Mander spostrzegł roszące jej czoło kropelki potu. Huttanka była zdenerwowana, i to bardziej niż cała ich trójka razem wzięta. - Jeśli... zgodzicie się wrócić na pokład... waszego statku... i po powrocie poinformo-

Plaga

wać waszych przełożonych... że nic tu nie znaleźliście... zostaniecie nagrodzeni. - Pierś falowała jej gwałtownie, kiedy szmatkownie czerpała kolejne hausty powietrza.

- Jak jasna cholera! - parsknęła kpiąco Reen.

- W takim razie... będziecie musieli pozostać tutaj... jako... goście - powiedziała Vago.

- Chciałaś powiedzieć „więźniowie” - dodała Angela Krin. Vago wzruszyła z trudem szerokimi ramionami i nagle Mandera olśniło - zrozumiał powód zdenerwowania Huttanki i przyczynę, dla której rozmawiała z nimi w języku, który był jej wyraźnie niemiły. Wiedział już, dlaczego Twi'lekanki, które powinny ją na pozór chronić, wołały mieć ją na oku, niż pilnować intruzów.

Vago nie była ich przełożoną, a one wcale nie miały jej chronić.

- Ona ma rację - potwierdził słowa Krin. - Będziemy tu zakładnikami. Takimi samymi jak i ty, Vago Gejalli.

Huttanka otworzyła szeroko oczy, wyraźnie zaskoczona, a potem odpowiedziała na zarzut Mandera serią przekleństw. Bardziej zaskoczone od niej wydawały się jednak jej twi'lekańskie ochroniarki. Jedna z nich podniosła blaster do strzału, a druga warknęła coś w huttyjskim i chwyciła mocno, pewnie Vago za kark urękawiczoną dłonią. Huttanka wydała z siebie cichy okrzyk, kiedy wyładowania z rękawicy zatańczyły wokół jej głowy i popęzły aż do otwartych szeroko z przerażenia, załzawionych oczu, a potem runęła bez czucia na podłogę.

Twi'lekanki nie były jednak dość szybkie - ta, która wycelowała w nich blaster, strzeliła, ale nie dość celnie. Reen zareagowała błyskawicznie. Oddała strzał i położyła ją trupem, trafiając w twarz. Twi'lekanka padła bez życia na podłogę tuż obok ogłuszonej Vago.

Druga, ta, która unieszkodliwiła Huttankę, zaczęła wykrzykiwać rozkazy i smukłe droidy ruszyły naprzód, ostrzeluwując intruzów z karabinów blasterowych. Mander w mgnieniu oka dobył miecza i odbił serię strzałów, kierując je z powrotem w stronę atakujących. Szybko zorientował się w sekwencji ataku i

nim minęła chwila, wiedział już, który za moment zaatakuje i na którym musiał się skupić, żeby chronić ich trójkę, a którego mógł przez kilka sekund ignorować. Przewidywanie ich posunięć przychodziło mu bez większego trudu, dzięki czemu krok po kroku eliminował te stanowiące dla nich bezpośrednie zagrożenie, posyłając w ich stronę kierowane przez ich kolegów promienie śmiertelnej energii. Wiedział z wyprzedzeniem, w co trafią odbijane przez niego strzały, i starał się celować rykoszety w droidy zabójców tak, żeby omijały jego, Angelę, Reen i nieprzytomną Vago.

Miał wrażenie, że czas zwolnił bieg, kiedy tak uwijał się jak w ukropie, ustępując z drogi blasterowych serii, którymi towarzyszące mu kobiety zasypywały mechanicznych napastników, starając się wystawiać na cel droidy i wymieniając z nimi strzały, wet za wet. Udało mu się zniszczyć cztery z nich - ich pancerze znaczyły liczne bruzdy i dzioby od blasterowego ognia, który wracał do nich rykoszetami. Manderowi cała ta akcja wydawała się nie tyle zimną, wykalkulowaną analizą strategii, ile czymś w rodzaju symfonii, w której jedna nuta harmonijnie zgrywała się z kolejną i jeszcze następną. Każdy jego ruch płynnie przechodził w inny, każdy wydawał mu się logiczny i harmonijny - nie musiał się nad niczym zastanawiać.

A potem... poczuł, jak w jego splot słoneczny uderza coś twardego. Cały świat zawirował wokół niego i zaczął się rozmywać. Okazało się, że skupił się zanadto na odbijaniu strzałów droidów i nie zauważył, jak zza rozciągniętej na ziemi Huttanki wyskoczyła druga Twi'lekanka, ta, która przeżyła. Rzuciła się na niego, godząc go w podbrzusze łokciem i obalając na ziemię. Zacisnął mocniej dłoń na rękojeści miecza, ale twi'lekańska sługa kopnęła go w bok, przewracając na plecy, i nastąpiła mu na nadgarstek obutą w ciężki but stopą. Chwyciła go pod brodę, zaciskając palce na jego szyi, a drugą, odzianą w śmiertelną rękawicę, podniosła nad głowę, szykując się do ataku. Jej ostre, wyszczerzone w obłąkanym uśmiechu zęby zaśniły w świetle lamp, a napompowane Nawałnicą żyły na jej lekku zapulsowały

mocniej...

I nagle, w decydującym momencie, rozwścieczona Twi'lekanka runęła w tył, wydając z siebie okrzyk bólu i gniewu. Mander błyskawicznie poderwał się z podłogi i ocenił sytuację: zobaczył Reen, zaciskającą dłonie na nagich głowooonach twi'lekańskiej sługi i odciągającą ją od niego w tył. Wężowate, grube macki wyrastające z głowy Twi'leków były szczególnie wrażliwym punktem ich ciała; rozwścieczona strażniczka zawyla gniewnie i sięgnęła ku Pantorance dłonią w rękawicy, po której pełzały błyskawice wyładowań. Reen zanurkowała pod wymierzoną w jej stronę, rozcapierzoną ręką i wycelowała kolbą swojego blastera w twarz Twi'lekanki, która pod ciosem runęła na ziemię z piskliwym skowytem.

Tymczasem Angela Krin rozprawiała się zaciekle z pozostałymi droidami, eliminując sprawnie jednego po drugim. Jeden z nich, skryty częściowo za szczątkami swoich kolegów, wystawił ślepą głowę nad stertę metalowego śmiecia... i w tej samej chwili eksplodował, zdjęty celnym strzałem z blastera agentki WSW.

Krin przeszła nad ciałem ogłuszonej Vago i przystawiła lufę do jej olbrzymiej głowy, ale Mander w ostatniej chwili złapał ją za nadgarstek i skierował jej broń w bok; Huttanka wymamrotała zdrętwiałymi ustami coś, co przy odrobinie dobrej woli można było uznać za słowa wdzięczności.

Krin spiorunowała Jedi wzrokiem.

- Nie możemy jej ufać. Jest częścią spisku! - zaprotestowała.
- Zabiła Poparę!

- Nie, to nie ona to zrobiła - oświadczył spokojnie Mander. - Była więźniem, zakładniczką Twi'lekanek. Działała pod presją.

Angela cofnęła się i opuściła broń, ale nie wyglądała na przekonaną.

- Nieważne. Powinna umrzeć. Jest Huttem. Stanowi zagrożenie dla Miki!

- To tylko jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy zachować ją przy życiu - obstawał twardo przy swoim Mander. - Kiedy to wszystko się skończy, ktoś będzie musiał wyjaśnić całą

Plaga

sprawę Radzie Starszych.

- Jeedai - wymamrotała półprzytomna Huttanka. - *Mika respoonda. Gosa o breej.*

- Wiem - zapewnił ją Mander.

- Wiesz... co? - spytała Angela.

- Wiem, kto za to wszystko odpowiada - dopowiedział Mander. - Kto stoi za handlem Nawalnicą, przemytem i śmiercią Popary. Za wszystkim.

Reen podeszła do nich z blasterem w dłoni.

- Na co więc czekamy?

Mander odwrócił się w jej stronę.

- Musicie zabrać Vago na statek i odlecieć. Wezwijcie Ed-deya na pomoc. - Spojrzał na Angelę, która przyglądała się ze zmarszczonym czołem rozciągniętej na podłodze Huttance. Jej twarz zdradzała emocje - gniew, strach i frustrację zarazem. Mander widział to już nieraz. Sprawiała wrażenie, jakby jej mózg starał się przetworzyć zbyt wiele informacji naraz.

- Musimy go chronić - powiedziała Angela i znów podniosła swoją broń do skroni Huttanki.

I wtedy do Mandera dotarło, co o tym wszystkim myśli pani komandor.

- Musisz chronić Vago - rzucił twardo. Nasycił swoje słowa Mocą; starał się skierować je prosto do jej mózgu, wykonując przy tym nieznaczny ruch dłonią.

Angela Krin skinęła głową i zaczęła powtarzać jego słowa:

- Muszę... - Urwała i spojrzała na Mandera gniewnie. - To sztuczka z wpływaniem na umysł! Chciałeś mnie zmanipulować!

- Owszem - przyznał się Mander. - I to nie pierwszy raz, kiedy doznałaś czegoś takiego, mam rację? Spróbuj sobie przypomnieć... Na twoim statku, kiedy wróciliśmy z Endregaada...

Na twarzy Angeli pojawił się wyraz nagłego olśnienia; przeniosła wzrok na Huttankę, potem na trzymany w dłoni blaster, a wreszcie jej twarz wykrzywił grymas gniewu.

- To była jego sprawka, prawda? - bąknęła żałośnie. - Bałam się, że to ty, a to on mi to zrobił...

Plaga

- Tak - przyznał Mander. - Ale teraz nie czas na gniew. Musisz zadbać o bezpieczeństwo Vago. Czy zdołasz tego dopilnować?

Angela Krin zamrugła nieprzytomnie, a potem wymamrotowała:

- Tak. Tak, zadbam o to. Ale... czy to będzie moja decyzja? Czy może twoja? - Podniosła na Mandera mokre od łez oczy.

- Za odpowiedź na twoje pytanie uznaj fakt, że mi je zadałaś - odparł Mander cicho.

- Co jest grane? - spytała Reen. Cały czas rozglądała się czujnie dookoła w poszukiwaniu kolejnych droidów albo pułapek.

- Angela była pod wpływem kogoś innego, używającego Mocy - wyjaśnił Mander. - Wcześniej wydawało mi się, że połknęła bakcyła przygody i że właśnie dlatego zachowywała się dziwnie: w jednej chwili była wyrachowana i chłodna, a w drugiej poddawała się emocjom. Okazało się jednak, że chodzi o coś więcej. To było coś znacznie gorszego.

Angela Krin spojrzała na niego twardo. Teraz znów była sobą - znowu w pełni nad sobą panowała.

- Powinнам pójść z tobą - stwierdziła.

- Mamy mało czasu - upomniął ją łagodnie Mander. - A ja potrzebuję pomocy was obydwu. Musicie chronić Vago. Możliwe, że Angela będzie przez jakiś czas lekko zagubiona. Czy dasz radę zająć się nią i Huttanką?

Reen pokiwała głową.

- Skoro nalegasz... Co zamierzasz?

- Poszukam mostka - odparł Mander. - To pewnie tam wszystko się wyjaśni...

- W takim razie lepiej się pospiesz - poradziła mu. - Za chwilę przyślą tu posiłki.

Okoliczne rampy rozbrzmiewały już ciężkimi krokami starożytnych droidów i smukłych robotów strażniczych.

- Będziemy się musiały przedrzeć na zewnątrz... - zaczęła mówić Reen, ale Jedi wszedł jej w słowo:

Plaga

- W takim razie lepiej zaczynajcie się stąd zabierać - poradził jej, przysuwając do ucha komunikator. - Dopilnujcie, żeby Vago opuściła planetę cała, zdrowa i w jednym kawałku. Dajcie znać, kiedy bezpiecznie opuścicie przestrzeń Varla. - I tyle go widziały.

Turbowindy prowadzące na wyższe poziomy i do centrum dowodzenia znajdowały się po przeciwnej stronie niż kadzie z przyprawą. Mander wskoczył wspomaganym Mocą saltem na jedną z wyższych kładek i skierował się do wind.

Słyszał dobiegające z za jego pleców odgłosy strzelaniny - Angelę i Reen zaatakowała najwyraźniej kolejna fala droidów. Miał nadzieję, że kobiety zdołają się ukryć za czymś dostarczającym lepszej ochrony niż ciało półprzytomnej Huttanki. Strzegące dolnych poziomów statku droidy zaczęły go ostrzeliwać z licznych działek w swoich opancerzonych korpusach. Kładkę, na której się znajdował, zbombardowała seria zabójczych energetycznych promieni.

Mander zwinnie uchylał się przed każdym z nich, ale nie mógł nic zaradzić na szkody wyrządzone przez nie kładce. Kilka kroków przed nim siatkową konstrukcję rozdarła seria z karabinu i mostek poddał się, spadając w kawałkach w stronę pasów transportujących w dole Nawałnicę. Podtrzymujące go przęsła zerwały się i zwinęły, usuwając mu grunt spod stóp.

Jedi skoczył desperacko w stronę jednej z ocalałych rur, odprowadzających z kadzi trujące opary. Ostrzeliwujące go droidy nie przerwały ognia i tubę podziurawiła seria strzałów. Z licznych otworów zaczął wyciekać na głowy napastników zielonkawy płyn, który podczas zetknięcia z ich obudową wypalał w niej głębokie dziury w oparach zjadliwego dymu. Kwas przeżerał się do ich systemów zasilania i układów ruchu i wkrótce Mander usłyszał odgłosy eksplozji, kiedy roboty bojowe - jeden po drugim - zaczęły wybuchać.

Kiedy dotarł do położonego na odległym krańcu korytarza balkonu, drogę zastąpił mu wyjątkowo - sądząc po wyglądzie - starożytny okaz droida bojowego. Był dwa razy większy od

swoich kolegów na dole, chociaż jego budowa była podobna.

Zanim robot zaatakował, Mander zastanowił się przelotnie, co mogło posłużyć za model dla takiej najeżonej działkami poczwary... i wtedy robot bojowy skierował w jego stronę serię, która zdołałaby unieruchomić mały statek. Jednak Mander spodziewał się ataku i zanim on nastąpił, skulił się i przeturlał kilka metrów po podłodze w stronę uzbrojonego monstrum, z mieczem świetlnym gotowym do kontrataku w dłoni. Uderzył z impetem w występ na ścianie i odtoczył się jeszcze kawałek, dokładnie między nogami przestarzałej maszyny.

Kiedy znalazł się za jej plecami, nie marnował czasu - przyjął natychmiast pozycję bojową. Początkowo droid wydawał się nienaruszony, ale kiedy spróbował się odwrócić w stronę napastnika, jego nogi zaczęły się poddawać. Ciężki, najeżony działkami tors opadł do przodu, odcięty od reszty ciała przez klingę miecza Mandera, a potem całe zwałiste cielsko maszyny upadło z głuchym hukiem na podłogę. Powalony gigant spróbował się jeszcze ostatkiem sił podźwignąć, ale jego starania spełzły na niczym i wkrótce metalowy korpus spoczął bez ruchu na podłodze.

Zapadła dziwna cisza i Mander pomyślał z cichą nadzieją, że to dobry znak - że Reen i Angela Krin zdołały doprowadzić Vago do statku. Nie czekając na potwierdzenie swoich przypuszczeń, wrócił do windy i wcisnął przycisk wyższego poziomu. Kiedy wagonik ruszył, wziął głęboki oddech, starając się uspokoić i skoncentrować. Wiedział, że zadanie, które go czeka, nie będzie łatwe, ale wiedział też, że musi je wypełnić - to było konieczne.

Kiedy rozległ się kurant obwieszczający przybycie na docelowe piętro, Mander wyszedł z windy pewnym krokiem. Mostek oświetlały światła awaryjne, przełamywane błękitem ekranów monitoringu i czujników.

- Chciałbym się widzieć z przyprawowym lordem Varla - powiedział głośno.

- Ach - mruknął Hutt Mika, odstępując od konsoli dowodzenia - a więc w końcu jesteś. Długo to trwało. Stanowczo za

długo.

ROZDZIAŁ 19. PRZYPRAWOWY LORD VARLA

Wyglądało na to, że Hutt Mika jest jedyną osobą na pogrążonym w czerwonym świetle mostku statku fabryki. Miał na sobie długą do ziemi, przypominającą płaszcz kamizelkę, rozciętą na przedzie i skrojoną na wzór szat Jedi noszonych przez Mander. Jego zielonożółta skóra lśniła ciepło, odbijając blask czerwonych świateł i niebieskich emanacji ekranów, wyświetlających wydarzenia rozgrywające się na terenie statku fabryki. Na jednym z nich Mander widział główny pokład, zaścieniony szczątkami droidów, z płonącymi w tle kadziami destylacyjnymi. Inny pokazywał prawie taki sam obraz, z tą różnicą, że panował na nim idealny porządek - sprzęt był nienaruszony, a maszyny zawiadujące produkcją działały bez zarzutu. Manderowi przemknęło przez myśl, że patrzy pewnie na inną sekcję zakładu, być może funkcjonującą na rufie. Przyglądał się kolejnym ekranom, ukazującym „Trasę na Barabi”, dokującą na jednym z lądowisk, zanim rozpoczął się jej rozładunek, a potem bezgłowy korpus H-3PO, porzucony przy wejściu do magazynu...

Nigdzie nie widział jednak śladu Reen ani Angeli Krin; część ekranów nie wyświetlała nic poza śnieżnym szumem i Mander przypomniał sobie, że niektóre z kamer zostały dezaktywowane, kiedy przedzierali się do serca statku.

A jednak wszystko wskazywało na to, że Mika spodziewał się ich od samego początku.

- Kiedy się zorientowaliście? - spytał, kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały; brzmiał tak samo szczerze i prostodusznie jak wtedy, kiedy pierwszy raz się spotkali. - Kiedy się zorientowaliście, że zostaliście uwikłani w spisek?

- Dopiero na samym końcu - odparł Mander, patrząc mu prosto w oczy. - Cały czas sądziliśmy, że to Vago odpowiada za wszystko... albo ktoś inny z twojej swity. Może nawet Twi'lekanki twojego ojca... Kiedy jednak zorientowaliśmy się, że to właśnie

Plaga

Vago jest ich zakładniczką... nie został nikt, kogo moglibyśmy obarczyć winą za cały spisek.

- Tak - potwierdził Mika. - Przykro mi z powodu mojego brata. Miałem nadzieję, że poczuje się na tyle usatysfakcjonowany pozycją odziedziczoną po naszym świętej pamięci ojcu, że nie będzie zadawał zbyt wielu pytań. Mógłby wówczas zająć się prowadzeniem jego interesów, a ja skrywałbym się dalej bezpiecznie i skutecznie za wizerunkiem młodszego, niewinnego i mniej kompetentnego brata. Wyobraź sobie, jak bardzo byłem zaskoczony, kiedy wydał rozkaz schwytania mnie i zorganizowania publicznej egzekucji tej waszej Pantoranki. Liczył na to, że po tym, jak zniknę, umocni swoją pozycję na rynku... Właściwie mógłbym na to nawet pozwolić... Ale właśnie wtedy przekonałem się, że nie uda mu się przetrwać. Mimo to nadal potrzebowałem kogoś, kto mógłby zająć jego miejsce...

- Vago - podsunął Mander. - Nie wiedziała o niczym, mam rację?

- Cóż, początkowo nie - przyznał niechętnie Mika. - Tak łatwo jest sterować innymi, kiedy nikt cię o to nie podejrzewa... - Westchnął. - Vago ani przez chwilę nie przypuszczała, że ktoś inny z rodu Anjiliaków może mieć dostęp do rodzinnych finansów. Popara ufał jej na tyle, żeby powierzyć jej wyłączną pieczę nad tym sektorem jego działalności. Zonos troszczył się tylko o własne przyjemności, obijając się w oczekiwaniu na chwilę, w której będzie mógł przejąć pełną kontrolę nad interesami klanu, ale czuł się na tyle pewnie, żeby pozwolić Vago na prowadzenie codziennych rachunków. Każdy z nas miał do końca grać swoją rolę. Jednak nikt nie wiedział, jaką rolę odgrywam w tym wszystkim ja... ani Nawańca.

- Jak się dowiedziałeś? - spytał Mander, stopniowo zmniejszając dzielącą ich odległość. Krok po kroku. - To znaczy, mam na myśli Nawańcę... - Starał się mówić swobodnie i nie dopuszczać do swojego głosu Mocy. Huttowie byli znani ze swojej odporności na sztuczki Jedi, a on wiedział, że w tym konkretnym przypadku jej użycie przysporzyłoby mu tylko ko-

lejnych problemów.

Mika uśmiechnął się i Mander zrozumiał nagle bez zbędnych wyjaśnień, że Hutt przejrzał jego grę. Cofnął się o krok, kryjąc się za osłoną panelu kontrolnego.

- Ciekawiły mnie losy naszej ojczystej planety - powiedział Mika. - Znalazłem zapisy dotyczące pradawnych czasów, wzmiankujące o wielkich miastach i potężnych rodach. A potem... sprawozdania o spustoszeniu i degradacji. I trop się urwał. Rada Starszych wysyłała co prawda w te rejony patrole, żeby utrzymać obcych z daleka, ale sama planeta została uznana za teren jałowy, do niczego niezdatny. Ot, martwy świat w pobliżu umierającej gwiazdy.

- A więc początkowo nie szukałeś tu przyprawy? - zgadł Mander, cały czas skanując obrazy transmitowane przez liczne holokamery. Na żadnym z nich nie widział śladu swoich towarzyszy ani Vago.

- To był szczęśliwy zbieg okoliczności - powiedział Mika. - W rzeczywistości szukałem starych droidów, tych samych, które widzieliście w zakładzie. Pomyślałem wówczas, że ich modele mogą posłużyć za wzór do nowej produkcji, A potem okazało się, że jeden z moich pracowników... miłośnik nieco mniej szkodliwego gatunku przyprawy... przywiózł tu swój skromny zapasik, który, wystawiony na działanie tutejszej wody i wiatru, spowodował jego... śmierć. Tak właśnie skończył pierwszy amator Nawałnicy i ofiara skutków jej działania. Zleciłem oczywiście autopsję, i to właśnie w jej wyniku odkryłem Nawałnicę. Potem wystarczyło już tylko wrócić, żeby wszystko potwierdzić i zbudować zakład przetwórczy. To idealne miejsce, a starożytne droidy okazały się doskonałymi pracownikami i strażnikami.

- Szkoda, że to już koniec - powiedział Jedi.

Mika westchnął ciężko.

- Nie musi tak być. Możecie podjąć ze mną współpracę, ty i twoi przyjaciele. Oferta, którą przekazałem wam za pośrednictwem Vago, jest nadal w mocy.

- Podobnie jak i odmowa - rzucił Mander. - I ostrzeżenie.

Plaga

Nasi ludzie czekają na nas...

- Chcesz mi pomóc - odparł Mika spokojnie, z uśmiechem, wykonując przy tym nieznaczny ruch dłonią.

Mander natychmiast poczuł silną presję emocjonalną, zalewającą go niczym fala, przenikającą na wskroś i obezwładniającą. Przez chwilę był zaskoczony, a jego wola poddała się całkowicie, zastąpiona przez przelotne pragnienie, żeby pomóc temu drobnemu Huttowi - tej biednej, dziwnej, szykanowanej zewsząd istocie, tak bardzo samotnej w wielkim wszechświecie... Mimowolnie zatoczył się w tył. Jego zaskoczenie pochodziło częściowo stąd, że znał ten rodzaj mentalnej presji - miał z nim już wcześniej do czynienia - i wiedział natychmiast, od kogo Hutt nauczył się tej sztuczki.

Mander Zuma wziął głęboki oddech i sięgnął mentalnie w głąb siebie. Skupił się na Medytacji Pustki i pozwolił, żeby fala presji opadła, obmyła go i odeszła.

- Nie chcę - odparł i szeroki uśmiech Miki znikł bez śladu. - Sztuczka ucznia nie zadziała na tego, kto go jej nauczył.

Mika warknął basowo i wycedził:

- A więc teraz wiesz już także i o tym...

Mander skinął głową.

- Toro Irana cię tego nauczył. Kiedyś spróbował tego na mnie i też mu się nie powiodło.

- To jedna z niewielu sztuczek, których zdołałem się nauczyć - powiedział Hutt i parsknął bezradnym śmiechem. - Jest jakaś gorzka ironia w umiejętności wpływania na umysły pomniejszych istot i jednoczesnym otaczaniu się sługami, które tak czy inaczej na każde moje skinienie będą tańczyć, jak im zagram. A na dodatek obracałem się w kręgach Huttów, którzy są naturalnie odporni na efekty takich manipulacji!

- Toro nie mógł cię zbyt wiele nauczyć - ocenił cicho Mander. Zabrzmiało to jak obelga.

Hutt Mika przygryzł dolną wargę i zbladł zauważalnie.

- Czy wiesz, jak to jest? Czuję Moc. Niemal widzę ją wokół siebie. Tak, wiem, że to podstawa dla was, Jeedai, i to właśnie

Plaga

tęgo szukacie u swoich uczniów, jednak ja... ja nie mogę z tego korzystać. Jest tak, jakbym starał się złapać coś, co przepływa mi przez palce... to jak próba schwytania płynącej wody. Czuję ją, ale nigdy nie mogę zatrzymać na dłużej.

- Nie każdy, kto jest wrażliwy na Moc, może zostać Jedi - powiedział Mander. - Historia zna wiele takich wypadków.

Mika zignorował jego uwagę.

- Potrzebowałem kogoś, kto zająłby się moim szkoleniem... ale okazałem się kiepskim uczniem. Byłem jak ryba, patrząca tęsknie na zwierzęta na suchym lądzie, albo ssak marzący o tym, żeby latać jak ptak. Słyszałem odgłosy przyjęcia, w którym nie mogłem wziąć udziału. Chcesz... musisz mi pomóc!

Znów to samo - silny nacisk Mocy, zmieniający zwykłą sugestię w rozkaz. Tym razem Mander był jednak przygotowany i odepchnął mentalny atak, nie dając słowom żadnej szansy na przedarcie się do jego mózgu.

- To ty zabiłeś Tora - powiedział. - Uzależniłeś go od Nawalnicy, a potem zabiłeś.

- Sądziłem, że da się go kontrolować. - Hutt westchnął. - Teraz już wiem, że się myliłem. Okazuje się, że całe to wasze gładzenie o kontrolowaniu emocji to bzdura, bo wy, Jedi, jesteście wyjątkowo... zapalczywi. Wy i ten wasz Zakon wiernych! Szybko wyszło na jaw, że Toro Irana źle reagował na moją nową przyprawę, więc uznałem, że zamiast oddać go z powrotem w wasze ręce i pozwolić się wam o wszystkim dowiedzieć, lepiej będzie usunąć go z planszy.

- A więc grywasz w holoszachy - domyślił się Mander, przypominając sobie stół do gry w kwaterach Angeli Krin i jej słowa. Jednocześnie cały czas czekał na chwilę, w której Hutt straci czujność.

Mika milczał przez chwilę, zanim przyznał:

- Owszem, grywam. Brakuje mi Tora Irany - dodał po chwili smutno. - Był dobrym nauczycielem. Sądzę, że pod koniec chciał się sprawdzić. Udowodnić, że sam może mieć ucznia.

- Nauczył cię korzystać z Mocy, żebyś mógł wpływać na

Plaga

innych - powiedział Mander. - I kontrolować umysły.

- Nieporadnie. - Mika skrzywił się, starając sprawiać wrażenie niegroźnego. - W głębi duszy wiedziałem, że nie mógłbym przyjąć waszej filozofii. Obawiam się, że Hutt pozostanie na zawsze Huttem.

- Użyłeś sztuczki Mocy na Angeli Krin - stwierdził Mander.

- Bardzo delikatnie - zaznaczył Mika. - To nie było nic wielkiego, lekki nacisk, drobne przynaglenie... Kiedy rozmawialiśmy na orbicie Endregaada, dałem jej do zrozumienia, że niepokoi mnie sprawa Nawałnicy, bo chciałem sprawdzić, czego dowiedziało się WSW. Po tym, jak twoja Pantoranka trafiła na numery seryjne, byłem już pewien, że tylko kwestią czasu jest, kiedy wytropią przynależność statku do Skydove Freight i do mojej rodziny. Musiałem się przygotować. Poprosiłem, żeby mnie chroniła.

- I to właśnie dlatego przyleciała na Nar Shaddaa pod pretekstem badania kwestii przyprawy - odgadł Jedi. - To ty zaszczepiłeś jej to polecenie w umyśle.

- To, a także inne. - Mika skinął głową. - Przekonałem ją, żeby wyjawiała mi, co wiedzą WSW, a także, że uważam Vago za zagrożenie. Potem zaplanowałem ich spotkanie i pozwoliłem, żeby sprawy potoczyły się swoją drogą. - Podniósł ręce w geście niewinności. - Ale to już chyba wiesz.

- Może i nie jestem specjalnie bystry, ale w końcu się tego domyśliłem - odparł Mander. - To właśnie dlatego zjawilem się tu osobiście. Nikim już nie będziesz manipulował. Czas się poddać, Miko. Twoje sztuczki na mnie nie zadziałają - W takim razie będę musiał spróbować czego innego - westchnął z rezygnacją Hutt. - *Killee du schoon!*

Mander usłyszał odgłos wysuwanej klingi miecza świetlnego i natychmiast instynktownie włączył i ustawił w pozycji obronnej własną broń, jednak siła pierwszego ciosu prawie zwała go z nóg.

Trzecia z twi'lekańskich służek Popary, o skórze w kolorze radioaktywnych sadzawek, skoczyła na niego z zapalonym w pół

drogi mieczem o niebieskim ostrzu. Mander przyjął cios, ale starcie nie trwało długo - ułamek sekundy później Twi'lekanka zawięła mieczem nad jego głowę i wylądowała między nim a Huttem. Potrząsnęła owiniętymi dziwną siatką, nabrzmiałymi lekku i Mander zauważył, że pokrywają je nachodzące na siebie miedziane płytki - na jej ciele nie było żadnego wrażliwego, odsłoniętego miejsca.

Podniosła znów miecz, a kiedy Jedi spojrzął jej w oczy, zobaczył, że mają głęboko fioletowy kolor, kolor Nawałnicy. Miecz o krótkiej rękojeści, który trzymała, należał do Tora. Agenci Miki musieli znaleźć go i zabrać z miejsca wypadku jeszcze przed przybyciem Mandera na Makem Te.

- Nie mogłem nauczyć się walczyć waszą bronią - wyjaśnił Mika - więc postanowiłem nauczyć tego innych.

Twi'lekanka zasyczała gniewnie i znów skoczyła, celując ostrzem w głowę Jedi.

Mander sparował cios spokojnie - teraz był już przygotowany. Ostrze Mandera starło się z ostrzem Tora przy akompaniamencie trzasku wylądowań elektrycznych - kiedy ześlizgiwały się po sobie, krzesaly snopy iskier. Mander zmusił Twi'lekanke, żeby cofnęła się w prawo, a potem bez trudu odepchnął jej klingę. Zaskoczona jego manewrem, zrobiła z rozpędu kilka chwiejnych kroków w tył, zatrzymując się na pulpicie kontrolnym.

Takie posunięcie zapewne zbiłoby zwykłego przeciwnika z tropu i na chwilę unieszkodliwiło, ale huttańską służącą napędzał gniew... i przyprawa. Natychmiast złapała równowagę i znów zaatakowała, mierząc w podstawę ostrza, w pobliże emitera klingi. Wbrew sobie Mander wycofał broń, chcąc odruchowo chronić rękę i rękojeść miecza, a wtedy Twi'lekanka wykorzystała okazję i zasypała go serią ciosów. Miecz Tora zmienił się w rozmazaną, błękitną smugę, przecinającą tam i z powrotem powietrze na oblanym czerwonym światłem mostku statku fabryki. Mander był zmuszony cofać się i odbijać cios za ciosem, ale w końcu zdołał zablokować ostrze swojego byłego ucznia i utrzymać w martwym punkcie. Twi'lekanka próbowała je uwol-

Plaga

nić, ale Mander nie ustępował, zmuszając ją krok po kroku do opuszczenia miecza i ustawienia w pozycji neutralnej. Nie miała wyjścia - musiała się wycofać i ustąpić, jeśli chciała znów zaatakować, a on wiedział, że wtedy zdobędzie nad nią rozstrzygającą przewagę.

- Zbyt wyrównany pojedynek - ocenił Mika. - Ty masz wiedzę, ale ją napędza gniew. Może uda mi się odebrać nieco z tego twojego mnisiego spokoju, który, wy, Jedi, tak bardzo ukochaliście... - Wcisnął kilka guzików na konsoli i na wszystkich holowyświetlaczach, zamiast dotychczasowych obrazów z kamery w fabryce, pojawił się ten sam obraz: „Trasa na Barabi”, posadzona na lądowisku na zewnątrz.

- Gdzie są twoi przyjaciele, Jedi? - spytał Mika. - Byli z tobą, kiedy tu przyszlście. Czyżbyś odesłał ich w bezpieczne miejsce, podczas gdy sam stawisz mi czoło?

Mander krzyknął, ale Hutt już wcisnął guzik na konsoli i z kilku kierunków na raz w stronę statku poszybowały promienie energii jonowej, przesywając trującą atmosferę planety. Statek zniknął w kuli ognia.

Jedi znów krzyknął; nie mógł się pogodzić z tym, co widzi, tymczasem Twi'lekanka wykorzystała jego dekoncentrację - odrzuciła głowę do tyłu, a potem machnęła nią w przód, kierując zakute w metal końcówki lekku w jego twarz. Jeden z miedzianych szponów jej hełmu worał się głęboko w policzek Mandera, zostawiając na nim krwawą bruzdę.

Pod impetem ciosu upadł na podłogę i odtoczył się, ale zaraz zerwał na nogi, zyskując nieco czasu. Jednak twi'lekańska służąca nie zatrzymała się nawet na chwilę. Mander zrobił kilka szybkich kroków w tył i podniósł miecz nad głowę, ale napastniczka odbiła cios bez trudu i natychmiast zaatakowała, nie dając mu nawet sekundy na ochłonięcie. Odbijał cały czas jej ciosy, ale nie miał szans zaatakować, zmuszony do wycofywania się wciąż dalej - wiedział, że jeszcze dwa kroki i znajdzie się pod ścianą, z odciętą drogą ucieczki.

Wyczuwając bliskie zwycięstwo, Twi'lekanka chlasnęła

szeroko mieczem, celując w jego żołądek. Odskoczył pod ścianę, a nozdrza zaatakowały mu smród spalonej tkaniny - ostrze minęło jego skórę dosłownie o włos. Jego przeciwniczka nie zawahała się ani na moment - błyskawicznie znów zawinęła mieczem, powtarzając swój poprzedni ruch.

Mander przypomniał sobie Reen, walczącą z tą samą Twi'lekanką wcześniej, w apartamencie Popary. Przypomniał sobie, jak łatwo Pantoranka się z nią rozprawiła... Nawalnica czy nie, szkolenie czy nie, to była ta sama kobieta, z tymi samymi słabościami. Zanurkował pod wracającym ostrzem, wyłączając jednocześnie swój miecz. Tuż po tym, jak jej klinga znalazła się w najdalszym punkcie wychylenia, wszedł w zasięg jej miecza i obrócił rękojeść w dłoń, a potem wbił ją z całej siły pod podbródek Twi'lekanki.

Fioletowe oczy sługi uciekły w głąb czaszki i jego przeciwniczka zatoczyła się w tył, wypuszczając z dłoni miecz. Rękojeść z wyłączonym ostrzem zatoczyła szeroki łuk i przeleciała przez mostek, zatrzymując się po kilku obrotach pod jednym z wielkich holowyswietlaczy, ukazujących płonący wrak „Trasy na Barabi”.

Mander odwrócił się w stronę stojącego przy fotelu dowodzenia Miki. Twarz miał obolałą od chłasknięcia głowoogonem; kiedy sięgnął do policzka, poczuł coś mokrego, a gdy spojrzął na swoją dłoń, zobaczył na niej krew i drobinki plastoidu - część ciosu przyjął na siebie jego komunikator, ale jego ostre szczątki powbijały mu się w skórę. Wytarł grzbiet zakrwawionej dłoni we włosy, wyczesując z nich większość okruchów. Jego szaty cuchnęły spalonym materiałem, a mięśnie paliły żywym ogniem od nadludzkiego wysiłku.

Włączył znów swój miecz świetlny i wycelowował go w Mikę. Zrobił krok w stronę Hutta, który nie zareagował - uśmiechnął się tylko do niego.

- Poddaj się - zwrócił się do niego Mander Zuma, chociaż w głębi duszy liczył na to, że Hutt spróbuje jakiejś sztuczki: sięgnie po broń, spróbuje uciekać albo jeszcze raz użyć na nim wpływu

Mocy. Chciał, żeby dał mu powód do zabicia go i pomszczenia Tora, a także Reen i Angeli Krin. Przez krótką chwilę czuł otwierając się przed nim otchłań emocji i pokusy.

- To już koniec - powiedział krótko.

- Jeszcze nie - odparł Hutt i sięgnął krótką rączką do konsoli, wciskając kilka kolejnych guzików.

Potężne silniki jeszcze raz obudziły się do życia i statek fabryka zadrzał gwałtownie. Mander nie był przygotowany na taki obrót wydarzeń i stracił równowagę, kiedy moloch podniósł się z ziemi i wystartował. Z zewnątrz dobiegały odgłosy przypominające eksplozje, kiedy puszczały wsporniki statku. Zatonął się i upadł na jedno kolano, a Mika uśmiechnął się do niego i wcisnął jeszcze kilka kontrolek. Fabryką znów zatrzęsło, gdy odpaliły jej wielkie silniki na rufie i wzniosła się ponad krawędź krateru, szorując brzuchem po jego krawędzi.

Mander znowu się zatoczył, tym razem w tył. Kiedy wpadł na tylną ścianę, stracił na chwilę chwyt na rękojeści i ostrze schowało się do środka. Oszołomiony, spróbował je niezdarnie włączyć, żeby odeprzeć potencjalny atak, który mógłby przypuścić na niego Hutt, ale za późno - poczuł dojmujący ból, kiedy coś ciężkiego uderzyło go w dłoń, w której trzymał miecz. Czuł, jak pod naporem ciosu rękojeść rozpada się na części; kryształ emitera pękł, a szczątki posypały się na wszystkie strony.

Został ugodzony tępym końcem ciężkiej elektrowłócznie. Nad nim stał Hutt Mika z wyrazem triumfu na szerokiej, nalanej twarzy.

- Teraz - powiedział. - Dopiero teraz jest koniec.

ROZDZIAŁ 20. UPADEK HUTTA

- Z zaskoczeniem odkryłem, jak wiele jest w galaktyce materiałów odpornych na miecz świetlny - powiedział z sentymentem Mika, napierając na elektrowłóczę i naciskając jej ciężką rękojeścią na ranną dłoń Mandera. - Oczywiście, istnieje wiele dobrych powodów, żeby ich poszukiwać. Ten tutaj to phrik.

Plaga

Przed wojną był bardzo rzadki, a teraz jest jeszcze rzadszy. Mimo to istnieje kilka egzemplarzy wykonanych z niego broni, dostępnych dla kolekcjonerów, którzy wiedzą, gdzie szukać.

Pochylił się do przodu, opierając całym ciężarem na zdruzgotanej dłoni Jedi. Mander czuł, jak chrząstki i kości pękają pod naporem włóczni. Wokół leżały porzucane szczątki jego miecza. Ostatkiem sił odtoczył się w stronę resztek obudowy i cisnął jej elementy w górę, licząc na to, że trafi Hutta w jego wielką twarz.

Prawie mu się to udało i nacisk zelżał nieco, kiedy Hutt cofnął się odrobinę, zaskoczony. Wówczas Mander wyszarpnął dłoń spod elektrowłóczni i odtoczył się na bok, z dala od Hutta.

Podłoga pod nim wibrowała, kiedy statek wzbijał się w niebo. Pokład był lekko przechylony w górę, a Mika stał na tle przedniego iluminatora. Za nim Ardos płonął swoim bezsilnym, białym gniewem, a wokół migotały inne, dobrze widoczne w jego koronie gwiazdy. Holoekrany wypełniał biały szum, a światła na mostku pulsowały czerwienią i sinym błękitem. Obok jednej z konsoli leżała bez czucia opancerzona Twi'lekanka.

Mander wstał, przyciskając pogruchotaną dłoń do ciała. Czuł ocierające się o siebie kości i był pewien, że co najmniej trzy są pęknięte. Chciał się skupić, użyć Mocy, żeby sięgnąć i stłumić najgorszy ból, ale nie było na to czasu.

- Naprawdę chciałem cię mieć po swojej stronie - powiedział Mika, pełznąca z wolna w jego stronę. - Chciałem, żeby ktoś z waszego Zakonu pracował dla mnie. To byłoby potwierdzenie mojego statusu władzy, statusu kontroli. Symbol. Sądziłem, że w przypadku młodego Tora po prostu popełniłem błąd, że spróbowałem złego podejścia, folgując jego słabościom, bagatelizując jego silne strony, uzależniając go od mojej Nawałnicy, sprawiając, że stał się ode mnie zależny... Teraz jednak rozumiem, że nie mogłem zrobić nic więcej. Wy, Jeedai, nigdy nie dacie się... - Mlasnął wielkim jęzorem, szukając odpowiedniego słowa. W końcu je znalazł: - ...udomowić.

- Znaleźliśmy twoją bazę na Varlu - powiedział Mander. -

Plaga

Inni także ją znajdują. - Odsunął od siebie ból i wyprostował się.

- Przysporzyliście mi licznych problemów - zauważył Mika.
- Teraz będę musiał szukać nowych rozwiązań. Może spróbuję odkrywczego wydobywania zatrutej gleby Varla i założę bazę na jakiejś asteroidzie, z dala od uczęszczanych szlaków gwiazdnych? To wymagałoby wynajęcia kolejnych pracowników, większych łapówek, więcej zachodu... ale to tylko zwykłe niedogodności, nic wielkiego.

Mander rozejrzał się dookoła. Jego miecz świetlny nie nadawał się do niczego. Hutt oparł się na swojej włóczni i zebrał w sobie, przygotowany na rozwój wypadków. Gdyby Mander spróbował ucieczki, zablokowałyby mu drogę odwrotu. Mika wyraźnie gotował się do zaatakowania Jedi, runięcia na niego i przytłoczenia swoim ciężarem.

- Byłeś dobrym narzędziem - powiedział. - Ale każde narzędzie kiedyś się psuje i trzeba je wyrzucić. - Zamachnął się i złożył do ataku.

Mander wyciągnął zdrową dłoń i pozwolił, żeby przepeliła go Moc. Ignorując ból, ignorując samego Mikę, sięgnął w stronę krótkiego miecza Tora, leżącego przy ciele Twi'lekanki i przywołał go do ręki.

Wskoczył w jego dłoń w ułamku sekundy, a jego ostrze posłusznie wystrzeliło z rękojeści. Naparł na phrikową włócznię Miki i czuł, jak energetyczne ostrze próbuje wgryźć się w srebrzysty metal i przepołować broń, ale elektrowłócznia była zbyt odporna i Mander zdołał tylko odepchnąć ją, wytrącając Mikę z równowagi.

Hutt zatoczył się w tył i jeszcze raz się sprężył, podwijając ogon pod siebie.

- Dobrze! - pochwalił go ochoczo. - Byłbym rozczarowany, gdybyś tak po prostu pozwolił mi się zabić.

Stojący naprzeciwko niego Mander zakołysał się na rozedrganym pokładzie. Czuł się tu dziwnie nie na miejscu, z dala od swoich Archiwów na Yavinie Cztery, z dziwnym mieczem, trzymanym nie w tej dłoni co zazwyczaj. Nie miał czucia w po-

łowie twarzy, czuł za to aż za dobrze pulsujący w prawej ręce ból. Mimo to oczyścił umysł i powiedział tylko:

- Tak jak mówiłem, to koniec, Miko. - I skoczył na Hutta z gracją, której ten się zupełnie nie spodziewał. Mika podniósł elektrowłóczęnię, żeby zablokować cios, jednak Jedi wyminął jego blokadę i wycelował w jego stożkową głowę. Hutt uchylił się, ale ledwo, ledwo. Miecz świetlny rozorał mu bok twarzy, zostawiając dymiącą smugę od kącika ust do drobnego ucha.

Mander wylądował zwinnie obok, w końcu czując się pewnie, i machnął klingą, prowokując Hutta.

Oczy Miki załśniły gniewnie, ale tylko przez moment - teraz Mander widział wyraźnie u swojego przeciwnika wzór zachowań Tora. Krótki wybuch gniewu, potem przywołanie się do porządku, kontrolę i planowanie następnego ruchu.

Hutt rzucił się w jego stronę, odpychając się włóczęnią jak laską, ale Mander zdążył już uskoczyć, parując serię chaotycznych ciosów przeciwnika precyzyjnymi kontrami. Walcząc mieczem Tora, miał wrażenie, że zadawanie ciosów przychodzi mu teraz łatwiej, a obrona płynniej i pewniej. Krótka rękonośność znacznie ułatwiała walkę i była poręczniejsza niż jego miecz.

Nie mówiąc już o tym, że aż za dobrze znał ruchy Miki - widział je już wcześniej, na Yavinie Cztery, u swojego świętej pamięci ucznia.

Hutt Mika pocił się - jego skórę pokrywała warstewka śluzowatego potu. Walczył wcześniej z Torem, owszem, ale uczeń Mander nigdy tak naprawdę nie zmusił go do prawdziwego wysiłku, do konieczności przekroczenia własnych granic. Mander odskakiwał, wykonywał idealnie wymierzone pchnięcia i wycofywał się znowu. Zamarkował teraz cios w drugą połowę twarzy Hutta i Mika podniósł włóczęnię w spanikowanym kontr-ruchu, żeby uniknąć nowej rany. Potem podniósł oburącz elektrowłóczęnię nad głowę i opuszczył ją na Jedi, który zablokował cios, przyjmując go na własne ostrze. W normalnej walce, ze zwykłym przeciwnikiem, takie zagranie oznaczałoby impas, ale Hutt wykorzystał przewagę własnej masy - naparł z całej siły na swoją

Plaga

broń, zmuszając Mandera do wycofania się i opuszczenia klingi.

Jedi czuł, jak uginają się pod nim kolana, i wiedział, że nie zdoła odepchnąć metalowej zerdzi ani odsunąć jej na bok, więc cofnął się gwałtownie o niecały krok, odsuwając spod naporu włóczni.

Stawiał na to, że Toro nie nauczył Miki tej sztuczki, której Mander użył podczas ich ostatniego pojedynku. I miał rację: Hutt zatoczył się do przodu z okrzykiem zaskoczenia, a wtedy Mander znów podniósł ostrze, celując w knykcie prawej dłoni istoty, trzymającej elektrowłóczę...

Kiedy klinga cięła głęboko przez miękkie ciało, Mika krzyknął z bólu i cofnął się, a jego broń upadła ze szczękiem na podłogę. Ranny Hutt podniósł do góry okaleczoną dłoń - w miejscu, w którym energetyczna klinga pozbawiła go palców, ciemna posoka zastygła już w dymiący strup. Oczy zapłonęły mu gniewem, większym nawet niż ten spowodowany przez Nawałnicę.

Zaklął i przywołał zdrową dłoń Moc, podsycając swoje zdolności wściekłością na Mandera Zumę. Niewidzialna siła uderzyła Mandera w pierś i Jedi zatoczył się w tył. Rękojeść obcego miecza wysunęła mu się z niepewnego uchwytu...

...i poszybowała wprost do otwartej dłoni Hutta Miki.

- Byłem głupcem - wycedził Hutt. - Powinienem być kazać pantorańskiemu Jeedai nauczyć się władania tą bronią!

Mander odtoczył się na bok, podczas gdy Hutt spróbował użyć miecza świetlnego jak pałki. Jego cios był niezgrabny i ociężały, i zostawił tylko skwierczącą bruzdę w miejscu na podkładzie, gdzie jeszcze przed chwilą leżał Jedi. Tymczasem Mander zerwał się na nogi i wymierzył silnego kopniaka w tułów swojego przeciwnika. Nie znał biologii tej rasy na tyle dobrze, żeby wiedzieć, w jaki organ trafił, ale zadziało - Mika zaskowyczał z bólu i znów zamachnął się mieczem Tora...

I wtedy od jego grubej skóry odbił się strzał z blastera.

Z okrzykiem zaskoczenia i bólu Mika odwrócił się w stronę, z której padł strzał. Mander także spojrział w tym kierunku... i zobaczył Reen Iranę, trzymającą się framugi wejścia do

Plaga

centrum dowodzenia, z dymiącym karabinem blasterowym w dłoni.

- Wiedziałam, że nie powinnam zostawiać cię samego! - krzyknęła Pantoranka, biorąc znów Hutta na muszkę.

Mika był jednak szybki - pełznąc niczym wąż, zmniejszył dzielący ich dystans. W zdrowej ręce trzymał zapalony miecz świetlny jak pochodnię. Reen wystrzeliła jeszcze kilka razy na ślepo, a potem zniknęła w korytarzu, Mika zaś odwrócił się znowu, żeby rozprawić się z Manderem, zanim puści się w pogoń za Pantoranką.

Jedi jednak już na niego czekał z jego elektrowłócznie w dłoni. Hutt nie miał nawet czasu podnieść miecza, żeby zablokować cios, kiedy przeciwnik dzgnął bronią, przebijając nią cieleśko istoty, aż czubek broni wbił się w gródź za jego plecami. Oczy Hutta rozszerzył strach i jeszcze coś, co początkowo wydało się Manderowi oburzeniem. Energetyczna klinga zgasła i rękojeść miecza wypadła ze zwiotczących nagle palców Hutta. Mika spróbował coś powiedzieć, ale zamiast słów z jego ust popłynął strumyczek krwi.

Mander Zuma opadł na kolana przy ciele Hutta, przyszpilonym do ściany niczym jakiś monstrualny owad. Obok niego zmaterializowała się Reen.

- Wyglądasz paskudnie - powiedziała, dotykając jego zakrwawionego policzka.

- Spójrz lepiej na niego - wykrztusił Mander, wskazując Mikę ruchem podbródka i spróbował się roześmiać, ale nie dał rady. Z jego piersi wydobył się tylko głęboki, charczący świst.

- Zabierajmy się stąd - zarządziła Reen.

- Musimy przejąć kontrolę nad statkiem - odparł Mander - sprowadzić go na orbitę i skontaktować się z „Nową Ambicją”. Nie powinniśmy mieć już teraz żadnych problemów...

- Nie. - Reen pokręciła głową i wsunęła mu rękę pod ramię. - Musimy ruszać. Nie udało nam się przedostać na pokład „Trasy na Barabi”, więc wycofałyśmy się do maszynowni. Kiedy odpalono silniki, razem z Angelą sabotowałyśmy napęd. Sądziłyśmy,

Plaga

że uda nam się zatrzymać start, ale nie byliśmy dość szybkie. Cały szkopuł w tym, że nie zdołamy teraz przyspieszyć...

Mander zamrugał, kiedy dotarło do niego, że nie słychać już głębokich wibracji, które wcześniej wprawiały pokład w drżenie. Podniósł wzrok na główny iluminator i zobaczył, że nie lecą już w stronę Ardosa i migoczących za nim gwiazd. Zamiast tego monitor wypełniała bryła Varla. Statek fabryka nie był już statkiem, tylko pociskiem wystrzelonym z powierzchni planety, wracającym teraz trajektorią, którą został wysłany w przestrzeń kosmiczną.

- Vago znalazła kapsułę ratunkową. Dasz radę iść? - spytała Reen. Pomogła mu podźwignąć się z podłogi. Mander pokręcił ostrożnie głową i oczyścił umysł, tłumiąc pulsujący nieznośnie w dłoni ból. Nie ma bólu, powtórzył sobie w myśli. Nie ma bólu. Jeszcze trochę... Kiedy Reen wysunęła rękę spod jego ramienia i podeszła do konsoli, by ocenić, czy da się jeszcze coś zrobić, Mander zachwiał się lekko, zanim odzyskał równowagę. Przypuszczał, że jedynym wnioskiem Pantoranki będzie to, że jest już za późno.

- Nic mi nie jest - oznajmił, kiedy uspokoił oddech. - Chodźmy.

- Jeedai - wycharczał przybity do ściany Mika; na jego usta wypłynęła krwawa piana.

Reen i Mander popatrzyli po sobie, zdziwieni: Hutt wciąż żył.

- Zabierz mnie ze sobą - poprosił ulegle Mika. - Nie będę stwarzał problemów. Wygrałeś.

Mało brakowało, a Mander by go posłuchał, ale nagle zorientował się, że ogarnia go znajome uczucie - cichy, ale przekonujący głos w jego głowie szeptał: Hutt jest bezbronny, Hutt jest słaby. Dlaczego miałbyś się obawiać małego Hutta?

Nawet na wpół martwy Mika próbował użyć Mocy, żeby na niego wpłynąć.

- Nie możemy go tutaj tak zostawić - orzekła Reen.

Mander pokręcił głową.

Plaga

- Wyjdź na korytarz - poprosił ją. - Zaraz do ciebie dołączę.
- Ale...

- Próbuje na tobie tego samego, co zrobił wcześniej z Angelą Krin - przerwał jej ostro Jedi. Reen spojrzała na niego, zaskoczona i oszołomiona, i wyszła bez słowa z centrum dowodzenia.

- Mogę ci się przydać - wybełkotał Hutt; wzrok miał zamglony i rozbiegany. - Dobry rzemieślnik nie wyrzuca dobrych narzędzi.

Mander pokręcił głową, starając się usunąć z niej obrazy podsuwane mu przez głos Miki. Pochylił się w stronę umierającego Hutta.

- To właśnie był twój pierwszy błąd - powiedział do niego cicho. - Nie jesteśmy narzędziami. - Z tymi słowami opuścił mostek; Varl na głównym monitorze zdążył już urosnąć do olbrzymich rozmiarów. Kiedy Mander wychodził, słyszał jeszcze za plecami złorzeczenia sfrustrowanego Hutta.

Podczas jego wizyty na mostku Reen i reszta mieli najwyraźniej pełne ręce roboty. Kładki i ściany były osmalone od strzałów z blastera, a grodzie znaczyły głębokie bruzdy. Rury, doprowadzające wcześniej do zakładu trującą ciecz z Varla, były poprzecinane, a podłogę znaczyły tu i ówdzie jadowicie zielone kałuże. Wszędzie wałały się kawałki pancerzy droidów, a te pełzacze, którym udało się umknąć rzezi, kręciły się w kółko, zdezorientowane - niektóre próbowały aktywować z powrotem systemy statku, inne zajęły się porozsypywaną wszędzie Nawałnicą. Jeszcze inne nadal przenosiły skrzynie z miejsca na miejsce. Po drodze Mander i Reen spotkali jednego ze starożytnych droidów bojowych, uszkodzonego i drepczącego w tę i z powrotem; utykał na nogę, a bezużyteczną broń miał opuszczoną wzdłuż boku.

Kiedy dotarli do punktu, w którym miała na nich czekać kapsuła ratunkowa, zastali Angelę Krin, która właśnie wstawiała z podłogi. Po samej kapsule ani doradczyni klanu Anjiliac nie było nawet śladu.

Plaga

- Kiedy zniknęłaś - zdawała relację pani komandor - Vago pchnęła mnie na ścianę, ogłuszyła i zabrała kapsułę. - Pokręciła smutno głową. - Kretynka ze mnie.

- Fakt - zgodziła się z nią Reen. - Jesteś kretynką. Chciałabym też przypomnieć wam, co mówiłam wcześniej na temat ufanía Huttom.

Angela miała lekko zmacony wzrok i Mander domyślił się, że Vago dała jej się nieźle we znaki.

- Próbowaliśmy wywołać cię przez komunikator, jednak... - zaczęła mówić, ale na widok jego ran urwała i zmarszczyła czoło. - Co się stało?

- Było kiepsko, ale teraz jest już lepiej - mruknęła Reen, wklepując kod w swój komunikator. - Czas na wcielenie w życie planu B. Eddey, gdzie jesteś?

Z głośnika komunikatora dobiegła seria trzasków, przez które przebił się głos Eddeya Be'raya:

- Musiałem się ukryć przed kilkoma statkami patrolowymi Huttów. Będę u was za jakieś siedem minut.

- Trzy, jeśli dasz radę - poprosiła go Reen. - Jesteśmy teraz latającym głazem i bardzo niedługo rozbijemy się na tysiące mniejszych kawałeczków.

Cztery wyjątkowo długie minuty później Eddey zadokował „Nową Ambicją” przy burcie skazanego na zagładę statku fabryki i połączył się z nim szczelnym rękawem śluzy. Pierwsza wyszła Angela Krin, a za nią Mander, podtrzymywany przez zamykającą ich pochód Reen. W dole majaczyła zbliżająca się z każdą sekundą bryła Varla; jego atmosfera rozgrzewała już poszycie ich statku, omywając je nikłymi, bladymi płomieniami.

- Wszyscy w komplecie! - krzyknęła Pantoranka, uszczelniając śluzę i odczepiając rękaw.

- Przytrzymajcie się czegoś! - poradził im ze sterowni Eddey. - Jesteśmy bardzo nisko i przyspieszamy.

Pomimo ostrzeżenia nagle szarpnięcie zaskoczyło ich, kiedy Bothanin poderwał ostro dziób „Nowej Ambicji” w górę. Wypełniający przednie panele widokowe Varl zaczął się powoli

oddalać i maleć. Biała, rozmazana smuga na jego powierzchni znaczyła ścieżkę „ładowania” fabryki Miki... i trajektorię ambicji Hutta.

Mander zapadł się ciężko w fotelu i dał się ogarnąć ciemności. Kiedy opuszczała go świadomość, wciąż słyszał krzyki Hutta Miki, pędzące przez cienką atmosferę ojczyzny jego przodków, a kierowane pod jego adresem.

ROZDZIAŁ 21. NOWY ŁAD

- Potężna Vago, oby jej mądrość nigdy nie gasła, zobaczy się z tobą teraz - poinformował ich wypolerowany na wysoki połysk H-3PO, strzegący drzwi. Jeśli nawet rozpoznał Mandera Zumę, to nie dał nic po sobie poznać. Żrenica drzwi otworzyła się, dając mu dostęp do prywatnego gabinetu Vago Gejalli.

Był na pokładzie „Imru Ootmiana”, stacjonującego na skraju Przestrzeni Huttów. Daleko za lewoburtowym iluminatorem majaczyła sylwetka „Śmiałego” - tak blisko światów Huttów, jak się dało bez powodowania skandalu dyplomatycznego. Mander był pewien, że po wydarzeniach na Varlu pani komandor Angela Krin kazała skierować wszystkie działka jej statku na luksusowy jacht Huttanki.

Mander Zuma ruszył za droidem do sali audiencyjnej, rozprostowując palce. Jego prawa dłoń była już prawie zdrowa, ale nadal czuł ból, kiedy związał ją w pięść. Postanowił unikać sytuacji, przy których byłby do tego zmuszony.

Pomieszczenie, w którym był już wcześniej, wyglądało znajomo, jednak dostrzegwał w nim kilka zmian. Wciąż znajdowały się w nim trzy nisze, jednak teraz zajęta była tylko jedna. Strzegli jej Niktowie, ale w pobliżu nie było śladu po Wookiech ani Twi'lekankach. Oprócz nich w pomieszczeniu było obecnych kilka lśniących jednostek H-3PO, sprawiających wrażenie, jakby dopiero co zeszły z linii produkcyjnej.

Środek pokoju zajmowała holograficzna projekcja stosu pogrzebowego, wzniesionego prawdopodobnie na Nal Hutta, w

Plaga

wielkim grobowcu, wykutym w zboczu góry i ocienianym przez potężny pomnik Popary Anjiliaca. W tle, otoczone przez składający się głównie z Huttów tłum żałobników, dało się dostrzec trzy zabandażowane mumie, gotowe do spalenia - jedną dużą jedną średnią i jedną tak małą, że wydawała się zbyt drobna jak na Hutta.

Mander wiedział, że tylko ta środkowa zawiera prawdziwe ciało - zwłoki Zonnosa. Szczątków Popary nie starczyłoby, żeby ulepić z nich pogrzebową kukłę, a popioły Miki szybowały pewnie teraz w trującej atmosferze Varla.

- *Gon kodowinpumba mallin* - przemówiła Vago, a pełniący straż obok jej podium droid przetłumaczył niezwłocznie: - Wasze starania były skuteczne. - Vago wiedziała, że Mander rozumie jej ojczysty język, a mimo to pozwoliła, żeby H-3PO tłumaczył jej kolejne słowa.

- Cieszę się, że statki patrolowe Huttów znalazły twoją kapsułę ratunkową - powiedział spokojnie Mander. - Nie mogliśmy zostać na tyle długo, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo.

Huttanka Vago wydała z siebie głuchy bełkot, a usłużny droid przetłumaczył natychmiast:

- Potężna Vago nie żałuje swojego nagłego odlotu. Twierdzi, że było to konieczne, żeby jedna z osób wróciła bezpiecznie i mogła zdać relację z wydarzeń. Nie wiedziała, co się z tobą dzieje, a pozostali nie opuściliby statku bez ciebie.

- Pani komandor pragnie poinformować potężną Vago, że nie ma do niej żalu za jej działania - skłamał Mander, ale dodał uczciwie: - Bardziej martwi ją sprawa handlu Nawałnicą.

- Handel Nawałnicą już nie istnieje - zapewniła go Vago za pośrednictwem swojego tłumacza. - Rada Starszych Huttów została powiadomiona tylko o tym, że pewne niekompetentne jednostki zjawily się na naszej błogosławionej ojczyźnie. Rada z wdzięcznością przyjęła te informacje i obecnie sprawdza środki bezpieczeństwa jej chronienia, dokonując zmian na stanowiskach straży i podwajając liczbę patroli w tej okolicy.

Mander skłonił lekko głowę.

Plaga

- Mimo to pewne istoty nadal znają sposoby produkowania Nawałnicy - zauważył.

- Tylko nieliczni znają całą prawdę - odparła Vago. - Inni zostali... uciszeni. - Skinęła głową droidowi, który płynnie przetłumaczył jej słowa, pogrążony w błogiej nieświadomości faktu, że wyczyszczono mu pamięć. - Wiedzą więc o tym tylko oficer WSW, dwoje pilotów i Jeedai.

- I ty - dodał Mander.

Teraz to Huttanka pochylila nieznacznie swoją wielką głowę.

- Ta, która zaciągnęła dług u wielkiego Popary Anjiliaca Diresto, nigdy nie pomyślałaby o czymkolwiek, co oczerniłoby jego imię i osłabiło siłę jego rodu.

Na dźwięk pełnego imienia Popary Mander zmarszczył czoło. Wiedział, że używanie oficjalnych imion było przywilejem tylko tych Huttów, którzy nie żyli albo okryli się legendarną sławą. Poparę można było zaliczyć do obydwu tych kategorii.

- Tak czy inaczej, Nawałnica wciąż pozostaje na rynku - stwierdził. - I to na ponad pięćdziesięciu światach.

- Jej zapasy wciąż topnieją. Przyprawowy lord... - Vago urwała i Mander widział wyraźnie, że lojalna aż do końca wobec klanu Anjiliaków Huttanka ma trudności z wymówieniem imienia Miki w obliczu jego występków... nawet teraz. - Przyprawowy lord - podjęła po chwili wahania - bardzo skutecznie zatarł za sobą większość śladów. W tym zakresie był nadzwyczaj skrupulatny. Oficjalnie... - Znów urwała, a droid czekał z tłumaczeniem, aż podejmie przerwane zdanie. - W annałach rodu zaznaczymy tylko, że młody Mika odkrył i udaremnił handel Nawałnicą, chociaż przyplacił to własnym życiem.

- Co w pewnym sensie jest prawdą - stwierdził Mander.

- Popara pozostawił po sobie dziedzictwo szczerości - odparła Vago. - Zamierzam je zachować.

- Wkrótce będziemy musieli stawić czoło problemowi wielu istot uzależnionych od Nawałnicy na głodzie narkotykowym - zamienił temat Mander.

Plaga

Vago wzruszyła ramionami, co wprawilo całe jej ciało w dreszcz.

- Są inne gatunki przyprawy. Może zapewniające mniejsze emocje, ale też mniej szkodliwe dla ich użytkowników i powodujące mniejsze szkody w społeczeństwie.

- Gatunki, których dystrybucją zajmie się klan Anjiliac - zgadł Mander. Vago znów wzruszyła szerokimi ramionami.

- Potężny Popara, oby jego imię było sławione po wsze czasy, cieszył się, jeśli mógł pomóc innym - powiedziała za pośrednictwem droida. - Mądra Vago nie widzi sensu w zbaczaniu z wyznaczonej przez niego ścieżki.

- Mądra Vago staje przed wielkim wyzwaniem - zauważył Jedi. - Chociaż wpływy klanu Anjiliac są znaczne, stracił on nie tylko swojego przywódcę, ale też dwoje jego oficjalnych dzieciaków. Jedynym logicznym rozwiązaniem dla wielkiej Vago jest przejęcie klanowych interesów, co jednak wiąże się z licznymi problemami, a ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałyby w tej sytuacji przyszła przywódczyni, są osoby wężące wokół odnowionego handlu twardą przyprawą.

Vago milczała przez chwilę, a potem wybuchła strumieniem nacechowanych emocjonalnie słów, przetłumaczonych przez jej droida:

- Mądra Vago dostrzega, że twoje interesy idą w parze z jej interesami. Obiecuje, że nie dojdzie do wznowienia handlu Nawałnicą, a ci, którzy spróbują do tego doprowadzić, zostaną odpowiednio ukarani. Ponadto, w ramach gestu łaski, oferuje swoją pomoc tym, którzy padli ofiarą przyprawy, nie żądając w zamian żadnego wynagrodzenia.

- A więc mamy zbieżne interesy - zgodził się Mander i skłonił lekko głowę. - Dopóki Nawałnica nie pojawi się znów na rynku, nie ma powodu, żeby nasze ścieżki ponownie się krzyżowały.

- Co racja, to racja - przyznała Vago i dała droidowi ręką znak, żeby przerwał tłumaczenie, a potem dodała w huttyjskim: - A teraz, jeśli mi wybaczysz... mam niecierpiące zwłoki interesy.

Plaga

Muszę odbudować nasze handlowe imperium.

I tak oto audyencja dobiegła końca, a droid wyprowadził Manderę z biura Vago. Wychodząc, Jedi rzucił Huttance ostatnie, pożegnalne spojrzenie. Zobaczył, że przygląda się hologramowi pogrzebowego stosu jej przybranej rodziny, a na jej twarzy malują się silne emocje. A potem drzwi zamknęły się za nim i spotkanie dobiegło końca.

Prom zabrał go na pokład „Śmiałego”, gdzie został zaprowadzony przez porucznika Lockerbee’ego do hangaru, w którym czekała na sygnał do startu „Nowa Ambicja”. Droidy i członkowie załogi odłączali właśnie od kadłuba statku ostatnie przewody i rury. W przednim iluminatorze widać było kudłaty łeb Eddeya, przeprowadzającego procedury przedstartowe. Obok Jedi wyrosła jak spod ziemi Reen.

- Pani porucznik poprosiła, żebyśmy cię podrzucili we wskazane przez siebie miejsce - oznajmiła mu. - Dokąd chcesz lecieć?

Manderę rozejrzał się dookoła.

- Chyba na Yavin Cztery - westchnął, chociaż w duchu musiał przed sobą przyznać, że powrót do Archiwów Jedi nie wydaje mu się już tak kuszący, jak jeszcze jakiś czas temu.

- Tak myślałam - mruknęła Reen. - Wpisaliśmy już nawet kurs. Czekaliśmy tylko na siebie.

- Serio? - zdziwił się szczerze i zerknął na Pantorankę. - Sądziłem, że pani komandor zjawi się, żeby się z nami pożegnać...

- Od naszego powrotu ma pełne ręce roboty - odparła Reen z krzywym uśmiechem. - Mam wrażenie, jakby wydawało jej się cały czas, że ma wszystko pod kontrolą i pewnie trochę się zdziwiła, kiedy wyszło na jaw, że jest tylko marionetką, nie lalkarzem. Mam poważne wątpliwości co do tego, czy jeszcze kiedyś zdoła zaufać jakiemuś Huttowi.

- Albo Jedi - odpowiedział Mander.

- Albo Jedi - powtórzyła Reen i oboje zapatrzyli się na chwilę w milczeniu na hangar pełen wykonujących swoje obowiązki żołnierzy WSW. Ostatni droid odczepił od kadłuba „Nowej

Ambicji” ostatni z przewodów.

Reen westchnęła głęboko.

- Kiedy rozmawiałeś z Miką... po tym, jak go pokonałeś... zabrałam coś ze statku fabryki - przyznała się. - Zamierzałam zatrzymać to na pamiątkę, ale pomyślałam, że zrobisz z tego lepszy użytek. - Sięgnęła za pazuchę i wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni miecz świetlny Tora. Podała mu go.

Mander przyglądał mu się przez chwilę, zaskoczony, ale potem przyjął go od dziewczyny. Kiedy zacisnął obolałe palce wokół krótkiej rękojeści poczuł się, jakby ścisnął dłoń starego przyjaciela. Podniósł ją do twarzy i włączył aktywujący ostrze przycisk; niebieska klinga wysunęła się posłusznie z otworu emitera. Przesunął nią z boku na bok i poczuł się, jakby była przedłużeniem jego ręki.

- I jak? - zapytała go Reen. Za iluminatorem sterowni „Nowej Ambicji” znieczepliwiony Edey dawał im znaki, żeby wsiadali na pokład.

Mander milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Wspaniale. Naprawdę wspaniale.

PODZIĘKOWANIA

Wydarzenia opisane w tej powieści pojawiły się pierwszy

Plaga

raz w przygodzie RPG Tempest Feud, wydanej przez Wizards of the Coast, autorstwa Jeffa Grubba i Owena K.C. Stephensa, pod redakcją Christophera Perkinsa i Duane'a Maxwella. Rozgrywają się one dziewiętnaście lat przed bitwą o Yavin, w okresie między założeniem Prakseum Jedi na Yavinie Cztery a inwazją Yuuzhan Vongów.

Autor pragnie także podziękować Olivii Lunie i Scottowi Hungerfordowi za ich uwagi i komentarze.

Pamiętajcie: nie próbujcie sztuczek Jedi w domu.

Spis Treści

BOHATEROWIE POWIEŚCI
PROLOG. ŚMIERĆ JEDI
ROZDZIAŁ 1. TAJEMNICA NA MAKEM TE
ROZDZIAŁ 2. NEGOCJACJE
ROZDZIAŁ 3. HUTT POPARA
ROZDZIAŁ 4. KU ZAKAŻONEJ PLANECIE
ROZDZIAŁ 5. LĄDOWANIE
ROZDZIAŁ 6. TEL BOLLIN
ROZDZIAŁ 7. HUTT MIKA
ROZDZIAŁ 8. KONSEKWENCJE
ROZDZIAŁ 9. NOC NA NAR SHADDAA
ROZDZIAŁ 10. POŚCIG W GŁĘBINACH
ROZDZIAŁ 11. POD KSIĘŻYCEM PRZEMYTNIKÓW
ROZDZIAŁ 12. CZAS SĄDU I STRACHU
ROZDZIAŁ 13. KALKULACJE
ROZDZIAŁ 14. NA TROPIE PRZYPRAWY
ROZDZIAŁ 15. INTERESY
ROZDZIAŁ 16. RODIAŃSKA MATRIARCHINI
ROZDZIAŁ 17. PODRÓŻ NA VARLA
ROZDZIAŁ 18. W SERCU NAWAŁNICY
ROZDZIAŁ 19. PRZYPRAWOWY LORD VARLA
ROZDZIAŁ 20. UPADEK HUTTA
ROZDZIAŁ 21. NOWY ŁAD
PODZIĘKOWANIA

